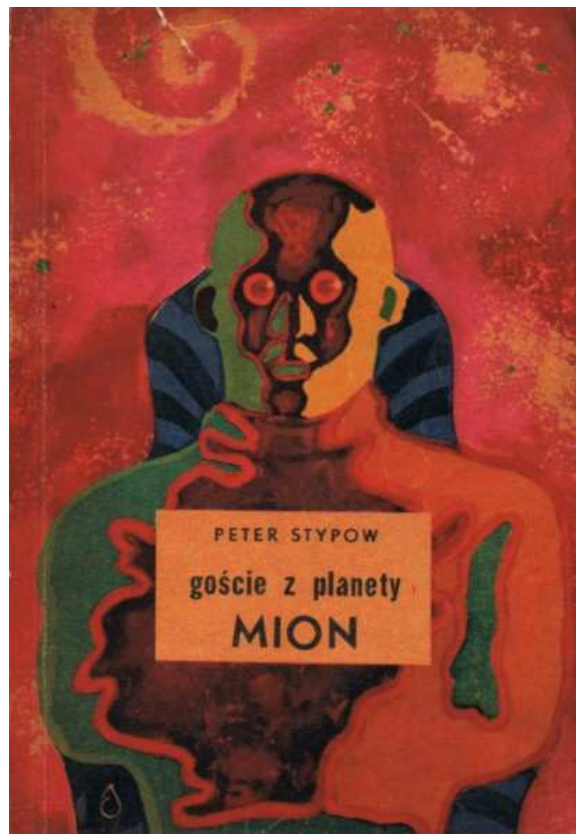


PETER STYPOW

**GOŚCIE
Z PLANETY MION**

TYTUŁ ORYGINAŁU: GOSTI OT MION
PRZEKŁAD: KRYSZYNA MIGDALSKA



WYDAWNICTWO „ŚLĄSK” KATOWICE 1970

Nocne spotkanie

Przekłete ciemności!

I ta rozwierająca się u stóp i jakby czyhająca czarna, bezdenna przepaść. Brauna przesładowała natrętna myśl, że jeśli posunie się jeszcze choćby o krok, runie gdzieś w nicość. Fale z ciężkim, monotonnym hukiem rozbijały się o brzeg. Ich białe grzywy raz po raz sięgały skały, na której siedział i wtedy czuł na wargach słonawy smak morskiej wody. Było ciemno i pusto. Ogromne, gęste chmury przesłoniły gwiazdy. Jedyne w oddali, nieco na prawo, migotały światła wielkiego portowego miasta. Stamtąd przyszedł przed godziną w to przekłete miejsce. Najpierw dziarskim choć bezszelestnym krokiem maszerował po gładkim asfalcie szosy, potem skręcił w jedną z wielu drózek prowadzących na plażę i w końcu znalazł się pod Samotną Gejszą. Wszystko według wskazówek podanych mu przez radio.

Samotna Gejsza zawdzięczała swą nazwę oryginalnym kształtom, przywodzącym na myśl klęczącą, nieco pochyloną kobietę, odzianą w szatę przypominającą kimono. Teraz jej kontury zlewały się niemal zupełnie z tłem. Braun znał to miejsce od dawna. Ostatnio odwiedzał je kilkakrotnie, zapoznawał się z nim dokładnie, by móc rozpoznać je nawet najciemniejszą nocą.

Teraz wsłuchiwał się w głuchy łoskot wody i czekał...

Gdyby nie zakazano mu tego rygorystycznie, zaciągnąłby się mocnym, gorzkawym dymem papierosa. Do diabła! Ci panowie zajmują się zbyt błahymi sprawami. Lecz w duszy przyznawał, że zakaz był słuszny. Nawet najbardziej nikły ogienek mógł zwabić patrol posterunku granicznego, zwrócić uwagę rybaka lub choćby przypadkowego przechodnia. Ludzie tu przebiegli, niech ich licho! I do tego nie poinformowano go nawet, z której strony zjawi się człowiek, którego ma oczekiwać. I dlaczego ma czekać na niego akurat tu, na tym opustoszałym morskim brzegu, w ciemną i chłodną noc.

Braun przybliżył do twarzy fosforyzującą tarczę zegarka. Minuta po północy. Oczekiwany winien już się zjawić. Ciekawe, jak dostanie się tutaj. Samochodem? Pieszko? Łodzią? Bezszerowym helikopterem?

Braun przeniósł wzrok z morza na niebo.

Poprzez poszarpane już przez wiatr obłoki przezierały gwiazdy. Wzeszedł księżyc — wielki i szkarłatny jak krew. Coraz bardziej topniała ciemna zasłona zakrywająca dotąd niebo i coraz więcej pojawiała się na jego sklepieniu dalekich światełek. Braun wpatrywał się teraz w ich to gasnące to zapalające się odbicie na powierzchni wody. Mrok jakby się przerzedził. I nagle pośród migotliwych błysków dostrzegł jakiś przedmiot, coraz bardziej wyłaniający się z głębin i jak zauważył, wyraźnie kierujący się w stronę brzegu. Łódź? Nie, to na pewno nie była łódź. „Z całą pewnością ryba — mruknął Braun uspokajając sam siebie. — Chyba rekin, jeśli tu w ogóle spotyka się rekiny! Ale ogromna sztuka! Niczym wieloryb!”

Niezbyt wyraźny dotychczas kontur zarysował się dokładniej. Lśniący, kształtem przypominający trumnę przedmiot wznosił się coraz wyżej nad powierzchnię wody i coraz szybciej ją przybliżać się do piaszczystego brzegu. Nagłym skokiem znalazł się na lądzie i nagle znieruchomiał, zarywszy się w piachu.

Dziwny potwór kształtem i rozmiarami przypominał właściwie samochód, ale był jakby węższy i odznaczał się bardziej opływową sylwetką. Nagle z osobliwego stworu wystrzelił w górę jakiś przedmiot — wyglądało to tak, jakby na jego grzbiecie wyrosło nagle olbrzymie cygaro. Lecz w tym samym momencie cygaro poruszyło się. Braun odetchnął — przecież to człowiek, zapewne ten, którego oczekuje. Przypuszczał, że zjawi się raczej od lądu. Owszem, brał również pod uwagę łódź lub helikopter, ale nie podejrzewał, że może wyłonić się z głębin morza. „Widocznie tak musi być — pogodził się z tym Braun. Niewątpliwie, z morza najbez-

pieczniej... Nadmiar ostrożności nigdy nie zaszkodzi!”

Przyłgął jednak całym ciałem do skały. Stał nieruchomo, wstrzymując oddech. Był przekonany, że stał się w ten sposób niewidoczny, stopiony w jedno z mrokiem. Lecz przyszedł szedł wyraźnie w jego kierunku. Zatrzymawszy się na kilka kroków przed Braunem, przenikliwym szeptem zapytał:

— Halo, proszę pana, czy mógłby mi pan podać ogień? Moja przeklęta zapalniczka znów nawaliła i od dwóch godzin na próżno usiłuję ją zapalić. Zgubiłem zdaje się jakąś śrubkę.

Braun poczuł, jak opuszcza go całkowicie poprzednie napięcie. Odetchnął głęboko i w całym ciele rozlało się przyjemne ciepło.

— Zapalek, niestety, nie mam — odrzekł — lecz przypadkowo posiadam przy sobie śrubkę.

Wydobył z kieszeni spodni nieduży, skórzany portfel. Zręcznie manipulując w ciemności palcami, podał nieznanemu białą, złożoną w kilkoro kartkę papieru.

— Śrubka jest w środku. Proszę sprawdzić.

Do tego momentu wszystko przebiegało zgodnie z planem. Śrubkę otrzymał przed miesiącem od pewnego agenta, który poinformował go, że w pierwszą niedzielę czerwca, około północy, przy Samotnej Gejszy zjawi się ktoś, kto poprosi go o ogień i komu odda tę małą śrubkę.

A teraz śrubka była już w rękach tajemniczego mężczyzny.

— Jestem panu niezmiernie wdzięczny... Ale tu zbyt ciemno dla bliższego zawarcia znajomości. Proszę zatem do mojego samochodu. Z największą przyjemnością zapalę papierosa w pańskim towarzystwie.

Braun nabrał już całkowicie zaufania do nieznanego, ruszył więc chętnie w stronę intrygującego pojazdu, lśniącego w mroku nocy. Nieznajomy nacisnął jakiś niewidoczny guziczek i drzwiczki otwały się. Braun nachyliwszy się wszedł i zajął miejsce obok właściciela wehikułu. Drzwiczki zatrzasnęły się. W tym samym momencie wewnątrz rozbrzmiało światło. Oczom Brauna ukazało się wnętrze luksusowo urządzonej kabiny. Na wprost widniała tablica rozdzielcza z wmontowanymi w nią licznymi urządzeniami sterowniczymi.

Nie mówiąc ani słowa, nieznajomy rzucił w kąt kartkę ze śrubką. Był to człowiek lat około trzydziestu pięciu, starannie ogolony, o błękitnych lecz uderzająco zimnych oczach. Jego twarz zwracała niewątpliwie uwagę każdego — przystojna, o regularnych rysach i sympatycznym wyrazie. Ubrany był w kraciatą sportową bluzę, koloru beżowego.

— Doskonale — uśmiechnął się nieznajomy i Braun pomyślał, że właśnie tacy ludzie, o tak serdecznym i ujmującym uśmiechu, są stworzeni do wykonywania wszelkich niebezpiecznych zadań. — Teraz możemy zapalić.

Suchy trzask i błysk zapalanej zapałki. I w tej samej chwili z ledwo słyszalnym stuknięciem opadła jedna z kłapek u dołu tablicy rozdzielczej i na kolana kierowcy wypadła zwinięta w rulon taśma papieru. Nieznajomy spokojnie ujął ją w palce, rozwinął i podał Braunowi. Jednocześnie wydobywając z kieszeni lupę, powiedział:

— Proszę to przeczytać.

Braun wziął lupę i nachyliwszy się nad skrawkiem taśmy począł czytać: „Wysyłamy naszego tajnego współpracownika ze specjalną misją. Należy podporządkować mu się bezwzględnie. Wszelkie środki, jakie zaproponuje, są dopuszczalne. A-1.”

Braun podniósł głowę. Nieznajomy obserwował go bacznie. Jego oczy miały teraz inny wyraz niż przed chwilą — były bezwzględne i rozkazujące. Braun poczuł, jak jego ciałem wstrząsa nieprzyjemny dreszcz.

— Sądzę, że wszystko jest jasne — powiedział mężczyzna głosem nie dopuszczającym sprzeciwu.

— Tak — odpowiedział szybko Braun. — Do pańskich usług, mister... — Urwał i wy-

czekująco spoglądał na obcego. Ten odparł krótko:

— Wega. Tak proszę mnie nazywać. Ale na przyszłość nie radziłbym zapamiętywać jakichkolwiek imion. Zresztą porozmawiamy dokładniej o wszystkim później. Dokąd teraz?

— Nie wiem — Braun wzruszył ramionami. — Polecono mi jedynie spotkać się z panem. Nie było mowy o zaopiekowaniu się panem.

— Zapomnieli, a to trzeba było przewidzieć. Przed kilku laty byłem tu na wycieczce, lecz kontaktu z miejscowymi ludźmi nie nawiązałem. O ile mi wiadomo, posiada pan samodzielne mieszkanie?

— Tak.

— A więc będzie pan zmuszony udzielić mi schronienia na przeciąg kilku dni. Musimy działać błyskawicznie, by w terminie wykonać swoje zadanie. Zatem w stronę miasta!

Wega przekręcił jakiś kluczyk i dał się słyszeć głuchy, przytłumiony warkot. A gdy nacisnął jeden z licznych guziczków na tablicy rozdzielczej, gdzieś ponad sufitem kabiny rozległ się głośny trzask. Braun podniósł wzrok na wybity błękitną materią sufit. I wtedy doświadczył uczucia, że pojazd unosi się do góry. Szum i brzęczenie w górze nie ustawało, a kabina niezwykle lekko i miękko płynęła w powietrzu.

— Ależ... — zauważył Braun — sądziłem, że to łódź podwodna!

— Owszem, to także łódź podwodna, lecz zarazem pojazd latający — odparł Wega i znów pojawił się na jego twarzy ów przymilny, rozbajający uśmiech. — Proszę się uspokoić. Maszyna jest doskonale uniwersalna. Porusza się pod wodą, nad wodą, lata w powietrzu, a w razie potrzeby spełnia również rolę samochodu.

Braun przylgnął czołem do szyby. Pojazd otaczała nieprzenikniona ciemność. Hen, wysoko zawieszona na niebie migotały zimne, odległe gwiazdy. Lecz Wega nie patrzył na nie. Spokojnie wyciągnięty w fotelu zdawał się drzemać.

— Lecimy bez świateł! — wykrzyknął zaniepokojony Braun. — Przecież możemy się zderzyć z jakimś samolotem lub helikopterem!

Wega uśmiechnął się z politowaniem.

— Niech pan się uspokoi, mój drogi — powiedział. — Proszę spojrzeć na ten ekran.

Jeden z połyskliwych kwadratów pulsował seledynowym światłem.

— Tu widzę wszystko w promieniu dziesięciu kilometrów. Przy tym sterowanie jest oczywiście całkowicie zautomatyzowane. Pojazd sam skręca odpowiednio w bok, jeśli na przeciw pojawi się jakiegokolwiek ciało stałe. Ale ponieważ wolałbym, aby nikt nas nie zauważył, nie włączyłem świateł.

Braun kontemplował przez szybę inne światła — białe i żółte, czerwone, zielone, błękitne, nanizane jedno obok drugiego jakby w długi, bajeczny naszyjnik. Niektóre to gaśły, to zapalały się na przemian. A nad nimi wyraźnie odcinały się na aksamitnym granacie nieba czerwone gwiazdy.

— Zbliżamy się do Kosmogradu — oznajmił Braun.

Wega nacisnął błękitny guziczek. Na ekranie pojawił się las, przedzielony prostą, asfaltową szosą. Zza lasu wyłaniały się domy, wille, gospodarcze zabudowania. Budowli było coraz więcej, ciasno stłoczonych wzdłuż ulic, otoczonych ogrodami.

— Czy ta szosa zawiedzie nas do pańskiego domu?

Braun w odpowiedzi skinął głową.

— Wspaniale — rzekł uspokojony Wega i sięgnął w kierunku biało lakierowanej dźwigni, zakończonej połyskliwą metalową gałką. Zaczęli łagodnie opadać w dół. Zabudowania i drzewa przybliżały się coraz szybciej, rosnać w oczach. Pojazd miękko zetknął się z wstęgą szosy. Wtedy Wega nacisnął inny guzik i z ledwie słyszalnym szumem pomknęli po szosie.

— Wiem, o czym pan myśli — uśmiechając się powiedział Wega. — Z zewnątrz maszyna wygląda niezbyt efektownie z powodu tych śmigieł, prawda? Lecz myli się pan, przyjacielu. Śmigła są już ukryte pod błyszczącą pokrywą, która ściśle przylega do dachu pojazdu.

Koła również chowają się w razie potrzeby. Proszę spojrzeć!

Nacisnął guzik obok ekranu i pojawiła się na nim sylwetka eleganckiej limuzyny. Śmigła znikły. Samochód na pozór niczym nie różnił się od innych, choć w rzeczywistości nie był tak obszerny, a jego wrzecionowaty korpus przypominał nieco rybę. Ekran zagaśł, a po chwili znów ukazała się na nim szosa z drzewami, krzewami i willami po bokach, które kokieteryjnie wyzierały zza bujnej zieleni. Ultraczerwone promienie wymacały dokładnie wszystko wokół i przekazywały na ekran z taką wyrazistością, jakby działo się to w jasny dzień.

Ale oto wjeżdżali już w ulice Kosmogradu.

Przed laty tereny te były pagórkowatym, malowniczo nad brzegiem morza położonym pustkowiem, porośniętym wybujałą roślinnością. Uroczonego krajobrazu dopełniał widniejący na horyzoncie potężny masyw górski. Każdego ranka słońce złociło jego ośnieżone szczyty, odbijające światło ze zwielokrotnionym blaskiem. Teraz wyrósł tu Kosmograd — ośrodek najwybitniejszych wynalazców, fizyków, astronomów, kosmonautów, techników, pilotów i konstruktorów, nowoczesny ośrodek z licznymi instytutami, fabrykami raket, samolotów i wszelkiej aparatury niezbędnej chemikom i laborantom, opracowującym doświadczalnie technologię produkcji nowych chemicznych paliw. Pracowali tu uczeni Związku Radzieckiego, Bułgarii, Polski, NRD, Węgier, Rumunii razem z naukowcami niektórych krajów azjatyckich i Ameryki Łacińskiej. Kraje socjalistyczne połączyły się już bowiem w wielką wspólnotę zwaną Związkiem Socjalistycznych Republik. Miasto było więc interesującym konglomeratem najrozmaitszych narodowości. Ludzi łączyły tu jednak wspólne cele, wspólne ideały. W dzień zalane słońcem miasto przypominało wielki ogród. Białe wysokościowce podobne łabędziom wychylały się z zieleni parków i lasów, przeglądały się w lustrzanych taflach kilku jezior. Nigdzie nie było widać lamp. Było tu jednak widniej niż w najjaśniejszą, księżycową noc.

— Tam mieszkam — odezwał się Braun ukazując ręką jeden z domów o ciemnych oknach. — Gdzie zaparkujemy wóz?

— Oczywiście nie koło tego domu — odparł Wega. — Pozostawimy go na sąsiedniej ulicy. Jak widzę, parkuje tam już kilka samochodów.

Braun z niepokojem w głosie zauważył:

— Ale ten rzuci się od razu każdemu w oczy. Przecież nie ma numeru rejestracyjnego.

Wega poklepał go po ramieniu.

— Niech pan się nie niepokoi. Wszystko przewidziałem. Mój wóz ma identyczne znaki jak tutejsze pojazdy. Tu się zatrzymamy?

— Chciałbym usłyszeć dokładne wyjaśnienie... — rozkazał Wega zakładając nogę na nogę. Siedział wygodnie i niedbale w fotelu. Palił papierosa, zaciągając się mocno raz po raz. Błękitnawy dymek wijąc się w kłęby, przesłaniał hall powiewną mgiełką. Braun palił nerwowo, w ponurym nastroju. Niepokoiła go zmiana, jaką wyczuł w zachowaniu Wegi po przekroczeniu progu mieszkania.

— Co mam wyjaśnić? — zachnął się Braun. — Doniosłem wam przecież, że ostatnio przestałem otrzymywać regularne wynagrodzenie za swą pracę!

Wega pogardliwie wyduł usta. Sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni palta i wyciągnął z niej sporą paczkę banknotów. Rzucił je niedbale na stolik.

— Dziękuję — wymamrotał Braun. — Pan rozumie, są mi obecnie tak potrzebne... na lekarstwa... No i w ogóle chciałbym jeszcze trochę użyć życia, bo mam go przed sobą już niewiele. — Głos mu zadrżał. Lękał się nie tylko mówić, ale nawet myśleć o podstępnej chorobie, ale musiał wyjaśnić, dlaczego stawia na pierwszym miejscu sprawę wynagrodzenia.

— Wiem — uciał Wega, przeszywając Brauna ostrym wzrokiem. — Proszę wyjaśniać dalej!

Braun wzruszył bezradnie ramionami.

— Co mam wyjaśniać? Droga radiową nadałem przecież wszystkie zdobyte wiadomości.

— Tylko tyle? — podniósł głos gość. — Przecież to wszystko razem wielkie nic!

Braun odczuwał paniczny strach przed tym człowiekiem, lecz jednocześnie rósł w nim podziw dla jego opanowania i zimnej krwi. Choćby teraz — rozmawiał z Braunem tak niefrasobliwie, jakby chodziło o smak ulubionych lodów, a nie o zagrażające życiu niebezpieczeństwo.

— Wprost trudno wyobrazić sobie, jakim dziwakiem jest inżynier Skribin — zaczął usprawiedliwiająco Braun. — Nie wiem, czy to wpływ usposobienia, czy też warunki i rodzaj pracy uczyniły go takim skrytym. Nie ma przyjaciół. Raz jeden tylko zobaczyłem go w przeciągu całego roku na mieście. I to w samochodzie... Był z córką. Nie bywa w restauracjach, nie chodzi do kina ani teatru, nie bierze udziału w żadnych uroczystościach. Jakie życie prowadzi? Diabeł go wie. Dziwny człowiek. Trudny charakter. Ani razu na przykład nie zjawił się w „Wesołych Bekasach”, gdzie gram co wieczór w orkiestrze.

Wega słuchał obserwując kółka dymu odrywające się od papierosa, pęczniejące, by za chwilę roztopić się w powietrzu.

— Hm... — chrząknął. — W każdym razie cały rok poszedł na marne. Stary wścieknie się, gdy mu o tym doniosę!

Dwa tygodnie temu Stary osobiście zadzwonił do Wegi.

— Mój drogi — zaczął, gdy Wega podjął słuchawkę. — Potrzebuję pilnie pańskiej pomocy.

Wega był sam w biurze, lecz odruchowo skłonił się nisko i skwapliwie odpowiedział:

— Do pańskich usług, sir!

— Za godzinę oczekuję u siebie.

Życzenie Starego było prawem. Prawo można czasem ominąć, uciekając przed szeregiem nieprzyjemnych paragrafów przy pomocy zręcznego, zdolnego adwokata. Przed rozkazem Starego nikt nie umknął. Stary był wszechmocny. Nazwisko jego nigdy nie pojawiała się na łamach gazet, nie przeprowadzano z nim wywiadów, nie prezentowano telewizjom jako polityczną osobistość, zasłużonego działacza czy biznesmena i bankiera. Na scenie byli inni. On sam stał za kulisami, w roli wszechwładnego reżysera. Nikt nie był w stanie choć w przybliżeniu określić rozmiarów jego bogactw. Wiedzano jedynie, że składa się na nie między innymi pokrywająca cały kraj sieć banków, fabryk, kompanii do eksploatacji bogactw naturalnych i najnowocześniejszych zakładów specjalizujących się w wytwarzaniu energii atomowej. Przed Starym drżało wielu polityków, marząc jednocześnie o pozyskaniu jego przyjaźni, która była w stanie umocnić ich władzę. Nie był prezydentem Zjednoczonych Państw Zachodniej Półkuli, a władał siłą i wpływami równymi prezydenckim.

Wega przybył do dyrekcji punktualnie po upływie godziny. Dyrekcja mieściła się w odosobnionym drapaczu chmur, u podnóża tonącym w zieleni. Strugi wody stojącej przed wejściem fontanny splatały się z sobą, mieniając się w słońcu wszystkimi kolorami tęczy. Wega wyskoczył z windy na osiemnastym piętrze. Tkwiący u drzwi gabinetu Starego kamerdyner uklonił mu się nisko, a stojący nie opodal dwaj około trzydziestoletni mężczyźni, ani na krok nie odstępujący Starego, zamachali doń przyjaźnie rękami. Kamerdyner wprowadził Węgę do obszernego gabinetu. Panowała tu cisza i półmrok, jedynie na biurku, pod zielonym, w kształcie rozchylonego kielicha lilii abazurem, paliła się lampa.

Stary lubił ciszę i półmrok. Jedynie w całkowitej izolacji od gwaru zewnętrznego był zdolny skoncentrować się nad projektami swych śmiałych marzeń. Teraz — niepozorny, drobny staruszek — ginął za ogromnym, mahoniowym biurkiem. Półmrok łagodził jego rysy, przydając im jakby miękkości, a i zmarszczki nie odcinały się w cieniu tak wyraźnie na jego

twarży. Głowa mniej niż zazwyczaj przypominała wypolerowany do połysku globus.

— Proszę podejść bliżej, mój drogi — przemówił Stary, ukazując jeden z wygodnych foteli.

Młody człowiek usiadł w nim z szacunkiem. Był oto twarzą w twarz z człowiekiem, który dysponował według swej woli miliardami dolarów. Jego potęga dorównywała, a nawet przewyższała siłę armii, bo i armia istniała w ścisłej zależności od niego.

— Niech pan słucha uważnie, mój drogi — zaczął Stary wpatrując się świdrującymi, małymi oczkami w twarz Wega. Zawsze zwracał się do niego w ten sposób: „mój drogi”, jakby chciał podkreślić dzielący ich dystans. — Do jakiego punktu doprowadził swą robotę ten typ, któremu zleciliśmy zdobycie planów inżyniera Skribina?

— Jeszcze niczego nie ma — odparł krótko Wega.

Wiedział, jak obarczano robotą agentów Starego nawet na najodleglejszych i nic nie znaczących wyspach. Wega był początkowo inżynierem w jednej z jego licznych fabryk, „produkujących wszelkiego rodzaju urządzenia atomowe dla celów pokojowych i innych”, lecz wkrótce okazał się baczny i trafny obserwatorem stosunków panujących między urzędnikami a robotnikami, umiejącym z pożytkiem sprzedać cenne informacje. Gdy doniesiono Staremu o owych umiejętnościach Wega, Stary zlecił, by informowano go systematycznie o postępach młodego inżyniera. Z czasem upewnił się, że obiecujący młodzieniec posiada wszelkie dane, by przejść do pracy w wywiadzie. Tak więc Wega — prawdziwe jego imię brzmiało Archibald Carter — został wciągnięty na listę najlepszych, spełniających kierownicze role agentów wywiadu.

— Nic, nic! — z obrzydzeniem powtórzył Stary. Pomarszczona twarz ściągnęła się jeszcze bardziej, stając się odrażająco brzydką i złą. — A w Kosmogradzie komunistyczne fabryki sputników zdążyły już zbudować planetę i osiedlić na niej ludzi. Ten inżynier Skribin realizuje najbardziej fantastyczne pomysły. Gotów zbudować całe miasto w kosmosie! Całe miasto z ulicami, placami, budowlami, fabrykami, laboratoriami! A my, mój drogi, jesteśmy zaledwie na etapie wysyłania części dla budowy naszej mikroskopijnej planetki, która będzie wyglądała jak liliput w zestawieniu z kosmicznym miastem inżyniera Skribina! Tak!

Zamilkł. Na jego twarzy malowało się rozgoryczenie i zawód. Milczał i Wega. Z całego serca życzył Staremu zdobycia planów i wzorów Skribina. W końcu ci wielcy konstruktorzy i wynalazcy powinni sobie, bez względu na sposoby, ułatwiać wzajemnie życie...

A ten agent Braun okazał się takim niedołęgą! Zawiódł ich. Otrzymał zadanie sfotografowania lub wykradzenia planów. Przedtem, oczywiście, miał wejść w środowisko inżyniera, zaprzyjaźnić się z jego bliskimi czy też współpracownikami, aby w jakiś sposób dotrzeć do tajnego sejfu i wynieść cenne dokumenty...

— Czekamy już rok! — podjął znów Stary. — I wciąż tkwimy w tym samym miejscu, a ci, jak mi wiadomo, budują już kosmiczne miasto!

— Czy już montują?

— Tak. Rakiety wysyłają już w górę konstrukcje stalowe. Nie mamy ani chwili do stracenia, mój drogi. P a n musi skończyć tę robotę. Pan osobiście. Sto tysięcy dolarów wystarczy? Plus ekskluzywna willa na Lazurowym Wybrzeżu nad Pacyfikiem. Poza tym otrzyma pan, oczywiście, przyzwoitą dożywotnią rentę. Niech pan się tym natychmiast zajmie i opracuje w najdokładniejszych szczegółach plan zrealizowania przyjazdu do nas inżyniera Skribina.

— Wybiera się do nas z wizytą? — ośmielił się przerwać potok słów Starego Wega.

Stary umilkł na chwilę i bębnił nerwowo palcami po szklanym blacie biurka. Po chwili z rosnącym rozgoryczeniem w głosie kontynuował:

— Musi nas odwiedzić. Musi osobiście nas odwiedzić i nawiązać współpracę z naszymi konstruktorami. Łagodnie a skutecznie namówimy go do tego, choćby nawet był w tym względzie innego zdania, co byłoby właściwie całkiem zrozumiałe. Rozumiemy się?

— Rozumiem, sir — Wega zarumienił się, bo dopiero teraz uświadomił sobie, do czego namawiał go Stary.

— Naszym gościem za wszelką cenę! Jasne?

— Jasne, sir!

— Otoczyć go najtroskliwszą opieką i komfortem. A ja nie mam z tym nic wspólnego. Absolutnie nic, proszę to dobrze zapamiętać!

— Tak, sir!

Stary patrzył zimnym, władczym wzrokiem. Wega zadrżał. To spojrzenie było wymowniejsze niż słowa — rozkazywało, żądało całkowitego podporządkowania się, było silniejsze niż instynkt samoobrony i Wega zdawał sobie sprawę, iż nawet za cenę swego życia wypełni wolę i rozkaz Starego. O, tak! W takich historiach Stary nigdy nie brał bezpośredniego udziału. Nie rozkazywał dokładnie i wyraźnie, a jedynie podpowiadał, co należy zrobić i jak działać. Szczegóły? To należało do współpracowników. Za to przecież otrzymywali pieniądze. Stary opłacał ich szczerze, aby zawsze wyjść nieskalanym z wszelkich brudnych historii. A właśnie na tym, aby odciąć się od sprawy Skribina, zależało mu szczególnie, gdyż ostatnio popełnił pewną nieostrożność, zwierając się ze swych zamierzeń najbliższemu doradcy Prezydenta.

Wybrali się w dwójkę na kilkudniowy wypoczynek na Florydę. Pewnego wieczoru Stary długo tłumaczył doradcy, jak ważne jest przyspieszenie prac montażowych wielkiej, sztucznej planety, a nawet miasta w kosmosie. Sprawa prestiżu, sprawa baz, poważny krok w kierunku opanowania kosmosem... lecz uczeni krajów socjalistycznych, niech to diabli! zawsze ubiegali go w najśmielszych marzeniach! Obecnie budują już osiedle w kosmosie. Tak, tak, osiedle, ba, całe miasto! Agenci donieśli mu, że głównym projektantem tych przedsięwzięć jest inżynier Skribin. Ostatecznie, dlaczego człowiek ten nie miałby swą wiedzę i doświadczeniem służyć planom Starego? Doradca był wesołym człowiekiem, miłym współbiedniakiem i kompanem. Poklepał Starego po ramieniu, wyciągnął przed siebie swe długie nogi i serdecznie się roześmiał. Nie, Stary jest zbyt naiwny. Ci komunistyczni uczeni nigdy nie będą pracowali dla nas, nawet jeśli zaproponujemy im najbardziej zawrotne wynagrodzenie. Wtedy Stary wyjaśnił, że wcale nie ma zamiaru go przekupywać, a po prostu chce zaproponować Skribinowi współpracę. „Mrzonki — odrzekł doradca. — Nie zgodzi się”. Stary nachmurzony wyjaśniał: „Wyrażę się jaśniej. Przywieziemy tu Skribina bez jego zgody i na miejscu przedstawimy nie tylko najdogodniejsze warunki finansowe, ale zapewnimy również najwspanialsze perspektywy i możliwości badań naukowych. To chyba zdoła przełamać upór najzacieklejszego fanatyka. Wystarczy zapewnić mu wszystko, o czym marzy”.

Słowa te jednak odniosły wręcz fatalny skutek. Nieoczekiwanie doradca podniósł się, chłodny i poważny. „Przyjacielu — zaczął wyraźnie zatroskany — o czym pan myśli? Przecież to wywołałoby niesłychany skandal. Wszak zarówno my, jak i oni dążymy do utrzymania obecnej poprawnej koegzystencji. Realizacja tego szalonego pomysłu byłaby klinem wbitym w naszą politykę. Nie, Prezydent nigdy nie poprze pańskiego przedsięwzięcia. Niech pan odstąpi od tego projektu”. Doradca był nieprzejednany. Dodał jednak, iż nie poinformuje o tej rozmowie Prezydenta, gdyż wywarłaby ona na nim bardzo niekorzystne wrażenie. „A czy wiadomo panu, jak wielkie koszty już ponieśliśmy? — odezwał się nachmurzony Stary. — Przecież chodzi o prestiż naszego systemu politycznego. Poza tym solidna sztuczna planeta z laboratoriami, kosmodromami, obserwatoriami, magazynami paliw jest nam niezbędna do rozpoczęcia lotów na inne, dalsze planety, których bogactwa naturalne są nam z kolei potrzebne do realizacji lotów w inne, międzygwiazdne systemy”. — „Nie — powtórzył chłodno doradca, bębniąc palcami po blacie stolika. — Własnymi siłami. Mamy uczonych, mamy konstruktorów, mamy fizyków. Niech sami próbują osiągnąć to wszystko, a pan zainwestuje w to swe środki”. — „Owszem, mamy wielu specjalistów, lecz jak długo jeszcze mamy czekać? Stoję u schyłku życia, a chciałbym czegoś dokonać przed śmiercią. Ale wezmę pod uwa-

gę pańskie życzenie, gdyż jest ono równocześnie życzeniem Prezydenta. Rozmowę traktujmy jako niebyłą”.

Ale był to tylko manewr.

Stary już dawno postanowił porwać Skribina i nikt nie był w stanie odwieść go od realizacji tego planu. Należało jedynie zmienić taktykę, zmylić ślady i zagmatwać sprawę tak, aby prawda nigdy nie wyszła na jaw. Oczywiście w przypadku, gdy Prezydent i jego doradca oficjalnie wyrażą niezadowolenie, cała wina spadnie na współpracowników. Powinien wziąć to pod uwagę Wega i działać zdawszy się wyłącznie na własną pomysłowość i biorąc na siebie całe ryzyko.

Wega nie wiedział o rozmowie Starego z doradcą, ale nietrudno było się domyślić, iż jego szef ma wystarczająco ważne powody, by pozostać w cieniu, jak to nieraz już bywało w podobnych przypadkach. Dlatego powtórzył skwapliwie:

— Tak, sir. Rozumiem — pan nic nie wie o sprawie Skribina.

— Jest pan niezwykle pojętym młodzieńcem, mój drogi — rzekł Stary, a przechyliwszy się przez biurko poufale radził: — Tego Skribina niech pan traktuje jak najbardziej naturalnie, starając się pozyskać jego zaufanie, a jednocześnie niech pan go „urabia” według naszego planu. Rozumie pan?

— Oczywiście, sir. Za wszelką cenę powinien pracować dla nas.

Wąskie usta Starego rozciągnęły się w uśmiechu.

— Dziękuję panu, mój drogi. Docenię należycie pański bystry umysł i domyślność. A zatem proszę udać się do niego osobiście i w jakiś sposób zmusić do wyjazdu na Księżyc, gdzie pracują nasi konstruktorzy. Na razie będzie to najodpowiedniejsze dlań miejsce. A potem zobaczymy. Zapowiem, by przyjęto go z wszelkimi, należnymi mu honorami. A moi ludzie, mam nadzieję, zdołają go w krótkim czasie przekonać do współpracy nad tak ważnym dla całej ludzkości problemem.

Wega nie odpowiadał. Rozmyślał gorączkowo.

— Rozumiem, sir — rzekł po chwili. — Ten... jak mu tam... Skribin? Dobrze. Ten człowiek przejdzie do nas. Ale skandal, jaki potem wybuchnie?

— „Mądrej głowie dość dwie słowie” — czyż człowieka nie spotykają czasem nieszczęścia?

— Jakie nieszczęścia?

— W rzeczywistości fikcyjne. Cały świat dowie się o śmierci Skribina. Zmontujemy jakąś katastrofę, byle z głową i przekonująco. W najściślejszej oczywiście tajemnicy...

Na razie Wega nie miał jeszcze żadnego konkretnego pomysłu, ale nie mógł zawieść zaufania Starego, którego przychylności tylekroć doświadczał. Dlatego uprzejmie odpowiedział:

— Tak, sir. Zrobię wszystko, co możliwe.

— Tak przypuszczałem — głos Starego zaniósł się chrapliwym śmiechem. — Przepowiadam panu szybką karierę...

Wega poczuł się mile połączony. Napomknął nieśmiało, iż potrzebuje tygodnia, by opracować w szczegółach pewien plan. Oczywiście, najpierw rozprawi się z tym typem z orkiestry...

— Doskonale, doskonale — w głosie Starego przebijało zadowolenie z dotychczasowego przebiegu rozmowy. — Pan sam zadecyduje, co z nim zrobić.

Uśmiechnął się. Lecz uśmiech podobny raczej do grymasu powodował, iż twarz przypominała pomarszczone, zwarzone pierwszym chłodem jabłko. Wyciągnął do Wegi miękką, jakby pozbawioną życia rękę, którą ten uściśnął z szacunkiem, po czym twarzą wciąż zwrócony do Starego oddalał się od mahoniowego biurka.

— Pozostawmy na razie tamte sprawy w spokoju — powiedział Wega przypatrując się uważnie zmizerowanej i apatycznej twarzy Brauna. — Przed nami nowe zadanie.

Brwi muzyka lekko się ściągnęły. Wiadomość wcale go nie ucieszyła. Ostatnio jedynie w rzadkich chwilach, gdy nie wykonywał żadnego zadania i grożące mu nieustannie niebezpieczeństwo oddalało się, czuł się trochę szczęśliwszy.

— Spróbujmy ocenić sytuację — ciągnął Wega spokojnym, beznamiętnym głosem. — Musimy w jakiś sposób zbliżyć się do inżyniera Skribina. Sami lub przez bliskiego mu człowieka. Zmarnował pan tyle czasu... ale o tym porozmawiamy później. Czy ma pan jakiś plan?

Braun wzruszył ramionami.

— Żadnego — odpowiedział prędko, ponieważ nie miał najmniejszego zamiaru przejąć jakiegokolwiek inicjatywy w tej tak niebezpiecznej grze. Ale zmiarkował się i dodał: — Poznałem pewnego człowieka, ale nie wiem, czy to pana zainteresuje.

— Interesuje mnie wszystko. Któż to taki?

— Szofer Skribina.

Wega drgnął, przysunął się bliżej do Brauna i z nagłym ożywieniem w głosie zażądał:

— Proszę wszystko opowiedzieć.

— Nazywa się Nikołajew. Widziałem go za kierownicą wozu, którym jeździ Skribin. Zachodzi niekiedy późnym wieczorem do „Wesołych Bekasów”. Jednego wieczoru zbliżyłem się ze skrzypcami do jego stolika. „Co chciałby pan dzisiaj usłyszeć w wykonaniu naszej orkiestry”? — zapytałem. Roześmiał się... Wyróżnienie sprawiło mu wyraźnie przyjemność. Wybrał Szostakowicza. Proszę bardzo. Może być Szostakowicz. Wykonaliśmy zamówiony utwór, a gdy znów po kilku dniach zaglądnął do naszego lokalu, próbowałem go zagadnąć. Niestety. Gawędził chętnie o wszystkim, byle nie o inżynierze Skribinie. Ilekroć naprowadzałem rozmowę na jego temat, zbywał mnie słowami: „Ech, dajmy spokój — służba nie друżba”. Beznadziejna sprawa.

— Beznadziejna? — oburzył się Wega. — Dlaczego? Nie rozumiem, dlaczego pan tak sądzi?

Na jego twarzy zjawił się znów znany Braunowi uśmiech — zniewalająco szczery i ujmujący.

Braun niedowierzająco pokiwał głową.

— W czym właściwie mógłby nam pomóc? Zwyczajny szofer. To człowiek niewykształcony. Mógłby nam najwyżej — gdybyśmy zdołali go przekupić — wykraść owe dokumenty. Ale nie sądzę, by był to człowiek przekupny. Jestem przekonany, że pracuje nie tylko dla pieniędzy. — Braun zaraz pożałował tych słów, ponieważ uprzytomnił sobie, że sam pracuje jedynie dla pieniędzy. Wega milczał. Zdawał się nie słuchać, pogrążony w swych myślach. Jego twarz była teraz jeszcze pogodniejsza, a w kącikach ust czaił się lekki uśmieszek.

— A jednak — zaczął — nie będzie potrzeby przekupywania szofera. Pomoże nam w inny sposób. Jeśli, ma się rozumieć, będziemy postępowali wystarczająco sprytnie, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Niepotrzebne nam już ani dokumenty, ani plany i wzory. Potrzebny nam jedynie inżynier Skribin.

— Co takiego? — ledwo zdołał wykrztusić ogłuszony wieścią Braun. — Mamy go porwać?

— Wyraziłem się może niezbyt ściśle. On sam powinien zgodzić się wziąć udział w naszych pracach, finansowanych przez Starego. W tej chwili nie wiem jeszcze dokładnie, jak tego dokonamy. Muszę to obmyśleć. I to jeszcze tej nocy... Musimy przekonać inżyniera do współpracy z nami. To bardzo poważna rozgrywka — Wega w skupieniu pocierał dłonią czoło i po chwili zupełnie innym tonem dorzucił:

— A teraz śpijmy, jutro dokończymy rozmowy. Gdzie moje łóżko?

Braun wskazał mu tapczan w sąsiednim pokoju i przygnębiony myślą, iż wymagają odeń rzeczy znacznie poważniejszych niż początkowo przypuszczał, zgnębionym głosem odpowiedział:

— Zaraz przygotuję pościel...

Nacisnął zielony guziczek nocnej lampki. Łagodne białe światło zalało łóżko. Braun stał chwilę z zamkniętymi oczyma, chcąc oswoić się ze światłem, a potem sięgnął pod poduszkę i wyjął zegarek. Trzecia nad ranem. Pora najrozkoszniejszego snu. A on od dwu już godzin wierci się w łóżku. Zamyka oczy, próbuje zasnąć. Na próżno...

Słowa Wegi nie dawały mu spokoju. Śpi teraz zapewne beztrudnie w przyległym pokoju, a w maleńkiej sypialni, gdzie z trudem mieściła się szafa z garderobą, łóżko i małe biurko, zawsze zavalone książkami i czasopismami, Braun raz po raz wzdychał, myśląc o jutrzejszym dniu. Do dzisiaj życie jego płynęło względnie spokojnym nurtem, lecz teraz obecność tamtego człowieka, a zwłaszcza jego słowa o konieczności porwania Skribina, przyprawiły go o rozstrój żołądka, zmaciły myśli i przybliżyły groźące niebezpieczeństwo. A zdażył już nieźle urządzić się w Kosmogradzie. W „Wesołych Bekasach” uchodził za najlepszego skrzypka i jednocześnie cieszył się opinią człowieka skromnego, który może istotnie zbyt wiele wydać, nie myśląc zupełnie o jutrze, ale tłumaczono to nieuleczalną a postępującą chorobą.

Braun najbardziej kochał swoje skrzypce. Rozumiał ich słodki, melodyjny i uspokajający głos. Były jego przyjacielem, jego ukochaną. Gdy przeciągał smyczkiem po strunach, płakały, cieszyły się, to znów szeptały, cierpiały albo marzyły. Przykładał ucho do ich wspaniałego pudła i wsłuchiwał się w ich głos. A jednocześnie rozmarzonymi, w półprzymkniętymi oczyma wodził po sali. Znał wielu mieszkańców tego miasta — stałych bywalców restauracji. A gdy zdarzało się, że do lokalu wchodził nieznany mu człowiek, jego serce zamierało ze strachu i pytał wtedy sam siebie: „Czy to już po mnie?” I znów trwoga, znów lęki i koszmary... Pragnął teraz jedynie spokoju. Chciałby grać zawsze w tej sali, spoglądać ludziom prosto w oczy, odpowiadać na ich spojrzenia uśmiechem, który mówiłby: „Jestem uczciwym człowiekiem! Uczciwym człowiekiem...”

Niekiedy nawiedzała go myśl o ucieczce z tego miasta. Zatrzeć za sobą ślady, wyjechać daleko na wschód, może nawet w głąb Syberii lub nad Bałtyk, albo chociaż osiedlić się w jakiejś karpackiej wioszczynie i tam w spokoju doczekać końca swych dni... Pracę znalazłby łatwo w każdej z Socjalistycznych Republik. Lecz i tam, wiedział o tym, dosięgłaby go ich ręka. Gdyby nawet udało mu się zatrzeć za sobą ślady, wystarczy, by ujawnili i dostarczyli dowodów jego szpiegowskiej działalności. Co zyskałby na tym? Areszt, proces, hańba...

A przed laty był przecież uczciwym chłopcem. Kochał muzykę, uwielbiał śpiew. Długie godziny spędzał z uchem przytkniętym do radioodbiornika, słuchając wielkich wirtuozów. Grał nieźle na skrzypcach. Jego skrzypce były stare, odrapane, a miejscami odpryskiwał z nich lakier, lecz miały niezwykły ton. Poza tym wywoływały zawsze wspomnienie ojca.

Niegdyś uczył się w gimnazjum, potem rozpoczął studia w berlińskim konserwatorium. Żył jedynie muzyką. Marzył o przyszłych koncertach, o nieustających tournée po Moskwie, Leningradzie, Paryżu, Pradze, Sofii, Londynie i Rzymie. Lecz pewne zdarzenie odmieniło dotychczasowy bieg jego życia. Było to w przededniu egzaminów. Szedł na obiad. Wesoło pogwizdując przeskakiwał po dwa stopnie schodów. Na ulicy zatrzymał go jakiś wytwornie ubrany, jak zauważył, młodzieniec.

— Gratuluję wyśmienitego humoru, panie Willi von Braun — przeprosił uchylając kapelusza.

Braun nachmurzył się. Nigdy nie używał tego pompatycznego tytułu, przywołującego na pamięć jakieś niezbyt przyjemne sprawy z dalekiej przeszłości.

— Mama też zapewne szczęśliwa, że syn tak świetnie przygotowany do egzaminu — ciągnął tym samym tonem nieznajomy. Był to przystojny mężczyzna o bystrym, nieco kpiarским spojrzeniu i w którego sposobie bycia uderzała nieskrywana radość i zachłanność wobec wszelkich przejawów życia. Braun słuchając go przyglądał mu się z wielkim zainteresowaniem.

— Była już w kwaciarni. Po powrocie znajdzie pan w swoim pokoju bukiet pięknych

orchidei. A poza tym... poza tym małe złote cacko, które...

Braun zażenowany, a jednocześnie nieco oburzony, dość ostrym tonem zapytał:

— Kto panu naopowiadał tych głupstw? Kim pan jest? Jakim prawem ośmiela się pan...

Mężczyzna ponownie grzecznie uchylił kapelusza i zupełnie spokojnie odparł:

— Och, panie von Braun, wiem znacznie więcej. Poinformowano mnie również o takich sprawach, których istnienia nawet pan nie podejrzewa. Proszę spojrzeć!

Nagłym ruchem wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki jakąś fotografię. Braun od razu poznał ojca. Co prawda, nigdy w życiu go nie widział, ale w domu wisiało kilka fotografii z różnych okresów jego życia — z jednej uśmiechał się do niego młodziutki agent podatkowy, na drugiej był już przedstawicielem fabryki broni, a te ostatnie przedstawiały go w mundurze oficera. Na zdjęciu, które pokazywał nieznajomy, był w mundurze SS. To jeszcze nie było najgorsze. Ale w prawej ręce trzymał pistolet, którego lufa dotykała szyi jakiejś nieznanej kobiety. Na tym samym zdjęciu widać było jeszcze na drugim planie leżące na ziemi zwłoki — wśród nich małego dziecka w łachmanach, z lalką w ręce.

— Posiadam całą serię podobnych zdjęć, niektóre są jeszcze ciekawsze — oznajmił wesoło młodzieniec.

Ojciec Brauna zginął w 1945 roku. Braun był wtedy kilkumiesięcznym niemowlęciem. O ojcu opowiedziano mu później tylko tyle, że był oficerem, który, raniony na froncie, po przewiezieniu do szpitala zmarł niemal w przededniu zakończenia wojny. Był odważnym oficerem, ale matka, jak tylko pamiętał, zawsze napominała, aby o tym nie myślał. Lecz teraz oburzony bezczelnością nieznajomego, krzyknął z ledwie hamowanym gniewem:

— Jakim prawem ośmiela się pan wtrącać w moje prywatne życie? Poza tym to zdjęcie to zręczny fotomontaż. Nawet nie pamiętam swego ojca.

— Pomogę panu, szanowny panie von Braun, przypomnieć sobie swoich przodków — obłudnie słodkim głosem odpowiedział obcy. — Dodatkowo dostarczę panu jeszcze kilka interesujących szczegółików z przeszłości pańskiej matki. Czy nie uważa pan, że to również miła pamiątka? — wydobył z zanadru drugie zdjęcie.

Poznał matkę — choć była tu tak młoda i piękna, we wspaniałej, błyszczącej toalecie. Tę wytworną suknię już znał — zachwycił się nią na zdjęciu wiszącym w domu. Ale tu matka nie była sama. Obok stała jakaś nieznana mu kobieta. A przed nimi, tyłem odwrócona do obiektywu, trójka lichy odzianych dzieci wyciągała ręce do paczek trzymanyh przez obie panie.

— Filantropia, jak pan widzi, szanowny panie von Braun — szydził właściciel zdjęcia. — Na uwagę zasługuje jednak przede wszystkim druga dama. Poznaje pan?

— Nie — ledwie opanowując wściekłość wykrztusił Braun.

— A wtedy całe wielkie Niemcy znały ją doskonale. Słyszał pan o Herr Goebbelsie i jego wytwornej małżonce Frau Goebbels?

— Takie postępowanie to szantaż — wybuchnął Braun. — Nie interesuje mnie ani pański Goebbels, ani jego żona — zrobił krok do przodu, pragnąc natychmiast uwolnić się od towarzystwa natarczywego i podejrzanego osobnika, lecz ten siłą zmusił go do pozostania w miejscu i wysłuchania dalszych wyjaśnień.

— Jak miał pan przed chwilą okazję zobaczyć, pańska matka była serdeczną przyjaciółką tej znamienitej rodziny. Podobnych zdjęć mamy jeszcze wiele. Posiadam również odpowiednie dokumenty. No cóż, pański stary pokutuje już zapewne za swe grzechy w piekle, lecz pańska matka jeszcze żyje, a ponieważ, jak mi wiadomo, jest to niesłychanie wrażliwa starszka, nie sądzę, aby było z pożytkiem dla jej zdrowia przypominanie jej tamtych lat...

Braun był wstrząśnięty. Stał jak rażony gromem. Nie znał przeszłości swych rodziców. Dotąd wyobrażał sobie naiwnie, że matka zawsze była tą samą dobroduszną staruszką, o twarzy pooranej zmarszczkami i kryjącej się za dużymi okularami, kochającą matką, żyjącą jedynie dla swego syna.

— Czego chcecie ode mnie? — chłodnym tonem zapytał Braun.

— Mogę pana uspokoić, iż nie sprawiłoby zbytnej przyjemności moim przyjaciołom przekazanie tych zdjęć i niektórych tajnych dokumentów komu należy. Proszę się nie obawiać, nie posuniemy się tak daleko! Za nasze milczenie żądamy jedynie pewnej drobnej przysługi. Zupełnie niekłopotliwej dla pana.

Braun nie miał już złudzeń, że ma do czynienia z człowiekiem obłudnym i podłym. Chętnie rozprawiłby się z nim tu na miejscu, ale nagle poczuł, że ogarnia go coraz bardziej coś na kształt lęku. Nie, za nic w świecie nie dopuści do tego, by zadano cierpienie jego matce. Oschłym tonem zapytał:

— Jaka to przysługa?

— Przewiezie pan pewną walizkę, zupełnie zwykłą walizkę, która zostanie panu przekazana, do Bonn i zostawi pod wskazanym przez nas adresem. To wszystko.

Nazajutrz, punktualnie o dziewiątej, zatrzymała się przed konserwatorium czarna taksówka. Zza szyby zamachał przyjaźnie ręką poznany niedawno młody człowiek. Braun wszedł.

Walizka leżała na tylnym siedzeniu. Mężczyzna wsunął Braunowi do ręki pokazny zwitek banknotów i życząc przyjemnej podróży, wysiadł. Taksówka zawiozła Brauna przed dworzec.

Tego samego dnia Braun znalazł się w Bonn i udał się pod wskazany adres. W jednej z podmiejskich will, tuż obok autostrady, przyjął go łysawy starzec — gadatliwy, dowcipny i ciekawski. Jakby spłoszony oglądał się wciąż za siebie, to przerywał Braunowi w pół słowa, to znów nadśluuchiwał pod drzwiami.

— Nikt pana nie śledził? — zapytał.

— Nie — odparł Braun.

— Bogu dzięki, Bogu dzięki — powtarzał staruszek, obmacując z wszystkich stron walizkę. — Jest pan tego zupełnie pewien? Czy w podróży wynikły jakie trudności?

— Nie, wszystko odbyło się bez zakłóceń — próbował żartować Braun.

Staruszek nachylił się nad walizką. Gdy sprawdzał zamki, wieko odskoczyło i Braun dostrzegł w szczelinie zarysy kilku szmajserów. Staruszek szybko zatrzaskał walizkę i otarł pot z czoła... (Braun często zastanawiał się później, czy scena ta nie była wcześniej wyreżyserowana, by tym sposobem wciągnąć go w ich sieci? Odniósł walizkę z bronią, a to oznaczało przecież wyraźną współpracę z nielegalną organizacją).

— Czy zechce pan zjeść ze mną obiad? — zapytał uprzejmie gospodarz.

— Nie, dziękuję. Nie mam czasu — odmówił Braun.

— Jak pan sobie życzy... Zatem szczęśliwej podróży! Czy pozwoli pan, że skorzystam z okazji i poproszę pana o przewiezienie do Berlina tego małego pudełka?

Braun rzucił okiem na małe, zielone pudełeczko. Zwyczajne opakowanie aspiryny. Wewnątrz rzeczywiście leżały ciasno ułożone obok siebie białe tabletki.

— Za dwa dni, to jest w czwartek, o godzinie siódmej uda się pan do cukierni „Kosmos”, zna pan zapewne ten lokal? Usiądzie pan przy stoliku w kącie sali. Gdy do stolika podejdzie człowiek, który wysyłał walizkę i zapyta, czy nie ma pan przypadkiem tabletki od bólu głowy, zaofertuje mu pan to pudełko. To wszystko.

Braun słuchał z wrogim błyskiem w oczach. Domyślił się, że znów ma być wciągnięty w jakąś niebezpieczną historię. Kim są ci ludzie? Gangsterami? Szpiegami? Kryminalistami? Nie mógł sobie darować, że zląkł się wówczas pogróżek i nie miał siły rozprawić się zdecydowanie z szantażystą. Na pewno spowodowałoby to jakieś nieprzyjemności, ale wszystko od razu by się wyjaśniło.

— Co jest w tym pudełku?

— Aspiryna, jak pan widzi. Ale szczególną uwagę proszę zwrócić na cztery tabletki w rogach pudełka. Te w żadnym wypadku nie mogą dostać się w niepowołane ręce, zwłaszcza, ma się rozumieć, w ręce policji. W razie niebezpieczeństwa, należy je natychmiast połknąć.

Niech pan się niczego nie obawia, nic panu nie grozi — gospodarz zachichotał. — Są nieszkodliwe dla zdrowia, znajdują się w nich jedynie miniaturowe dokumenty, które błyskawicznie rozpuszczą się w żołądku. Tak więc przewóz ich jest zupełnie bezpieczny i niefatygujący.

Te obszerne, dokładne informacje i rady zupełnie Brauna nie interesowały. Kategoriecznie odmówił przewiezienia aspiryny. Zaskoczony staruszek czynił rozpaczliwe wysiłki mające na celu przekonanie Brauna.

— Jakże to tak? Przecież jest pan naszym człowiekiem! To wchodzi w zakres pańskich obowiązków — powtarzał.

— Nie jestem waszym człowiekiem! — przerwał Braun. — Proszę nie wciągać mnie w wasze podejrzaną historię! — ruszył do wyjścia. Staruszek wyprzedził go jednak i własnym ciałem próbował zastąpić mu drogę do drzwi.

— Proszę zaczekać — zaczął. — Jesteśmy panu wdzięczni za dotychczasowe bezcenne przysługi. Ale to nie żarty! Jeżeli o tym dowiedzą się... ale proszę się nie obawiać. Nikt z nas nie wyda pana, jesteśmy dżentelmenami... choć wystarczy przecież... To już nasza ostatnia prośba. Proszę zabrać aspirynę! To śmieszne odmawiać nam tak drobnej przysługi.

Braun wziął pudełko i głosem pełnym pogardy powiedział:

— Mówię jasno: po raz ostatni. Żegnam!

Wszystko potoczyło się tak, jak powiedział staruszek. Jakiś wesolutki typ wszedł do cukierni „Kosmos” i przejął tabletki. Nie kryjąc zadowolenia określił przysługę Brauna jako nieocenioną, niemniej prosił go o przyjęcie skromnego wynagrodzenia, na które przecież Braun po wielekroć zasłużył. Bezceremonialnie wepchnął mu do kieszeni kilka paczek banknotów. Braun najpierw odmawiał, lecz czynił to z coraz słabszym przekonaniem, jako że pieniędzy ostatnio bardzo potrzebował. Po załatwieniu tej transakcji, człowiek jednak nie kwapił się z odejściem, a natychmiast otwarcie, głosem kategorięcznym, w którym wyraźnie pobrzmiwała pogroźka, wręcz zażądał udziału w jeszcze jednej „poważnej akcji”. Rola Brauna w niej miała sprowadzać się jedynie do zatrzymania na ulicy pewnej uprzednio wskazanej mu osoby. Należało tylko poprosić nieznanego o ogień, a w tym samym momencie na rogu ulicy ukaże się samochód, do którego z pomocą Brauna wciągną zatrzymanego. Braun znów próbował się bronić. Nie, nigdy, za nic w świecie. Wtedy mężczyzna wspominał o zdjęciach. A poza tym Braun dwukrotnie wziął już przecież udział w ich akcjach i nikt nie uwierzy w jego bajeczki, że uczynił to nie zdając sobie sprawy z ich nielegalnego charakteru. Spisał się wszak znakomicie, doskonale radząc sobie z równie niebezpiecznymi i odpowiedzialnymi zadaniami w imię walki — jak podkreślił nieznanomy — „o wolny świat”.

— Nie! — uciał Braun.

Zerwał się od stolika i wzburzony wybiegł z cukierni. Lecz na ulicy natychmiast zatrzymało go dwu mężczyzn, grzecznie oświadczając, że wiedzą już o wszystkim. Zjawił się również osobnik z kawiarni. Uprzejmie acz stanowczo poproszono Brauna, by wsiadł do samochodu. Ucieczka na nic by się nie zdała.

Wóz ostrym zrywem ruszył z miejsca. Towarzysze Brauna wyczerpująco informowali go, jakie przykrości oczekują nań w razie niewykonania tego ostatniego już przecież zadania. A potem będzie wolny.

— Znów nie dotrzymacie słowa! — oschle przerwał Braun.

— My? Jak pan może...

I znów przekonywali Brauna o swym honorze, o uczciwych pobudkach, jakimi się kierują. Jeździli już z godzinę po ulicach miasta. W końcu Braun poddał się.

— Dobrze... ale po raz ostatni — wyszeptał.

— To już ostatnie zadanie — uśmiechnął się znajomy z cukierni, nie usiłując ukryć swego zadowolenia.

I tak Braun rozpoczął karierę agenta szpiegowskiej centrali. Za każdym razem zaklinał

się sam przed sobą, że to już na pewno ostatni raz, że potem rzuci to obrzydliwe zajęcie, tę podłą egzystencję! Ale jego chlebodawcy wyliczali mu skrzętnie, że suma wszystkich jego przestępstw wystarczy w zupełności, by zawisł na szubienicy. A poza tym nie wypada przecież wypierać się ideałów, za które zginął rodzony ojciec.

Braun ustępował, by dalej kontynuować swe podwójne życie.

Ukończył studia, a potem przez kilka lat grał w jednym z berlińskich zespołów estradowych. Ale życie w nieustannym napięciu było już ponad jego siły. Niewykluczone, iż rozchorował się właśnie od nieustannego podenerwowania i lęku. Początkowo lekarze nie chcieli zdradzić pacjentowi istoty choroby. Dopiero przypadkowo, podczas dłuższego pobytu w szpitalu, Braun odkrył prawdę: rak żołądka. Przeszedł operację. Jako tako podleczoney opuścił pewnego dnia białą, smutną salę osłabiony, w depresyjnym nastroju. A „centrala” zawiadamiała już o nowym zadaniu. Miał przygotować się do wyjazdu do dalekiego nadmorskiego miasta, położonego u stóp wyjątkowo malowniczych gór. Zmiana otoczenia, a przede wszystkim klimatu, może wyrzucić dobroczynny skutek na jego nadwątlone zdrowie. Braun odmówił. Chciał umrzeć w Berlinie. Wtedy powiedziano mu o nowym, cudownym lekarstwie. Dzięki niemu, być może, zostanie nawet całkiem wyleczony. Zresztą, gdy wykona swoje zadanie, może pojechać dokąd zechce. Nie będzie już potrzebny. Aby na to zasłużyć, powinien jedynie zbliżyć się do inżyniera Skribina i wykraść jego rewelacyjne plany budowy miasta w kosmosie. Za wykonanie tej „roboty” miał otrzymać zawrotne wynagrodzenie. Braun długo się wahał. Pogodził się już przecież z myślą o śmierci. A tu obiecywano mu wyleczenie... Niech tam, spróbuje. Jeśli nawet umrze, pieniądze otrzyma matka. Zabezpieczy ją w ten sposób do końca życia. Nagły telegram z Bonn zniweczył jednak i te marzenia. Potracona przez samochód, staruszka zmarła po kilku dniach w szpitalu. Braun pochował matkę, opłakując ją przez kilka dni. Zrozumiał, że został na świecie sam, obcy i niepotrzebny...

Z obojętnością przyjął propozycję pracy w Kosmogradzie, w orkiestrze restauracji „Wesołe Bekasy”.

Świtało. Na wschodzie coraz wyraźniej płowiął granat nocy. Pierwsze czerwone promienie słońca, jeszcze nieśmiałe, pełzły po niebie, gasiły gwiazdy, złocąc jednocześnie wyniosłe szczyty gór i widniejące za oknem wierzchołki drzew. Braun leżąc niemal bez ruchu obserwował narodziny dnia. Wschodzący dzień wydawał mu się tak niecodziennie piękny, rzeński i... wieczny.

Wokół panowała niczym nie zmałowana cisza. Nagle zaświergotały za oknem wróble. Braun westchnął. Zazdrościł ptakom ich bez troski — nie chorują, żyjąc jedynie myślą o znalezieniu okruszyny czy ziarenka. Ach, jakże chciałby być teraz jednym z nich!

Odwrócił się twarzą do ściany.

Wtem ktoś zapukał do drzwi. Braun cichym głosem powiedział:

— Proszę wejść!

Był to Wega. W piżamie Brauna wyglądał trochę komicznie — jej rękawy i nogawki były dla niego o wiele za długie i za szerokie.

— Dzień dobry! Jak się spało? — zapytał wesoło i nie czekając odpowiedzi opowiadał: — Przemyślałem wszystko... Mam już gotowy plan. Ciekaw jestem, jak go pan oceni. Ale zaczniemy chyba od śniadania i porannej toalety? No, mój drogi, pora wstawać!

Porwanie

Motocykl zatrzymał się na skraju szosy. Właściciel pochylił się nad pojazdem, dłubał w nim przez chwilę, lecz nieustannie zerkał ku wylotowi szosy. Od czasu do czasu mijały go ze świstem samochody pędzące jak zwykle o tej wczesnej godzinie z niebezpieczną szybkością. Słońce nie zdążyło jeszcze wchłonąć aromatu rosy. Powietrze było wilgotne, rześkie, pachnące trawą i leśnymi kwiatkami. Lecz motocyklista zdawał się nie dostrzegać uroków poranka, pochłonięty naprawą motoru, choć, co rzucało się w oczy, robił to bez zbytniego pośpiechu. Gdy na szosie ukazał się samochód o szarej karoserii, motocyklista nagle oderwał się od motoru, zdjął ciemne okulary i wyskakując na środek jezdni, zamachał gwałtownie rękami. Zgrzytnęły hamulce i wóz zatrzymał się.

— Ach, co za niespodzianka! Pan Nikołajew! — wykrzyknął uradowany właściciel motocykla. — Co za szczęście! Coś nawaliło mi w motorze; podejrzewam, że to raczej jakieś drobne uszkodzenie... Czy byłby pan tak uprzejmy i zechciał zobaczyć...

— Ależ, oczywiście, drogi panie Braun.

Nikołajew już wyskakiwał z wozu.

Był to niski mężczyzna, dosyć okazałej tuszy, dobroduszny a nawet trochę flegmatyczny. Próbował uruchomić starter lecz bezskutecznie. Gdy wreszcie sięgnął w kierunku świecy, w palcach została mu jedynie końcówka kabla.

— Ha! — roześmiał się Nikołajew — Widzi pan? Przerwany kabel. Jak mógł pan tego nie zauważyć?

— Rzeczywiście... — bąknął zmieszany Braun. — Prawdę powiedziawszy, dobrze znam się jedynie na muzyce. Pojęcia nie mam o tych przeklętych motorach...

Nikołajew łączył przerwany kabel, a Braun szukając po kieszeniach papierosów mówił:

— Jestem panu niezmiernie wdzięczny. Gdyby nie pan, stałbym tutaj zapewne jeszcze z godzinę... Może pan zapali? Bułgarskie, doskonałe, proszę! — namawiał gorąco.

Nikołajew sięgnął po papierosa. Braun zapalił również. Sinawy dym przesłonił na moment ich twarze.

— Czy ma pan chwilkę czasu? — zapytał Braun.

— Niestety, nie mam. Inżynier Skribin jest niesłychanie punktualny. Dziękuję bardzo za papierosa, rzeczywiście dobry, ale dłaczego...

I nagle Nikołajew podniósł dłonie do skroni, przymknął oczy i jakby lekko zachwiał się na nogach.

Braun nachylił się nad nim i zaniepokojony zapytał:

— Czy źle się pan czuje?

— Sam nie wiem, doprawdy, kręci mi się w głowie... A spałem przecież wyśmienicie tej nocy.

Braun ujął go pod ramię i poradził:

— Niech pan usiądzie w samochodzie. Na pewno za chwilę poczuje się pan lepiej.

W tej samej chwili z bocznej ulicy wyłoniła się czarna limuzyna. Zatrzymała się przed Braunem akurat w momencie, gdy Nikołajew z zamkniętymi oczyma osuwał się w objęcia Brauna.

Z limuzyny wyskoczył Wega.

— W porządku?

— Tak.

— Szybko!

Wciągnęli we dwójkę Nikołajewa do wnętrza samochodu. Wega wepchnął mu jeszcze na wszelki wypadek chusteczkę w usta, Braun ściągnął zeń nerwowo płaszcz i czapkę, a po-

tem przygotowanym już zawczasu nylonowym sznurkiem związali jego ręce.

— Nikt nie kręcił się w pobliżu? — pytał szeptem Wega.

— Nie, dopiero co...

Szosa nadal była pusta. Tylko ptaki świergotały w konarach gęstych drzew.

— Szybko! — komenderował Wega.

Wyciągnęli na powrót ciało z wozu i wepchnęli je do bagażnika.

— Pan siądzie za kierownicą! Proszę włożyć jeszcze te ciemne okulary Nikołajewa. Motocykl ukryję sam w krzakach, a gdy Skribin będzie już w samochodzie, pojedę za wami. Proszę postępować ściśle według naszego planu. No, jazda!

Braun ujął kierownicę, dodał gazu i wóz pomknął po asfaltowej szosie — alei. Za pierwszym, łagodnym zakrętem ukazał się żółto malowany żelazny parkan, a w głębi ogrodu za-
bielała willa inżyniera Skribina. Braun przyhamował przed bramą wjazdową. Jakiś człowiek w roboczym kitlu otworzył ją i Braun wolno wjechał między dwie kamienne kolumny, zatrzymując się dopiero przed wysypaną piaskiem ścieżką; na wprost znajdował się długi taras, porośnięty bujnie kwitnącą roślinnością. Wiodły tam marmurowe stopnie. Stał na nich inżynier Skribin. Wysoki, szczupły patrzył przed siebie zamyślonym, wyraźnie zmęczonym wzrokiem. Obok stała jego córka — Ania, ubrana w obcisłe, niebieskie spodnie i żółtą, wysoko pod szyję zapiętą bluzkę. Ania była młodą, uroczą dziewczyną o zielonych oczach i nieco zadartym nosku, jak zdążył zauważyć trochę zaskoczony jej obecnością Braun.

— No, jest pan wreszcie... Spóźnił się pan całe trzy minuty! — gderał Skribin, usiłując być surowy, lecz w głosie jego wyczuwało się zwykły, ciepły ton. — Oczekuje mnie dziś ważne spotkanie z dyrektorem zakładów — Aleksandrem Pawłowiczem. Pędźmy zatem, mój drogi!

Skribin mówił to już zbiegając ze schodów. Ania podążała za nim z niezwykłą gracją.

Braun skłonił głowę przepaszającym gestem, a otwierając drzwiczki samochodu, starał się jak najdokładniej ukryć za nimi. W lusterku dostrzegł twarz Ani. Siedziała obok ojca. Do diabła! Tego nie przewidzieli. Skribin zazwyczaj podróżował sam. Braun zawahał się, lecz w uszach brzmiały mu jeszcze kategoryczne słowa Wegi: „działać spokojnie, szybko i zdecydowanie”. Nacisnął pedał gazu i wóz ruszył. Jechali już dłuższą chwilę. Skribin wziął gazetę i zagłębił się w lekturze. Ania w milczeniu obserwowała uciekający za oknem krajobraz, ale i ona znudzona sięgnęła w końcu po gazetę. Braunowi wrócił spokój i prowadził wóz coraz pewniej. Mijali wille i domki tonące w zieleni pachnącej lipami i sianem. Coraz częściej napotykali ludzi podążających na przystanki trolejbusowe. Lecz gdy wjechali na autostradę poza miastem, przechodni było coraz mniej. Wóz pędził prosto w stronę widniejących na horyzoncie gór, których szczyty nawet z tej odległości wydawały się groźne i niedostępne. Pokryte śniegiem, pocięte kotlinami, przełomami i przepaściami tworzyły gigantyczną masę skalną, której pojedyncze ostre występy ginęły w mlecznej mgle.

Szosa skręciła nagle łagodnym łukiem w prawo, by po chwili rozwidlić się w dwie odnogi, tworzące regularną rzymską piątkę. Braun, dodając gazu, skręcił w prawo. Skribin i Ania nadal siedzieli pochłonięci lekturą, z czego Braun bardzo się radował. Szosa łagodnymi serpentynami pięła się coraz wyżej. Nad drogą pojawiały się coraz częściej groźnie zwisające urwiska skalne, a po prawej stronie nagle rozwarł się widok na bezkresny, połyskliwy, szarobłękitny przestwór. Ania pierwsza dostrzegła nagłą zmianę krajobrazu i zdumiona wykrzyknęła:

— Tatusiu, dokąd jedziemy?

Skribin złożył gazetę, zdjął okulary i spojrzał w kierunku wskazanym przez Anię. W dole rozpościerało się morze, spokojne, gęsto poznaczone białymi grzywkami fal jak plamami rozlanego mleka.

— Nikołajew! — zawołał Skribin, przechylając się przez przednie siedzenie i dotykając pleców kierowcy. — Dokąd pan jedzie?

Braun zerknął w lusterko. Wóz Wegi już od dłuższego czasu jechał za nimi. Nie odpowiadając na pytanie, nacisnął jak mógł najmocniej pedał gazu.

— Człowieku, oszalałeś? — Skribin coraz gwałtowniej szarpał ramię kierowcy. — Na wycieczkę wiezie nas pan tą piękną autostradą?

Wtedy Braun nacisnął hamulec. Samochód z wizgiem opon zatrzymał się. Po lewej stronie szosy sterczały wysokie skały porośnięte lasem, przez wierzchołki drzew prześwitywało spokojne błękitne niebo, na prawo zaś raptownym uskokiem rozwierała się przepaść. Z dołu dolatywał plusk fal, ale na horyzoncie nie było widać żadnego statku, żadnej najmniejszej nawet łódki. Raptem z tyłu dał się słyszeć nagły zgrzyt i Braun dostrzegł wyskakującego z wozu Wegę. Wówczas odwrócił się nagłym ruchem w stronę pasażerów, a w jego wyciągniętej ręce błysnął pistolet.

— Nie ruszać się! — rozkazał. Ale głos odmówił mu posłuszeństwa i wyraźnie drżał.

W pierwszej chwili Skribin i Ania byli tak zaskoczeni, że nie mogli wydobyć głosu. Pierwszy Skribin otrząsnął się ze zdumienia i oburzony wykrzyknął:

— Kim pan jest?

Braun nie odpowiadał. Ania pociągnęła ojca za rękaw i zduszonym głosem szepnęła mu do ucha:

— Spójrz, tatusiu! Przecież to rzeczy naszego Nikołajewa — te okulary, płaszcz, czapka... Spójrz!

Skribin nie zdążył odpowiedzieć Ani, bo oto w otwartych drzwiczkach ukazała się sylwetka Wegi, który uchylając kapelusza mówił uprzejmym głosem:

— Proszę się nie obawiać. Zapewniam pana, że nic złego pana nie spotka.

Wtem dostrzegł dziewczynę, wciśniętą w głąb siedzenia i jego twarz nachmurzyła się.

— Hm, nieprzyjemna historia, nieprzyjemna... Akurat dziś zachciało się panience towarzyszyć ojcu?

Skribin odruchowo sięgnął po skózaną teczkę leżącą na siedzeniu i przyciskając ją do piersi, nieco pobladły, zapytał:

— Kim pan jest? Czego chce pan ode mnie?

— Przyjacielem — uśmiech Wegi był życzliwy i serdeczny.

— A ten typ? Gdzie mój szofer? Gdzie jest Nikołajew?

— W bezpiecznym miejscu, proszę się nie martwić — odparł Wegę. — A teraz przesiądziemy się do mojego wozu. — Pan gotów?

— Tak jest — odpowiedział Braun, nie opuszczając ręki z rewolwerem. — No, szybciej! — i otworzył tylne drzwi samochodu. Skribin postanowił nie ruszać się z miejsca i zapierając się z całych sił nogami w podłogę, przywarł mocniej do oparcia fotela.

— To bezprawie! Odpowie pan za to!

— Prawo jest po stronie silniejszego — zaśmiał się Wegę. — Radzę się przesiąść.

Skribin nagłym ruchem ujął klamkę i drzwi zatrzasnęły się z trzaskiem tuż przed nosem Wegi. Ania dostrzegłszy mikrofon nadajnika, zwisający z poręczy przedniego siedzenia, wyciągnęła rękę w jego kierunku, ale w tym samym momencie we wnętrzu wozu znów błysnął rewolwer, a jego lufa była wymierzona prosto w pierś dziewczyny. Wegę zaś w milczeniu oderwał rękę Ani od mikrofonu.

— Nie zda się to na nic — tłumaczył cierpliwie, uśmiechnięty. — Lepiej od razu zastosować się do naszych próśb.

— Postępuje pan jak gangster! Proszę w tej chwili wynieść się stąd razem ze swym szoferem. Sama poprowadzę wóz — krzyczała Ania.

Nagłym susem wyskoczyła z samochodu i usiłowała przesiąść się za kierownicę, lecz Wegę był szybszy.

— Doprawdy przykro mi, panno Skribin, że muszę użyć siły. Radzę wsiąść do tamtego wozu. I to szybko, bo nie mamy zbyt wiele czasu.

Szosa wciąż była pusta, drzemiąca jeszcze w porannym chłodzie. Nie pojawiał się żaden pojazd, ale każdej chwili mógł znaleźć się tu jakiś przypadkowy turysta. Tylko w dole wciąż tak samo pluskały fale i białą pianą rozbijały się o ostre skały.

— Nie ruszę się z miejsca — twardo oświadczył Skribin. — Aniu, usiądź koło mnie!

Lecz Ania nie zdążyła dotrzeć do drzwi, bo Braun chwycił jej rękę i mimo protestów i szamotania się dziewczyny, popychał ją w stronę czarnej limuzyny. Wtedy Skribin wyskoczył z samochodu i rzucił się na Brauna.

— Nie waż się jej dotykać. Precz!

Wega stanął między nimi.

— Na niej nam nie zależy, inżynierze — oświadczył i w jego głosie zabrzmiały nawet nutki współczucia. — Lecz jest z panem i, niestety, jesteśmy zmuszeni zabrać ją również.

— Nigdzie nie pojadę.

— Musi pan pojechać, by wziąć udział w pewnym ważnym spotkaniu.

— O jakim spotkaniu pan mówi? Nie mam najmniejszej ochoty z kimkolwiek się spotykać.

Wega uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Zapewniłem już pana, że nic panu nie grozi. Proszę wsiąść z nami. Bardzo proszę...

— Nie! — przerwał mu Skribin.

— Pewna osobistość pragnie poznać pana i zamienić kilka słów. No, proszę wsiąść... — powtórzył Wega równie uprzejmym głosem, ale tym razem już bardziej stanowczo.

— Zostaję tutaj!

W trakcie tej rozmowy, prowadzonej pod koniec już dość podniesionym tonem, Braunowi udało się zamknąć Anię w limuzynie.

— Proszę nie zmuszać nas do użycia siły — ostrzegł Wega.

— Jest pan bezwzględny szantażystą i bandytą — z pogardą odparł Skribin.

Wega dał znak Braunowi. Przyskoczyli do Skribina i mimo iż bronił się zaciekle, brutalnie wciągnęli go do limuzyny. Chroniąc teczkę przed napastnikami, Skribin miał skrępowane ręce i nie zdołał oprzeć się przemocy. Posadzono go obok Ani, która szlochając, zakrywszy twarz rękami. Wega nacisnął jakiś guzik na tablicy rozdzielczej. Szczelna, metaliczna firanka przesłoniła szybki samochodu. Braun z Węgą wrócili do samochodu Skribina i wydobyli z bagażnika skrępowane ciało Nikołajewa. Szofer jeszcze oddychał. Braun przyglądał się człowiekowi, który właściwie nie uczynił mu niczego złego i wreszcie ośmielił się nieśmiało zaprotestować:

— Oszczędźmy go... Jest niewinny!

Wega zmarszczył czoło.

— Śmieszny sentymentalizm — powiedział jakby z obrzydzeniem. — Musimy likwidować każdego świadka. Pozostanie w swoim samochodzie.

Braun opuścił głowę.

Przecięli więzy, krępujące ręce i nogi więźnia i posadzili go za kierownicą. Wega rozwarł szeroko wszystkie drzwiczki, zapalił silnik i dodał gazu. Gdy samochód nabierał szybkości, Wega wyskoczył zeń w biegu, na ułamek sekundy przed tym, nim wóz uderzył w białą, przydrożną balustradę, a rozbiwszy ją, odbił się i spadł w przepaść. Zgnieciona i powyginana karoseria wolno pogrążała się w morzu. Wtedy wrócili do limuzyny. Nad jej dachem pojawiły się cztery stalowe śmigła. Przy pierwszym ich obrocie limuzyna drgnęła, oderwała się od asfaltu i skierowała w stronę morza.

— Ależ to napad! To porwanie, tatusiu! — szlochając wołała Ania. Próbowwała manipulować jakąś plastikową dźwigienką, ale drzwi nie puszczały. Zaciemnione okna nie przepuszczały ani promyka światła. Wtem rozbłysła mała żaróweczka i ukazał się szaroniebieski sufit.

— Nie bój się, Aniu... — uspokajał córkę Skribin, głaszcząc ją po włosach. Ale głos

jego nie brzmiał już tak pewnie jak przed chwilą. Ania skonstatowała, iż ojciec również jest przerażony.

— Ach, tatusiu, co teraz zrobimy? — i przytuliła się do ojca.

— Nie histeryzuj, Aniu — pocieszał ją Skribin — może ktoś zauważył już nasze zniknięcie. Pierwszy Aleksander Pawłowicz zaniepokoi się i rozpocznie poszukiwania, miałem się przecież spotkać z nim punktualnie o szóstej. Nikołajew zresztą też już chyba podniósł alarm.

— Czy zapomniałeś, co się z nim stało?

— Ach, prawda, te typy zwały go przecież, ale nasi już chyba go odnaleźli.

Skribin sam nie wierzył w to, co mówił. Przy tym był zły przede wszystkim na siebie samego — że też ani razu nie spojrzął w twarz kierowcy! Teraz przypomniał sobie, że kierowca wyraźnie usuwał się z jego pola widzenia, starając się nie stanąć przed nim twarzą w twarz. Wszystkie szczegóły porannych wydarzeń kojarzyły się teraz w jego świadomości w logiczny łańcuch. Spóźnienie samochodu, milczenie kierowcy, okulary, które Nikołajew zwykł był wkładać jedynie podczas dłuższej jazdy w ostrym słońcu.

— Gdzie teczka? — zaniepokoiła się Ania.

— Tutaj.

Skribin ścisnął ją mocno kolanami.

— Z jej powodu to wszystko, tatusiu?

— Z pewnością. Ale w teczce nie znajdują nic interesującego. Są tu tylko niektóre plany i to niekompletne. Teraz już wiem, że to ja jestem im potrzebny.

— Dla okupu? — pytała Ania.

Skribin wzruszył ramionami.

— I akurat dziś zachciało ci się odwiezienia do obserwatorium — dodał po chwili z wyrzutem.

— Ach, tatusiu, nie żałuj! Tak właśnie lepiej... że jestem z tobą. Będziemy razem!

Nad ich głowami dał się słyszeć szum, a potem przytłumione brzęczenie. Ojciec i córka nadśluchiwali w napięciu i nagle doświadczyli uczucia, jakby jakaś tajemnicza siła unosiła samochód w górę.

— Unosimy się w powietrze! — wykrzyknął Skribin. — Podejrzewałem to, gdy tylko zobaczyłem ten dziwny pojazd. To te osławione uniwersalne pojazdy. Nie zdziwi mnie, gdy wylądujemy na morzu i popłyniemy!

— Dokąd nas wiozą?

— Zorientujemy się później, moje dziecko. Ale zaczynam wierzyć temu osobnikowi, że będą obchodzić się z nami delikatnie. Zależnie od rozwoju wypadków, obmyślimy jakieś wyjście.

Skribin ujął pod brodę twarz córki i zwracając ją ku sobie, dodał czule:

— A ty, Aniu, nie przejmuj się tym tak bardzo. Jesteś przecież moją córką i nie wypada ci rozpaczać!

Skribin powiedział to zwyczajnym tonem, ale dla Ani jego słowa zabrzmiały jak rozkaz. Rozkaz, który na nowo pozwolił jej uświadomić sobie siłę ojcowskiej dumy. Jest jego córką. Córką uczonego, konstruktora i budowniczego Perłowej Gwiazdy — tej wspaniałej, sztucznej planety, w której metalowym korpusie astronomowie, meteorolodzy, geofizycy, geografowie, inżynierowie i technicy pracowali i mieszkali oddaleni o tysiące kilometrów od Ziemi. Przed rokiem zespół uczonych wszelkich specjalności, których pracami kierował inżynier Skribin, ukończył projekt budowy miasta w kosmosie, zawieszono go między Ziemią a Księżycem. Było to fantastyczne zamierzenie! Planeta-miasto, wprawiona w ruch dookoła Ziemi. Potężne rakiety towarowe przenosiły już w kosmos części, które zostaną zmontowane wysoko nad Ziemią i stworzą w kosmosie prawdziwe miasto pod gigantyczną kopułą ze szkła i mas plastycznych o najrozmaitszym składzie i właściwościach. Przestrzeń między warstwami wype-

lni ozon i inne gazy przepuszczające promienie słoneczne, a pochłaniające niebezpieczne promienie ultrafioletowe. To sztuczne niebo niczym nie powinno różnić się od ziemskiego. Pod sztucznym nieboskłonem za dwa, trzy lata powinno wyrosnąć miasto o leczniczym klimacie, z parkami pełnymi drzew i kwiatów. Gigantyczny twór niezliczonych kulistych, cylindrycznych i sześciennych brył z aluminium, stali i mas plastycznych, połączonych ogromnymi rurami-ulicami. Tę skomplikowaną budowlę należało najpierw wprawić w ruch dookoła swej osi i nadać jej sztuczny ciężar. Czyż córce projektanta tak rewelacyjnego przedsięwzięcia przystoi okazywać słabość i strach?

— A jeśli nas zabiją, tatusiu? — zapytała po chwili Ania.

— Mogli to uczynić od razu, ale jestem przekonany, że bardziej zależy im na moim życiu niż śmierci. A ty zupełnie przypadkowo wpadłaś również w pułapkę zastawioną na mnie, nad czym bardzo boleję.

— Nie martw się, tatusiu — Ania szukała słów pocieszenia. — Zapewniam cię, że tak jest o wiele lepiej! — Przywiązana bardzo do ojca, zawsze gotowa była dzielić z nim zarówno dobre, jak i złe chwile.

Była wtedy dziewczynką o dużych, zawsze jakby nieco zdziwionych oczach, z warkoczykami, w których sztywno tkwiły olbrzymie kokardy. Mieszkali wówczas w Sofii. W tym mieście pracował jej ojciec — Iwan Skribin. Matka Ani była Bułgarka, z wykształcenia — inżynierem chemikiem i pracowała w jednej z fabryk.

Gdy zapadał zmrok, mała Ania lubiła wychodzić na próg domu. Wyciągała rączki ku niebu i wołała swym cieniutkim głosem:

— Hej gwiazdeczki, zejdźcie do mnie. Spadnijcie mi do rączek! No, dalej, skaczcie!

Gruszki rosnące w ich sadzie zawsze spadały do nadstawionych rączek Ani, gdy ojciec potrząsał drzewem. Gwiazdki wisiały co prawda o wiele wyżej. Gdyby miała jakiś długi, bardzo długi pręt, na pewno by je strąciła. Ale dlaczego właściwie nie spadają? Dlaczego tatuś nie potrafi ich strącić? A były takie śliczne i tak wesoło mrugały do Ani.

— Chcę tamtą! Tę ogromną! — płaczącym głosem domagała się dziewczynka. — Mamusiu, zerwij mi ją! Będę miała dużą świecąca piłkę!

— Ależ, dziecinko — tłumaczyła mama. — Gwiazdy są bardzo daleko i nikt nie jest w stanie ich dosięgnąć. One nigdy nie spadają na ziemię!

— A dlaczego gruszki spadają? Chcę gwiazdkę, chcę gwiazdkę...! — Ania dąsała się i w końcu rozżalona wybuchała płaczem.

Wtedy pojawiał się ojciec; sadzał dziewczynkę na kolanach i rozpoczynał dziwną opowieść o gwiazdach. Była to baśń? Czy też prawda? Ania słuchała niezwykłych opowieści i zapominała o płaczu. Wyobrażała sobie gwiazdy jako żywe istoty, tak bardzo oddalone od ludzi, a przy tym ogromne, ogromne... większe niż ich cały dom, ba! większe niż ich dom wraz z ogrodem i wszystkimi drzewami i kwiatami.

Ania pokochała gwiazdy. A miłość ta rosła wraz z nią. Pewnego dnia ojciec zaprowadził ją do planetarium. Na ekranie Ania ujrzała niebo obsypane gwiazdami, a na nim również Słońce, nawet Ziemię i Księżyc, wszystko pomniejszone miliony razy. Ten obraz ją urzekł. Ciała niebieskie miały w kosmosie swoje określone miejsce i drogi, po których wędrowały dniem i nocą, od niepamiętnych czasów! Wtedy postanowiła zostać astronomem. Ojciec, główny inżynier fabryki produkującej samoloty, na wieść o decyzji córki uśmiechnął się wyrozumiale. I odtąd często powtarzał:

— W porządku, córuniu, ucz się pilnie, a potem rozpoczniesz studia na wydziale astronomicznym.

Matka wracała późnym wieczorem z fabryki i siadała zmęczona przy oknie. Przymykając oczy poddawała się orzeźwiającyemu podmuchom wiatru, idącemu z ogrodu i prosiła:

— Zagraj mi, Aniu...

Ania siadała wówczas do pianina. Grała po mistrzowsku. Nauczyciel muzyki zapewniał rodziców o jej nieprzeciętnym talencie. A matka żyła odąd nadzieją ujrzenia córki na wielkiej scenie. Sama w młodości, już jako mała dziewczynka hasając po stokach zielonej Witoszy, nie wyobrażała sobie życia bez muzyki. Ale ojciec zmusił ją do rozpoczęcia studiów na wydziale chemicznym. Teraz wierzyła, że Ania osiągnie to, o czym sama marzyła za młodu.

Ania również kochała muzykę, ale oto zjawiała się w jej życiu nowa namiętność — podsycona każdą nową wiadomością, przyswojoną bądź to z podręczników, bądź z relacji prasowych, a dotyczącą gwiazd, planet, kosmosu i raket, które regularnie kursowały na Księżyc, a ostatnio wylądowały nawet na Marsie. Z Marsa przekazywali kosmonauci sensacyjne wiadomości, rozpowszechniane natychmiast przez telewizję, radio, prasę, ilustrowane zdjęciami niezwyklej planety.

„Kanały na Marsie są skutkiem eksplozji atomowej!”, „Zagadka rozwiązana!” „Kosmiczna katastrofa czy kaprys natury?”, „Na Marsie żyły niegdyś wysoko rozwinięte istoty rozumne...” I jeszcze dziesiątki podobnych, sensacyjnych artykułów drukowały tłustym drukiem gazety całego świata. I zdjęcia! Niesamowite zdjęcia. Ludzie godzinami siedzieli w domach, przed ekranami, a także przed wspólnymi publicznymi telewizorami na placach, i z zapartym tchem śledzili przeżycia kosmonautów.

Jaką zagadkę krył w sobie Mars?

Kanały na Marsie okazały się niesamowicie głębokimi pęknięciami powierzchni planety. Kilometrowej szerokości przepaści, strome, niedostępne, przecinały glebę Marsa i ciągnęły się setki a nawet tysiące kilometrów. Widoczne były ślady dawnych masywów górskich, po których teraz pozostały jedynie jakby ścięte jakąś nieprawdopodobną siłą ich podstawy. Rozległe równiny porastała wysoka, gęsta trawa, spośród której wychylał się tu i ówdzie niski, wąty krzew. Wśród traw przemykały małe, spłoszone zwierzątka, w górze bzykały owady i przelatywały małe ptaszki, o dziwnie wielkich łebkach.

Istniało wiele hipotez, próbujących wyświetlić przeszłość Marsa, lecz dopiero uczeni trzeciej ekspedycji przedstawili wersję najbardziej prawdopodobną. Po powrocie z kilkumiesięcznego pobytu na Marsie ojciec opowiedział Ani wszystko, co widział i przeżył na tej osobliwej planecie. Brzmiało to jak najbardziej fantastyczna baśń. Pośród gęstej trawy, kamieni i zarośli uczeni odkryli ślady budowli, fragmenty okopconych murów, stopione i zastygłe części metalowe, za lada dotykaniem rozsypujące się w pył.

Tu i ówdzie w płytszych szczelinach zaskoczeni badacze odnajdywali fragmenty wodociągów czy podziemnych rurociągów, resztki budowli; nadpalonych, na pół przegniłych, przywalonych ciężarem kilku warstw ziemi.

Nie ulegało wątpliwości, iż planetę zamieszkiwały istoty rozumne. W metalowej, zakopananej w ziemi kasecie odkryli członkowie ekspedycji pokrytą dziwnymi znakami kartę ni to papieru, ni pergaminu. Cybernetyczne mózgi dopomogły w odczytaniu tekstu. I tak wyjaśniły się zagadkowe losy starej planety...

Człowiek zamieszkujący Marsa osiągnął wysoki stopień rozwoju. Planeta była starsza od Ziemi, zastygła o wiele wcześniej, i życie pojawiło się na niej również setki milionów lat wcześniej niż na Ziemi.

Marsjanie bardzo dawno temu rozbili atom, wykorzystując go do swych potrzeb. Potem błyskawicznie odkrywali to, do czego ludzkość ziemską dochodziła wolno i z trudem całe tysiąclecia. Stopień cywilizacji osiągniętej przez Marsjan był niesłychanie wysoki, lecz mimo to ludzkość na Marsie wciąż była rozbita na poszczególne narody, a w obrębie narodu na wrogie sobie klasy.

I oto przed wiekami wybuchła na Marsie Wielka Wojna. Przyczyny? Dotąd nie znane. Wojna była krwawa, toczona przy użyciu bomb wodorowych i broni, która w mgnieniu oka przemieniała materię w plazmę. Towarzyszyły temu błyskawice i trzęsienia ziemi, które niosły zniszczenie i śmierć. I wtedy nastąpiła katastrofa. Gigantyczna eksplozja odmieniła skład

atmosfery, zubożyła ją i skaziła. Wnętrze planety drżało od nieustannych wybuchów. Powietrze płonęło, waliły się góry, wybuchały wulkany i gejzery, topiła się marsjańska gleba — minerały, skały i wszystko, co istniało na jej powierzchni... Powierzchnia planety pofałdowała się, popękała na wskroś bezdennymi przepaściami, przecinającymi równik i sięgającymi biegunów. W kilka sekund zniknęło życie na Marsie. Tlen zanikł niemal zupełnie. A gdy planeta uspokoiła się, Słońce oświetliło już tylko martwą ziemię — zranioną, pozbawioną roślinności i zwierząt, spaloną i przekłętą. Tylko gdzieś tam nie wiadomo jakim sposobem, przetrwały w glebie pojedyncze ziarenka traw i krzaków, które od nowa z wielkim trudem wolno i lekko wypuściły pierwsze pędy. Początkowo marniały, lecz później, przystosowawszy się do nowych warunków, stopniowo pokrywały całą powierzchnię Marsa.

A na północy, dziwnym kaprysem natury, utrzymały się przy życiu nawet niektóre zwierzęta i owady. I choć wynaturzone i okaleczone, usiłowały żyć w zmienionej atmosferze, a nawet próbowały się rozmnażać...

Tak wyjaśniła się zagadka Marsa.

Niesamowite odkrycie poruszyło całą ludzkość Ziemi. Uczni, pisarze, robotnicy ostrzegali w listach, w wywiadach, na wiecach... „Czy Ziemi nie spotka podobny los? Czy i ona skazana jest na zagładę, jeśli dojdzie do użycia niszczycielskiej atomowej i wodorowej broni? Czy i ich planeta nie zadrży, nie popęka a nawet nie rozpadnie się na kawałki, których powierzchnię pokryją jedynie odłamki skał i głębokie przepaści, ziejące trującymi oparami?”

Los Marsa tak wzruszył Anię, że miała łzy w oczach na myśl, że całe życie na planecie wyginęło z powodu nierozsądnego kroku tak przecie rozumnych istot. Chęć poznania prawdy o innych planetach znów odezwała się w niej z nową, nieodpartą siłą.

Ania pochłaniała książki z dziedziny astronomii i kosmonautyki. Znała na pamięć życiorysy pierwszego kosmonauty — Jurija Gagarina i pierwszej kosmonautki — Walentyny Tierieszkowej, znała w najdrobniejszych szczegółach przebieg lotu każdego z „Wostoków” i „Woschodów”.

Ale być może życie jej potoczyłoby się również inaczej i zgodnie z życzeniem matki, której nie miałaby serca odmówić, urzekałaby teraz swą grą tysiące słuchaczy w wielkich salach najświetniejszych filharmonii. Mogło tak być, gdyby w jej życiu nie zaszło coś strasznego.

Pewnego letniego dnia jechała z rodzicami z Słonecznego Brzegu do Złotych Piasków autostradą biegnącą wzdłuż wybrzeża Morza Czarnego. Elegancki kabriolet, maszyna o oszalałymi mocy silnika, mknęła jak strzała szeroką szosą. Połyskiwało niebieskozielone morze, drgało rozgrzane powietrze, a przed oczyma Ani przesuwiał się bogato rzeźbiony krajobraz wybrzeża, pokrytego lasem. Miniaturową kamerą Ania filmowała mijane widoki, gdy wtem zza zakrętu wyskoczyła ogromna ciężarówka. Wyglądało na to, że kierowcy nie udało się wziąć prawidłowo zakrętu i zjechał nieco na lewy pas. Skribin usiłował skrócić w bok, ale było już za późno. Ciężarówka całym impetem uderzyła w błotnik kabrioletu i odrzuciła w bok. Samochód przekoziółkował, odbił się o przydrożny słupek i odwrócony kołami do góry spadł w dół na stopy białego kamienia, stając się masą pociętą i zgniecioną żelastwa.

Ania i jej ojciec wyszli z katastrofy z lekkimi obrażeniami ciała. Twarz matki, przyciśniętej tylnym kołem, zalana była krwią, która płynęła z głębokich ran głowy. W górze, na autostradzie, zatrzymywały się samochody, zbiegali się ludzie. Nadajniki w samochodach zaczęły wzywać pogotowie. W dwie minuty nadleciał helikopter z lekarzami i przenośną salą operacyjną.

Matka jeszcze żyła. Cicho pojękiwała, a jęk stawał się coraz bardziej przejmujący, nabrzmiały bólem.

— Ratujcie moją żonę! Ratujcie! — błagał Skribin.

Lekarze i tak robili wszystko, co było w ich mocy, by utrzymać przy życiu młodą kobietę. Na próżno. Nad ranem matka Ani nie żyła.

Ania porzuciła muzykę. Początkowo nie grała ze względu na głęboką żalobę. Kiedyś, znękana, siadłszy przed pianinem przejechała odruchowo palcami po klawiaturze. Pierwsze tony muzyki wywołały wspomnienie matki. Zatrzasnęła wieko, oparła na nim czoło i cichutko płakała niepokieszona. Odtąd każdy ton pogłębiał jej smutek, unikała zatem jak mogła muzyki. Lśniące czarne pianino stało w hallu zatrzaśnięte i zdawało się być również pogrążone w głębokim żalu.

Jedynie miłość do gwiazd nie zgasła w Ani. Ania ukończyła studia na wydziale astronomii i zaraz po egzaminach, po przeniesieniu ojca z Sofii do Kosmogradu na stanowisko naczelnego inżyniera fabryki sztucznych planet, przyjęła propozycję pracy w obserwatorium mieszczącym się w Górach Brylantowych.

Praca asystentki astronoma dawała jej dużo zadowolenia. Ojca kochała coraz bardziej — podwójną miłością — zastępował jej przecież matkę. Dumna była z takiego ojca. I kiedy pewnej nocy rozbłysła na niebie nowa mała planeta — Perłowa Gwiazda, na której osiedlali się ludzie i z której powierzchni startowały już rakiety na Księżyc, Ania poprzysięgła sobie, że nigdy nie rozłączy się z ojcem: zawsze będzie żyć przy nim, by mógł się poświęcić całkowicie nauce...

Wieczorem siadywali z ojcem w wygodnych fotelach na tarasie i patrzyli na gwiazdy. Każda była innej barwy, każda świeciła innym, własnym blaskiem. Nie było dwu jednakowych — były tam gwiazdki — okruszynki, ledwie dostrzegalne gołym okiem, i gwiazdy — olbrzymy, świecące ostrym, jasnym światłem — lecz spośród wszystkich najpiękniejsza, najbliższa sercu była Perłowa Gwiazda, emitująca seledynowoniebieskie światło. Ania często spoglądała na nią przez potężne lunety znajdujące się w obserwatorium. Obserwowała przez nie również inne odległe gwiazdy i planety, które traciły wtedy swój migotliwy blask i zdawały się przybliżać na odległość wyciągniętej ręki. Były zimne, martwe — niby ogromne, świecące, różnobarwne dyski, poźłobione tajemniczymi koleinami.

Wyobrażenia Ani odkrywała góry, równiny, morza, lasy... Ich blask kontrastował z otaczającym je nieprzytulnym mrokiem i wabił z niezwykłą siłą. Godziny spędzane na obcowaniu z gwiazdami były najmiłszymi chwilami w życiu Ani.

A teraz, uwięziona w tym złowrogim pudle, nawet przez szyby nie mogła spojrzeć na nie. Co zrobią z ojcem?

— Ładujemy! — wyrwał ją z zamyślenia głos ojca.

Ania rzeczywiście zaczęła doznawać uczucia spadania w dół, zaczęła więc walić pięścią w szklaną przegrodę kabiny, pokrytą jednak również metalową zasłoną, i wołać:

— Hej, wy tam! Gdzie jedziecie?

W kabinie rozległ się głos.

— Proszę o spokój. Niedługo dowiecie się wszystkiego. Jeszcze raz zapewniam was, że możecie być zupełnie spokojni.

Skribin nachylając się do Ani, szeptał jej do ucha:

— Z całą pewnością podsłuchują nas. Miej się na baczności, Aniu!

— Dobrze, tatusiu — odpowiedziała Ania również szeptem.

Nagle pojazd z tępym, zamortyzowanym uderzeniem zetknął się z jakimś innym ciałem. I znów spadanie w dół, lecz w znacznie wolniejszym tempie, przy akompaniamencie dalekiego plusku fal. Warkot motoru wydawał się teraz znacznie przytłumiony. Po chwili ustał zupełnie. Do ich uszu dolatywało jedynie ciche brzęczenie.

— Chyba płyniemy — szepnął Skribin. — I to pod wodą. Tak, przy pojeździe tego rodzaju to całkiem możliwe. Obawiam się jedynie, że te dwa sprytne typki zdążyły zatrzeć już wszelkie ślady, chyba że...

Skribin urwał i zamyślił się.

— Dłaczego zamilkłeś, tatusiu?

— Nie jestem tego pewien, ale wydaje mi się, że nasi ludzie na naszych, wcale nie

gorszych maszynach, depczą im już po piętach. A to oznaczałoby, że nasi prześladowcy im się nie wyślizną.

— Och, to byłoby cudowne! — westchnęła Ania.

Lekkie uderzenie wstrząsnęło korpusem pojazdu. Rozległ się przeraźliwy świst, potem jakby łoskot spadających ze znacznej wysokości wód wodospadu i nagle zapanowała cisza. Opadły w dół metaliczne zasłony zakrywające okna i wewnątrz załało światło jakby tysiąca silnych lamp. Skribin i Ania ujrzeni podłużną, lecz o zaokrąglonych ścianach halę, wybitą czerwonym tworzywem. Gdy próbowali odgadnąć, gdzie się znajdują, otwarły się drzwi ich pojazdu. Ukazał się w nich jakiś nieznamy człowiek w białym kombinezonie, złożył głęboki ukłon, a potem odstąpiwszy krok do tyłu, z szacunkiem w głosie powiedział:

— Witamy serdecznie!

Dwubój

Pokoik był niewielki. Mieściło się w nim zaledwie łóżko dziwnego, rezedowego koloru, umywalka i biblioteczka z rzędami równo ułożonych książek. Wszystkie sprzęty z drewna i mas plastycznych odznaczały się estetycznym wykonaniem. Biła w oczy olśniewająca czystość. Przez ażurową firankę czerniał zarys iluminatora, ale światło, łagodne i uspokajające, spływało z sufitu i ścian.

— Pańska córka zajmuje sąsiednią kabinę — poinformował człowiek w bieli. — W każdej chwili może ją pan odwiedzić. Oczywiście, jej również wolno tu przychodzić. Proszę czuć się zupełnie swobodnie.

— Swobodnie! — roześmiał się Skribin z ironią. — Pan raczy żartować? Kiedy będę mógł rozmawiać z waszym szefem?

— Choćby w tej chwili, jeśli tylko będzie w stanie pana przyjąć. Ale być może dopiero za godzinę. Nie wiem dokładnie, lecz zaraz się dowiem.

Skribin obserwując posługacza wywnioskował, iż ten celowo daje jak najbardziej skąpe odpowiedzi. Niemniej spróbował zadać mu jeszcze jedno pytanie:

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie się właściwie znajdujemy?

Posługacz skłonił się, a potem wzruszył ramionami.

— Zostałem przydzielony do pańskiej dyspozycji jedynie w celu uprzedzania i spełniania wszelkich ewentualnych pańskich życzeń. W sprawach przekraczających moje kompetencje nie jestem w stanie udzielić panu jakichkolwiek informacji. Bardzo mi przykro... O wszystkim poinformuje pana szef.

Zaraz potem wyszedł, postawiwszy uprzednio na niskim stolczku patere pełną soczystych brzoskwiń i moreli. Skribin obrzucił je przelotnym spojrzeniem i ruszył w stronę drzwi. Długi, wąski korytarz, wyściełony dywanem, zamykały szklane drzwi, za którymi widać było rzędy stolików nakrytych obrusami tak śnieżnej białości, jakby nigdy nie tknęła ich ręka człowieka. Skribin zapukał do pierwszych drzwi po lewej stronie korytarza.

Za drzwiami doleciał głos Ani:

— Kto tam?

— Ja — odpowiedział Skribin i wszedł. Ania stojąc przed lustrem i upinając włosy uśmiechała się do ojca.

— Bardzo tu przytulnie — zaczęła. — Wyobrażałam sobie, że zamkną nas w jakiejś więziennej celi z cementową posadzką i starym, żelaznym łóżkiem. Gdzie się znajdujemy, tatusiu?

— Przypuszczam, że w łodzi podwodnej, ale nie jestem tego pewien.

— W łodzi? Dlaczego?

— Nie wiem...

Skribin postanowił nie okazywać przed córką swego niepokoju, a i ona przyrzekła sobie zachować pogodę ducha, dlatego rozmowa ich prowadzona była swobodnym tonem i dotyczyła szczegółów nowej sytuacji.

— Komfortowe mieszkanie, prawda? — roześmiała się Ania.

— Czy twoja kabina jest również tak luksusowa?

— Owszem.

Skribin zbliżył się do córki i szepnął jej do ucha:

— Podejrzewam, że zainstalowano wszędzie aparaty podsłuchowe. Najlepiej byłoby rozmawiać w korytarzu, chociaż może i tam są ukryte mikrofony. W każdym razie, jeśli zdarzy się coś, co należałoby sobie przekazać, będziemy rozmawiać szeptem.

— Słusznie, tatusiu! Poza tym nie będę w ogóle zadawała pytań dotyczących twojej pracy!

Skribin starał się uśmiechnąć; skrzywienie warg przypominało jednak raczej zastygły grymas niż uśmiech. Po chwili pytał już Anię, jak urządziła się w swym pokoiku, a potem zmusił ją do zjedzenia kilku owoców i poszedł do siebie. Wyciągnął się wygodnie na łóżku i wypoczywał. Próbował nawet zasnąć, lecz gdy tylko przymknął oczy, ktoś zapukał do drzwi. Do pokoju wszedł znajomy już posługacz i poprosił o pójście z nim.

Ruszyli we dwójkę innym, nieznanym Skribinowi korytarzem, o wiele węższym od tamtego. Przeskakiwali dziesiątki małych, żelaznych stopni i znaleźli się w końcu w jakimś okrągłym pomieszczeniu o metalowych ścianach, pozbawionych zupełnie okien. Przewodnik Skribina zapukał do jedynych w sali drzwi. Otwierając je, powiedział:

— Proszę wejść! Szef oczekuje pana!

Skribin przestąpił próg i śmiało wszedł do gabinetu.

Za biurkiem siedział z powagą młody człowiek w białej koszuli. Ale oczy jego rzucały w stronę Skribina wyraźnie wesołe błyski.

Skribin zdumiony wykrzyknął:

— Jak to? Pan jest szefem?

— Proszę usiąść, panie Skribin. Proszę usiąść w tamtym wygodnym fotelu — uprzejmie zachęcał Wega. — Wydaje się, że jest pan zaskoczony?

— Nie będę ukrywał swojego rozczarowania! Miałem nadzieję ujrzeć tu człowieka odpowiedzialnego, któremu mógłbym wyrazić swoje oburzenie na tego rodzaju upokarzające postępowanie i zażądać natychmiastowego odstąpienia na łódź i uwolnienia mnie i mojej córki. Czyż pan nie zdaje sobie sprawy z tego, że każda następna minuta naszej niewoli pogarsza waszą sytuację? Radzę się nad tym zastanowić!

— Zdajemy sobie z tego sprawę — odparł Wega — lecz wiemy zarazem, że nie obowiązują u nas wasze prawa.

— Istnieje jednak prawo międzynarodowe, no i ogólnoludzkie prawo moralne. To haniebne porwanie może wywołać poważny dyplomatyczny konflikt.

— Nie przewiduję tego — powiedział dobitnie Wega, nie przestając ironicznie się uśmiechać, lecz zachowując nadal wyszukaną uprzejmość.

— Zobaczmy!

Wega wstał z biurka, przemierzył kilkakrotnie gabinet i stając przed Skribinem przemówił:

— Szanowny panie Skribin, nie wzywałem tu pana, by wszczynać z panem kłótnie. Ze swej strony mogę jedynie wyrazić panu głębokie ubolewanie z powodu tego porwania. Proszę postarać się zrozumieć pobudki, jakimi się kierowałem. Musiałem tak postąpić. Nie miałem innego wyjścia. Długo się wahałem, lecz sytuacja wymagała błyskawicznego działania.

Jeszcze raz za to przepraszam.

— Dla mnie pozostanie pan i tak jedynie obłudnym gangsterem — rzekł w odpowiedzi Skribin.

Twarz Wega oblał rumieniec, a ręce wyraźnie mu zadrżały, lecz szybko opanowawszy się, powiedział:

— Jest pan w błędzie. Z zawodu jestem, jak i pan, inżynierem.

— Inżynierem? — oburzył się Skribin. — Nigdy w to nie uwierzę! Wiem tylko, że jest pan skończonym łotrem.

— Proszę pana...!

Wega powiedział podniesionym głosem tylko tyle. Ale słowo to wyrażało protest, niesmak, a zarazem jakby prośbę, by Skribin uwierzył jego słowom.

— Pozbawił mnie pan wolności — ciągnął Skribin chłodnym tonem. — Jakim prawem? O tym pan zapomniał? A teraz usiłuje mi pan wmówić, że jest pan inżynierem!

— Jestem rzeczywiście inżynierem. Mogę przedstawić panu odpowiednie dokumenty.

Skribin roześmiał się szyderczo, a w śmiechu tym zawierało się również wiele pogardy pod adresem rzekomego inżyniera.

— Pańskie dokumenty są równie fałszywe jak pan — odparł. — Proszę nie próbować mnie przekonywać. Nawet jeśli był pan kiedyś inżynierem, nie zasługuje pan już na ten powszechnie szanowany tytuł. Nic mnie z panem nie łączy. Kiedy zostanę uwolniony?

Kąćki ust Wega drgały nerwowo. Pokonując rozdrażnienie powiedział:

— Nie uwolnię pana. Nie mam prawa.

— A kto posiada to prawo?

Wega nie odpowiedział.

— Gdzie znajduje się ten pański przełożony?

Wega milczał.

— I w ogóle chciałbym wiedzieć, dokąd płyniemy tą... łodzią podwodną, jeśli się nie mylę?

Tym razem Wega przemówił.

— Tak, to łódź podwodna.

Nacisnął jeden z guzików na biurku i wszedł znajomy posługacz.

— Proszę odprowadzić gościa do kabiny — rozkazał Wega i zegnając inżyniera powściągliwym ukłonem dodał: — Mam nadzieję, że zmieni pan zdanie i następnym razem rozmowa będzie bardziej rzeczowa.

Ale Skribin szedł już w stronę drzwi.

Jakiś wesoły głos zbudził Skribina. Otworzył oczy. Ania nachylała się nad nim, szarpała lekko za ramię i roześmiana wołała:

— Tatusku! Zbudź się, tatusku! Zobacz, słońce!

Spojrzał we wskazanym kierunku. Okrągły iluminator był otwarty. Promienie słoneczne odbijały się jasnym dyskiem na przeciwległej ścianie. Skribin uniósł się na łokciach i ujrzał lazurową powierzchnię morza. Nagle dostrzegł maszty statków, a dalej, na brzegu, rząd wysokich, białych budynków.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał.

— Nie wiem — odpowiedziała Ania. — Przed chwilą otwarałam oczy i spoglądałam w okno. Zaraz przybiegłam, by cię obudzić. — Patrz, tatusiu!

Skribin podszedł do iluminatora. Okrętów było niewiele, nie było tu też zbyt dużego ruchu. Gmachy stały trochę na uboczu. Za nimi czerniał masyw niezbyt wysokich gór. Inżynier próbował odgadnąć, do jakiego portu przybili, ale jego uwagę odwrócił widok dwóch żołnierzy w biało-żółtych mundurach i białych hełmach, w pełnym uzbrojeniu spacerujących po nabrzeżu.

— To ich kraj, Aniu — Skribin nie krył już swego przygnębienia.

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł posługacz, by poprosić, jak się wyraził, o przygotowanie się do zejścia na ląd.

Skribin ledwo zdążył ogolić się aparatem, który znalazł na nocnym stoliku, kiedy do kabiny wszedł młody, wytworny mężczyzna o sylwetce sportowca. Skribin i Ania bez słowa opuścili na jego życzenie kabiny i podążyli za nim korytarzem łodzi podwodnej. Gdy niewielka, otwarta winda zatrzymała się na pokładzie, blask słońca oślepił ich, a świeże powietrze przyprawiło niemal o zawrót głowy. Wokół rozpościerało się morze tak spokojne, że najdrobniejsza nawet fala nie marszczyła jego powierzchni. Z kadłuba łodzi wysunął się z wolna trap do zejścia na nabrzeże portu.

— Proszę! — powiedział grzecznie młody człowiek, wskazując ręką ląd.

Czując pod stopami twardy grunt, Ania doznała uczucia radości a zarazem poczuła się jakby o wiele bezpieczniej. Wciągała głęboko w płuca ciepłe, orzeźwiające powietrze. Czufa się tak, jakby żyła do tej pory w podziemiach i musiała mrużyć oczy, by oswoić się z blaskiem słońca.

— Dokąd idziemy? — zapytał w języku angielskim Skribin.

— Najpierw mały spacer. To rzecz konieczna po tak długiej podróży — odpowiedział ich opiekun po rosyjsku. — Jak państwo wolicie? Pieszko czy samochodem?

Nim Skribin zdążył odpowiedzieć, Ania mruknęła pod nosem:

— Bez pana.

— Proszę bardzo — młody człowiek nie zgłosił żadnego sprzeciwu. — A zatem godzinka spaceru. — Spojrzał na zegarek. — o dziesiątej na tym samym miejscu. Lecz wpierw proszę uregulować swoje zegarki według naszego czasu, jeśli jeszcze do tej pory tego nie uczyniliście. Jest w tej chwili dokładnie dziewięć i dwie minuty.

Zegarki obojga pokazywały wiele wcześniejszą godzinę.

— Czy naprawdę zostawia nas pan samych? — zdziwił się Skribin.

Młodzieniec uklonił się.

— Jeśli takie jest wasze życzenie...

— To znaczy, że daje nam pan godzinę wolności...

— Cały czas był pan wolnym człowiekiem, panie Skribin!

I jakby na poparcie tych słów uchylił grzecznie kapelusza i oddalił się w kierunku portu. Skribin i Ania zdziwieni patrzyli w ślad za nim.

— Nic nie rozumiem — rzekł inżynier.

— Udowodnił nam, że jesteśmy wolni — cieszyła się Ania. — Skorzystajmy z tej szansy. Może zaraz przyplynie jakiś statek?

— Nie wierzę, by byli tak naiwni i umożliwili nam ucieczkę...

— Dlaczego by nie? Zrozumieli, że nie wydobędą z nas żadnych interesujących ich informacji i postanowili nas uwolnić.

Uśmiech Skribina nie był pozbawiony sceptycyzmu.

— Oby tak było, kochanie...

Minał ich jakiś człowiek w brudnym kombinezonie, z niewielkim tobołkiem pod pachą. Z zaciekawieniem zerkał ukradkiem w stronę cudzoziemców.

— Hej, przyjacielu! — przywołał go Skribin.

Człowiek zatrzymał się.

— Co to za miasto?

Mężczyzna wzruszył ramionami,

— Czy jest pan głuchoniemy?

Wtedy przechodzień odpowiedział coś po angielsku. Skribin roześmiał się.

— Ach, tak! On przecież nie rozumie po rosyjsku!

I przeszedł na angielski. Na wszystkie pytania robotnik odpowiadał uprzejmie, aczko-

lwiek niezmiennie w ten sam sposób:

— Nie wiem, proszę pana!

— Jak to? Nie wie pan, jak nazywa się pańskie miasto?

— Och tak, wiem! — odparł. — Lecz przestrzega się u nas pilnie zarządzenia o nieudzielaniu nikomu jakichkolwiek informacji.

Ania podeszła doń bliżej.

— Pan powinien nam pomóc! To tak niewiele, powiedziec tylko nazwę miasta...

— To nic nie da — przerwał Skribin potok słów Ani. — Chodź, Aniu... — i pociągnął ją za sobą.

Poszli asfaltową aleją, wzdłuż której na długich grządkach przyciągały wzrok wspaniałe kwiaty, nieznane w umiarkowanym klimacie; ich liście były wielkie i rozłożyste jak parasole, a delikatne kielichy raziły oko jaskrawością barw.

Za skwerami stały domy mieszkalne, przeważnie drapacze chmur — białe pudełka z szerokimi oknami i tarasami biegnącymi wzdłuż pięter. Nad ich płaskimi dachami widać było czubki zielonych palm i znów jakichś dziwnych, kwitnących roślin. Do portu wpływał akurat ogromny okręt, pozbawiony zupełnie kominów. Ich łódź podwodna — ogromna i posępna — wyglądała jak tajemniczy potwór morski. Krzątała się wokół niej gromadka ludzi.

— Zobaczmy, dokąd zaprowadzi nas ta długa aleja — zaproponował Skribin.

Aleja wyprowadziła ich w pola porośnięte gęstymi krzakami i wysoką trawą. Ale zaraz dalej widać było rzędy drzew pomarańczowych, cytrynowych, bananowców, figowców i jeszcze jakichś innych, nieznanych. Z bliska dostrzegli, że liście na drzewach zwisają martwo, pokryte warstwą pyłu. Za drzewami rozciągały się dziwne konstrukcje. Wysokie wieże splecione ze stalowych prętów tworzyły rażący kontrast z malowniczym, południowym pejzażem. Obok leżały podłużne, błyszczące korpusy jakichś urządzeń. Szerokimi ulicami-alejami przejeżdżały ciężarówki. Ludzie tym razem nie interesowali Skribina. Zauważył wreszcie to, co spodziewał się tutaj znaleźć. Pośrodku jednej z wież tkwiło gigantyczne stalowe cygare. Rakieta. Oстрыm końcem mierzyła prosto w niebo. Była tak ogromna, że trudno wprost uwierzyć, by mogła oderwać się od ziemi. Skribin znał te rakiety, latał nawet większymi.

— Hm — chrząknął. — Tak, to oczywiście! Rakiety i wyrzutnie raketowe... Spójrz tam na lewo, Aniu!

Gigantyczny samolot, wrzecionowatym kształtem bardziej przypominający raketę, spoczywał na stalowych szynach.

— To raketoplan — objaśniał Skribin. — Stosowany w komunikacji międzyplanetarnej...

Urwał, bo naprzeciw szło dwu żołnierzy ubranych tak samo jak ci, widziani z iluminatora łodzi podwodnej. Żołnierze zaszalutowali i poszli dalej swoją drogą.

— Ci również jakby nas poznawali — zdziwiła się Ania.

— Wszyscy zostali uprzedzeni o naszym przybyciu, Aniu. Czy nie domyślasz się, gdzie się znajdujemy?

— Nie, tatusiu...

— Na jakiejś wyspie. Dlatego wspaniałomyślnie dano nam swobodę ruchów. — Spojrzał na zegarek. — No, już czas. Musimy wracać. Ten młody człowiek zapewne już czeka na nas.

Oczekiwał ich rzeczywiście. Dobrodusznym tonem zapewnił, że w przyszłości będą mogli odbywać dłuższe spacer, a nawet zostaną wpuszczeni na teren wyrzutni raketowych.

Skribin oschle zapytał:

— A skąd panu wiadomo, gdzie byliśmy dzisiaj?

— O! — roześmiał się mężczyzna. — Po prostu wiem!

— Chciałbym wreszcie porozmawiać z kimś odpowiedzialnym za to bandyckie porwanie — powiedział Skribin.

— Za chwilę spełnię pańskie życzenie.

Ruszyli w stronę dziwacznej budowli, wyraźnie górującej nad innymi — był to okrągłak zupełnie pozbawiony okien, o ścianach odbijających światło jak lustro. Na samej górze sterczała nad płaskim dachem srebrzysta kopuła, podobna do ogromnego grzyba.

Na którymś z pięter winda zatrzymała się. Ich przewodnik stanął przed masywnymi, podwójnymi drzwiami, koloru palonej słomy i nacisnął guzik dzwonka. Nad drzwiami rozbłysnął zielony napis w języku angielskim „wejść”.

Drzwi otworzyły się same. Młody człowiek pożegnał Anię i Skribina i grzecznie wskazał im otwarte drzwi, oddalił się.

Skribin wszedł, a Ania ruszyła za nim. Młody człowiek zawróciwszy, usiłował grzecznie powstrzymać ją przed wejściem do pokoju, wyrażając ubolewanie, iż będzie musiała poczekać dłuższą chwilę na ojca. Drzwi zatrzasnęły się przed samym nosem naburmuszonej Ani...

Gabinet był przestronny. Uderzała duża ilość obrazów zawieszonych na ścianie, przeważnie o tematyce marynistycznej. Rozszalałe morze w czasie sztormu, i morze ledwo muskane wiatrem, popstrzone białymi żaglami jachtów. Skribin dostrzegł też jakiś obraz przedstawiający góry. Jedną ścianę gabinetu zdobiły obrazy zupełnie odrębne: jakby przypadkowo zestawione jaskrawe plamy z regularnymi kwadratami, kołami, na innym znów oderwane członki ludzkiego ciała: tu noga, tam ręka, tam znowu oko — wszystko rysowane grubą, czarną kreską stwarzało niesamowite wrażenie. Na niskim stoliku stała rzędem bateria najrozmaitszych trunków, a obok otwarte pudełko czekoladek. Wysoki mężczyzna stał odwrócony plecami do drzwi, całkowicie pochłonięty czymś, co działo się za oknem. Gdy Skribin postąpił kilka kroków do przodu, człowiek odwrócił się:

— Znow pan? — wybuchnął Skribin. — To zaczyna być niesmaczne.

— No cóż... — odpowiedział Wega. — Jestem odpowiedzialny za wszystko, co dotyczy pańskiej osoby. Dziś również mam obowiązek a jednocześnie przyjemność przedłożyć panu konkretne propozycje, mimo iż, ku mojemu żalowi, tak podejrzliwie, a nawet z pewną pogardą odniósł się pan ostatnio do mnie.

— Czym mogę służyć panu?

— Proszę usiąść!

Skribin usiadł zrezygnowany w fotelu. Wega podszedł do niego z pudełkiem czekoladek, ale Skribin odmówił. Nie chciał również wypić alkoholu, którym usiłował poczęstować go Wega.

Wrogi stosunek do niego Skribina czynił sytuację jeszcze bardziej niezręczną i nieprzyjemną. Za wszelką cenę Wega starał się nie wybuchnąć, bo takie było życzenie Starego. Stary powiedział wyraźnie: „bez względu na sytuację i okoliczności działać z rozwagą, uprzejmie, by niczym nie zrazić gościa”. Do działania bardziej skutecznego można będzie przystąpić dopiero wtedy, gdy wszelkie inne środki zawiodą. Ale ten moment jeszcze nie nadszedł. Zresztą tylko Stary mógł zdecydować o zmianie taktyki, oczywiście w oparciu o dokładne raporty Wegi.

— Jestem przykro zaskoczony — powiedział chłodno Skribin — że znow pan staje na mojej drodze. Powtarzałem już poprzednio, że nie z panem życzę sobie rozmowy. Pan nie jest sam! Jest jeszcze ktoś, komu pan podlega. Z tym kimś chciałbym się zobaczyć. Sądzę, że znajduje się tutaj.

— Niestety, najbardziej odpowiedzialną osobą na wyspie jestem ja — powtórzył Wega. — A mój szef, któremu rzeczywiście podlegam, jest stąd bardzo daleko.

— Proszę mnie tam natychmiast zawieźć!

— Proszę się nie denerwować i wysłuchać najpierw kilku słów wyjaśnienia, które być może pozwolą panu usprawiedliwić nasze postępowanie. Wiemy, że pan zbudował Perłową

Gwiazdę. Jest pan projektantem i koordynatorem prac nad budową miasta w kosmosie — to również jest nam wiadome. Początkowo zamierzaliśmy jedynie zdobyć pańskie plany. Może są one w tej chwili w tej teczce, którą ma pan przy sobie? Proszę je zatrzymać, nie interesują nas. Ale niezbędny jest nam pan. Tak! Proszę jeszcze posłuchać. — Wega powstrzymał gestem ręki Skribina, który usiłował gwałtownie zaprzeczać. — Nasze cele są szlachetne! Chcemy także budować! Zamierzamy wybudować w kosmosie wielkie miasto, większe od waszego, aby służyło całej ludzkości na drodze do poznania tajemnic całego wszechświata.

— Wspaniale, budujcie sobie, ale mnie zostawcie w spokoju! — wybuchnął Skribin, splatając i rozplatając w zdenerwowaniu palce swych rąk. — Budujcie, niech was licho! Ale dlaczego mnie porwaliście?

— Widzi pan, mamy niewątpliwie poważne sukcesy w tej dziedzinie, ale ambicją naszą jest przodować we wszystkim. Nie porwaliśmy pana! Przywieźliśmy pana tutaj, by doprowadzić do obopólnego porozumienia — po prostu, chcemy budować przy pańskiej pomocy?

— To niemożliwe! Proszę umożliwić mi wyjazd stąd!

— Gwarantujemy panu wspaniałe warunki pracy. Jesteśmy w stanie dać panu wszystko, czego pan zażąda. Może pan dysponować miliardami! Według własnego uznania.

Skribin uśmiechnął się lekceważąco i pogardliwie machnął ręką.

— Wasze miliardy nie mają dla mnie żadnego znaczenia — powiedział. — Ale pan nie jest w stanie tego zrozumieć. Jest coś nieporównywalnie cenniejszego od pieniędzy, komfortu i luksusu. To ludzkie sumienie! I obowiązek! Obowiązek wobec ojczyzny i narodu, ojczyzny, która dała mi wszystko! Wykształciła i uczyniła człowiekiem. Jestem jej oddany duszą i ciałem. Proszę to zapamiętać, panie... nieważne, jak pan się nazywa, nie interesuje mnie to. Powtarzam, nigdy mnie do tego nie zmusicie, żadnymi sposobami. Nadal żądam natychmiastowego uwolnienia mnie stąd, z tej wyspy, bym mógł wyjechać do swego kraju. W przeciwnym razie sprawy przybiorą nieprzyjemny obrót. Jestem pewien, że mój rząd uczyni wszystko co możliwe, by zdemaskować tę kompromitującą was aferę, a wtedy zapłaci pan za to podwójnie!

Nigdy do tej pory Skribin nie powiedział tak wiele, ale dziś był wzburzony, dotknięty do żywego. Wega wysłuchał go w spokoju, zapalił papierosa, a gdy Skribin nie przestawał pełnym groźby tonem domagać się uwolnienia, odpowiedział sceptycznie:

— Niewątpliwie miałby pan rację, gdyby pan był dla swego rządu żywym człowiekiem. Skribin utkwiał w twarzy Wegi nic nie rozumiejące spojrzenie.

— Co chce pan przez to powiedzieć?

— To, że nie tylko dla swoich, ale i dla całego świata jest pan już w tej chwili jedynie oplakiwanym nieboszczykiem...

— Opowiada pan brednie! — przerwał mu Skribin.

— Ani trochę. Zaraz to panu udowodnię... Proszę! — Wega sięgnął w stronę wielkiego radiodbiornika, stojącego na stoliku i przekręcił tkwiący z boku jakiś kluczyk. Przez chwilę słychać było jedynie szumy i trzaski. Wtedy Wega zaczął manipulować gałką. Muzyka, jakaś mowa, śpiew przeplatały się z sobą. Nagle doleciały Skribina dźwięki znajomego języka. Spiker — Rosjanin mówił:

— „... był wielkim uczonym...”

Nagle głos urwał się. Wega przeprosił i szybko zaczął manipulować gałką aparatu. W ciszy pokoju znów rozległ się ten sam głos, teraz o wiele wyraźniej. Spiker czytał tekst wolno, podniosłym, poważnym tonem:

— „Inżynier Skribin pozostawił nam w spadku wielkie, lecz niedokończone dzieło, które podejmiemy za wszelką cenę. Umożliwi nam to posiadanie projektów a także fakt, iż wielki uczony omawiał każde zagadnienie z zespołem swoich współpracowników. Inżynier Skribin zginął, lecz żyć będzie jego dzieło, zrealizowane do końca przez jego kolegów”.

— Proszę przerwać tę prowokację! — wykrzyknął Skribin, zrywając się z fotela i

podbiegając do aparatu. — Pan konsekwentnie kontynuuje swój szantaż! To bardzo proste — nadawać z sąsiedniego pokoju takie zręcznie zmontowane historyjki!

Wega wstał również. Przekręcił gałkę i radio umilkło.

Zapanowała nieprzyjemna cisza. Przerwał ją pierwszy Wega:

— O dwunastej stacje telewizyjne rozpoczną transmisję z przebiegu uroczystości pogrzebowych nie tylko ku czci pańskiej osoby, ale i pańskiej córki — dodał chłodno Wega. — Mam nadzieję, tym razem uwierzy pan w autentyczność audycji! Zresztą, może pan przejrzeć jeszcze to!

Na małym biurku leżała sterta gazet i czasopism. Wega przerzucił je i podał niektóre Skribinowi. Skribin usiłował zachować spokój, lecz nie potrafił opanować lęku i serce biło mu jak młotem. Wśród wybranych przez Węgę pism były zarówno radzieckie, bułgarskie, czeskie, jak i angielskie i francuskie...! Rozłożył pierwszą, która wpadła mu w oczy. Od razu dostrzegł czarną, grubą obwódkę nekrologu, a obok zdjęcie swoje i Ani. Tłustym drukiem opisywano tragiczny wypadek... Skribin czytał artykuł półgłosem i dowiadywał się, że w ów pamiętny ranek jechał z Anią panoramiczną szosą nad morzem, zapewne na przejażdżkę. Z nie ustalonych do tej pory przyczyn samochód uderzył w przydrożny kamień zabezpieczający balustradę, wyłamał go i stoczył się w morze... Opublikowano również teksty depesz kondolencyjnych, które napłynęły z wszystkich krajów od rządów, instytucji, uczonych i partyjnych przywódców... z całego świata. Z najdrobniejszymi szczegółami podawano we wszystkich gazetach biografię wielkiego uczonego, a także krótki życiorys jego córki — zdolnego, młodego astronoma.

Skribin odsunął gazety, otarł pot z czoła i wykrztusił:

— Nie... To niemożliwe. Nie!

— Niestety, to prawda — odpowiedział obojętnym głosem Wega. — Łatwo uwierzyli w pańską tragiczną śmierć.

— Kiedyś znajdą samochód i odkryją, że nie ma w nim zwłok. Wtedy zrozumieją, co się stało i na pewno zostaniecie zdemaskowani!

Wega znów sięgnął ręką w kierunku sterty pism i podał Skribinowi inną gazetę. Skribin spojrzał na datę. Była to gazeta z datą drugiego dnia od ich porwania. Na pierwszej stronie publikowano zdjęcia jakiegoś rozbitego samochodu, wyciąganego z wody przez dźwig zamontowany na pływającej platformie.

— To pański samochód, a drzwiczki są otwarte — objaśniał Wega. — Waszych ciał nie znaleziono, ale prowadzi się jeszcze poszukiwania. Przypuszcza się, że zostały wciągnięte przez wiry wodne między skały. Ciał nie znajdują. I cóż im zostanie innego, jak pogodzić się z tym?

— Ale mój kierowca będzie świadkiem!

Wega nic na to nie odpowiedział. Bębnił palcami po blacie biurka i uśmiechał się.

— Dlaczego teraz pan milczy? — zapytał Skribin. — Gdzie jest mój kierowca?

— Nie wiem — skłamał Wega, układając gazety w równy stos. — On również zniknął.

— Zniknął czy został zamordowany? Proszę powiedzieć prawdę! — Jakies podejrzenie zaczęło się rodzić w umyśle Skribina. Lecz Wega patrzył mu śmiało w oczy. Spojrzenie nie było pozbawione bezczelności.

— A jeśli on dopomógł nam w porwaniu pana, za odpowiednim, oczywiście, wynagrodzeniem?

— Nigdy w to nie uwierzę!

Wega wzruszył ramionami.

— Zostawmy jego osobę w spokoju, panie Skribin — powiedział pojednawczym tonem. — Jest pan zatem dla całego świata już tylko umarłym, któremu oddaje się należną cześć. Nic panu już nie pomoże i nic nie odmieni pańskiej sytuacji. Trzeba przygotować się do rozpoczęcia nowego życia! Najpierw odwiedzimy naszą sztuczną planetę, na której prze-

bywają nasi najwybitniejsi specjaliści. Pan zostanie mianowany ich szefem. I zbuduje pan jeszcze piękniejsze, jeszcze bardziej fantastyczne miasto w kosmosie, a potem inne miasta! Wiele miast! Razem opanujemy wszystkie planety!

Skribin zdawał się tego nie słyszeć. Patrzył w okno, jakby słowa Wegi nie były skierowane do niego.

— A pan osobiście zyska pozycję najbardziej poważanego i bogatego człowieka w Zjednoczonych Państwach Zachodniej Półkuli! — zakończył uroczyście Wega.

— To nigdy nie nastąpi, proszę to sobie dobrze zapamiętać — nawet za cenę mego życia! Nigdy!

„Nie!”

— Chodźmy na spacer, Aniu — zaproponował Skribin, otwierając drzwi.

Ania siedziała na kanapce pod oknem i przeglądała jakiś magazyn. Na widok ojca poderwała się przestraszona, odrzuciła czasopismo i zapytała szybko:

— Co się stało? Jesteś taki bladzi i roztrzęsiony!

— Nic — odpowiedział Skribin. — Wyjdźmy stąd!

Do dyspozycji Ani oddano szafę pełną sukienek, kostiumików i wszelkich dodatków do nich — wszystko, czego potrzebuje i o czym marzy każda młoda dziewczyna. Lecz Ania nawet nie przymierzyła drogiej i eleganckiej odzieży. Co dzień wkładała te same, własne niebieskie spodnie i żółtą bluzeczkę. W tym ubiorze również wyglądała elegancko, zgrabnie i poważnie.

Nikt nie zatrzymał ich przy wyjściu. Ale odwracali się ciągle z niepokojem, obserwując, czy ktoś ich nie śledzi. Nie zauważyli niczego podejrzanego. Codzienny, niezmienny rytuał od przyjazdu na wyspę. Nikt nie zabraniał im spacerów, mogli nawet odbywać dłuższe wyprawy w dowolnym kierunku, a nawet rozmawiać z mieszkańcami wyspy (byli to przeważnie młodzi mężczyźni, najczęściej w mundurach, którzy zapytywani o nazwę wyspy, o jej specyfikę, czy też o sposób wydostania się z niej, nieodmiennie odpowiadali wzruszając ramionami: „Niestety, nic nie wiem”).

— Pan pracuje tutaj? Czyli jest pan również na usługach tej bandy, która nas porwała. Doskonale pan o tym wie! — mówił zaczepnie Skribin, pragnąc wciągnąć rozmówcę w sprzeczkę.

Lecz ten odpowiadał zazwyczaj obojętnym tonem:

— Jestem na służbie i wykonuję tylko rozkazy.

Dziś szli sami polami. Ale Skribina nie opuszczało odczucie, iż pilnie śledzą ich czyjeś oczy. Spotkany patrol maszerował w pewnym oddaleniu, ale dostrzegłszy wysoką sylwetkę Skribina, żołnierze zaszalutowali z szacunkiem. Skribin odwrócił głowę. Po chwili dopiero, gdy zauważył, że w promieniu stu metrów nie widać ani jednego człowieka, powiedział do Ani:

— Aniu, kochanie, chcę, abym oddał im plany kosmicznego miasta i sam kierował jego budową w kosmosie! Proponują mi fantastyczne warunki.

— Co im odpowiedziałeś?

Skribin skrzywił się. Pytanie dotknęło go. Sądził, że córka nie ma żadnych wątpliwości. Odparł:

— Uważasz, że jestem zdolny do prowadzenia z nimi pertraktacji na ten temat?

— Jestem pewna, że nie — odpowiedziała Ania i przytuliła się do ojca.

Spacerowali jeszcze chwilę po łące. Ania zerwała kilka kwiatków i napawała się ich zapachem.

— Ale muszę ci powiedzieć coś jeszcze straszniejszego! Niewiarygodnego i oburzającego — ciągnął Skribin.

Ania zamarła i przestraszona wpatrywała się w ojca. Oczy jej zwilgotniały.

— Zabiją nas? — wyszeptała blednąc. — Jeśli się nie zgodzisz, zabiją nas? Dobrze. Umrzemy... Nie boję się... Umrzemy...

Skribin przytulił do swego policzka twarz Ani, a potem popatrzył w jej łagodne oczy. Takie same oczy miała jego żona. Głos zdrzął mu ze wzruszenia.

— Nie, moje dziecko. Jesteśmy dla nich oczkiem w głowie. Ale dla naszych, niestety, nie ma nas już wśród żywych.

— Jak to? — zapytała Ania.

Skribin milczał. Nie wspomniał ani słowem o transmisji telewizyjnej, aby jej jeszcze bardziej nie przygnębić. Sam zresztą nie bardzo wierzył w jej autentyczność. Na pewno przedstawią mu kiepski montaż kilku fałszywych obrazów telewizyjnych. Lecz gdy ujrzał na ekranie żałobny wiec i słuchał przemawiających na nim, był wstrząśnięty. Oto Plac Bohaterów w Kosmogrodzie. Trybuna. W wielkie święta narodowe stał tu nieraz razem z oficjalnymi gośćmi. Rozpoznał zgnębiającą twarz Aleksandra Pawłowicza, dojrzał również swoich asystentów, współpracowników, inżynierów, robotników... Potem transmitowano wiec w podziemnych fabrykach. Robotnicy zebrali się na żałobny miting. Pod Skribinem ugięły się kolana, gdy zobaczył w oczach niektórych łzy. Nawet portier-kaleka bez ręki stał przy swej budce i płakał...

Nie, to nie był montaż!

Gdy spotkał się później z Anią, powiedział jej:

— Aniu, w Kosmogrodzie uwierzyli, że zginęliśmy w katastrofie — i opowiedział wszystko, co widział na ekranie telewizora. Był wzburzony, zaciskał gniewnie pięści, oddychał szybko, a słowa wydobywały się z jego gardła chrapliwe i urywane. Lecz był bezsilny...

— Tatusiu! — powiedziała Ania. — Nigdy nie zgodzisz się na ich warunki, prawda?

— Nigdy! — zabrzmiało jak przysięga.

— Nawet jeśli zagrożą nam śmiercią?

Skribin milczał. A potem cicho powiedział:

— Śmierć... Nie, ty nie możesz umrzeć. Lecz jeśli mnie dadzą do wyboru, nie zmienię swej decyzji.

— O tatusiu, dumna jestem z ciebie!

Oparła głowę na jego ramieniu i zamyśliła się.

Skribin zapatrzył się przed siebie. Patrzył na wschód. Tam co dnia wstawało słońce. Wschód — ziemia światła. A tu, w tym podzwrotnikowym kraju było mu chłodno i samotnie. Osamotnienie dręczyło go do bólu. Nie umiał żyć w oderwaniu od ukochanej pracy, ludzi, z którymi spędził tyle bezsennych nocy nad projektami, i z dała od ojczyzny, gdzie się urodził, uczył, budował, marzył, a wieczorami powracał zmęczony do najukochańszej istoty na świecie — do swojej córki. Teraz ona mówiła o śmierci. A była młoda i radowała się życiem. Jeszcze nie zaznała w ogóle życia. Marzyła o odkrywaniu nowych światów, nowych gwiazd i planet, a nawet o lotach na nie...

— Aniu — powiedział Skribin, i głos mu się załamał — nie chcę, aby cię zabili. Nie dopuszczę do tego!

Ania patrzyła w ziemię, wzruszona, oddychała szybko.

— Twój honor droższy jest mi od życia, tatusiu — powiedziała cicho.

— Proszę przygotować swoje bagaże! Jutro o świcie ruszamy w drogę — powiedział posługacz i zabrał się do sprząwania ze stołu brudnych naczyń.

Skribin i Ania zjedli przed chwilą kolację, a teraz pili kawę. Wiadomość zaskoczyła ich.

— Dokąd jedziemy? — zapytał Skribin.

— Nie wiem, mister. Rozkazano mi jedynie przekazać państwu tę wiadomość.

— Dziękuję. Jest pan wolny.

Zostali sami na tarasie. Dokuczliwy skwar za dnia ustąpił teraz przyjemnemu, orzeźwia-

jącemu chłodkowi. Omawiali oczekującą ich podróż i zastanawiali się nad jej celem. Dokąd ich zawiozą? Może na kontynent, przed oblicze szefa Wegi? Skribin czekał na okazję powiędzenia mu, co o nim myśli i wyrażenia swego protestu wobec tego rodzaju postępowania.

— Dlaczego nie dopuszczasz drugiej możliwości, tatusiu? — zapytała Ania.

— Jakiej?

— Może zdecydowali się odwiedzić nas do kraju?

— To wydaje mi się mało prawdopodobne, kochanie...

Rankiem posługacz zjawił się w towarzystwie tragarza i poprosił Skribina i Anię o wydanie bagażu. Ania ostentacyjnie zdecydowała się nie brać nic z rzeczy zostawionych jej niedawno do dyspozycji, lecz Skribin zmusił ją do zapakowania w dwie walizki najniezbędniejszej odzieży i przyborów.

Gdy zjedli śniadanie, zjawił się jakiś oficer i trzasnąwszy obcasami przedstawił się jako przydzielony im na czas podróży towarzysz.

Na dole czekał już samochód.

Jechali prosto szeroką, asfaltową szosą. Port i zabudowania zostały daleko za nimi. Szybko przemknęli obok poligonu raketowego, gdzie trzy potężne rakiety tkwiły nieruchomo w stalowych wieżach, oczekując na lot. Skribin spodziewał się, że tu właśnie zatrzymają się — i bardzo się zdziwił, gdy poligon pozostał daleko w tyle.

— Sądziłem, że odbędziemy podróż samolotem — zagadnął oficera siedzącego obok kierowcy.

— Ma się rozumieć — odpowiedział oficer.

Prosta szosa, wytyczona dwoma rzędami drzew, biegła teraz górzystym terenem. Skribin od dłuższego już czasu zastanawiał się, czy nie ulega złudzeniu, widząc jak jej błękitnawoszara wstęga wiję się wokół stoku i urywa u szczytu. Nagle olśniony jakąś myślą, nachylił się ku Ani i szepnął jej do ucha:

— Ależ to estakada! Teraz rozumiem wszystko.

— Polecimy raketoplanem?

— Tak, po estakadzie!

Ukazały się wreszcie wyraźnie stalowe szyny, wsparte mocno na betonowych słupach. U podnóża góry wznosiło się kilka budynków — czworokątnych, wielokątnych, okrągłych, o kopulastych dachach, niektóre bez okien, inne z szerokimi tarasami. Dwa z nich miały długość około stu metrów, a wysokość ich dochodziła do osiemdziesięciu a może nawet stu metrów. Ogromne drzwi zamykały wejścia do hangarów. Obok wysoka wieża wznosiła się nad zabudowaniami ostrym wierzchołkiem, na którym lśniły szkła potężnej latarni.

Na dwu szynach, spojonych cementowym podłożem, stał gigantyczny samolot o dziwnych kształtach. Właściwie były to trzy jednakowe, różniące się jedynie wielkością maszyny latające, coś pośredniego między samolotem a rakieta, ustawione jedna na drugiej. Razem wysokość ich wynosiła ponad czterdzieści metrów, a długość dolnej części, na której wspierały się dwie pozostałe, wynosiła około osiemdziesięciu metrów. Wprost trudno było uwierzyć, że ten pokraczny stwór — ciężki, zakuty w błyszczący pancerz, może wznieść się w powietrze. Skrzydła niemal na całej długości połączone z kadłubem raketoplanu tworzyły formę trójkątów. Z przodu — wąskie i ostre jak brzytwy, a z tyłu — szerokie.

Był to pojazd przeznaczony do lotów w kosmosie i do lądowania na planetach posiadających atmosferę. Dolny raketoplan, nabierając stopniowo szybkości wznosił dwa pozostałe w najniższe warstwy atmosfery, dwadzieścia kilometrów nad Ziemię. Wtedy zaczynały pracować silniki raketowe drugiego raketoplanu, a nośny powracał na Ziemię. Drugi raketoplan wznosił najmniejszy na wysokość sześćdziesięciu kilometrów z szybkością od sześciu do siedmiu tysięcy kilometrów na godzinę po krzywej stopniowo wznoszącej się coraz wyżej. Kiedy następowało oddzielenie się drugiego członu, rozpoczynały pracę potężne silniki trzeciej części. Te rozwijały szybkość rzędu dziesiątek tysięcy kilometrów na godzinę.

— Tatusiu, dokąd polecimy? — zapytała zaniepokojona Ania.

Skribin nie zdążył odpowiedzieć, bo samochód nagle zahamował, zatrzymany przez jakiegoś człowieka. Był to Wega — jak zwykle ubrany z wyszukaną elegancją, z miną człowieka mającego wszelkie powody po temu, by czuć się najszcześliwszym z ludzi.

— Witajcie! — zawołał wesoło, kłaniając się. — Mam nadzieję, że nie spotkały was żadne przykrości?

Skribin wyszedł z wozu i chłodno zapytał:

— Dokąd odlatujemy?

— Dowie się pan w drodze — odpowiedział powściągliwie Wega.

— Nie, muszę wiedzieć teraz! W przeciwnym razie pozostaniemy tutaj!

Wega wzruszył ramionami, a potem, po chwili wahania przypomniał:

— O ile pamiętam, prosił mnie pan o umożliwienie rozmowy z kimś bardziej odpowiedzialnym ode mnie?

— Tak!

— W porządku! Chcę właśnie zawieźć pana do niego.

— Gdzie jest ten człowiek?

Wega znów się zawahał, a potem śpiesznie poinformował:

— Przed tygodniem odleciał na Księżyc.

— I my mamy polecieć za nim?

— Pan sam o tym zadecyduje, panie Skribin!

Ania szarpnęła ojca za rękaw i spojrzała na niego błagalnie. Skribin zrozumiał.

— Nie polecimy! — oświadczył.

— Lecz chciał pan...

— Nie polecimy na Księżyc! — powtórzył dobitnie Skribin. — Domagam się natychmiastowego uwolnienia. Proszę to zakomunikować swoim zwierzchnikom. Żądam od nich, by natychmiast odesłali nas do kraju.

Mówił to spokojnie lecz stanowczo. Ani jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy. To Skribin był tutaj tym, który żądał, który rozkazywał.

Wega palił papierosa i milczał. Wreszcie powiedział:

— W porządku!

Przywołał oficera i rozkazał:

— Odwieźć z powrotem! Wykonać rozkaz!

Oficer zsalutował i otworzył drzwiczki samochodu.

Przez całą drogę Ania ścisnęła rękę ojca. Nie umiała ukryć swej radości.

— Widzisz? Odeślą nas — szepnęła. — Tatusiu, czy oni naprawdę nas uwolnią?

— Zobaczymy — odpowiedział Skribin zamyślony.

Zatrzymali się przed jakimś budynkiem, podobnym do stojącego pudełka zapalek. Nie było widać żadnych tarasów ani innych wypukłości. Tylko gładkie ściany o szerokich oknach.

— Proszę! — powiedział oficer otwierając drzwi samochodu.

Winda szybko zawiozła ich na górę. Gdy zapaliła się zielona lampka sygnałna, oficer wprowadził Skribina i Anię do przestronnego hallu i otworzył drzwi do jakiegoś pokoju.

— Proszę zaczekać chwilkę w tym gabinecie...

Pokój był nieduży lecz urządzony nader gustownie: kilka miękkich foteli, stolik z gazetami i czasopismami, w kącie radio oraz telewizor. Światło padało z białego sufitu. Pokój nie miał okna, a mimo to powietrze było w nim rześkie, świeże i przyjemne.

Oficer zsalutował i wyszedł.

Kiedy zostali sami, Skribin powiedział:

— Usiądź, moje dziecko.

— Dlaczego przyprowadzono nas tutaj? — zapytała Ania.

— Dowiemy się za chwilę. Usiądź. Przejrzyj czasopisma, może znajdziesz w nich

jakieś nowe szczegóły naszej rzekomej śmierci.

Skribin również sięgnął po gazetę. Ania przerzuciła kilka stron.

— Mam! — zawołała wskazując zdjęcie z uroczystości pogrzebowych. Około trzydziestu osób zebrało się w jakiejś okrągłej sali. Na trybunie stał jakiś młody człowiek. Na ścianie nad jego głową widać było portret Skribina.

— To Angiełow — przyjrzała się bliżej Ania. — Tatusiu, to twój asystent, ten sympatyczny Bułgar z Perłowej Gwiazdy.

Skribin wziął z jej rąk gazetę. Rzeczywiście... Wiec na sztucznej planecie. Poczuł, że jakaś mgła przesłania mu wzrok, lecz nie wypadało... nie wypadało przecież płakać w obecności Ani. Zapanował nad wzruszeniem i znów zajął się lekturą.

Ania, nieco zmęczona, odezwała się po chwili:

— Tatusiu, jestem senna... okropnie chce mi się spać!

Skribin z pewnym wysiłkiem odwrócił ku niej głowę. Dziwne! Jemu również chciało się spać. Starał się nie zamykać oczu, ale powieki opadały same, niesamowicie ciężkie. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie miał siły. Coraz mocniej ogarniało go przyjemne uczucie senności. Skłonił głowę na oparcie fotela. Jego córka spała już spokojnym, głębokim snem...

Lecimy na Księżyc!

Pierwsza zbudziła się Ania.

Czuła się nienaturalnie lekko i dziwnie błogo, jakby znajdowała się w górach na polance pełnej kwiatów, których zapach przywraca jej siły i zdrowie. Nie umiała sobie tylko wytłumaczyć towarzyszących temu dolegliwości żołądkowych.

Dostrzegła ojca, wygodnie rozpartego w fotelu. Jeszcze spał. Twarz rozpogodziła mu się we śnie. Oddychał spokojnie. Przypomniała sobie, że przed chwilą oglądała gazetę ze zdjęciami z żałobnego wiece na Perłowej Gwieździe. Lecz gazeta zniknęła. Nie było również stolika, na którym leżała.

Ania rozglądnęła się ciekawie. Dziwne, pomieszczenie, w którym się znajdowała, było o wiele mniejsze od tamtego pokoju, do którego weszła z ojcem. Przed nią stał fotel, ale pusty. Wszystko — podłogi, półkoliste ściany, sufit przypominało lekko zaokrągloną kopułę, wyłożoną wewnątrz jakimś zielonego koloru tworzywem. Dwa niewielkie kinkiety w kształcie muszli rzucały łagodne światło. Panowała niczym nie zmacona cisza. Ale cisza ta miała w sobie coś niesamowitego. Nie brzęczała mucha, nie było słychać nie tylko ptasiego świergotu, ale nawet własnego oddechu. Ania poszukała wzrokiem okna. Ale na jednej ze ścian dostrzegła tylko lśniący jak polerowane szkło okrągły otwór, przez który widać było rzucony na ciemne tło bezlik kolorowych świateł — niebieskawych, żółtych, czerwonych, większych i mniejszych, świecących różnym blaskiem. Wyglądały jak okrągłe, rozrzucone wokół szczerą ręką, złote monety.

Ania zdecydowała się podejść do ojca i zbudzić go, lecz gdy tylko dotknęła podłogi, jakaś tajemnicza siła wyrzuciła ją pod sufit. Uderzyła weń głową, a odbiwszy się poszybowała w powietrzu z rozłożonymi bezradnie rękami i nogami. Unosiła się lekka jak piórko, próżno usiłując spłynąć na ziemię. Zrozumiała, że znalazła się w stanie nieważkości. Lecz o dziwo, wszystkie sprzęty w pokoju — stół, fotele, nawet szereg tubek położonych na małej półeczce, przyrządy toaletowe, patera z owocami — wszystko tkwiło nieruchomo w miejscu. Jedynie ona bezradnie i śmiesznie wisiała w powietrzu. Jak długo jeszcze ojciec będzie spał tak spokojnie? A poza tym przecież on również powinien podlegać prawu bezwładności?

Zawołała:

— Tatusiu! Tatusiu!

Głowa Skribina opadła na drugie ramię, by za chwilę powoli podnieść się. Coraz szerzej otwierały się oczy zdumionego Skribina:

— Coś podobnego! Zaspałem... Ale spałem cudownie!

Wtem zauważył Anię, zawieszoną jak ptak w powietrzu. Zerwał się z fotela i zadartszy głowę w górę zawołał:

— Co się z tobą dzieje, Aniu?

Ania oczekiwała, iż ojciec również zaraz uniesie się w powietrze, lecz Skribin mocno stał na nogach. Spoglądała na niego niedowierzająco, z uczuciem zawodu. Wtem ojciec podniósłszy się na palce, dotknął ręki Ani i przyciągnął ją ku sobie. Ania lekko niczym ptak opadła na podłogę i dopiero wtedy dostrzegła na nogach ojca dziwne pantofle. Były ze skóry, lecz ich mocno zaokrąglone nosy i grube podeszwy miały kolor metaliczno-olowiany. Podobne pantofle stały obok jej fotela. Poprosiła ojca, aby pomógł jej się obuć.

Skribin schylił się. Pantofle ciążyły, jakby były z żelaza i Skribinowi z niemałym trudem udało się wreszcie oderwać je od podłogi, lecz gdy tylko uniósł je nieco wyżej, od razu stawały się lżejsze. Włożone na stopy Ani znowu nabrały ciężaru.

Ania stanęła mocno na podłodze i nagle spojrzawszy w iluminator wykrzyknęła:

— Lecimy! Spójrz na niebo, tatusiu! Lecimy!

— Wiem — burknął Skribin. — Przenieśli nas do raketoplanu, no i lecimy... coraz szybciej! Jak śmieli!

Zaczął walić pięściami w drzwi, lecz grube obicie tłumiło wszelkie odgłosy.

— Co teraz zrobimy? — zapytała Ania.

— Nie martw się, na pewno coś wymyślimy.

Pod iluminatorem tkwił w ścianie biały guziczek. Skribin nacisnął go i nad drzwiami zapłonęło zielone światełko.

W pokoju rozległ się głos:

— Słucham pana!

— Kto jest dowódcą raketoplanu? Niech natychmiast tu przyjdzie! W tej chwili! — domagał się Skribin.

Głos odpowiedział:

— Proszę bardzo.

Zielone światełko zgasło. Ania podeszła do iluminatora. Jej oczom ukazał się urzekający obraz. Wielka, niebieskozielona tarcza, podobna do największej areny cyrkowej, otoczona aureolą puszystego blasku, przesłaniała niebo. Migotliwe, efektowne niebieskie i zielone barwy stopniowo ciemniały, a u góry niemal całkowicie zlewały się z czernią tła.

— Tatusiu, przecież to Ziemia! — wykrzyknęła Ania.

Skribin przyjrzał się bacznie. Widok ten oglądał już z Perłowej Gwiazdy, a także z raketoplanów, którymi udawał się na Księżyc. Ale dziś urzekający obraz nie cieszył jego oka. Co chwila odrywał się od iluminatora i przemierzał po raz nie wiadomo który pokój, w którym się znajdował. Ania stała z czołem przyklepionym do iluminatora — zupełnie zapomniała o własnej przymusowej sytuacji i nie odrywała oczu od niecodziennego widoku. Ziemia oddalała się z każdą minutą i szybko pograżała gdzieś w bezkresie, oświetlona jaskrawym światłem słonecznym. Białe, puszyste kłęby — domyśliła się, że to obłoki — płonęły również oślepiającym blaskiem. Rozległe, gładkie zielone plamy zajmowały coraz większą przestrzeń błyszczącej tarczy. Były to oceany. Wyraźnie rysowały się również kontury kontywentów. Widać było nawet poszarpane linie brzegów. Oto wydatny nos Francji, a nad nim dwa małe ziarenka — jedno nieco większe od drugiego — ziemie Anglików i Irlandczyków. Oto but Włoch. Obok półwysep Bałkański usiłuje poprzez Morze Śródziemne dotknąć swym końcem żółtozielonego brzegu Afryki. Nagle wzruszenie przesłoniło mgłą jej oczy. Tam

przecież była jej ojczyzna — Bułgaria, tam gdzie wznoszą się Rodopy, Riła, Pirin, odwieczny Bałkan, a pola przypominają niekończące się ogrody, pełne dorodnych drzew owocowych i zbóż. A może ten maleńki punkcik, który zdaje się dostrzegać w tym miejscu Ania, to właśnie jej rodzinne miasto — Sofia?

Spojrzała w prawo. Azjatycki kontynent powoli tonął w mroku. Na lewo krzywa linia zakreślała wschodnie wybrzeża obu Ameryk. A na północy srebrzysty kołpak — biegun. Lecz najpiękniejsze były błękitnawe potoki światła, o rozmaitej intensywności blasku, jakby wytryskujące z powierzchni Ziemi. Była to atmosfera ziemska, migocąca jak gigantyczna korona. Ponad nią był już tylko mrok, rozświetlony tu i ówdzie krążkiem żółtej, niebieskiej lub czerwonej gwiazdy. Oto daleko w tyle za Ziemią zaczyna rosnać na czarnym tle złocisty punkcik. Wziął się nie wiadomo skąd, a teraz szybko rośnie.

— Tatusiu, spójrz, Księżyc! — zawołała Ania.

Zapomniała, gdzie się znajduje. Jej twarz, gesty, głos wyrażały jedynie radość. Lecz po chwili oprzytomniała i ucichła speszona zauważywszy, że otwarto się drzwi. W progu stał młody człowiek o bladej twarzy i dziwnie płonących oczach. Ubrany był w białe spodnie i białą koszulę. On także nosił na nogach zbawcze pantofle. Był wyraźnie zmieszany. Jego spojrzenie było nieuchwytnie, wędrowało gdzieś ponad głowami Skribina i Ani.

— Zdaje się, że skądś pana znam — powiedziała Ania. — Tak, na pewno widziałam już pana...

Nie dokończyła, gdyż wtrącił się Skribin:

— Pan jest tym fałszywym kierowcą, nieprawdaż? Współpracownik rzekomego inżyniera!

Braun zaczerwienił się jak chłopak. Nie wiedział, co począć z rękami. Wepchnął je do kieszeni spodni, potem znów je wyciągnął, po chwili nerwowo poprawiał kołnierzyk koszuli. W końcu cichym głosem odpowiedział:

— To było wbrew mojej woli.

— Wzruszające tłumaczenie! — złośliwie zauważył Skribin.

— Ależ, doprawdy... — z żarem przekonywał Braun i Ania wyczuwała w jego słowach szczerłość. — Byłem zmuszony... proszę mi wierzyć! Bardzo wam współczuję, lecz nie mogłem inaczej postąpić. Teraz już za późno... Nie mam okazji zmyć swej winy! Postaram się jednak zapewnić państwu wszelkie możliwe wygody.

Skribin zawahał się w ocenie Brauna, który tak szczerze przyznawał się do winy. A może tylko potrafił zręcznie się maskować?

Postanowił poddać go próbie. Zapytał:

— Co stało się z moim kierowcą?

Żrenice Brauna rozszerzyły się, jego oddech stał się przyspieszony. Ręce również drżały mu jak w febrze.

— Mister Wega... nic panu nie powiedział?

— Nie.

— Lecz czytał pan przecież gazety...

— Nie wszystkie. Zresztą nie chciałem — odparł Skribin. Spodziewał się niedobrej nowiny. — Gdzie zatem jest mój kierowca?

— Powiem panu, co się z nim stało. Ale proszę mi przyrzec, że mister Wega nie dowie się o tym. To okrutny człowiek. Wtedy też zapowiedział, żeby dokładnie zatrzeć za sobą ślady...

— Proszę wyrażać się jaśniej!

Braun zaczerpnął tchu i cicho wyszeptał:

— Szofer utonął wraz z samochodem...

— Zamordowany? — wykrztusiła Ania.

Braun spoglądał na czubki swych pantofli i milczał. Wstrząśniętemu Skribinowi opadły

ręce. Ania z czołem opartym o ścianę płakała cichutko. Skribin pogłaskał ją po włosach.

— Aniu, nie rozpaczaj, nie pomoże już płacz — pocieszał ją smutno, a potem zwrócił się do Brauna, który nie ukrywał wyraźnej skruchy i żałości.

— Dla mnie jest pan równie bezwzględny opryskiem jak ten drugi.

— Ma pan prawo tak mnie nazwać... Postąpiłem podle! — przyznał Braun. — Lecz gdyby pan wiedział... gdyby pan wiedział...

Urwał, jakby przestraszony, że powiedział zbyt wiele. Podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał na korytarz. Po chwili znów wrócił do Ani i Skribina.

— Wiem, że nie pomogą moje żale i usprawiedliwianie się. Chciałbym jednak jakoś naprawić zło, które wam wyrządziłem. Od dzisiaj będę zawsze na wasze usługi!

— Szklankę wody! — zażądał oschle Skribin.

Braun zdjął z półki jakąś przezroczystą tubkę i podał Skribinowi. Skribin pociągnął łyk z rurki sterczącej u górnego końca tubki, a potem powiedział:

— W porządku! Skoro odpowiada panu rola skruszonego grzesznika, proszę powiedzieć mi, dokąd lecimy.

— Na Księżyc! — odparł bez wahania Braun.

— Tak przypuszczałem. Czy tam mieści się sztab pańskich pracodawców?

— Na Księżycu znajdują się inżynierowie i uczeni. Podobno tak przyśpieszono prace, że na dwa tygodnie odwołano loty na Ziemię. Więc Stary kazał zawieźć was na Księżyc.

— Jaki Stary?

— Nie znam go osobiście. Wiem tylko, że Stary to bardzo wpływowa osobistość i bogaty człowiek... nic więcej o nim nie wiem, ale Wega podporządkowuje mu się bez szemrania.

— A, Wega. Poznałem i tego typka. Mam nadzieję, że tu już go nie spotkamy!

— Niestety, i tu go pan spotka. Jest tutaj szefem i wszyscy musimy wypełniać jego rozkazy!

— Do diabła! — zaklął Skribin.

Założył ręce z tyłu i nerwowo przemierzał pokój.

Ania przestała płakać. Obserwowała Brauna, który pod jej wzrokiem poczuł się znowu skrzepowany i onieśmielony.

— Powiedział pan, że wplątał się pan w to towarzystwo przypadkiem? — zapytała. — Załóżmy, że tak było, że mówi pan prawdę. Czy wobec tego podjąłby się pan wyświadczenia nam pewnej przysługi?

— Tak — zgodził się bez wahania Braun. Ale Skribin machnął ręką, a gest ten wyrażał rezygnację z podejrzanej gotowości młodzieńca.

— Nie, Aniu, nie trzeba, nie trzeba!

— Dlaczego, tatusiu? Niech nas przekona — i znowu zwróciła się do Brauna. — Czy mógłby pan przekazać na Ziemię, dokładnie do Sofii lub Moskwy, albo do Berlina czy też Kosmogrodu, obojętne... wiadomość, że jesteśmy zdrowi i cali? I że zostaliśmy porwani na Księżyc? Czy odważy się pan to przekazać?

Braun podniósł wzrok na Anię. Spojrzenie jego mówiło, że gotów jest spełnić każdą jej prośbę.

— Jeśli tylko będzie to możliwe — przekażę!

— Jeśli będzie możliwe... Hm! A dlaczego nie jest możliwe zaraz?

— To dosyć trudne... niemal niemożliwe. Przede wszystkim nie umiem posługiwać się aparaturą radiową, ale od dziś będę bacznie obserwował naszego radiotelegrafistę, a potem spróbuję. Choć zdaję sobie sprawę, że gdy odkryją to, zabiją mnie. Nich tam... I tak nie mam przed sobą zbyt długiego życia.

— Dlaczego? — zapytała Ania, nie mogąc jednocześnie opędzić się myśli, iż człowiek ten na pewno jest chory.

Braun uśmiechnął się smutno i nic nie odpowiedział.

Chwilami Ania, zapomniawszy o okolicznościach swego pobytu w rakiecie, radowała się, że spełniło się jej najskrytsze marzenie — lot na Księżyc.

Tylko Skribin nerwowo zaciągał się dymem papierosa, siedząc w ponurym nastroju naprzeciw iluminatora i obserwując, jak pośród oceanu miliona gwiazd, gęsto posianych jedna obok drugiej, wynurza się ogromna płonąca kula, świecąca oślepiającym światłem. Z jej powierzchni unosiły się drgające słupy ognia, przypominające wrzące, ciekłe żelazo. Co chwila wybuchały i opadały ognistymi strzępami w dół. Po chwili znów od nowa poczynały wznosić się w górę i pęcznić.

Wschodziło słońce.

Wolno toczyło się po czarnym sklepieniu. Z Ziemi nigdy nie wydawało się tak rażące, nie było też widać złocistej aureoli, otaczającej je drgającymi, ognistymi językami.

Skribin patrzył na niezwykle zjawisko, lecz myślał o Księżycu. Tak, może to nawet lepiej, że lecą właśnie na Księżyc — bliżej swoich. Na Księżycu Związek Socjalistycznych Republik zbudował stację dla obserwacji gwiazd, planet i asteroidów, wyposażoną w niezwykle silny teleskop, pozwalający na nieporównalnie silniejsze powiększenia niż było to możliwe z Ziemi — z dna jej atmosfery. Stacja posiadała również doskonałe radioteleskopy. Obecnie znajdowali się tam już geolodzy, którzy rozpoczęli badania pokładów rud i minerałów tego martwego ciała niebieskiego. W tym celu niezbędne było również wybudowanie na Księżycu pól startowych dla rakiet i lotnisk raketoplanów. Podobne inwestycje czyniły zresztą również wielkie firmy kapitalistyczne. Skribin cieszył się, że zwiększa się szansa powiadomienia przyjaciół o swoim losie.

Wiele lat minęło już od chwili, gdy pierwszy człowiek poleciał w kosmos. Był to Jurij Gagarin, a jego statek zwał się „Wostok-1”.

Po jakimś czasie nowa wieść rozeszła się lotem błyskawicy po całej Ziemi: w kierunku Księżyca leci rakieta z pojemnikiem, w którym zamontowano między innymi kamerę telewizyjną, która ma transmitować obraz Księżyca.

I wtedy ujrzała ludzkość księżycowy krajobraz: skały, przepaści, wąwozy, wielkie, szare, o dziwacznych kształtach bloki skalne, nagromadzone w przeciągu milionów lat — milczący, oświetlony ostrym światłem świat. Blask potęgowała jeszcze kontrastowa czerń, otaczająca zewsząd Księżyc. Przekazywany obraz był płaski, jakby nakreślony żółtym i czarnym tuszem. Oko nie dostrzegało żadnej roślinności, żadnego ruchu — ani jedno zwierzę, ani jeden owad nie przeleciał przed kamerą. Ludzie z niedowierzaniem wpatrywali się w ekrany telewizorów — zbyt obcy był im ten pejzaż.

Minęło kilka miesięcy. I znów nowa rewelacja: dwóch amerykańskich kosmonautów wylądowało na Księżycu. W Moskwie zwołano międzynarodową konferencję, która uchwaliła, że wszystkie ciała niebieskie, które odkryje człowiek, stają się własnością całej ludzkości.

Wkrótce i inne statki rozpoczęły loty na Księżyc. Mówiono już o lotach na Marsa i Wenus. Nie minęło nawet dziesięć lat, a już pierwsze rakiety lądowały na martwym Marsie, a także przybliżyły się do Wenus — okrążyły ją, lecz nie odważyły się lądować, ponieważ otaczał ją pierścień gęstej pary, a ona sama zdawała się być pełnym ukropu kotłem.

W ciągu ostatnich miesięcy potężne rakiety towarowe wzmogły loty na Księżyc, przewożąc części metalowe potrzebne do budowy księżycowego miasta i pierwszej księżycowej fabryki, które mieścić się miały w wulkanie Eratosten. Nad budową rozpościerało się niebo na pozór niczym nie różniące się od ziemskiego, choć był to sztuczny twór wyprodukowany przez ludzi, ze szkła i mas plastycznych. Poszczególne warstwy przedzielały gazy, których zadaniem było regulowanie dopływu światła słonecznego w ilości i składzie odpowiadającym ziemskiemu. W księżycowym mieście najpierw osiedlają się inżynierowie, astronomowie, fizycy, lekarze, astronauty, geolodzy, technicy. Ludzie ci zbudują atomowe i przetwarzające energię słoneczną elektrownie oraz fabryki przeróbki rud. Odbierano już także z Ziemi i monto-

wano urządzenia do budowy fabryki produktów żywnościowych. To brzmiało niewiarygodnie. Fabryka żywności? A gdzie surowce — rośliny? Skąd je wezmą?

Projekt zakładał wyhodowanie drzew, kwiatów, a także pewnych gatunków zbóż w przestronnych szklarniach pod kopułami dającymi sztuczne światło i ciepło. Księżycowe miasto miało jednak liczyć bardzo wielu mieszkańców. Zapotrzebowanie na tłuszcze, białka, cukry będzie zatem ogromne. Chemicy uparli się, że otrzymają je z księżycowych minerałów. Projekt był fantastycznym zamierzeniem. Zakłady będą przetwarzały związki nieorganiczne w organiczne za pomocą światła słonecznego i sztucznego powietrza, nasyconego węglem i wodą.

Wodę będzie najłatwiej otrzymać — z kamieni, wodoru i tlenu. Nie, to nie była fantazja. Wszak w przyrodzie zachodzi ciągle ten sam proces: ziarna pobierają wodę z ziemi, a wraz z nią rozliczne minerały. Pod wpływem światła słonecznego roślina zamienia je na węglowodany, tłuszcze i skrobię. Kiełkuje, wypuszcza listki, rozwija się, kwitnie, owocuje, a człowiek zużywa jej owoc jako pokarm. A przecież wszystko, co owoc zawiera, pochodzi z tej czarnej gleby, w której wymieszane są minerały, z powietrza i wody, jak i z owego cudownego światła, które daje życie na całej Ziemi. Trzeba zatem jedynie powtórzyć ten naturalny proces w sposób sztuczny — spełnić te wszystkie warunki, a wtedy zaczniesz pracować dziwna fabryka, która przy pomocy najdoskonalszych urządzeń wydobędzie z martwych minerałów to, czego potrzebuje roślina.

Tę ogromną ilość surowca, bogatego we wszelkie niezbędne składniki, maszyny przetwarzają zarówno w ziarna zbóż i dojrzałe owoce, jak i w konkretne warzywa — zieloną paprykę, czerwone pomidory, cebulę, kapustę, arbuzy... z mieszaniny węglowodanów, białka, skrobi, tłuszczów, w proporcjach i gatunkach znanych w naturze.

Tak — żywność, woda, powietrze... te trzy składniki zapewnią życie na Księżycu, który przekształca ręce ludzkie w samowystarczalną bazę dalszych badań kosmicznych.

O tym myślał Skribin, zadając sobie jednocześnie pytanie: „A co budują na Księżycu Amerykanie?” Krążyły jakieś wieści, że montują tam urządzenia typu wojskowego. Ta przymusowa podróż rozbudziła jeszcze jego ciekawość. Ale najważniejsza była w tej chwili inna szansa.

— Czy nie sądzisz, Aniu — zapytał Skribin kładąc swą dłoń na książce, którą czytała córka — że na Księżycu prawdopodobnie uda nam się wydostać z niewoli?

— Myślałam o tym również. Ale jak nasi dowiedzą się o naszym przybyciu?

Skribin nie odpowiedział.

Za wcześniej było na zastanawianie się nad tym problemem. Może Braun, jeśli jest szczerzy, udzieli im pomocy? Okoliczności narzucają odpowiedni wariant działania. W każdym razie na pewno znajdzie się tam więcej możliwości połączenia się z ziemią poprzez rakiety, raketoplany, radio, telewizję...

— Tatusiu!

Skribin wolno odwrócił głowę w kierunku Ani.

— Wiesz, o kim myślę?

— Domyślam się...

— O tym Braunie. Wywarł na mnie korzystne wrażenie. Jestem teraz niemal zupełnie przekonana, że ten muzyk całkiem przypadkowo znalazł się wśród tej bandy.

— Możliwe — zgodził się Skribin.

— Ale gdzie on się podziewa? Nie zjawił się, gdy wołałam go przed chwilą, a zapewnił nas, że zawsze jest do naszej dyspozycji.

— Pójdę go poszukać — postanowił Skribin.

Prawdę powiedziawszy od dawna miał ochotę pomyszkować trochę po rakiecie, a teraz znalazł się doskonały pretekst.

Rakieta bez znaków

Obiad był obfity — zakąski, pieczeń cielęca, kotlety, po lampce wina, a na deser tort czekoladowy i winogrona. W ciasnej jadalni czwórka mężczyzn pochylonych nad stołem jadła z wielkim apetytem, jedynie Braun co chwila znikał w wąskich drzwiach kabiny, by po chwili wrócić z nowymi, pełnymi półmiskami.

— Rzuć no tu jednego przypalonego kotleta — żartował Robson — cholernie jestem dziś głodny.

Był to pierwszy pilot raketoplanu. Rosły, muskularny, o sportowej sylwetce, podkreślonej jeszcze obcisłymi spodniami i puszystym wełnianym swetrem ciasno opinającym jego pierś. Zadowolenie tryskało z jego twarzy. Zdawał się nie myśleć wcale o tym, że w tej chwili „Kosmos” leci bez jego kontroli. Ale raketoplan posłusznie podporządkowywał się automatom sterowniczym i Robson mógł całą uwagę skupić na jedzeniu.

— Na zdrowie — powiedział James, wznosząc do góry lampkę z winem.

Jego nalana twarz kolorem przypominała wino, którym wznosił toast. Otyły, niski, czterdziestoletni mężczyzna, był mechanikiem a zarazem asystentem Robsona.

Trzeci członek załogi — Jerry Gordon, najmłodszy i dlatego być może najbardziej łakomy, nie zwracał w tej chwili uwagi na kolegów. Pochłonięty całkowicie jedzeniem tylko od czasu do czasu obrzucał Węgę przelotnym spojrzeniem, w którym wyrażało się głębokie uznanie za zaopatrzenie „Kosmosu” w tak apetyczne pożywienie.

— A pan nie je? — zapytał Braun.

Wega, zamyślony, nie odpowiedział. „Goście”, jak ich nazywał, przysparzali mu niemało kłopotu. Nienawidził ich, ale miał obowiązek roztoczyć nad nimi najtroskliwszą opiekę, aby cali i zdrowi wylądowali na Księżycu.

— Słuchaj, Braun — odezwał się dopiero po chwili. — Tamci... jedli?

— Tak, mister Wega!

— Ale jak przyjmują jedzenie?

— Z wielkim apetytem! Może przynieść panu coś specjalnego? Skoczę i coś tam znajdę!

Braun przeciskał się już przez wąskie drzwi. Wega patrzył w stół, a po chwili wstał, odkładając z powrotem na talerz jedzenie. W milczeniu trącił się kieliszkiem z Robsonem, wołając jednocześnie w stronę drzwi:

— Nie trzeba, Braun! Przynieś tylko wodę sodową!

Braun nie odpowiadał.

Wega odkroił kawał pieczeni, przelknął i spojrzał na szklanę.

— Co z tą wodą sodową? — wrzasnął.

W uchylonych drzwiach nie pojawiła się jednak wysoka sylwetka Brauna.

— Hej, ogłuchłeś? — krzyknął Jerry.

Braun nadal nie odzywał się.

— Gdzie znowu zapodziała się ta oferta? — wściekał się Wega.

Wstał i poszedł w stronę kuchni. Ale kuchnia była pusta. Ponieważ jej drzwi były otwarte, Wega w pierwszej chwili pomyślał, że Braun jest u Skribina, ale przypomniał sobie, że w porze poobiedniej inżynier i jego córka zazwyczaj odpoczywają. Gdzież zatem może być ten Braun? Wega nigdy nie darzył go zbytnią sympatią, a teraz na „Kosmosie” wprost nienawidził tego wiecznie nachmurzonego milczka, który wyraźnie unikał rozmów, a jedyną przyjemność sprawiało mu, zdaje się, usługiwanie uwięzionym. A przecież, cóż może mieć z nimi wspólnego? Po raz pierwszy Wega pomyślał o tym z niepokojem. Zawołał jeszcze raz:

— Braun!

Odczekał chwilę. Braun nie zjawił się. Szybkim krokiem ruszył przed siebie w kierunku kabiny pilotów. Jej drzwi były niedomknięte, ai pamiętał dobrze, że zamknęli je, gdy wychodzili na obiad. Odczuł lekki niepokój. Błyskawicznie znalazł się w kabinie, w której ujrzał Brauna, siedzącego w fotelu — na miejscu Jerry'ego. Na uszach miał słuchawki, a przed nim to zapalał się, to gasł ekranik radioaparatury. Dotykał guzików, manipulował przełącznikami — jego ruchy były szybkie i nerwowe — cały był pochłonięty tą pracą. I nagle Wega nie wierząc własnym uszom usłyszał:

— Halo, Moskwa! Wzywam Moskwę! Halo, Kosmograd! Niech zgłosi się któraś z radiostacji Związku Republik Socjalistycznych. Halo, czy mnie słyszycie? Halo, Moskwa! Halo, Sofia, Kosmograd, Berlin! Halo, halo! Uwaga! Tu „Kosmos”...

Wreszcie Wega ocknął się z zaskoczenia. Jak tygrys rzuciwszy się przed siebie, z wściekłością zaczął szarpać kable łączące słuchawki z aparaturą.

— Ty gadzie! Co robisz?!

Braun wyprostował się. Był blady, tylko oczy mu błyszczały.

— Nie zgadzam się z waszym postępowaniem. Nie macie prawa...! — wykrzyknął i ciosem w pierś odepchnął Węgę od siebie.

Wega zachwiał się, lecz nie upadł. Przypadł znów do Brauna, ujął go mocno za kołnierz i lekko jak piórko uniósł do góry.

Głosem, w którym narastała wściekłość, zapytał:

— Co takiego? Chciałeś zawiadomić ich o tym, że wieziemy Skribina?

— Nie macie prawa porywać ludzi! To bezprawie! — powtarzał Braun.

— Ach, ty szujo! Udało ci się! Zdążyłeś? Co?

Wega tracąc panowanie nad sobą coraz mocniej potrzasał Braunem, oczy niemal wychodziły mu z orbit, a w kącikach ust pojawiała się piana.

— Proszę mnie puścić!

— Ach, ty...

Wega zamachnął się i wymierzył Braunowi cios prosto w szczękę. Braun stracił równowagę i całym ciężarem ciała padł na pulpit z guzikami, kablami, ekranami. Wega chwycił go znowu jak worek i odrzucił w stronę drzwi. A potem zaczął szarpać kable i walić pięścią w aparaturę radiową, jakby to ona ponosiła winę za wszystko. Rozsypały się po pulpicie kawałki tarcz, strzałek, szkła...

— Podły zdrajco, masz! Masz! — wykrzykiwał histerycznie Wega. — No, dalej, zawiadom ich teraz, no!?

I znów szarpał sznury, walił i trzął radioaparaturą.

Wtem czyjeś ręce opadły mu na ramiona, odciągnęły go w tył i jakiś oburzony głos wrzasnął prosto w ucho:

— Szefie, oszalałeś?!

Jerry-radiotelegrafista po raz pierwszy zwracał się do niego tak poufale. Usłyszawszy jakieś odgłosy dobiegające z kabiny pilotów, wybiegł z jadalni i ujrzał zdemolowaną aparaturę. Reakcja Jerry'ego przywróciła Wedze panowanie nad sobą. Uzmysłowił sobie skutki zniszczenia, jakiego dokonał i obejmując rękami głowę, skruszonym głosem wyszeptał:

— Wszystkiemu winien ten drań!

Braun stał z boku z przyciśniętą do ust dłonią, usiłując zatamować strużkę krwi, ciekącą z wargi. Wega przyskoczył i z całej siły uderzył go w twarz. Miał zamiar powtórzyć cios, lecz pełen rozpaczony głos radiotelegrafisty odwrócił jego uwagę od Brauna. Podszedł do Jerry'ego. Zgnębiony radiotelegrafista oglądał porwane kable, kawałki szkła i rozsypane części drogocennej aparatury. Powtarzał w kółko:

— I co teraz? Słowo daję, szalencie! Szalencie!

— To tamten winien! Zabiję go jak psa! — nienawistnie krzyczał Wega. — Ten łotr chciał powiadomić Ziemię, że Skribin i jego córka lecą z nami na Księżyc. Zdrajca! Gad!

Niech teraz spróbuje coś przekazać!

— Nie pomyślał pan o naszym losie — odezwał się rozgoryczony Jerry. — W tej chwili straciliśmy łączność z całym światem.

Troskliwie dotykając rozrzuconych części, próbował zestawić je w całość. Wedze z każdą sekundą wracała przytomność umysłu. Uświadomił sobie wreszcie, że posunął się za daleko, dając się ponieść rozstrojonym nerwom.

— Omal nie oszalałem, widząc tu tego typka! — powiedział już spokojniejszym tonem. — Jerry, czy to się da naprawić?

— Nie wiem... spróbuję! Zobaczę, czy mam jakieś zapasowe części.

— Szybko naprawisz?

— Ach, mister Wega! Dlaczego pan to zrobił? Dlaczego? Przecież nigdy nawet na minutę nie traciłem łączności z Ziemią... Niech pan mi chociaż pomoże...

— Przeklęty obiad! No to bierzmy się od razu do roboty, Jerry! A pan, panie Robson — zwrócił się Wega do pierwszego pilota, który akurat nadchodził — odprowadzi tego gagatka do kabiny i dobrze zamknie! Potem zastanowimy się, co z nim zrobić!

Wega przygnębiony siedział w fotelu. Był wściekły na Brauna a zarazem potwornie zmęczony, bo od trzech już godzin pomagał Jerry'emu w naprawie uszkodzenia. Wreszcie radiostacja zaczęła pracować, aczkolwiek z niesamowitymi szumami i trzaskami. Ale i to wprawiło ich już w lepsze humory... O mały włos ten głupi Braun przeszkodziłby ich planom. Jak strasznie nienawidził go w tej chwili Wega! Szkoda, że nie zabił go od razu. Do diabła, dlaczego nie przeznaczili w rakiecie osobnego pomieszczenia na ewentualny areszt! Ale to rzecz do zrobienia... Braun nie umknie swemu losowi. Za kilka godzin wylądują na Księżycu, a wtedy Wega rozprawi się z tym typem...

Tak zwana „sprawa inżyniera Skribina” okazała się twardym do zgryzienia orzechem. Pierwszą trudność spowodowały zmienione okoliczności, które zmusiły do porwania również jego córki. Osóbka ta wyraźnie mu przeszkadzała, między innymi i tym, że podsyciała jeszcze upór i tak wystarczająco upartego człowieka, jakim był Skribin. Skribin wciąż odmawiał podjęcia jakichkolwiek pertraktacji. Gdyby jego córka została na Ziemi, może udałoby się zastraszyć go szantażem, że w przypadku odmowy, jej życiu może zagrażać niebezpieczeństwo...

Z lękiem myślał Wega o przedstawieniu Skribina uczonym, konstruktorem, wynalazcom, inżynierom. Skribin z całą pewnością nie ukryje przed nimi okoliczności swego przyjazdu do nich i wyrazi protest przeciwko podobnym metodom... A Wega miał przede wszystkim przekonać astronautów, że gość przybywa z własnej woli w celu nawiązania z nimi współpracy.

Cóż za węzeł gordyjski! Wega nie umiał go rozplątać. Przeciąć go może tylko Stary. „Pal licha, jakoś z tego wybrnę” — szepnął do siebie uspokajająco, zapadając w drzemkę...

Zbudził go cichy szum. Otworzył oczy. We framudze drzwi stał Skribin.

— I znów pan? — mówił z wyraźnym obrzydzeniem inżynier. — To już lekka przesada! Szukałem kogoś innego!

Cofnął się za próg, lecz Wega jednym susem znalazł się obok niego i powiedział:

— Proszę pozostać chwilę, panie Skribin. Cóż poradzę na to, że los ciągle krzyżuje nasze drogi, wbrew naszej woli? Czym mogę panu służyć?

— Szukam Brauna, a moim jedynym życzeniem byłoby nie zastać tutaj pana.

Wega uśmiechnął się, jakby brał to za dobry żart.

— Braun jest chory, leży w swojej kabinie, a jeśli chodzi o drugie życzenie, no, cóż zrobić... Wiem, że mnie pan nienawidzi. Ale niedługo, według swego życzenia, będzie pan mógł rozmawiać z kimś bardziej odpowiedzialnym niż ja. Lecimy właśnie do niego. Będę bardzo szczęśliwy, jeśli dojdziecie do porozumienia!

— Jeśli jest to człowiek pańskiego pokroju — wątpię! — odpowiedział Skribin.

Wedze zabrakło odwagi, by patrzeć rozmówcy prosto w oczy. Wzrok miał utkwiony w iluminator. Nagle jego twarz zmieniła się — w otworze iluminatora dostrzegł lśniący, podłużny przedmiot, podobny do raketoplanu, ale znacznie większy od niego. Lśnił oślepiającym blaskiem i leciał nieco z boku i trochę w tyle za nimi. Nie był to na pewno asteroid, ponieważ miał wyraźnie regularnie zaokrąglone kształty — podłużny kadłub i ogon jak w samolocie.

Wega podbiegł do iluminatora i przyłgnał doń całym ciałem. Rakieta! I to tak blisko ich „Kosmosu”! Przecież aparaty nie sygnalizowały obecności pomiędzy Ziemią a jakąkolwiek planetą żadnego obiektu latającego, i to w odległości 30 000 kilometrów od nich. A zatem? Zabłąkany sputnik z Ziemi?

— Uwaga, mister Wega! Mister Wega proszony o zgłoszenie się w kabinie pilotów. Sprawa pilna! — rozległ się z głośnika czyjś strwożony głos.

Wega odwrócił się do Skribina i rzucił wychodząc już z pokoju:

— Przepraszam, wzywają mnie!

Kilka stopni w dół korytarza i wszedł do półkolistego, o seledynowych ścianach hallu. Na jedynych drzwiach płonął napis: „Piloci. Wejście wzbronione”. Wega nie musiał pukać. Drzwi otworzyły się same, a w nich stał już Robson — pierwszy pilot.

— Jakaś tajemnicza rakieta. Nie ma żadnych znaków! Widział pan? — pytał wyraźnie wystraszony.

Straszne podejrzenie zaczęło dojrzewać w umyśle Wegi. Zaniepokojony wykrzyknął:

— Dowiedzieli się i ruszyli w pościg!

— Sądzi pan? Ale to jakaś niezwykła rakieta! Niech pan spojrzy!

Wega wszedł szybko do kabiny pilotów.

— Proszę spojrzeć! — powtórzył Robson.

Na ekranie ukazało się dziwne ciało kosmiczne. Leciąco za „Kosmosem”. Miało ostry, wydłużony dziób i robiło wrażenie rozbójnika goniącego raketoplan.

— Dźwignie! — rozkazał pilot.

James, nie przestając żuć flegmatycznie gumy, wyciągnął rękę w ich kierunku. „Kosmos” zawył jak dzikie zwierzę, zatrząsł się i zagrzmiął tak przeraźliwie, jakby wszystkie wodospady Ziemi zlały się nagle w jedno i spadały z ogromnej wysokości gigantycznymi miasmami wody. Ale pilot szybko dotknął innej przekładni i łoskot przycichł, coraz bardziej odległy.

— W lewo! — krzyknął Robson.

Wtem „Kosmos” z całej siły zderzył się z jakimś ciałem. Węgę odrzuciło w prawo; ledwo zdążył przytrzymać się fotela, na którym siedział James. Wrzecionowaty, latający obiekt znikł z ekranu. Ale znikł tylko na moment. Za chwilę znów się ukazał, tym razem o wiele większy, bardziej lśniący i groźny.

Robson wykrzykiwał nerwowo:

— Jerry Gordon! Spisz, do cholery, czy jak? Dawaj połączenie z Ziemią! Zobaczmy, co oni tam mówią.

Radiotelegrafista nachylił się nad swoją aparaturą. Metalowy łuk zakończony z obu stron słuchawkami przyciskał jego jasne, sterczące włosy. Jerry krzyczał zadyszany:

— Halo, Ziemia! Ziemia! Wzywa „Kosmos”! „A — jeden”. „A — jeden”! Nie odstępować nas nierozpoznany obiekt latający — prawdopodobnie rakieta radziecka.

Ale w słuchawkach odpowiadały mu jedynie nasilające się szумы i trzaski.

— Do diabła, znów coś nawaliło! — kłął Jerry. Nerwowo naciskał guziki, sterczące nad pulpitem. Zapalały się nikłym światłem zielone i czerwone lampki, lecz pośród przenikliwych pisków nie mógł wyłowić żadnego ludzkiego głosu.

— Jest łączność z Ziemią? — zapytał Wega.

— Nie ma! — odkrzyknął Jerry.

— Przecież naprawialiśmy radiostację?

— Daremna robota, mister Wega. Oprócz tego, zagłusza nas, zdaje się, ta przeklęta rakietka. Łączność zupełnie się przerwała.

— Dlaczego?

— Nie wiem... Od momentu pojawienia się tej rakiety nie słyszę niczego innego prócz szumów i trzasków. — Dmuchał w mikrofon i dramatycznym głosem począł znów wołać: — Halo, Ziemia! „A — jeden”, „A — jeden”, halo, Księżyc! „Kosmos” wzywa Księżyc! Halo, Ziemia i Księżyc! Przechodzę na odbiór! Ziemia! Księżyc!

W słuchawkach rozszalały się huragany.

Silniki pracowały na niebezpiecznych obrotach. Raketoplan zwiększył swą szybkość do granic możliwości, lecz urządzenia zawodziły, odmawiały posłuszeństwa ludzkiej woli.

Nagle poczuli silny wstrząs. Silniki raptem zakrzuszyły się i po chwili umilkły. „Kosmos” zachybotał się, ale szybko odzyskał równowagę. Wtem znów ta sama nieznaną siłą uderzyła z tyłu i raketoplan leciał teraz jako ciało martwe, ze znieruchomiałymi aparatami kontrolnymi, lecz z takim nagłym przyspieszeniem, że cała czwórka w milczeniu spoglądała po sobie, nie mogąc wykrztusić słowa.

Wega pierwszy ocknął się z oszołomienia i zapytał:

— Co się stało?

— Zostaliśmy wzięci do niewoli — odpowiedział mu przygnębiony Robson.

Tajemnicza rakietka trzymała mocno w swych elastycznych szponach zdobycz i unosiła z sobą... Dokąd? Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Jak długo trwało to wszystko? Czas jakby się zatrzymał. Na próżno Jerry Gordon naciskał wszystkie guziki i zgrzytał przekładnikami. W słuchawkach nadal słyszał wycie i przejmujący pisk! Uszy bolały go już od tych nieludzkich odgłosów.

— Spójrzcie! Asteroid! Leci prosto na nas! — wykrzyknął James.

Wszyscy zamarli. Na ekranie ukazał się gigantyczny srebrzysty obiekt — tej samej barwy co tajemnicza rakietka. Podobny był do ogromnej, płaskiej ryby — jego długość wynosiła na pewno kilka kilometrów, szeroki zaś był kilkaset metrów.

Dziwny obiekt rósł w oczach i przesłaniał coraz większą część czarnego nieba.

— Nie, mister! — odezwał się Robson. — To nie asteroid. To może być tylko sztuczna planeta.

— Planeta? Tutaj? To niemożliwe!

— A może to Perłowa Gwiazda... tak, to radziecka rakietka, która holuje nas na Perłową Gwiazdę.

— Perłowa Gwiazda zbudowana jest z ciał cylindrycznych i kulistych — usłyszeli za sobą czyjś głos. Był to Skribin, który pojawił się nieoczekiwanie w kabinie pilotów.

Kiedy wzywano Węgę, Skribin ruszył na poszukiwanie Brauna. Ale spotkał tylko Anię, która ujrawszy w iluminatorze jakąś rakietę, pragnęła powiadomić go o tym radosnym fakcie. Z daleka wołała uszczęśliwiona:

— Tatusiu! Jesteśmy uratowani! Uratowani!

Skribin nie zrozumiał i zapytał:

— Dlaczego? Co się stało?

Ania opowiedziała mu o rakiecie, która towarzyszyła im od dłuższego czasu. Jest to niewątpliwie rakietka radziecka. Wreszcie uratowani!

Skribin wzruszony ścisnął rękę Ani. We dwójkę poszli do kabiny pilotów. Już w drzwiach zdążyli dostrzec wyraźny przestrach załogi „Kosmosu”, z wypiekami na twarzy wpatrzonych w ekran radaru, na którym widać było dwa zespolone statki kosmiczne, a obok nich wrzecionowaty kształt srebrzystej wyspy.

— Tak, to planeta — powtórzył Skribin — ale nie przez nas zbudowana.

— A więc? — Wega bezwiednie zakrył dłonią oczy. — Boże, zmiłuj się! Zaraz się rozbijemy!

Lecz nie doszło do zderzenia rakiet z dziwnym obiektem. Jego srebrzysta tarcza podpełzła pod „Kosmos”. Wszyscy odetchnęli. I wtedy wyraźnie odczuli zwolnienie szybkości. Ze środka kosmicznej wyspy wystrzeliły w górę elastyczne macki, podobne do tych, które obejmowały „Kosmos”. Rakietą i jej zdobycz pomału zbliżały się do nich. Macki objęły je jak ramiona. Załoga „Kosmosu” poczuła, że statek znieruchomiał. Tylko gwiazdy, Słońce, Ziemia i Księżyc zdały się wolno i jednostajnie krążyć dokoła nich...

Z boku otwarł się szeroki luk i ukazał się w nim kulisty balon. Spod balonu wyjrzał osobliwy, ogromny stwór, zamknięty w półprzezroczystej osłonie. Stwór machnął jakimś prętem, który przypominał trochę ludzką rękę i z rakiety wyskoczyła druga podobna istota, ubrana w identyczny ubiór, zbliżyła się do luku i znikła w nim. Luk zamknął się...

Istoty z innego świata

Opadali w dół — wolno i płynnie, jakby jakaś kosmiczna winda wiozła ich w niekończące się głębie. Lecz, o dziwo, uczucie stanu nieważkości opuszczało ich z każdą chwilą. Ich ruchy stawały się coraz dokładniejsze, skoordynowane, wyraziste. Ciężko im jeszcze tylko obuwie. W „Kosmosie” nie odczuwali tego, a teraz wydawało się, że to właśnie te pantofle o metalowych podszwach ściągają ich w dół razem z „Kosmosem” — ściągają cicho i podstępnie.

— Co się stało? — zapytał Wega.

Na jego twarzy zdziwienie i napięcie mieszały się ze strachem. Nie był już tym samym bezwzględny i pewny siebie mężczyzną, a wystraszoną, zdezorientowaną, nic nie pojmującym tchórzem.

Skribin nie odpowiedział. Jego wzrok wyrażał skupienie i napięcie. Dziwił się uczuciu spadania i próbował odgadnąć, jaka jest tego przyczyna. Stop! „Kosmos” znieruchomiał.

— Stoimy — wyszeptał Wega.

Pilot Robson wpatrywał się usilnie w ekran, usiłując odgadnąć przyczyny nagłego bezruchu, ale ciemnozielony ekran był martwy.

Wega obrzucił spojrzeniem swych przyjaciół. Dostrzegłszy w ich twarzach jedynie skupienie i niedowierzanie, znów poczuł lęk. Rzucił też okiem na Skribina — chcąc sprawdzić, czy inżynier triumfuje w tej chwili, ale jego twarz była nieprzenikniona, czoło zmarszczone, a wzrok daleki i zagadkowy.

— Panie inżynierze — zaczął cicho Wega. Głos lekko mu drżał. — Panie inżynierze, chciałbym panu coś wyznać...

Ujął rękę Skribina, której ten nie wyrwał i pociągnął go za sobą na korytarz. Tu Wega oparł się o plastikową ścianę i chyląc ku Skribinowi bladą jak wosk twarz, zaczął mówić urywany głosem, jakby mówienie sprawiało mu wyraźną trudność.

— Panie inżynierze! — zaczął już po raz trzeci. — Chcę wyznać panu prawdę.

— Jaką prawdę?

— Nie ponoszę odpowiedzialności za swoje postępowanie. Jestem przecież tylko trybikiem w wielkiej maszynie... tak... wiem, że to bardzo upokarzające! Mały trybik: Wykonuję rozkazy. Nigdy nie ośmieliłbym się pozbawić was wolności, lecz byłem zmuszony! Rozkazano mi, zmuszono mnie! Proszę mieć to na względzie i okazać swą wspaniałomyślność. Wiem, że zasługuję jedynie na litość, ale zrozumiałem już, o ile wyżej stoicie od nas... ode mnie! — poprawił się. — Proszę przemówić w mojej obronie, panie Skribin!

— Nie wiem, o co panu chodzi — odparł chłodno Skribin. — Jak mam zrozumieć

pańską skrucę?

— Teraz jestem w pańskich rękach... z całą załogą „Kosmosu”. Proszę okazać trochę ludzkiego współczucia! — Surowość powoli zniknęła z twarzy Skribina. Ciepło jego spojrzenia, lekki uśmiezek w kącikach ust przeobrażały zamyślonego uczonego w dobrego, życzliwego i łagodnego człowieka.

— Wciąż nie rozumiem ... — powiedział Skribin, mimo iż zaczynał już domyślać się przyczyn tej zaskakującej zmiany w zachowaniu Wega.

— Wasi ludzie zjawiają się tu lada chwila — wyjaśnił Wega, unikając wzroku Skribina. — Proszę o zapewnienie, że nic złego nie spotka mnie z ich strony... również moich ludzi. Postąpiliśmy niegodziwie, lecz wypełnialiśmy rozkaz.

— Pan przypuszcza, że wasz „Kosmos” został uprowadzony przez radziecką raketę? — zapytał Skribin.

— Jestem tego pewien. Zawsze odnosiłem się z szacunkiem do waszych...

— Powtarzam, jest pan w błędzie! — przerwał mu Skribin. — Osobiście skłonny jestem podejrzewać, że przytrafiła nam się wręcz nieprawdopodobna przygoda. Coś zupełnie ze świata fantastyki.

— Co takiego?

— Po prostu wylądowaliśmy na jakimś obiekcie latającym, przybyłym z pozaziemskich światów.

— Co?

Wega rozwarł szeroko usta ze zdumienia.

— Tylko tak można to wytłumaczyć.

— Chce pan powiedzieć, że zostaliśmy uprowadzeni przez istoty przybyłe z innej planety?

— Do licha, przecież mówię panu wyraźnie?!

— Niemożliwe!

— A jednak...

Nienawiść znikła już zupełnie z twarzy Skribina. Wydarzenia ostatnich dni wydawały się niegodnymi uwagi epizodami w porównaniu z przypuszczeniem, iż popadli wszyscy w niewolę pozaziemskich istot. Ledwie to pomyślał, gdy w iluminatorze dojrzał dziwną postać, wysuwającą się z luku tej zagubionej w kosmosie wyspy.

Lecz Wega wciąż nie dowierzał Skribinowi. Podejrzewał, iż inżynier po prostu umyślnie wprowadza go w błąd. Zostali dogonieni przez radziecką raketę i teraz znajdują się na jakiejś tajnej planecie. Wcale go to nie zdziwiło, ponieważ wiedział doskonale, jak zdolnych uczonych ma obóz socjalistyczny. Wega nie szczędził pochwał pod ich adresem i Skribinowi nie wypadało nic innego, jak przyjmować za dobrą monetę jego wysiłki przypodobania się za wszelką cenę, choć budziło to w Skribinie wstręt.

— Pańskie przypuszczenia są mylne — powtórzył. — Wiem doskonale, co wysłaliśmy w kosmos. Orientuję się również, jakie są nasze osiągnięcia na tym polu. Powtarzam: to nie jest nasza sztuczna planeta!

Nie było czasu na snucie dalszych przypuszczeń! W jednej chwili ściany rakiety znikły, jakby się roztopiły i cały „Kosmos” obnażył swe wnętrze. Przemienił się w szklane cygaro, w którym wyraźnie widać było wszystkie maszyny, urządzenia, zbiorniki, silniki, kabiny, magazyny. Zebrana w kabinie pilotów załoga obserwowała wystraszona dziwne zjawisko. Żadnych ścian, żadnych osłon. To już nie była rakietka, lecz metalowe widmo — straszne i intrygujące. Lecz oto zdematerializowały się również ich własne ciała. Widoczne zostały jedynie ich czerwone, różowe, niebieskie organy wewnętrzne. Skribin w zdumieniu patrzył na pulsujące przyspieszonym rytmem serce Wega. Widział, jak przetaczała się krew skomplikowaną siecią grubszych i cieńszych żył i tętnic. Przeniósł wzrok wyżej i dojrzał jego mózg. Płuca, żołądek i inne organy były również na swoim miejscu... jakby nagle Wega stał się szklanym człowie-

kiem — eksponatem, jaki spotyka się w gabinetach anatomicznych i muzeach antropologicznych.

Skribin odruchowo spojrział na siebie. Jego serce również pracowało jakby bez cielesnej osłony, na oczach wszystkich. Obrzucił wzrokiem kabinę pilotów i poraził go podobny widok stojących w gromadzie szklanych ludzkich postaci...

Trwało to jednak bardzo krótko. Po chwili wszystko wróciło do stanu poprzedniego. Znów obok niego stał Wega, a za nim była ściana, odgradzająca pomieszczenie dla pilotów. Ujrzał też korytarz i drzwi kabin.

— Oni nas prześwietlili ... — wymamrotał Wega. — Boże, cóż za fantastyczne promienie!

— Wydaje mi się, że ta operacja miała swoje znaczenie — odezwał się Skribin.

Wega słuchał uważnie. Skribin wyjaśniał:

— Podejrzewam, że zostaliśmy poddani swego rodzaju kwarantannie. Pozaziemskie istoty zniszczyły po prostu w ten sposób wszelkie mikroby, które być może przewozimy z sobą, w tej rakiecie z Ziemi.

— To brzmi prawdopodobnie... — zgodził się Wega.

Milczeli chwilę, wciąż jeszcze wstrząśnięci wydarzeniem, które ich spotkało. Po chwili Wega zapytał:

— Jakie mogą mieć zamiary ci... ci ludzie?

— Nie wiem!

— A jeśli są okrutni i źli? Jeśli zechcą nas zabić?

— Jak widzę, sądzi pan po sobie? — oburzył się Skribin. — Wydaje się panu, iż wszyscy mają podobną waszej moralność?

Wega pochylił głowę. Znów zabrał głos Skribin, ale mówił jakby do siebie:

— Tym rozumnym istotom wydajemy się zapewne równie interesujący i egzotyczni, jak one nam. Teraz, po prześwietleniu, zechcą chyba poznać nas bliżej.

Ale nie pojawiały się. Tylko z kabiny pilotów wybiegła Ania. Była blada — zdawała się być czymś wzburzona i szła jak pijana.

— Tatusiu, co to było?

Skribin powtórzył swoje przypuszczenie, wyjaśniające cel dziwnego napromieniowania.

— Ale co teraz zrobią z nami?

— I ja zadaję sobie to samo pytanie — wtrącił nieśmiało Wega.

Skribin powiedział tonem, który miał wszystkich uspokoić:

— Jestem pewien, że mają zamiary pokojowe. One są przecież rozumne, jak i my... nie, są rozumniejsze niż my, skoro potrafią przechwycić ziemską rakietę i dokonywać takich eksperymentów przy pomocy zagadkowych promieni. Nie bój się, Aniu. Na pewno zawrzemy z nimi bliższą znajomość.

— Och — jęknęła Ania. — Boję się! Boję się, choć zarazem jestem bardzo ciekawa. Trochę się boję...

Jej dotychczasowe przejścia były niczym w porównaniu z tym, co przeżywała teraz. Spotkanie z rozumnymi istotami! Jak wyglądają? Skąd przybyły? Może z Wenus? Nie wykluczone! Tam życie nie przybrało przecież wyższych form. Z Marsa? Brednie! Mars został już dokładnie zbadany przez radzieckich uczonych, którzy stwierdzili całkiem autorytatywnie, że o istnieniu wyższych form życia na powierzchni tej planety nie może być mowy.

Zatem?

Goście z innego układu gwiazdowego? Ależ to brzmi wręcz niewiarygodnie!

Doleciał do jej uszu znajomy głos — ojciec rozkazywał komuś kategorycznie:

— Otworzyć luk!

Wega oponował przestraszonym głosem.

— To czyste szaleństwo, proszę pana! Jeśli otworzymy luk, powietrze z rakiety uleci w

mgnieniu oka!

— Tak, ale w przypadku, gdybyśmy znajdowali się w otwartej przestrzeni kosmicznej. „Kosmos” jednak został zamknięty w jakimś hangarze. Zresztą te istoty muszą przecież oddychać!

— Oczywiście, że muszą oddychać! — przytaknęła uspokojona Ania. — Ale jeżeli okaże się, że skład powietrza jest inny?

— Wątpliwe. Zauważyłem, że olbrzym w przeźroczystej osłonie jest podobny do Ziemianina. To narzucałoby wniosek, że życie na tej nieznannej planecie rozwinęło się podobnie jak życie na Ziemi.

— To prawdopodobne — wtrącił się Wega. — Chwileczkę, przypomniałem sobie o czymś! — przeprosił i pobiegł do kabiny pilotów. Gdy wrócił, był wyraźnie spokojniejszy, a nawet uradowany.

— Aparaty wskazują, że wszystko w porządku. Ciśnienie na zewnątrz podobne do ziemskiego, odpowiadające ciśnieniu na wysokości 800 do 1000 metrów nad poziomem morza. Zestaw gazów również niemal taki, jak w atmosferze ziemskiej, jedynie tlen występuje w większej ilości. Zarządziłem, by otwarto luk „Kosmosu”.

— Zimno mi — wzdrygnęła się Ania.

Z otwartego luku ze świstem napływało chłodne powietrze. Docierało do każdego zakątka „Kosmosu” i po chwili Ania stwierdziła, że oddycha się jej znacznie łatwiej.

— Trochę chłodno — zgodził się Skribin — ale za to czuję się teraz o wiele lepiej!

— Masz rację, tatusiu. Wydaje mi się, że jestem na naszej Witoszy i oddycham górskim powietrzem.

Wega wstąpił na schodki, zbliżył się do krawędzi luku i nieśmiało wysunął głowę na zewnątrz.

— Nikogo nie ma — powiedział rozczarowany. Jego głos był przytłumiony, jakby dochodził z oddali.

— Jesteśmy w ogromnej sali... ogromnej, sala ma niebieskie sklepienie — opowiadał. — Ściany szare, a posadzka ma barwę i połysk ołowiu. Ale nie widzę ani jednego człowieka, ani jednego aparatu. Oświetlenie słabe... jak u nas na Ziemi w mroczny, pochmurny dzień. Nasz „Kosmos” stoi zwyczajnie na swych trzech elastycznych wspornikach.

Z kolei Skribin podszedł do luku i wychylił się poza jego obręb. Przeniknął go chłód. Doznał uczucia, jakby wchodził do mrocznej sieni. Światło rzeczywiście było słabe, aczkolwiek łagodne i przyjemne. Spojrzał w górę. Lecz na niebieskim sklepieniu jego wzrok nie odkrył żadnego wgłębienia, najdrobniejszej rysy, czy choćby śladu otworu, który wskazałby, którędy dostał się tu „Kosmos”. Był przygotowany na to, że ujrzy coś niezwykłego i dozna przeżyć podobnych tym, których doświadczał, gdy po raz pierwszy lądował na Marsie, albo wtedy gdy została wprawiona w ruch Perłowa Gwiazda, a on, wzruszony do łez przemierzał powoli jej cylindryczne korytarze i oddychał powietrzem zbudowanej przez siebie sztucznej planety.

Wtem jakiś cień przesunął się po przeciwległej ścianie i utworzył się w niej dość pokaźny prostokątny otwór. Wszystko stało się tak błyskawicznie, że Skribin nie zdążył zauważyć, gdzie schowała się część ściany, zakrywająca dotąd otwór — czy odsunęła się na bok, czy też uniosła do góry. Upłynęło kilka sekund i w otworze zamajaczyła jakaś postać. Ku najwyższemu zdumieniu Skribina, postać okazała się człowiekiem, najzwyczajniejszym Ziemianinem. Gdy podszedł on bliżej, Skribin dostrzegł, że był to człowiek rostry, muskularny, sięgający wzrostem z całą pewnością dwu metrów. Ręce i nogi oraz głowa i tułów nie różniły go w zasadzie od każdego mieszkańca Ziemi, nawet proporcje pomiędzy tułowiem a kończynami były identyczne. Za to czaszka miała obwód wyraźnie większy, a przy tym niemal idealnie kulisty. Broda owalna, nos lekko spłaszczony, oczy choć również osadzone w dwóch oczodołach — jak u ludzi, nie miały brwi — a może po prostu były one tak jasne, że niewidoczne z

tej odległości. Usta miał uderzająco małe, lecz o pełnych, wydatnych wargach — jakimi odznaczają się również niektóre rasy na Ziemi. Głowę pokrywały bujne włosy. Mimo iż twarz jego i w ogóle głowa miały tyle cech ludzkich, wydawał się brzydki a nawet straszny. W pierwszej chwili Skribin nie umiał wytłumaczyć sobie, dlaczego odniósł takie wrażenie. Dziwne. Dwoje ogromnych, idealnie okrągłych oczu patrzyło nań przecież przyjaźnie i z zainteresowaniem. Skribin zauważył, że pod jego ubiorem rysują się wyraźnie imponujące mięśnie. Wyglądało to tak, jakby stojąca przed nim postać była naga. Ale po dokładniejszym przyjrzeniu się skonstatował, że ubiór stanowił elastyczny, szary kostium, podobny do trykotu. Tkanina ściśle opinała jego ciało. „Z całą pewnością odznaczają się wielką siłą” — pomyślał Skribin. „Żył niegdyś pewien olbrzym. Wysoki jak dąb... Podnosił kamienie, młyńskie koła lekko jak piórko...” Tak, nieśmiertelne bajki. Ale czyż nie był to człowiek ze świata baśni?

Olbrzym stał nieporuszony, nie spuszczać wzroku ze Skribina i Wegi, którzy patrzyli nań z wielkim zainteresowaniem. Wtem cofnął się, zza jego pleców wysunęła się druga, podobna postać. Podobieństwo obydwu było tak uderzające, że Skribin za nic w świecie nie potrafiłby ich rozróżnić. Jeszcze nie ochłonął ze zdziwienia, gdy w sali pojawił się trzeci astronauta.

Zbliżał się ku nim wolno, mocno stawiając nogi na całej stopie, i pozdrawiając ich przyjaznym machaniem ręki, zupełnie tak samo, jak pozdrawiają się często ludzie na Ziemi.

Trzy bliźniaczo podobne istoty w milczeniu spoglądały w górę. Po chwili rozległ się w sali potężny głos, wyraźnie o coś pytający. Dziwne, wargi ich wcale się przy tym nie poruszały. Głos wydobywał się ze ścian, z całą pewnością były w nich zainstalowane głośniki, choć niewidoczne dla oka. Padały słowa krótkie, przeważały wyrazy jednosylabowe. Skribin wsłuchiwał się w tajemniczy głos, z łatwością rozróżniał samogłoski od spółgłosek, lecz sam język był mu obcy, niezrozumiały.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, milczał. Milczał również Wega.

Głos jeszcze raz zapytał o coś.

Wtedy odezwał się inny głos — łagodniejszy i bardziej melodyjny. Ku najwyższemu zdumieniu Skribina dolatywał z wnętrza rakiety i okazał się głosem Ani.

— Te słowa coś mi przypominają — mówiła Ania.

Skribin spojrział w głąb rakiety. Ania stała u stóp schodów w otoczeniu pilotów i radiotelegrafisty.

— Tatusiu! — zawołała ujrzawszy ojca i podbiegła do niego, usiłując także wyrzeć z luku. I Skribin usłyszał jej przeraźliwy krzyk na widok obcych, stojących nieruchomo w dole. Wróciła do rakiety, lecz długo nie mogła przemówić, jakby głos uwiązł jej w gardle. W końcu wykrztusiła:

— Och, tatusiu! To oni? Strasznie się boję!

— Nie bój się — uspokajał ją Skribin. — Może dla nich jesteśmy równie brzydki i straszni.

W sali znów rozległ się ten sam głos.

Ania zadygotała.

— Ojej! Nie mogę sobie przypomnieć, ale ze dwa — trzy słowa wydają mi się być znajome... Gdzieś je chyba słyszałam, a może przeczytałam?... Czy to nie było czasem na uniwersytecie? Zajmowałam się przecież wtedy również rekonstrukcją martwych języków starożytnych!!!

— Fantazjujesz! — przerwał jej Skribin. — To przecież ich język.

Nie było czasu na spory. W rękę jednego z przybyszów błysnął podłużny, metalowy przedmiot, przypominający trochę pióro — ale znacznie większy. Gdy ostrze tego zagadkowego przedmiotu zostało skierowane w sufit, ukazała się zdumionym pasażerom „Kosmosu” pomalowana na jaskrawożółty kolor niewielka platforma, która powoli i płynnie opuściła się w dół, zatrzymując się tuż obok luku „Kosmosu”. Stojący w dole nie-Ziemianin uczynił ręką

gest, który niewątpliwie wyrażał to samo, co wyrażałby na Ziemi — uprzejme zaproszenie.

— Kaze opuścić nam statek — wyszeptał Wega, blednąc.

Skribin śmiało wstąpił na platformę, choć Wega usiłował go powstrzymać przed tym krokiem.

— Niech pan nie idzie tam, mister Skribin! — zapomniał, że przed chwilą nazywał go „przyjacielem”. — Mogą panu coś zrobić!

— Głupstwa! Czy nie widzi pan, że mają zamiary pokojowe?

I gestem dał do zrozumienia stojącym w dole astronautom, że pragnie znaleźć się obok nich.

Znów ostrze błyszczącego przedmiotu zostało skierowane na platformę, a ona sama łagodnie spłynęła na ołowianoszarą posadzkę. Skribin zszedł z platformy i odważnie postąpił kilka kroków do przodu. Stanąwszy naprzeciw gospodarzy, skłonił się z szacunkiem. Trzy istoty próbując naśladować ruch głowy Skribina, niezręcznie odwzajemniały ukłon. Skribin wydawał się przy nich dzieckiem. Stał, nie mogąc oderwać wzroku od dziwnych postaci, a zwłaszcza uwagę jego przyciągały ich oczy. Nie były ani czarne, ani brązowe, ale nie były też szare czy niebieskie. U najbliższej stojącego mieniły się dziwnym, fosforyzującym, żółtozielonym blaskiem. Drugi miał oczy o odcieniu pomarańczowym, a trzeci wręcz czerwonym. Frapowały nie tylko swym kolorem i ogromnymi źrenicami, ale i swym wyrazem — patrzyły na Ziemiaków z ciekawością, a jednocześnie zdawały się promieniować pełną wyrozumiałością i mądrością. Od czasu do czasu przesłaniały je ciężkie, sinawe powieki i oczy zamykały się. Ciało pokrywała gładka, świeża, pozbawiona jakichkolwiek zmarszczek, różowawa skóra. Uszy nie miały owalnego kształtu, lecz były raczej okrągłe i małe w zestawieniu z wydatną głową.

Skribin odnosił wrażenie, że wzrok ich poraża jak prąd elektryczny. A może był to osobliwy magnetyzm, który nie pozwalał mu odwrócić od nich oczu i jakby przykuwał go do ziemi? Te oczy coś mu nakazywały, czegoś domagały się. Ale czego? Wreszcie zrozumiał i odetchnął z ulgą.

— Ziemia! — wyskandował wyraźnie, wskazując palcem na siebie. — Ziemia! Ziemia!

Mięśnie twarzy jednego z astronautów wyraźnie drgnęły. W kącikach ust utworzyły się zmarszczki, przypominające uśmiech, a oczy również wyraźnie się śmiały. Tak, stojący przed nimi astronauta śmiał się. Śmiał się jak każdy Ziemiak, a jego twarz stawała się coraz bardziej dobroduszną i przyciągającą.

— Taomej — rzekł wskazując na siebie. Skribin spodziewał się usłyszeć głos potężny — chłodny, rozkazujący, a tymczasem gospodarze wymawiali słowa z zaskakującą czułością i ciepłem. Skribin odwrócił się w stronę „Kosmosu” i zawołał do Ani i Wegi, wychylających się z luku raketoplanu.

— Słyszeliście?

Trzy pozaziemskie istoty cofnęły się przerażone do tyłu, zatykając palcami uszy. Na ich twarzach malowało się niedowierzanie. W zdumieniu spoglądały po sobie, jedna powiedziała coś do dwu pozostałych. Jej głos zabrzmiał jak cudowna muzyka.

— Tatusiu, dlaczego tak krzyczysz? Twój donośny głos wyraźnie trwoży naszych gospodarzy, z całą pewnością mają doskonalsze narządy słuchu — upomniała ojca Ania, starając się mówić jak najciszej.

— Słusznie, Aniu, trzeba mówić ciszej.

Skribin wskazał ręką swą córkę i Węgę, a jeden z astronautów od razu zrozumiał ten gest.

— Ajja, ajja! — przytaknął w odpowiedzi, podnosząc do góry rękę, w której błysnęło ostrze.

Gdy ostrze wskazało sufit, oderwała się od niego platforma i znieruchomiawszy w powietrzu, zatrzymała się dokładnie obok luku raketoplanu. Ania i Wega ostrożnie wstąpili na

nią. Platforma w mgnieniu oka znalazła się na dole. Z luku wyglądali zaciekawieni pozostali pasażerowie „Kosmosu”. Astronauta kiwał im przyjaźnie ręką. Platforma znów uniosła się w górę, by przewieźć Robsona, Jerry'ego i Jamesa.

Jeden z przybyszów nagle znikł. Pojawił się po chwili, oglądając się za siebie, na sunącą za nim białą lakierowaną skrzynię przypominającą luksusową lodówkę. Spojrzenia całej trójki spoczęły na Ani. Ten, który nazwał siebie Taomejem, wyrzekł jakieś słowo i drzwiczki „lodówki” otwarły się na rozcież. We wnętrzu nie dostrzegli niczego poza płataniną przewodów, szeregiem tarcz pomiarowych, kilku ekranów, dźwigni i tym podobnych urządzeń. A w samym środku skrzyni stał małeńki fotelik. Taomej wyciągnął rękę do Ani i pociągając ją za sobą, podprowadził do skrzyni.

— On chce, abym tam weszła — wyszeptała przerażona Ania.

Gospodarze dostrzegli jej wahanie. Taomej spojrzął na stojącego obok towarzysza — wydawał się on niższy i zarazem tęższy od pozostałych, a i jego twarz miała jaśniejszy odcień skóry. Uśmiechnął się zachęcająco do Ani i... sam wszedł do „lodówki”. Drzwiczki zatrzasnęły się. Wewnątrz rozległ się cichy szum, potem przytłumiony terkot, podobny do odgłosu, jaki daje maszyna do pisania. Na szarym ekranie, nad drzwiczkami zaczęły pojawiać się rozmaite rysunki, zdjęcia poszczególnych organów wewnętrznych, jakieś litery. Litery przypominały właściwie dwa podstawowe na Ziemi alfabety: łacinę i cyrylicę. Niektóre uderzająco przypominały kształt liter o, r, p, s, d, t, h, sz... Tworzyły długie zdania, przedzielone kropkami, przecinkami, wykrzyknikami, i jeszcze jakimiś, nieznanymi Ziemianom znakami.

Szum przycichł. Drzwiczki otwarły się i ze skrzyni wyskoczył wyraźnie czymś uradowany astronauta. Wskazał palcem na siebie i powoli, wyraźnie wymówił:

— Mejzo!

— Tatusiu, co on mówi?

— Z całą pewnością chce się przedstawić. To chyba jego imię, Aniu...

Aby sprawdzić, czy się nie myli, Skribin dotknął palcem piersi przybysza i zapytał:

— Mejzo?

— Ajja, ajja! Mejzo! — wtrącił ucieszony Taomej, a kładąc swą dłoń na ramieniu trzeciego towarzysza, przedstawił i jego:

— Elij!

Elij, ubawiony tą sceną, roześmiał się hałaśliwie, jak wielkie dziecko.

Jego spojrzenie i uśmiech kazały domyślać się przyjaznego usposobienia i natury bezgranicznie ufnej w stosunku do wszystkich i wszystkiego, co go otaczało. Zupełnie już uspokojona Ania z samej twarzy Elija odgadła przyjazne zamiary najmłodszego, jak zauważyła, olbrzyma.

Taomej zbliżył się do dziewczyny, ujął ją za rękę — która, widać to było, zaskoczyła go swym ciepłem i delikatną budową i nie przestając wciąż powtarzać „Jaoe, jaoe, jaoe” podprowadził ją do zagadkowej skrzyni. Ania, pokonując resztki lęku, już bez oporu weszła do jej wnętrza, domyślając się znaczenia tej prośby przybyszów z kosmosu.

Skribin rzucił też uspokajająco:

— Chcą tylko zbadać ludzki organizm. Odwagi, moje dziecko!

Na ekranie znów wyskoczyły litery, cyfry, przesunęły się rysunki i fotografie. Wszyscy w milczeniu oglądali kolejno rysujące się na nim ludzkie organy, szkielet, serce, płuca, żołądek... Potem ich oczom ukazała się płatanina milionów żył i tętnic, zabarwionych bladoniebiesko i czerwono. Obrazy szybko się zmieniały. Z boku, z małej szczeliny, wysuwała się szeleszcząc, jakby była z cieniutkiej blachy, długa, gęsto zapisana taśma papieru. Tekst od czasu do czasu przerywały jakieś zdjęcia lub schematy. Najbardziej jednak zdumiewało Ziemian to, że skrzynia sama odczytywała ten tekst. Był to ten sam język, którym posługiwały się kosmiczne istoty — a głos maszyny był równie łagodny, melodyjny i miękki jak ich. Trzej olbrzymi słuchali objaśnień płynących z analizatora w cichym skupieniu, z ogromnym

zainteresowaniem. Ten, który przedstawił się Ziemianom jako Mejzo, wydawał się być nawet dosyć podekscytowany. Od czasu do czasu rzucał jakieś krótkie słowo swym towarzyszom, a ci odpowiadali mu potakującym spojrzeniem. Potem zebrawszy szeleszczące arkusiki, zagłębił się w ich lekturze, niczym lekarz (później Ania i Skribin przekonali się, że jest on istotnie lekarzem) uważnie studiujący wyniki badań klinicznych, by postawić nieomylną diagnozę.

Trrrach!

I w otwartych drzwiczkach ukazała się Ania.

— No i jak było? Czy odczuwałaś coś specjalnego! — zapytał Skribin.

— Nic. Siedziałam sobie wygodnie, oddychałam zupełnie lekko, było mi nawet przyjemnie.

— Hm! To zadziwiające. Lecz w jaki sposób porozumiemy się z nimi?

Skribin podszedł do trójki astronautów i już miał spróbować przy pomocy gestykulacji wyjaśnić im, że przybywa z pobliskiej planety, która nazywa się Ziemia, lecz powstrzymała go ich ożywiona rozmowa, prowadzona bez słów, bez najmniejszych gestów. Tajemniczy przybysze przekazywali sobie myśli wzrokiem, tylko wyraz ich twarzy zmieniał się przy tym co chwila. Inżynier obserwował ich dłuższą chwilę, a potem nachylając się do ucha Ani, szepnął jej:

— Czy wiesz, co odkryłem? Te istoty porozumiewają się między sobą dzięki jakiemś cudownemu zmysłowi, jak gdyby na zasadzie emisji fal radiowych. Rozumieją się doskonale, dlatego nie potrzebują wcale uciekać się do tego środka porozumiewania się, którego my, Ziemianie, aż nazbyt często nadużywamy, czyli do mowy. Ale zdaje się, że chce czegoś od nas Taomej...

Taomej dawał im znaki ręką.

— Wzywa nas — powiedziała Ania.

Astronauta zbliżył się do ściany. Wtedy otwarły się nagle drzwi, których na próżno wypatrywali przedtem Ziemianie. Szli korytarzem wyścielonym miękkimi dywanami, całkowicie pochłaniającym odgłosy ich kroków. Ale oto drzwi było już więcej — pomalowane na jasnoblękitny kolor wylaniały się po obu stronach cytrynowożółtego korytarza.

Znaleźli się w przestronnej sali. Tu również nie było okien. Ściany pokrywały obrazy, portrety jakichś osób, podobnych kropla w kroplę do Taomeja. Tylko kilka obrazów ukazywało dziwne, okrągłe i wysokie budowle, za którymi albo żółciły się wzgórza, albo rozpościęły się niebieskozielone pola z czerwonymi obłokami nad nimi. Meble — stoły i krzesła — wielkie i wygodne — były wykonane z tworzywa przypominającego ziemskie tworzywa sztuczne. Taomej zaprosił gestem do zajęcia miejsca, powiedział coś, uklonił się i znikł ze swymi towarzyszami za drzwiami...

Dziwne spotkanie

— Te buty potwornie ciężą — powiedział radiotelegrafista Jerry, nie bez trudu siadając w wysokim fotelu. Dopiero teraz wszyscy zauważyli, że metalowe podeszwy ich kosmicznego obuwia niesamowicie ciężą, a nogi stały się obolałe i zmęczone.

Piloci i Wega nachylili się i zaczęli rozwiązywać sznurowadła.

— Obyśmy tylko nie polecili pod sufit — zaniepokoił się Robson, sprawdzając, czy krzesło, na którym siedzi, jest przymocowane do podłogi. Krzesło dawało się jednak przesuwać, a nie odrywało się od podłogi.

— Hm, to dziwne! — mruknął.

Ania lekko i pewnie zeskoczyła z fotela na podłogę. Powstali i pozostali.

— Diabelski statek! — zdumiał się Wega. — Można poruszać się po nim bezpieczniej niż po Ziemi!

— Może przywieźli nas na swoją planetę? — zapytał z lekkim niepokojem w głosie Jerry.

— W tak krótkim czasie? Ależ to niemożliwe! — odpowiedziała Ania.

— Dlaczego, panienko? Skąd panienka wie, jak długo trwała ta podróż? Może już cały ziemski rok... ma się rozumieć, jeśli uwzględnimy teorię Einsteina o różnych wartościach czasów mierzonych w układach poruszających się względem siebie.

— Podejrzewa pan, że lecieliśmy z szybkością światła?

— Nie jestem pewny, ale niewykluczone... W każdym razie w tej chwili niczego nie odczuwam i wydaje mi się, że tkwimy nieruchomo w miejscu. A co sądzi o tym pan Skribin?

Skribin nie odpowiadał. Wygodnie rozparty w fotelu, usiłował zebrać myśli, by skonfrontować fakty i wytłumaczyć zaskakujące zjawiska. Nie ulegało wątpliwości, że zagadkowe istoty zamieszkują jakąś nie znaną Ziemianom planetę. Lecz którą? Jak wobec tego znalazły się w rejonie okołoziemskim? Dokąd w ogóle podróżowały? No i co zamierzały uczynić z Ziemianami?

Jeszcze na Ziemi Skribin był przekonany, że we wszechświecie istnieje wiele planet, na których rozwinęło się życie i które zamieszkują istoty rozumne. A teraz miał je przed sobą, rozmawiał z nimi. Nie dziwił się zbytnio ich osiągnięciom w dziedzinie techniki, choćby temu urządzeniu, które czyniło wszystko wokół przezroczystym. Może Ziemianie byli już blisko i tego odkrycia? Lecz Skribinowi wciąż nie dawała spokoju myśl — jak zdołali zbliżyć się tak bardzo do Ziemi, i co to był za pojazd w kształcie ogromnej ryby, zawieszony nieruchomo w przestrzeni?

Jakiś głos wyrwał go z zamyślenia. To pytał Wega.

— No i co teraz zrobimy?

Skribin nie zdążył odpowiedzieć, bo do sali weszli Taomej i Mejzo. Za nimi pojawił się ktoś trzeci — ale, o dziwo, wydawał się niepodobny do nich — był niższy, smuklejszy, o cery znacznie bardziej śniadej, chociaż w jego twarzy uderzało też podobieństwo do Taomeja i Mejza. Miał wydatne wargi, a poza tym reszta — oczy, ręce, brwi, uszy, były takie same jak u Ziemian.

Jakiś czas nowo przybyły zdumiony przyglądał się niezwykłym gościom, a na jego twarzy malowało się wzruszenie nie mniejsze niż na twarzach pasażerów „Kosmosu”. Nagle astronauta padł na kolana, wydając przy tym niezrozumiałe dźwięki. To podnosił głowę, wyciągając przed siebie ręce, to znowu bił pokłony... Po jego twarzy ogorzałej, pokrytej zmarszczkami, toczyły się wolno łzy. Mówił coś podniecony, ale mowa jego była urywana i nerwowa.

Skribin od razu zauważył, że mowa ta różni się od mowy poprzednio poznanych istot. Dźwięki były bardziej gardłowe, niewyraźne, nawet chrapliwe, wyrazy dłuższe, akcenty zaś nie tak regularne jak w mowie jego towarzyszy. Wtem zapłakany, dygocący przybysz objął kolana Skribina, może dlatego, że stał najbliżej, i zaczął mówić coś szybko, jakby o czymś przekonując. Patrzył przy tym na inżyniera błagalnie, z nadzieją. Lecz Skribin nie rozumiał ani słowa.

— Nie, to chyba potworny sen, my wszyscy śnimy — zawołała wstrząśnięta Ania. Próbowwała uszczyptać się boleśnie, ścisnęła rękę ojca, bo nie dowierzała, że obserwuje realne zjawiska.

— Niestety, to nie sen — uśmiechnął się smutno Jerry.

— Ależ to człowiek z Ziemi! Rozumiecie!?! Skąd on się tu wziął?

Wega oburzył się.

— Nie! Chyba za daleko poniosła panienkę fantazja!

I próbował przekonać Skribina, że astronauta jest zapewne przedstawicielem jakiejś innej rasy, współzamieszkującej nieznaną planetę. Ale Skribin nachylając się nad klęczącym i kładąc rękę na jego ramieniu, zapytał po angielsku:

— Kim pan jest?

Klęczący odpowiedział coś w nieznanym języku.

— Skąd pan przybywa? — powtórzył Skribin po rosyjsku.

Człowiek odpowiedział coś szybko w swoim języku.

Skribin powtórzył pytanie — po francusku, po polsku i po bułgarsku. Lecz choć klęczący u jego stóp usiłował pomagać sobie obrazowymi gestami, nikt nie rozumiał ani słowa.

— Zaczekajcie! — odezwał się Jerry. — Znam jeszcze kilka innych języków.

I przetłumaczył pytanie Skribina na język włoski, niemiecki i chiński. Na próżno. Astronauta wzruszył ramionami, nie przestając zalewać słuchających potokiem niezrozumiałych słów. W tym samym czasie Taomej i Mejzo stali z boku, w milczeniu obserwując rozgrywającą się przed nimi scenę. Rozpaczliwe wysiłki czynione przez ich towarzysza w celu porozumienia się z Ziemianami, zdumiewały ich, a zarazem wzbudzały w nich politowanie. Taomej pospieszył na pomoc. Szepnął coś klęczącemu, a ten odpowiedział mu w tym samym języku. Jego twarz wyrażała teraz nie tylko niedowierzanie, ale i głębokie rozczarowanie. Wydawał się być nieszczęśliwy, załamany.

— Do diabła! — zaklął Skribin. — Co za nieprzyjemna sytuacja!

Taomej, ożywiony, rozmawiał o czymś z Mejzem. Była to rozmowa bez słów, prowadzona przy pomocy wzroku i sugestii. Mejzo wskazywał oczy, uszy i palce nieszczęśliwca i porównywał je z organami kosmonautów. Od czasu do czasu wzruszał ramionami, tak samo, jak wzrusza Ziemianin, gdy coś wydaje mu się niezrozumiałe, nie dające się niczym wytłumaczyć.

Wtedy zjawił się Elij, najmłodszy z astronautów. Pod pachą niósł zwinięty w rulon arkusz papieru. Rzucając przelotne uśmiechy w kierunku Ani, rozłożył arkusz przed Skribinem. Błękitnawe tło popstrzone było gęsto różnokolorowymi gwiazdkami rozmaitej wielkości — jedne były żółte, inne bladoniebieskie, lub też pomarańczowe i czerwone.

— Spójrz, Aniu — zwrócił się Skribin do córki.

Ale Ania już zaglądała mu przez ramię.

— Mapa nieba, ale nie naszego — zawołała Ania. — No, tak! To chyba ich niebo. Gwiazdy tworzą tu zupełnie inne układy, niż na naszym niebie!

Próbowała odgadnąć, które gwiazdy przedstawiała mapa. Wydawało jej się, że rozpoznaje niektóre z nich, lecz nie była pewna, czy się nie myli — po chwili wahania jednak wykrzykiwała nazwy niektórych, ale czyniła to bez większego przekonania, pytała raczej, czy dobrze odgadła.

Taomej wskazał palcem niewielką gwiazdę, naniesioną gdzieś w samym rogu mapy. Była narysowana grubszą kreską i biegły z niej jakieś promienie. Obok widniały tajemnicze litery i znaki. Ania uśmiechnęła się zażenowana. Nie potrafiła podać nazwy tej gwiazdy, choć w duchu przypuszczała nieśmiało, że to Słońce, a może to raczej planeta, z której przybywał Taomej? Wtem wpadła jej do głowy pewna myśl. Zwróciła się do Robsona.

— Czy macie mapę naszego nieba?

— Oczywiście, panienko! I to niejedną! Mam przynieść?

— Bardzo proszę!

Robson dał znak Taomejowi, że życzy sobie, aby ten poszedł z nim, ponieważ nie mógł dostać się do „Kosmosu” inaczej, jak przy pomocy platformy, ale Taomej już szedł ku niemu, odgadłszy życzenie Ani. Wrócili po krótkiej chwili. Pilot, rozpościerając wielką mapę nieba, nie bez zdziwienia zapytał Anię:

— Zdaje się, że jest pani astronomem?

— Tak!

— Ja co prawda również orientuję się nieco w tej dziedzinie, lecz ustępuję pani zaszczytu poinformowania naszych przyjaciół, skąd przybywamy. Proszę bardzo!

I odsunął się nieco na bok.

Ania wskazała Słońce, oznaczone na mapie złocistożółtym krążkiem. Taomej i Elij zamienili kilka słów, po czym Elij rozpostarł przed Anią podobną mapę i Ania od razu rozpoznała, iż przedstawia ona ten sam układ słoneczny. Oto Słońce, obok Merkury, dalej Wenus, Ziemia, Mars, Jupiter, Saturn, Uran, Neptun i — co wprawiło ją niemal w osłupienie — jeszcze jakaś planeta, w pewnym oddaleniu od Plutona. Domyśliła się, że to zapewne ta — dziesiąta planeta — nie odkryta jeszcze przez ziemskich astronomów, jest ojczyzną gigantów.

Potakiwała głową i zapominając, iż kosmiczne istoty nie znają jej mowy, wykrzykiwała radośnie:

— Tak, tak! to nasz układ słoneczny! Oczywiście! Dokładnie naniesiony na mapę! — Wskazała palcem trzecią planetę od Słońca i wzruszona wykrzyknęła:

— Ziemia! Ziemia! To nasza Ziemia!

Z rozrzewnieniem wpatrzona w mały punkcik, nie odrywała odeń palca. Taomej rozpromieniony powtórzył:

— Ziemia?

— Tak, Ziemia! — odpowiedział Skribin, wskazując ręką załogę raketoplanu i powtarzając dobitnie: — Ziemia!

Wtedy Elij dziwnie uroczystym gestem położył rękę na ramieniu tego, który na kolanach powitał Ziemian, mówiąc łagodnie:

— Ziemia!

Skribin, Ania i cała załoga „Kosmosu” spoglądali po sobie, nic nie rozumiejąc.

— Nie, to niemożliwe! — wykrzyknął nagle wyraźnie wstrząśnięty Skribin. — Czyżby i on pochodził z Ziemi?

— Nic nie rozumiem — szepnęła Ania.

Zaczynała coś rozumieć, ale było to tak niepojęte i fantastyczne, że bała się podzielić swym odkryciem z ojcem. Starając się panować nad swym wzruszeniem, zapytała spokojnie:

— Może te kosmiczne istoty wracają z Ziemi, na której porwały tego nieszczęśliwca?

— Podziwiam pani wyobraźnię! — szepnął sarkastycznie Wega.

Elij rozkładał już przed Skribinem i Anią trzecią mapę. Jego długi, niesamowicie giętki palec zatoczył łuk w jej dolnej części, zatrzymując się na jednej gwiazdzie, o barwie ostrej czerwieni i wymówił wolno i wyraźnie:

— Zejra!

W niewielkiej odległości od gwiazdy dostrzegli wszyscy niewielki, pomarańczowy punkcik. Jego droga wokół gwiazdy zaznaczona była linią przerywaną. Elij wskazał również ten punkcik, mówiąc uroczyście:

— Mion!

Po czym dotknął kolejno palcem piersi Taomeja i Mejza.

— Mion? — powtórzyła za nim Ania. — Tatusiu, to ich planeta! Przybywają z Miona, a Zejra jest gwiazdą, położoną gdzieś w pobliżu środka Drogi Mlecznej, oddaloną od nas o setki lat świetlnych. Nawet przy pomocy najsilniejszych teleskopów nie jesteśmy w stanie dojrzeć jej z Ziemi.

Wszyscy stali nieporuszeni, z zapartym tchem słuchając tego, co mówiła Ania. Na ich twarzach zastygł wyraz bezgranicznego zdumienia. Ciszę zakłócił nieoczekiwanie jakiś zdławiony głos:

— Wody!

W drzwiach stał Braun. Wyciągnął rękę, jakby szukał oparcia, lecz nie znalazłszy niczego pod ręką, zatoczył się w jedną, potem w drugą stronę. Jego twarz pokrywała śmiertelna bladość, wydawał się być skrajnie wyczerpany, o czym świadczyła również jego niemal prze-

źroczysta cera.

Nie mógłby powiedzieć, jak długo leżał w swojej kabinie. Nie troszczono się o niego, nie przynoszono mu jedzenia ani picia. Ból rozsadał mu czaszkę, być może były to skutki uderzeń, które zadał mu Wega. Miał zawroty głowy, co chwila zdawało mu się, że spada w przepaść. Przed oczyma wirowały barwne plamy. Pojękiwał i prosił o wodę. Gdy przekonał się, że jego wołań nikt nie słyszy, zwłókł się z łóżka i cały czas opierając się dłońmi o ściany, doszedł do drzwi. Pchnął je. Otworzyły się. Widocznie zapomnieli je zamknąć. Wszedł do sąsiedniej kabiny. Była pusta. To kazało mu się zastanowić. Nie znalazł nikogo również w kabinie pilotów. Wtedy Braun przestraszył się. Dokąd mogli pójść ci, którzy zmusili go do tego lotu? Dlaczego „Kosmos” po nagłym, gwałtownym wstrząsie, który odczuł tak dotkliwie, wy-daje się znieruchomiały?

Krzyknął, co sił w płucach — ale jego głos rozległ się dziwnie obco i głucho jak w wielkim grobowcu. Wtem dostrzegł otwarty luk. Wyjrzał na zewnątrz. „Kosmos” stał w ogromnym hangarze. „Boże, czyżbyśmy już wylądowali i wszyscy już opuścili statek?” — pomyślał Braun. Przechylił się przez oparcie luku i zawołał. Nikt nie odpowiadał. Odczekał chwilę. Dokuczało mu pragnienie, a strach przed samotnością i brak orientacji co do miejsca, w którym się znajduje, przygnębiły go do reszty. W jednej z kabin znalazł zwój liny, przywiązał jeden jej koniec do haka tkwiącego w ścianie, a drugi wyrzucił poza otwór luku. Oddychając z wysiłkiem, zalewając się potem, wolno i niezdarnie spuszczał się po sznurze. Na dole musiał dłuższą chwilę poleżeć, tak bardzo wyczerpała go ta czynność. Wreszcie wstał i zatoczywszy się kilka razy, usiłował dojść do korytarza. Wlókł się ostatkiem sił, gdy posłyszał w końcu korytarza jakieś ożywione głosy. Poszedł ucieszony w ich kierunku, lecz na progu pokoju zdążył jedynie powiedzieć cichym głosem:

— Wody...

Ania zdążyła podbiec do Brauna, nim upadł, tracąc przytomność, w jej ramiona. Nie była w stanie utrzymać takiego ciężaru i bezwładne ciało osunęło się na podłogę. Wega nachylił się nad nim.

— Koniec z nim — powiedział. — Trzeba było zostawić go na Ziemi, a nie ciągnąć z sobą i bez tego mam dosyć kłopotów i nieprzyjemności.

— Gdzie jest woda? — zapytała Ania.

Mejzo ukląkł nad Braunem, rozchylając mu to jedną, to drugą powiekę. A potem wstał i podniósłszy go z ziemi lekko jak piórko, poszedł z nim w głąb korytarza. Ania pośpieszyła za nimi, powtarzając w kółko, że chory pragnie wody. Miończyk z uwagą słuchał tego, co mówiła, lecz milczał, Ania podniosła więc do ust stulone dłonie i naśladowała czynność picia wody. Mejzo wreszcie kiwnął głową i uśmiechnął się. Znaleźli się w jakimś pokoju. Miończyk, który dotąd niósł Brauna na rękach niczym małe dziecko, złożył go troskliwie na posłaniu i podbiegł do białej szafki, Ania zaś pochyliła się nad twarzą chorego, który powoli otwierał oczy. Dojrzawszy Anię, jęknął.

— Och... to pani?

— Źle się pan czuje? — szepnęła Ania.

Odpowiedziało jej smutne, łagodne spojrzenie.

— Pani jest taka dobra, a ja... wstydzę się za siebie. Gdybym mógł jeszcze trochę pożyć, udowodniłbym, że...

— Będzie pan żył — to pewne. Niech pan się nie przejmuje! — przerwała mu Ania cichym głosem.

Było jej smutno. Patrzyła na Brauna niemal z czułością. Lecz to sprawiało mu jeszcze większe cierpienie. Gdyby wiedział, że Skribin ma taką córkę, nigdy nie zgodziłby się pomóc Wedze, nie zląkłby się żadnych gróźb. A teraz czuł się jak najnikczemniejszy przestępca.

— Ja umrę — wyszeptał.

Położyła rękę na jego czole. Braun przymknął powieki. Łzy nadbiegały mu do oczu.

Płakał. Pieszczota małej dziewczęcej dłoni sprawiała mu ulgę i napełniała nieopisanym szczęściem.

— Proszę się uspokoić, bardzo proszę, pan będzie żył — powtarzała Ania.

W międzyczasie Mejzo włożywszy biały fartuch, otwierał małe emaliowane pudełko, wydobywając z niego jakąś miękką rurkę ze słuchawką na końcu i biegnącymi od niej różnokolorowymi kabelkami. Dotykał słuchawką piersi, żołądka, czoła i serca Brauna. Potem pokręcił jakąś tarczą, nacisnął przycisk. Na pokrywie pudełka ukazały się barwne plamy. Przez chwilę Miończyk obserwował je w skupieniu, a potem potakując głową, mruzczał pod nosem:

— Ajja, ajja!

Wreszcie zebrał wszystkie instrumenty, schował je i przysunął białą szafkę. Odczepił od niej jakieś urządzenie podobne do lekarskich słuchawek i skierował je ku piersiom Brauna. Nacisnął dźwigienkę. Klatka piersiowa Brauna stała się nagle przezroczysta. Ania widziała wyraźnie płuca, kurczące się i rozkurczające, a miliony malutkich pęcherzyków to napełniały się powietrzem, to wypuszczały je. W prawym płucu zauważyła ciemną plamkę — jakby z małego kłębka wysunęło się nagle kilka nitek i opasywało całe płuco. Lecz w tej samej chwili stało się coś niewiarygodnego. Jamka zaczęła się zmieniać, tracić swą barwę. Bładła i nikła, topiąc się jak płatki śniegu pod wpływem ciepła.

Braun wciąż jeszcze leżał z zamkniętymi oczami, lecz z jego twarzy powoli ustępowała bladość, policzki nabierały rumieńców, oddech stawał się coraz bardziej regularny, rysy twarzy rozpogadzały się i łagodniały.

Mejzo, przysmykając powieki, wskazał na swego pacjenta. Ania zrozumiała. Na palcach oddaliła się od łóżka Brauna. Widziała, że spał on głęboko i spokojnie. Miończyk ujął rękę dziewczyny i odprowadził ją do drzwi.

Zagadki wyjaśniają się

Taomej poprosił Skribina, by udał się z nim do sąsiedniego pokoju. Pomieszczenie było niewielkie, miało jasne ściany i sprawiało wrażenie laboratorium. Kazały domyślać się tego liczne, stojące w równym szeregu aparaty, połyskujące szkłem, plastykiem i białym metalem. Taomej wskazał krzesło, Skribin usiadł. Miończyk pchnął w jego kierunku dziwne urządzenie na kółkach, w kształcie równoległociąnu, trochę przypominające aparat telewizyjny. Tam gdzie zwykle znajduje się ekran, złociła się gęsta, metalowa siatka. Taomej nacisnął jakiś guziczek i pod siatką zapłonęła zielona lampka. Odwróciwszy się twarzą do Skribina i nie spuszczać z niego wzroku powiedział poważnym tonem:

— Mej!

Skribin siedział bez ruchu i nie odpowiadał. Miończyk powtórzył:

— Mej, mej!

I wskazał swym długim palcem głowę Skribina. Jego wzrok wyraźnie o coś pytał. Wreszcie Skribin zrozumiał i szybko odpowiedział:

— Głowa!

Zadowolony Miończyk potakiwał — uradowany. Uniósł rękę i znów melodyjnym głosem powiedział jakieś słowo. Skribin odpowiedział:

— Ręka!

A wyciągając przed siebie obie ręce, powtórzył:

— Ręce!

Taomej nie krył swego zadowolenia. Gestykulując swymi ogromnymi łapskami, wypo-

wiedział słowo podobne do pierwszego, po czym nacisnął małą dźwignię. Aparat przemówił wyraźnie:

— Mej — głowa. Ał — ręka. Ałe — ręce.

Wtedy na przemian Taomej i Skribin zaczęli sypać wyrazami i objaśnieniami. Miończyk wskazywał poszczególne części swego ciała, nazywał je w swoim języku, a Skribin skwapliwie podawał ich nazwy we własnym języku. Potem Taomej przeszedł do wykonywania różnych ruchów, imitujących określone czynności, również podając Skribinowi ich nazwy. W ten sposób Skribin zdołał przekazać maszynie brzmienie czasowników: siadać, wstawać, iść, wracać, spać, brać, skakać... Przypominało to dziecięcą zabawę. Skribin nie zauważył, kiedy zaczęła wciągać go ta niepoważna na pozór zabawa. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że aparat skrzętnie notuje każde wypowiedziane przezeń słowo, każde zdanie. Potem Skribin wyciągnął z kieszeni chusteczkę i scyzoryk i pokazał je Taomejowi. Zdziwił się bardzo, gdy ten podał mu na dłoni chusteczkę o niemal identycznych kształtach, choć była kilkakrotnie większa, za to uszyta ze znacznie delikatniejszej tkaniny, a także scyzoryk większy od każdego noża, jaki można było spotkać na Ziemi.

Taomej znów sięgnął po mapę nieba i rozłożył ją przed Skribinem. Pięcioramienne gwiazdki wyobrażały gwiazdy, złocisto-żółty krążek Słońce, a kółka — planety. Miończyk zatoczył ręką łuk nad swoją głową i wypowiedział znów pojedyncze słowo.

— Niebo — domyślił się Skribin.

Aparat nie przestawał notować. Skribin wskazał na mapie jedną z gwiazdek i rzekł:

— Gwiazda.

Potem powiedział słowo „planeta”, wskazując Marsa, Jupitera, Saturna, a Taomej wypowiadał w swoim języku nazwy, które oznaczały to samo. Miończyk wyszedł nagle z pokoju i wrócił po chwili ze szklanką, okularami, książką i butelką... Skribin dziwił się podobieństwu tych przedmiotów do używanych na Ziemi. Miońskie były oczywiście znacznie większe, a i ich wykonanie odznaczało się wyszukaniem smakiem i starannością. Między znanymi Skribinowi przedmiotami były również i jakieś okrągłe, metalowe pudełka, jakieś pręciki, które Skribin widział po raz pierwszy w życiu i których przeznaczenia w żaden sposób nie mógł się domyślić. Nie umiał ich zatem również nazwać. Wzruszał przy demonstrowaniu każdego z nich ramionami i milczał, a Miończyk odkładał je na bok...

Jak długo ciągnęła się już ta gra słów i zdań, których niestrudzenie „uczył się” aparat? Może dwie, a może trzy godziny? W końcu Taomej usiadł na jakimś niewielkim krześle i zaproponował Skribinowi miejsce obok siebie. Potem naciskał na przemian rozmaite guziki i powiedział kilka słów wprost do złocistej siatki. Rozległo się ciche buczenie i terkot, jakby ktoś uderzał w klawisze maszyny do pisania. Po upływie mniej więcej sekundy aparat silnym, metalicznym głosem odezwał się w języku rosyjskim:

— Wszedłem do tego pokoju.

Skribin uniósł się w fotelu, nachylił do Taomeja, a ściskając jego dużą dłoń nie przestawał wołać uradowany:

— Zrozumiałem! Zrozumiałem!

Maszyna błyskawicznie przetłumaczyła słowa Skribina na język mioński i Taomej przyjaźnie poklepał Skribina po ramieniu.

— Jest pan mieszkańcem Ziemi? — pytał mechaniczny tłumacz.

— Tak — odpowiedział Skribin. — A wy przybywacie z planety, która kręci się wokół jakiejś bardzo odległej gwiazdy?

— My nazywamy ją Zejrą, ale naszą ojczyzną jest planeta Mion. Wiemy dużo o waszej Ziemi. Asur urodził się na Ziemi. Ale opuścił swoją planetę statkiem naszych dziadów.

— Co? — spytał niedowierzająco Skribin. — Czy to możliwe?

— Proszę się nie dziwić. Zresztą dowie się pan niedługo wszystkiego. Mamy nawet zdjęcia Ziemi. Proszę!

Taomej podszedł do metalowej szafy i wyciągnął stamtąd plik fotografii. Zdjęcia wydawały się niczym nie różnić od zdjęć, jakie robił i wywoływał Skribin, ale gdy wziął je do ręki, uderzyło go, że były nadzwyczaj ostre, wyraźne, a przy tym jakby niezwykle plastyczne, niemal stereoskopowe. Sfotografowani ludzie i obiekty miały jakby trzeci wymiar. Niewątpliwie była to właściwość surowca, z którego został zrobiony papier. Na jednym ze zdjęć ujrzał Skribin jakiegoś starca, odzianego w długą, białą szatę. W ręce trzymał kij, a u jego stóp skubało wątlą trawę stado owiec. W oddali widać było czubki palm, a pomiędzy nimi piaszczyste wydmy i góry.

Druga fotografia przedstawiała typowy krajobraz pustynny. Żłociste piaski, karłowata roślinność, skały. A pośród tego krajobrazu jeden, jedyny człowiek. Pólnagi, tylko wokół bioder przepasany wąską, podartą opaską. Biegł co sił w nogach. W oddali widać było niewyraźne sylwetki trzech jeźdźców, penetrujących okolicę.

— Poznaje pan tego człowieka? — zapytał Taomej.

— Nie, nie znam go. Skąd mógłbym go znać?

— Proszę przyjrzeć się uważniej.

Skribin raz jeszcze przyjrzał się zdjęciu. Rzeczywiście, twarz biegnącego wydawała mu się skądś znajoma. Gdzie go widział? Te wydatne usta, czarne włosy...

— Ach! — wykrzyknął inżynier. — To przecież ten człowiek z Ziemi, którego widziałem przed chwilą.

— Tak, to Asur.

— To zdjęcie zrobione na Mionie?

— Nie! Na Ziemi! Zrobione przed... chwileczkę, zaraz powiem dokładnie.

Taomej podszedł do drugiego aparatu, podobnego do tamtego, i nacisnął jakąś przekładnię. We wnętrzu maszyny znów coś zaterkotało, rozległ się świst, a po kilku sekundach z bocznego otworu wyfrunęła biała kartka. Taomej podniósł ją i przeczytał:

— Dokładnie przed pięciu tysiącami lat, stu dwudziestu siedmioma dniami, sześciu godzinami i ośmiu minutami, według waszego kalendarza.

Skribin przycisnął dłoń do serca, przymknął oczy i wyszeptał:

— Co się ze mną stało? Czy to naprawdę możliwe?

Kiedy wrócił do sali, w której zostawił przed chwilą swych towarzyszy, zastał ich siedzących wokół stołu, obficie zastawionego potrawami i trunkami. W wysokich szklanicach musował jakiś napój. Ania dostrzegłszy ojca, podbiegła doń i zapytała z wyraźną ulgą:

— Gdzie przebywałeś tak długo? Martwiłam się już bardzo o ciebie.

Skribin pogładził ją po włosach.

— Widziałeś Brauna? — zapytała córka.

— Nie — odpowiedział Skribin. — Byłem u Taomeja.

— Braun czuje się już o wiele lepiej, wiesz, tatusiu? Miał raka. Leczył go ten Mionczyk... Mejzo, to rzeczywiście lekarz. Widziałam na własne oczy, jak jakiś wspaniały aparat niszczył swymi promieniami komórki rakowe. Chodź, tatusiu!

Wzięła go pod rękę, podprowadziła do stołu i wesoło opowiadała.

— Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie ich potraw! Co za wyśmienity smak i jaki aromat! A owoce! Te na przykład mają smak jabłek, z wyglądu nawet przypominają trochę nasze jabłka. A to arbuzy. Weź, spróbuj, tatusiu, słyszysz?

Skribin patrzył nieprzytomnie przed siebie.

— Dlaczego nie odpowiadasz, tatusiu?

— Nic... nic... moje dziecko — odparł cicho.

Wciąż jeszcze był pod wrażeniem tego, czego dowiedział się od Taomeja. Był porażony już nie tylko faktem spotkania w kosmosie, w tak dziwnych okolicznościach istot rozumnych — to wydawało mu się teraz normalne, nieuniknione, prawidłowe. Nawet wspaniała maszyna

tłumaczająca nie intrygowała go już jak przed chwilą. Wytrąciło go z równowagi to, czego dowiedział się o Ziemiannie, o jego losie w zamierzchłej przeszłości i o wyprawie przodków siedzących obok Miończyków na Ziemię. Dlaczego nie zostawili żadnego dokumentarnego zapisu tego wydarzenia? Skribin spotykał nieraz w prasie nieśmiałe głosy, usiłujące powiązać istnienie na Ziemi śladów jakiejś zamierzchłej, datującej się sprzed tysięcy lat, wysokiej kultury i cywilizacji z faktem wizyty na niej jakichś istot z innej planety, istot znacznie górujących techniką nad Ziemiannami. Fantastyczne hipotezy, do których odnosił się zawsze z nie skrywanym sceptycyzmem, jawiły mu się oto jako niezaprzeczalna rzeczywistość.

— I co pan na to powie? Prawdziwy szampan! — dziwił się na cały głos Wega, zbliżając się do Skribina ze szklanicą o pojemności kilkulitrowego dzbana. — Ci Miończycy wiedzą, co dobre. Ale choć piję już drugi toast, zupełnie nie jestem pijany. Proszę, niech pan spróbuje!

Skribin wziął machinalnie z rąk Wegi ogromną szklanę.

Że istnieje życie również poza Ziemią — wierzył od najmłodszych lat. Już jako młody chłopak, studiując niezliczone dzieła z dziedziny astronomii, nie mógł pogodzić się z teorią, że Ziemia jest jedyną, uprzywilejowaną planetą pośród stu pięćdziesięciu miliardów gwiazd i być może około czterystu — pięciuset miliardów planet, które krążą wokół nich. Uważano za oczywiste, że wszystkie gwiazdy były tego samego pochodzenia. Powstały z materii kosmicznej, a ich historia, licząca dziesiątki miliardów lat ziemskich, nie różniła się wiele od historii Słońca. I one emitowały światło i ciepło jak Słońce, choć w różnej ilości i z różnym natężeniem. A większość gwiazd zbliżała się nawet rozmiarami, światłością i temperaturą do Słońca. Krążące wokół nich planety czerpały energię przez miliardy lat. Musiały zatem powstać na nich warunki sprzyjające powstaniu i rozwojowi życia, i to życia podobnego w swych formach do ziemskiego.

Skribin nie wątpił nigdy, że nadejdzie dzień, w którym człowiek wydostanie się poza układ słoneczny i atomową lub fotonową rakieta odleci w przestworza, by lądować na nieznanych planetach i poznawać ich tajemnice. Ale nigdy, w najśmielszych marzeniach nie mógł wyobrazić sobie siebie samego rozmawiającego z człowiekiem, który żył na Ziemi pięć tysięcy lat przed nim. Niedowierzanie Skribina musiało ustąpić przed prostym, naukowym obliczeniem Miończyka. Asur żyje wieki, ponieważ przebył w kosmosie setki miliardów kilometrów z szybkością równą szybkości światła. W okresie podróży na planetę Mion i z powrotem czas jakby zatrzymał się dla Asura. Gdy na gwiazdolocie czas przesunął się o kilka dziesiątków lat, w tym samym czasie Ziemia postarzała się o kilka tysięcy lat.

Asur będzie żył jeszcze setki lat, informował Taomej, dzięki poddaniu swego organizmu odpowiedniej dyscyplinie, przestrzegając diety i stosując cudotwórcze leki, posiadające zdolność wymiany wszystkich obumierających komórek na nowe, pełne nowych sił witaminowych.

Maszyny matematyczne bezbłędnie wychwytywały najmniejsze odchylenia od normy w przebiegu procesów życiowych w organizmie Asura i natychmiast przepisywały odpowiednią dietę i lekarstwa, które chroniły go przed przedwczesnym zesterzeniem się. Miończycy żyją średnio pięćset do sześciuset lat ziemskich, a niektórzy z nich, jak powiedział Taomej, przekraczają nawet wiek tysiącletni, ale wszyscy zawsze zachowują młodzieńczy wygląd.

O tym wszystkim rozmyślał Skribin, podczas gdy załoga „Kosmosu” kontynuowała biesiadę przy stole obficie zastawionym smacznymi potrawami Miończyków. Przepijano wesoło szampanem, perlistym i musującym jak ziemski, choć wcale nie upijającym.

— Tatusiu, dlaczego siedzisz taki markotny? Co ci dolega? — zwróciła się do ojca zatroskana Ania.

— Wszystko w porządku, Aniu — odpowiedział Skribin, powoli otrząsając się z zamyślenia. — Nie mogę tylko zapomnieć tego, co opowiedział mi Taomej.

— O, rozmawialiście? Przy pomocy mimiki i gestykulacji?

— Nie! Po prostu skorzystaliśmy z pomocy doskonałej maszyny-tłumacza.
— Cybernetycznej?
— Oczywiście. Urządzenie było raczej niewielkie, proste w konstrukcji, za to diabelnie inteligentne.

— Chciałabym również porozmawiać z Taomejem, tatusiu!
— Chyba będziesz miała wkrótce niejedną okazję. On już uczy się rosyjskiego.
— Co takiego?
— Uczy się rosyjskiego — powtórzył Skribin. — Siedzi tam jeszcze przed tą maszyną i uczy się! To wprost nie mieści się w głowie, Aniu. Kilka słów, potem zdań, wreszcie parę prawideł gramatycznych naszego języka. Piekielna machina notowała to wszystko skrzętnie, a Taomej powiedział, że doskonale sobie już teraz poradzi. Skierował ku swej głowie jakiś reflektor i wyjaśnił mi, że poddaje w ten sposób swój mózg napromieniowaniu promieniami pobudzającymi. Wystarczy tylko raz usłyszeć jakiś tekst, by zapamiętać go na zawsze. Zrobił próbę również ze mną, skierowując reflektor ku mojej głowie. To, co mówił w tym momencie, powtórzyłem po chwili bezbłędnie. Mogę ci nawet teraz przytoczyć wypowiedź Taomeja w jego własnym języku, mimo iż nie rozumiem z niej ani słowa.

— Wszystko to mówi, że Miończycy to potwornie uczone głowy — stwierdziła Ania.
— Bez wątpienia. Wszyscy rzetelnie i wszechstronnie wykształceni, a poza tym odznaczają się wysokim stopniem inteligencji. Taomej zapewniał mnie, że każdy Miończyk jest dobrym inżynierem, mechanikiem, nawigatorem, fizykiem, lekarzem, geologiem i matematykiem! I to nie amatorem, o nie! Zgłębiają te specjalności do perfekcji. A przy tym bardzo trudno zapominają. To doprawdy przerażające! Ich mózgi podobne są opastym, gęsto zadrukowanym tomiskom. Ale oto i nasz przyjaciel.

W drzwiach stał Taomej. Jego twarz promieniowała radością. Skinął przyjaźnie ręką do Skribina i miękki, łagodnym głosem przemówił w języku rosyjskim:

— Witajcie, przyjaciele!
— No, no, no! — wykrzyknął zdumiony Wega. — On przecież zna wasz język, panie Skribin!

Ania klasnąwszy z radości w ręce, podbiegła do Miończyka. Stojąc przed Taomejem z zadartą w górę głową, wydawała się małą dziewczynką.

— Ach, jakże się cieszę! — wołała. — Tatuś wszystko mi opowiedział. Jak to dobrze, że będziemy mogli się porozumieć. Przecież tyle rzeczy musimy się od was dowiedzieć i nauczyć.

— Nauczyłem się tylko kilku słów — usprawiedliwiał się Taomej. — Jutro poznam więcej, a wkrótce będę też rozmawiał po angielsku.

— Fiuuuu...! — gwizdnął przez zęby Jerry.

Gdyby nie wzrost i uderzające różnice w budowie ciała Taomeja i Ziemiań, Jerry byłby przekonany, że widzi przed sobą jednego z radzieckich kosmonautów, świeżo przybyłego z nowo odkrytej planety — Mion.

— No, pora już na wypoczynek, u nas panuje dyscyplina — zakończył ucztę Taomej. — Proszę za mną!

Wprowadził Ziemiań do przestronnego hallu, umeblowanego kanapami i stolikami. Na ścianach znów wisiały obrazy, wszystkie jaskrawo barwne. Na stolikach w wielkich wazonach tkwiły kwiaty. Zdumiony Skribin zauważył, że ich kielichy miały nie tylko zwykłe barwy, jakimi najczęściej odznaczają się kwiaty — czerwone, różowe, żółte, ale były tu także kwiaty o rzadkich kolorach fioletu, czerni, zieleni, a nawet szarości. Ich liście też były rozmaite, jak na Ziemi — podługne, okrągłe, sercowate, o brzegach ząbkowanych lub gładkich. Na dobrą sprawę mogły to być kwiaty ogrodowe zarówno z północy, jak i spod równika.

— Proszę, oto wasze kabiny — wskazał Taomej.

W ścianie ukazały się drzwi. Miończyk wprowadził do każdej kabiny po jednej osobie.

Kabiny niczym nie różniły się od siebie. Każda była przestronna i wysoka i w każdej znajdowało się trzymetrowej długości łoże, wykonane z materiału przypominającego ziemskie tworzywo sztuczne. Gdyby nie rozmiary, niczym nie różniłyby się od łóżek w luksusowych hotelach na Ziemi. Ściany promieniowały łagodnym, seledynowym światłem. Oprócz stołu i dwu foteli, w kabinie nie było niczego innego. Ania zmartwiła się brakiem jakichkolwiek urządzeń toaletowych, lecz Taomej nieznanym przesunięciem jakiejś zasuwki otworzył ukryte w ścianie drzwi. Ania ujrzała za nimi wannę z natryskiem, a odkręciwszy krany, ucieszyła się, że leje się z nich ciepła woda. Druga zasuwka wysuwała szafkę z ręcznikami. Taomej nacisnął błękitny guziczek i z niszy wysunął się barek na kółkach, zastawiony zakąskami i pękającymi butelkami, aż po szyjki wypełnionymi trunkami. Ale Taomej nie odchodził. Zbliżył się do łóżka i znów manipulując wśród rzędu guzików na ścianie, nacisnął jeden z nich. Pokój wypełniło nagle chłodne i aromatyczne powietrze górskie. Zapachniało kwiatami i ziołami.

— Ale może być również i tak — powiedział Miończyk.

Ania poczuła na swoim ciele chłodny powiew. Do uszu jej dolatywał coraz wyraźniejszy szum morskich fal, i Ania mogłaby przysiąc, że wciąga w płuca słońce, nadmorskie powietrze.

— Proszę spojrzeć na to urządzenie — Taomej wskazał niewielką, żółto pomalowaną tablicę rozdzielczą, którą pokrywały znaki, przypominające trochę ziemskie cyfry. — Jeden, dwa, trzy, cztery... do dwunastu. Bardzo łatwo zapamiętać, która cyfra jaką oznacza liczbę. Gdy nastawicie tę oto strzałkę na jedynekę, zasypiacie po minucie. Bez względu na to, czy jesteście zmęczeni, czy chce wam się spać, czy nie, długość trwania snu można również regulować według życzenia. Zatem dobranoc! Tak mówi się u was, prawda?

— Dziękujemy, dobranoc — odpowiedziała Ania.

Niczemu już się nie dziwiła i każdą następną rewelację przyjmowała jako coś najnormalniejszego pod słońcem.

Niewiarygodna historia Asura

Asur wyłączył wszystkie urządzenia, które przywoływały sen i na życzenie usypiającego dostarczały każdego rodzaju powietrza: górskiego, o zapachu sosny, morskiego, wiosennego czy zimowego — chłodnego i zdrowego zarazem. Zapragnął nagle odetchnąć innym powietrzem — skwarnym powietrzem ziemskiej pustyni. Dawno zapomniał już, jak pachnie jej wiatr, lecz wiedział, że dłużej nie potrafi już żyć bez suchego i gorącego powietrza, przesyconego pyłkami piasku. Ile to lat minęło od tamtego czasu?

W pamięci zatarły się już obrazy z dzieciństwa i lat młodości, zapomniał też o prymitywizmie warunków, w jakich żył na Ziemi.

Odnosił wrażenie, że umarł, by urodzić się na nowo na ziemi Miończyków.

Ale wyblakłe strzępki wspomnień odżyły, gdy Taomej przyniósł mu nowinę, że goszczą na gwiazdolicie istoty podobne do niego, z całą pewnością mieszkańców Ziemi. Asur wpadł zdyszany do sali i nagle zastygł na progu. Ujrzawszy stojących w sali przybyszów, nie miał już wątpliwości — to byli ludzie z Ziemi, jego bracia. Tylko ubiór ich wydawał mu się dziwny — mieli na sobie długie spodnie i białe koszule — nie tak ubierali się niegdyś jego współplemieńcy. Skóra ich również, jak spostrzegł po chwili, była o wiele bielsza niż jego. Ale to nieistotne, zapewne są mieszkańcami innego kraju. Wiedział przecież, że Ziemię zamieszkiwały również inne narody prócz egipskiego — Żydzi, Fenicjanie, Filistyni, Kanaańczycy, Hetyci.

Odezwał się w nim dawny niewolnik, który na widok cudzoziemca oddawał mu zawsze należny hołd. Jakaś pierwotna siła kazała mu paść na kolana i bić czołem o posadzkę gwiazdolotu. Instynkt podpowiadał mu bowiem, że są to ludzie wolni — panowie. Stropił się, że nie rozumieją jego słów, a i on nie rozumie ich języka. Poza tym rozgoryczało go także to, że patrzą nań, jak mu się zdawało, z chłodnym, obojętnym zdziwieniem. Podniósł się z klęczek i przygnębiony, choć wciąż jeszcze wzruszony do głębi, oddalił się. Gdy wieczorem załoga gwiazdolotu — w sumie siedmiu Miończyków — zasiadła do kolacji, Taomej obwieścił, że zdołał porozumieć się z jednym z gości przy pomocy cybernetycznego tłumacza. Tak, dziwne istoty rzeczywiście przybywały z ojczystej planety Asura, z Ziemi, która postarzała się już o kilka tysięcy i zdążyły zająć na niej ogromne zmiany. Mieszkańcom Ziemi udało się już odkryć wiele tajemnic wszechświata. Nie tylko skonstruowali samodzielnie poruszające się pojazdy, ale odkryli i rozbili atom, wykorzystując jego energię dla swych potrzeb, stworzyli także wysoką bogatą kulturę, którą Miończycy zapewne będą mieli okazję poznać, gdy nawiążą bliższe kontakty z tymi niepozornymi lecz mądrymi i inteligentnymi istotami ziemskimi.

Asur długo w noc nie mógł zasnąć, rozmyślając o tym, co mówił Taomej.

Jego ojczysta Ziemia jawiła mu się dotąd jedynie poprzez mgliste, fragmentaryczne wspomnienia. A dziś był tak wytracony z równowagi i przejęty, jak wtedy, gdy Taomej, jego najbliższy przyjaciel, zakomunikował mu, że Wielka Rada Miończyków postanowiła zorganizować drugą ekspedycję na planetę, która jest jego ojczyzną. Jeśli zechce, będzie mógł towarzyszyć ekspedycji...

Daleka, ojczysta Ziemia...

To tam przecież urodził się, tam bosy i półnagi biegał po piasku, odżywiał się mięsem dzikiej zwierzyny, figami, pomarańczami, oliwkami, zapijając to wszystko mlekiem orzechów kokosowych. Już jako dziecko zrećnie nurkował w morskie głębie, łowiąc ryby, a także szukając muszli, kryjących w swym wnętrzu piękne perły, które chętnie kupowali bogaci kupcy. Kiedy trochę podrośł, zaczął pomagać ojcu — miesił glinę i kładł ją na drewniane koło garncarskie, przy którym siedział ojciec, szczupłymi, brunatnymi palcami nadając glinie kształty przepięknych garnków, dzbanów, amfor i rozmaitych innych naczyń. Asur podpatrywał ojca i uczył się również tego pięknego rzemiosła. Naczynia można było bowiem wymienić na zboże, mięso, mąkę, zwoje płótna lub skóry. Niczego nie brakowało mu do szczęścia — szalas był bezpiecznym domem poza tym strzegł go rodzice, dwaj bracia i kilka siostr.

Pewnego dnia zjawili się w wiosce obcy przybysze. Ubrani w skóry, mieli z sobą na plecach łuki i strzały, a w ręku włócznie, które kierowali w stronę każdego, kto stanął im na drodze. Gdy zeskoczyli z wielbłądów, ludność wioski z piskiem, w popłochu porzucała swe domostwa. Niektórzy szukali schronienia za skałami, stanowiącymi naturalne ogrodzenie wioski od północy, inni przykucnęli za wysokimi wydmami, a jeszcze inni wspinali się na sam czubek palm, zasłaniając się ich liśćmi. Starsi i mniej sprawni kładli się po prostu pod krzakami, zastygając w bezruchu lub też uciekali przed siebie, w pustynię. Obcy przybysze szybko wyłapywali tych, którzy nie zdążyli się ukryć. Nie szczędzili razów po gołych plecach starcom i dzieciom, a zdrowych i młodych — chłopców i dziewczęta — zbitych w gromadę wiązali sznurem.

Asurowi również nie powiodła się ucieczka i jeden z handlarzy niewolników mocno skrepił sznurem jego rękę, nie żałując mu jeszcze dodatkowych uderzeń batem po nieosłoniętych plecach. Zebrawszy około dwustu ludzi, popędzili handlarze gromadę przez pustynię — nagich, z poranionymi stopami, umierających z pragnienia, wycieńczonych ze zmęczenia.

Wódz handlarzy sprzedał Asura w nieznanym Asurowi mieście. Kupił go jakiś bogaty kupiec. Był właścicielem wielkich stad wielbłądów i potrzebował kogoś do ich pilnowania. Asur pędził odtąd swój żywot wśród wielbłądów; pił wodę, którą one piły, gryzł suche

korzonki, odżywiał się zgniłymi owocami, żuł nawet siano jak i one, czasem tylko ukradkiem kosztował wielbłądziego mleka.

Ogorzał na słońcu, zdziczał, pozbawiony towarzystwa ludzi. Kości sterczały ostro przez wysuszoną na słońcu skórę, przemierzał na swych, niemal pozbawionych mięśni nogach ogromne pustynne przestrzenie, a oczy błyszczały mu jak dzikiemu zwierzątku. Tęsknił za swoją rodziną, za gajem przy szafasie i ciepłym morzem, w którym pluskał się jak ryba.

Już drugi rok upływał mu z dala od domu.

Pewnego razu kupiec wysłał Asura wraz z kilkoma jeszcze niewolnikami w asyście uzbrojonych strażników do jakiegoś dalekiego miasta. Objuczono wielbłądy skórami i owocami i ruszono w drogę. Długie tygodnie ciągnęła karawana przez pustynię. Od czasu do czasu zatrzymywano się i odpoczywano w cieniu palm jakiejś niewielkiej oazy, pijąc lodowato zimną, często gorzką i cuchnącą wodę, zawsze jednak radując się, że udało im się natrafić na źródło.

Był chłodny, jasny poranek.

Asur kroczył przed wielbłądem, rozglądając się na boki. Nagle zatrzymał się, a serce забиło mu w piersiach jak młotem. Tak, to miejsce było dziwnie znajome. Asur wdrapał się na pobliską wydnię i osłaniając ręką oczy przed blaskiem słońca utkwiał wzrok na linii horyzontu, gdzie żółte piaski stykały się z niebem. Wiedział już, że się nie mylił — tam była jego rodzinna wioska. Obliczył, że musiałyby iść jeszcze jeden dzień i jedną noc, by dotrzeć nad brzeg morza. Lecz karawana wyraźnie omijała jego wioskę, skręcając na północ, w kierunku wielkiego miasta, słynącego z bogactwa i urody. O jego wspaniałościach opowiadano Asurowi jeszcze w dzieciństwie.

Ale miasto wcale go dziś nie pociągało. Odżywała się w nim coraz silniejsza tęsknota za rodziną, przyjaciółmi, za skałami i piaskami, za bujną roślinnością i ciepłym morzem, które tak wiele miało mu do ofiarowania: czyste, pełne pożywienia wody i bezkresny przestwór.

Wieczorem udało mu się skraść jeden z bukłaków z wodą, trochę suszonego mięsa i kilka bananów. Kiedy karawana rozłożyła się na spoczynek, Asur przemknął bezszelestnie pomiędzy wielbłądami i czołgając się jakiś czas na brzuchu, znalazł się u podnóża niewielkiego kurhanu, i dopiero tu odważając się stanąć na nogach, pomknął nie oglądając się za siebie, w kierunku, gdzie jak sądził, powinna się znajdować jego wioska.

Obliczył, że oddalił się znacznie od obozowiska, zatrzymał się więc u podnóża jakichś rozgrzanych skał, pękających teraz z trzaskiem pod wpływem chłodu następującej nocy. Rozesłał małą rogożę, w której niósł na plecach za dnia swój skromny zapas pożywienia, i usnął. Zbudziło go wschodzące słońce. Upił łyk wody, zagryzł suszonym mięsem i podniósł się w dalszą drogę. Wtedy dostrzegł niewyraźnie majaczące w oddali trzy siedzące na wielbłądach sylwetki ludzkie w białych szatach. Z rękami uniesionymi do czoła, wypatrywały czegoś w pustyni. Asura tak zaskoczył i przestraszył ten widok, że stał jak wryty, zapominając o tym, by paść na ziemię i przywrzeć całym ciałem do piasku. Ludzie dostrzegli go i puścili się w pogoń.

Chłopiec był chybki jak sarna. Rzucając w piach swój tobołek, puścił się pędem przed siebie, niemal nie dotykając stopami chłodnego piasku. Nogi grzęzły w sypkim piasku, utrudniającym bieg, lecz on, zadyszany, nie myślał o rezygnowaniu z ucieczki. Zbiegał po zboczach, wśród pnących i kłujących roślin, po kamieniach raniących stopy, spuszczał się po niebezpiecznych urwiskach, oddychając z coraz większym trudem. Czy ujdzie prześladowcom? Może za tym wzgórzem będzie oaza z niewielkim gajem lub choćby jakiś porośnięty bujną zielenią wąwóz? Może przygarnie go i ukryje przed okiem prześladowców? A wtedy znów będzie mógł wrócić na drogę i zatrzeć za sobą ślady...

Pochylony wspinał się po wzgórzcu, i wtedy, ze szczytu dojrzał na pustyni straszliwego ptaka. Nie, to przecież wcale nie był ptak. Była to wysoka, okrągła wieża, skrząca się w

słońcu, jakby wykuto ją w szczerym złocie. Wieża sięgająca obłoków. Miała ostry, zwrócony ku niebu wierzchołek. Była tak ogromna, i tak nieoczekiwanie wyrosła tuż przed nieszczęśliwym niewolnikiem, że od razu domyślił się — „To jakiś bóg”. Tylko bóg mógł zstąpić na tę głuchą i niegościnną pustynię, by ukazać swą straszną, boską potęgę. Ale czy był bogiem złym czy dobrym? Czy zechce zlitować się nad nędznym niewolnikiem, czy też jak każdy posiadający władzę, okaże swe okrucieństwo i potęgę, i rozkaże nędznemu Asurowi ukorzyć się przed wolą silniejszych?

Dokoła panowała niczym nie zmacona cisza. Pustynia zdawała się martwa. Nie przeleciał żaden ptak, nie przebiegła żadna zwierzyna. Nigdzie choćby kępki roślinności, nawet powietrze zdawało się być nieruchome, nie poruszone najmniejszym powiewem wiatru. Tylko bezkresna, żółta pustynia i skwarny upał, a nad piaskami, na ołowianym niebie, rozpalone słońce. Pośród tej pustki samotny bóg w wysokiej wieży, gotów każdej chwili ulecieć w niebo. Asur odwrócił się za siebie i dojrzał coraz bardziej zbliżające się wielbłądy, wciąż poganiane do szybszego biegu przez jeźdźców. Wtedy bez namysłu przypadł do podnóża wieży, błagalnym gestem wznosił ku niej swe ręce i pełnym rozpaczyci głosem zawołał:

— Ratuj mnie, boże! Ulituj się nade mną! Obojętnie, czy jesteś dobrym czy złym duchem. Wybaw mnie, a każdego roku tego dnia nie poskąpię ci ofiary!

Z oczu popłynęły mu łzy i choć głos jego stawał się coraz bardziej zduszony, nie przestawał wołać pomocy. Lecz bóstwo nie odpowiadało, a jeźdźcy zatrzymawszy się na chwilę na grzbiecie wzgórza, zdumieni postacią nieznanego bóstwa, pognali znów wielbłądy i zaczęli zbliżać się na niebezpieczną odległość...

Wtedy stał się cud.

Bóstwo wypuściło ze swego wnętrza ptaka. Ogromnego, lśniącego w słońcu, straszliwego ptaka o nieruchomych skrzydłach. Ptak grzmiał i huczał, był wyraźnie rozwścieczony, może głodny i spragniony, i zdawał się grozić ukaraniem tych, którzy ośmielili się naruszyć jego uświęcony spokój. Asur zamilkł, potem padł na kolana i zamarł w bezruchu, pogodzony z nieodwracalnym losem — albo prześladowcy dostaną go w swe ręce, albo połknie go wyjące ptaszysko.

Ale nie nastąpiło ani jedno, ani drugie. Ptak przefrunął nad nim i poleciał dalej. Może nie dostrzegł go z takiej wysokości? Ale nie zbliżali się również prześladowcy... dlaczego zwlekają z pojmaniem go? Asur schował jak struś głowę w piasek i marzył tylko o tym, aby jak najszybciej wszystko się skończyło. Ale nie słyszał za sobą ani huków, ani głosów pogoni, a ryk ptaka rozplątał się również gdzieś w oddali. Asur odwrócił się ostrożnie za siebie. Wielbłądy i trzech jeźdźcy pokotem leżeli na piasku. Nie dawali żadnego znaku życia. Wydawali się martwi. A może tylko udawali? Asur postanowił odczekać jeszcze chwilę. Ale nie dostrzegł żadnego podejrzanego ruchu. Widocznie ptak poraził ich śmiertelnie z woli bóstwa... (dowiedział się później, że nie umarli, tylko zasnęli, by zbudzić się dopiero wtedy, gdy słońce przesunie się na niebie o jedną piędź). Nagle ptak usiadł miękko na piasku tuż obok Asura. Wydawał się teraz dobrotliwszy, uspokojony. I naraz z ptaka wyleciał człowiek. Asur nigdy jeszcze nie oglądał latającego człowieka. Zresztą nie był on podobny do rodaków Asura. Był ogromnego wzrostu, chyba wyższy od szałas, w którym żył chłopiec, a może nawet większy od najdorodniejszego wielbłąda. Opadłszy na piasek, ruszył przed siebie ogromnymi krokami. Nosił na sobie dziwny, błyszczący ubiór, ciasno opinający jego ciało, a głowa jego tkwiła w przezroczystej kuli, z której sterczał w górę długi, ostry róg, złociście połyskujący w słońcu. Na nogach miał ciężkie, wysokie buty. Gdy Asur ośmielił się spojrzeć w jego oblicze, dostrzegł oczy koloru otaczającej ich pustyni, które przypatrywały mu się z wyraźnym zainteresowaniem. Właściwie był podobny do człowieka, ale czy mógł to być człowiek? U ramion zwisały mu skrzydła, Asur widział, jak zręcznie posługiwał się nimi w locie. Nie, to na pewno nie był człowiek. To był bóg. Bóg, który przyjął postać człowieka. Asur oddał mu cześć, uderzając niefortunnie głową o tkwiący w piasku kamień, aż łzy nabiegły mu do oczu. Zaniósł

skargę na swój los przed stojącym przed nim bogiem, a potem podziękował gorąco za uchronienie go przed zemstą prześladowców.

To był dobry bóg — Asur nie miał już wątpliwości, lecz dlaczego zbliża się coraz bardziej do nędznego niewolnika? Nietrudno odgadnąć. Pragnie wziąć w posiadanie duszę Asura. Przybył w godzinę śmierci chłopca. Widocznie każdy człowiek w ten sposób rozstaje się ze swoją duszą — pomyślał Asur, godząc się na ten los. Chętnie odda swoją duszę. O ileż będzie mu lżej — przestanie go wreszcie męczyć ziemski żywot. Asur wyciągnął błagalnie do niego ręce i powiedział, że zaznał w swoim życiu już dość cierpienia, biedy i nędzy niewolnika. Z największą zatem radością odleci z dobrym bogiem do nieba...

Powiedziawszy to, zamknął oczy. Bóg wyciągnął ramię, objął nim chłopca i unióś w górę. Asur leciał wciąż w objęciach boga. Dokąd? Z całą pewnością do nieba, które zamieszkuje bogowie. Spróbował nieśmiało otworzyć oczy, lecz nadal widział tylko pustynię i przysiadłego w piasku ptaka. Bóg wleciał do wnętrza srebrzystej wieży ogromną bramą. Asur dygotał ze strachu w potężnych rękach boga, niczym pisklę wyjęte z gniazda. To, co się zdarzyło, było tak niezwykle, nieznanne, a nawet straszne, że w tej samej chwili stracił przytomność...

Gdy ocknął się, ujrzał nachylające się nad nim olbrzymie, brodate istoty. Silni, mężni bogowie o ogromnych, okrągłych oczach barwy pomarańczy albo też nieba o zachodzie słońca. Iluż tych bogów... Asur starał się zachowywać tak, aby w niczym im nie przeszkodzić, i nawet nie przyszła mu do głowy myśl o nawiązaniu z nimi rozmowy. Jeden z bogów nachylił się bardziej nad chłopcem i wyraźnie zwracał się do niego. Asur opuszczał wzrok zmieszany, czuł się bowiem jak mizerny pyłek, jak najnędzniejszy robak. Ale okazuje się, że bóg zna jego język. Oczywiście, jakże może być inaczej, bóg zna język każdego poddanego! Przecież co dzień wysłuchuje tylu pokładających w nim nadzieję i błagających o pomoc głosów, tylu szukających u niego pocieszenia, szczęścia i zapomnienia, a po śmierci życia u jego boku. Co prawda niektórych słów bóg jakby używał niewłaściwie, inne znów wymawiał bardzo śmieśczo, ale przecież Asur go rozumiał.

— Kim jesteś? — pytał bóg.

Asur nie śpieszył z odpowiedzią. Zastanawiał się nad czymś wyraźnie zakłopotany. Bogowie są wszak wszechwiedzący, znają najskrytsze nawet myśli, a ten pyta o tak proste sprawy. A może to jakaś pułapka?

— Jestem niewolnikiem, nieszczęsnym, pokornym niewolnikiem — odpowiedział wreszcie Asur, składając ręce jak do modlitwy.

— Dlaczego prześladowali cię trzej jeźdźcy?

Śmieszny bóg, udaje, że nie wie. Asur łagodnie wyjaśniał:

— Aby mnie złapać i zakuć w kajdany, a może nawet zabić!

— Za co?

— Zbiegłem od swego pana... Nie mogłem już dłużej wytrzymać... było mi ciężko, poza tym chciałem zobaczyć swój rodzinny dom... Przebacz mi, boże!

Bóg szeptem zamienił kilka słów z pozostałymi bogami, lecz Asur dosłyszał, że są to słowa nieznanego mu języka, z którego nic nie rozumie. Po chwili bóg znów zwrócił się do Asura:

— Czy chcesz zostać z nami?

Asur sądził dotąd, iż bogowie pragnąc powołać do swego grona któregoś ze śmiertelników, nigdy nie pytają go o zdanie. Ale ci bogowie byli widać najlepszymi i najdobrotliwszymi ze wszystkich bogów.

Asur nieśmiało zapytał:

— Dokąd pragniecie mnie zawieść?

— Tam — odrzekł bóg, wielkim palcem wskazując niebo.

Asur nie widział wprawdzie w tej chwili nieba, tylko kopulaste sklepienie wieży, ale

widocznie bóg postępuje tak z każdą zabraną z ziemi duszą. Asur ani przez chwilę nie wątpił, że zmarł i leci już prosto do nieba.

— Chcę! — odparł.

Dopiero później miał się dowiedzieć, że był nie pośród bogów, lecz ludzi przybyłych z innej, niezmiernie odległej planety, nad którą świeciło inne słońce i na której żyli inni ludzie, silniejsi, mądrzejsi i lepsi. Byli wszechmocni — potężniejsi od kapłanów i bogów. Budowali czarodziejskie maszyny, znali wszystkie tajemnice wszechświata, wiedzieli, co znajduje się na każdej gwiazdzie i na każdej z kulistych jak pomarańcze, wolno toczących się po nieboskłonie planet...

A dowiedział się tego dopiero po upływie kilku lat, gdy przybył do obcej ziemi, którą olbrzymy nazywały Mionem, siebie nazwawszy Miończykami. Wieża przeszywała przestworza niczym błyskawica, lecz Asur wcale tego nie odczuwał. Wydawało mu się, że ciągle jeszcze stoją w miejscu. Nie widział też nieba. Tylko od czasu do czasu podprowadzano go do okrągłej, połyskliwej i przezroczystej ściany, a wtedy wpatrywał się przez nią w bezlik gwiazd, które nie migotały jednak tak, jak to widać z Ziemi. Do wieży nie zaglądało Słońce, nie zapalano w jej wnętrzu pochodni ani glinianych kaganków, w których tkwiłby zalany łojem knot, a mimo to było tu jasno jak w biały dzień.

Życie Miończyków zadziwiało nieprawdopodobieństwem. Jakby jakieś zakłete lustro spełniało każde ich pragnienie, każdą zachciankę. A były to tak niezwykle pragnienia, o których Asur nigdy nawet nie marzył, ba, nigdy dotąd nawet nie potrafił sobie ich wyobrazić. To, co tu widział, co jadł, w co się ubierał, te cudowne maszyny, które znajdowały się w wieży, latające aparaty — wszystko to było jeszcze bardziej wspaniałe niż mógł przypuszczać w najśmielszych marzeniach. Z zamiłowaniem uprawiali Miończycy gimnastykę i biegi, a do ich ulubionego zajęcia zaliczały się również spacerowanie po ogrodzie, pełnym kwiatów i bujnej trawy, wypełnionym radosnym świergotem ptaków. Miończycy zachęcali go, a nawet zmuszali do udziału w ćwiczeniach gimnastycznych, tłumacząc, iż brak ruchu może wywołać u Asura groźny proces chorobowy. Uczono go także czytania, bo zdążył już doskonale opanować ich język. Z opowieści Miończyków, a teraz i z ich dzieł, przejął tak wiele wiedzy, że gdyby wrócił na Ziemię, obwołano by go na niej najuczestszym kapłanem.

Lecz upłynęło sporo czasu, nim uwierzył, że to nie dusza jego leci w zaświaty, lecz on sam, w swej ludzkiej, śmiertelnej postaci towarzyszy Miończykom w podróży do ich dalekiej, ojczystej krainy. Pewnego dnia powiedziano mu, że będzie żył jeszcze wiele, wiele lat; tak długo, że gdy kiedyś powróci na Ziemię, zastanie na niej ludzi, którzy mogliby być wnukami jego wnuków, a może nawet i ich wnuki.

Asur przysłuchiwał się temu z niedowierzaniem, ale przyznawał w duchu, że chciałby kiedyś sprawdzić, czy Miończycy mówili prawdę.

I oto pewnego dnia latająca wieża, opadłszy łagodnie na rozległą, mieniącą się niebiesko-zieloną i porośłą szkarłatnymi drzewami równinę, wylądowała na ziemi Miończyków. Asur zamieszkał z nowymi przyjaciółmi i poświęcił się studiowaniu ich życia. Planeta Mion wcale nie była piaszczysta i sucha, a klimat jej również nie był tak upalny, jak w jego kraju. Tu wszędzie rozpościerały się nieogarnione równiny i widać było, że jest to gleba niezwykle żyzna i urodzajna. W oddali błękitniał potężny masyw górski. Wszystko porastała niebiesko-zielona trawa, która stopniowo stawała się pomarańczowoczerwona. Drzewa rodziły obfity owoc. Soczysty i smaczny, najróżnorodniejszego kształtu, wielkości i barwy. A niebo, w które wciąż spoglądał Asur, było szaroniebieskie i wędrowało po nim słońce podobne do tego, które oglądał z Ziemi, choć odznaczało się bardziej intensywnym kolorem — wydawało się niemal czerwone, a poza tym nie nagrzewało tak mocno ziemi, jak słońce nad pustynią w kraju Asura.

W zupełne oszołomienie wprowadził Asura widok pojazdów poruszających się bez pomocy jakiegokolwiek zwierzęcia pociągowego. Pędziły po szerokich, równych drogach — lśniące,

piękne, z wygodnymi fotelami wewnątrz. Niebo też roiło się od licznych pojazdów powietrznych — jedne miały kształt jajka, inne znów przypominały rybę; były też pojazdy-trójkąty i pojazdy-talerze. Tych również nie ciągnęła żadna widzialna siła. Zresztą nawet ludzie unosili się tu w powietrzu, przypiawszy uprzednio do ramion aparaty, wprawiające w ruch skrzydła i pozwalające im poruszać się w powietrzu nie gorzej niż czyniły to ptaki. Pośród ogrodów wznosiły się wysokie budowle, zupełnie pozbawione okien, bo ściany ich posiadały, jak się okazało, właściwość przepuszczania światła. Jedne budynki miały kształt wysokich walców, inne czworoscianów, a ich ściany mieniły się różnymi kolorami. Były z całą pewnością piękniejsze niż pałac faraona. Ludzie nosili jaskrawe odzienia, ciasno opinające ich ciała.

A pożywienie... Asur nigdy nie przypuszczał, że mogą istnieć tak wspaniałe potrawy, i tak wykwintne, o delikatnym smaku, musujące trunki. Miończycy oddawali się swoim ulubionym zabawom, patrząc na ruchome obrazy i słuchając muzyki i mowy, dobywających się z czarodziejskich pudełek. Pewnego razu, w zupełnie ciemnej sali pokazano mu żywe obrazy. Ujrzał oto samego siebie, zstępującego z wieży-gwiazdolotu i szeroko rozwartymi oczyma ogarniającego tłumy Miończyków, falujące morzem głów wokół latającej maszyny, krzyczące coś do niego, wymachujące doń rękami. Wszyscy ci ludzie patrzyli na Asura z takim zaciekawieniem, jakby nagle ujrzeli przed sobą jakieś osobliwe, egzotyczne zwierzątko. Pokazano mu ogromne, szeleszczące, złożone w kilkoro płachty papieru, na których znów ujrzał siebie w otoczeniu Miończyków, a z tyłu jakieś domostwa, pola i maszyny.

Powiedziano mu, że piszą o nim wszystkie miońskie gazety. Zaczarowane śpiewające, mówiące i grające szkatułki nieprzerwanie opowiadały o nim i jego ojczystej Ziemi. A na matowych zwierciadłach, wmontowanych w inne pudełka, zdumiony Asur znów ujrzał siebie. Stał obok jakiegoś Miończyka i jego dzieci, które znacznie przerastały Asura wzrostem. Dzieci były grzeczne, miłe, choć widać było, że przejęte i patrzą nań zaciekawionym wzrokiem. Asur opowiadał im o Ziemi, o życiu na niej — opisywał jej roślinność, zwierzęta, morze i pustynię, smak owoców — wszystko, co pamiętał. Lecz przecież na Mionie życie było o wiele ciekawsze, pełne oszałamiających niespodzianek. W porównaniu z tym, co ujrzał na tej planecie, Ziemia wydała mu się szara, nieciekawą.

Niekiedy Asur przyłapywał siebie na tym, że w duchu zadaje sobie pytanie, czy to aby na pewno nie jest niebo, zamieszkałe przez bogów, którzy nie chcą mu wyjawić prawdy? Ale przekazywana mu stopniowo przez Miończyków wiedza z czasem rozwiała wszelkie wątpliwości. Asur dowiedział się od nich, że pojawili się na tej ziemi przed kilkoma milionami lat. Stworzyli na niej bogatą kulturę, odkryli wszelkie tajemnice natury; kierowali nią odtąd według swego życzenia — na życzenie umieli wywołać obłoki na niebie, z których spadał na ziemię życiodajny deszcz, a kiedy uznawali, że wsiąkła w ziemię już odpowiednia ilość wilgoci, kierowali w kierunku chmur jakieś cudowne promienie. Skupione w jednym miejscu na niebie obłoki, szybko roztopiały się i ginęły.

Tak, była to niewątpliwie ziemia czarodziejów, kapłanów i bogów! Ale ziemia, na której panował pokój. Nikt nie pozbawiał drugiego człowieka życia. I każdy obywatel był tu wolny. Zamiast rąk ludzkich, maszyny posłusznie wytwarzały wszystko, co było potrzebne do życia Miończykom. Jedne maszyny produkowały z kolei inne maszyny, które dostarczały Miończykom ubiorów, butów, materiałów, pokarmów, albo budowały domy i drogi, pływały same bez wiosł po miońskich srebrystozielonych oceanach, zanurzały się pod wodę, by na rozkaz Miończyków znów wyłaniać się nad falami. Zaczarowane maszyny, które posiadały duszę i oddawały hołd tym, którzy potrafili nimi kierować...

Pokazano mu kiedyś mapę ziemskiego nieba. Asur z łatwością rozpoznał gwiazdy, na które patrzył wieczorami, gdy zmęczony kładł się na spoczynek pod jakąś palmą. Potem pokazano mu inną mapę, a na niej niewielką gwiazdę. Było to słońce Miończyków, jak objaśniono go, stara i dobra Zejra. W pewnej odległości od Zejry na mapie zakreślone było niewielkie kółeczko — była to planeta Mion. Z pustyni Asur nigdy nie zdołałby jej ujrzeć,

ponieważ była maleńka i bardzo, bardzo oddalona od Ziemi...

Pierwsze dni Asur czuł się nieswojo, ponieważ nie pozwalano mu pracować. Oddano do jego wyłącznej dyspozycji kilka pokoi w domu bez okien, ale o ścianach, przez które mógł oglądać wszystko, co dzieje się na zewnątrz. Oczywiście, jeśli zechce poczuć się zupełnie odizolowanym od świata, wystarczy, by nacisnął niewielką dźwigienkę, a ściany staną się od razu matowe, nieprzeźroczyste, białe jak wielbłądzie mleko. Asur, skrepowany, pytał przyjaciół, dlaczego oddano mu tyle pokoi z tyłoma łóżkami, tapczanami, obrazami, drogocennymi dywanami na podłogach, z kranami, z których cieknie to zimna, to ciepła woda, z takimi wygodami i przepychem, o jakim nie śnił nawet faraon — syn Słońca? Ale Miończycy uspokoili go tłumacząc, że tak żyją wszyscy na ich ziemi i on żyje tak samo jak każdy z nich.

Odwiedzali go często mili i serdeczni Miończycy — mężczyźni i kobiety, zawsze ubrani na biało. Niektórzy nosili na nosie okulary. Z kieszeni ich ubrań często sterczały końce elastycznych rurek i dziwnych przyrządów, podobnych do... ucha Miończyków. Zamykali Asura w jakiejś skrzyni, pełnej dziwnych tarcz, guzików, krążków, sznurów i drgających strzałek i mówili, że widzą wnętrze jego ciała — bicie serca i pulsowanie krwi w żyłach i tętnicach. Innym razem znów przystawiali do skóry na rękach, głowie i pod pachami Asura miniaturowe zabawki i odczytywali na małych tarczach poznaczonych kreseczkami jakieś zagadkowe cyfry. Miończycy tłumaczyli Asurowi, że choć na Ziemi minęło już wiele wieków, chcą przedłużyć życie byłego niewolnika o wiele lat, a nawet o setki lat według ziemskiego kalendarza. Dlatego Asur musi połykać te wszystkie tabletki, jakie mu co dzień podają. Kuchnia Miończyków była wyśmienita. Przy urozmaiconym jedzeniu każdy posiłek kończył się szklanką nektaru, który był tak smacznym i aromatycznym napojem, że piłby go o wiele więcej, gdyby nie wstydział się swego łakomstwa. Ale w skrytości ducha Asur nie wierzył, że będzie żył tak długo, jak zapewniali Miończycy. Lecz mijały lata, wiele lat, a on, ku swemu zdziwieniu, wciąż cieszył się świetnym zdrowiem i kondycją.

A potem przeniesiono go do domu stojącego w ogrodzie, pełnego kwitnących kwiatów i drzew, pośród których tryskały wysoko w górę fontanny. Asur słyszał w dzieciństwie, że podobne domy znajdowały się w ogrodach faraonów — synów Słońca, i niektórych kapłanów. Czyżby i jego, pogardzanego nędzarza i nędznego niewolnika, zaliczono do synów Słońca?

Przychodziły do jego domu miońskie kobiety o długich włosach i białej skórze. Były zgrabne i wiotkie, znacznie drobniejszej i delikatniejszej budowy niż ich mężowie. Gdy odzywały się do Asura, z przyjemnością wsłuchiwał się w ich melodyjny, upajający głos. Mionki uczyły go czytać i pisać, przynosiły książki, niekiedy kazały siadać przed jakąś maszyną z okrągłym otworem, przyjemnie szumiącą. Mionki objaśniły Asura, że maszyna wysyła promienie, które przenikając do jego głowy, oczyszczają czy też pobudzają jego mózg. Asur nie rozumiał dokładnie, jak odbywa się to napromieniowanie, ale ze zdziwieniem skonstatował, że wszystko, czego uczyły go Mionki, stawało się niesłychanie łatwe do zapamiętania. W ten sposób opanował wiedzę z kilku dziedzin nauki — matematykę, fizykę, geologię a także historię miońskiego narodu. Posiadał już taką wiedzę, że śmiał się serdecznie ze swej niedawnej naiwności, która kazała mu oddawać cześć bogu, żyjącemu rzekomo w niebie, a faraonów czcić jako synów Słońca. Jakże ciemni byli jeszcze ludzie na Ziemi! Nie ma nieba — siedziska bogów. Jest tylko wszechświat z bezlikami gwiazd i planet, poruszających się i powstałych przed miliardami lat. Gwiazdy i planety żyją życiem podobnym do ludzkiego — z czasem również starzeją się, by po kilku następnych miliardach lat umrzeć, jak umierają wszystkie żywe stworzenia, choć śmierć ich jest trochę inna — nie umierają całe, umiera jedynie życie, które kwitło na nich.

Zapytano Asura, czego jeszcze chciałby się nauczyć.

— Budować wspaniałe maszyny, które same latają — odpowiedział.

Spełniono jego gorącą prośbę.

I tak Asur zaczął studiować tajemnice najnowocześniejszych i najpotężniejszych rakiet-

gwiazdolotów, które osiągały szybkość światła i którymi miońscy uczeni odlatywali na inne planety.

Zwiedził całą planetę. Ujrzał z góry stalowoniebieskie morze, z pływającymi po nim okrętami bez żagli i wiosł, szerokie rzeki i wysokie, pokryte śniegiem i lodem szczyty, widział równiny, porośnięte turkusową trawą, pośród której pomykały stada zwierząt — dwunogich i czworonogich, pełzających i skaczących, o wydłużonych łbach i wrzecionowatych tułowach. Podobne właściwie do ziemskich. W górze szybowały ptaki — niektóre wielkie jak Miończycy, inne maleńkie, o pstrokatym upierzeniu, podobne do papug.

Dziwił się, że planeta Miończyków ma tak łagodny klimat — ich słońce nie paliło tak silnie jak ziemskie. Ludzie zatem musieli ubierać się tu trochę cieplej — były to przeważnie ubrania z dziwnej, utrzymującej stałe ciepło materii, podobnej do wełny. Na Mionie również istniały pory roku — zima, po której nadchodziła wiosna, a potem lato i jesień. Ale gdy od północy zaczynało napływać chłodne powietrze i spadał pierwszy śnieg, topniał jeszcze tego samego dnia. Zaczynały wiać lodowate wiatry, ale szybko ucichały, powstrzymywane jakąś władczą siłą. Gromadziły się czarne chmury, ale znów aparaty szybko rozpraszały je i niebo na powrót stawało się szaroniebieskie. Zima była łagodna, tylko drzewa traciły liście, ale wkrótce zaczynały pączkować i rozkwitały bujnie jak drzewa na Ziemi.

Później Asur dowiedział się, że Miończycy umieją wpływać na pogodę. Ocieplali planetę, rozpędzali obłoki, powstrzymywali deszcze albo też wywoływali na niebie sztuczne chmury, z których spadał życiodajny deszcz. Miończycy byli wszechmocni. Potężniejsi od burz, błyskawic, chmur i piorunów, które zawsze tak trwożyły Asura na Ziemi.

Zaprzagnął zwiedzić jeden z dwu żółtoczerwonych dysków, świecących nocą na miońskim niebie tak samo jak ziemski Księżyc. Powiedziano mu, że mniejsze świecące ciało zbudowali dziadowie współczesnych Miończyków, a drugie zostało zmontowane i wystrzelone znacznie później. Obydwa Księżyce wykonane są z metalu i wprawione w ruch jak każda planeta. Znajdują się tak daleko, że nigdy nie spadły i nie spadną, lecz wiecznie będą świecić nad ziemią Miończyków, zawsze, kiedy Zejra schowa się za horyzontem. Po kilkugodzinnym locie wylądował na wielkiej, lekko zaokrąglonej powierzchni, którą pokrywały metalowe wieże, kuliste kopuły i okrągłe budynki, ponad którymi przeciągnięte były długie przewody, rozpięte między wysokimi, stalowymi prętami. Kroczył po tej sztucznej, metalowej ziemi tak, jakby brodził po swej pustyni lub szedł ulicą na planecie Mion.

Ile to lat już upłynęło? Kilkaset. A Asur nie przestawał być młody, pełen sił i wesół. Tylko włosy lekko mu posrebrzały, a wokół oczu pojawiły się delikatne zmarszczki. Mięśnie jego ciała również nie były już tak twarde i elastyczne jak niegdyś. Ale nie chorował. Miończycy opowiadali przecież, że mają aparat, który w przeciągu kilku minut niszczy każdy zarazek. Profilaktyka medyczna strzegła, by nie przedostał się do ciała Miończyka żaden groźny wróg. Asur zaczynał już pomału wierzyć, że stał się nieśmiertelny. Lecz myśl o nieśmiertelności przerażała go — życie zaczynało go już męczyć i wyraźnie mu ciążyć. Poza tym tęsknił za Ziemią...

Pewnego dnia odwiedził go Taomej. Był to wielki uczony i odkrywca, który posiadał niezmierną wiedzę. Był sławnym konstruktorem gwiazdolotów, umiał kierować każdym pojazdem, rozwiązywał najtrudniejsze zadania nie gorzej niż mózgi matematyczne, znał dokładnie historię planety, wiedział wszystko o dalekich gwiazdach, a poza tym był członkiem Wielkiej Rady, która sprawowała rządy na ziemi Miończyków.

— Asurze, przyjacielu — powiedział — zbudowaliśmy ostatnio najdoskonalszy gwiazdolot, wielki jak miasto. Poleci na planetę, którą nazywasz Ziemią i która jest twoją ojczyzną. Czy chciałbyś polecieć z nami?

Asur dawnym ziemskim zwyczajem padł na kolana przed Taomejem, oddając mu głęboki, pełen wdzięczności i szacunku ukłon. Miończyk podniósł go jednak szybko z klęczek i powiedział:

— Zatem przygotuj się do dalekiej podróży. Lot będzie trwał bowiem wiele lat ziemskich.

Po upływie kilku dni zawieszono Asura poza miasto, na rozległą równinę, pośrodku której nieruchomo tkwił gigantyczny gwiazdolit. Był tak długi, że gdyby Asur chciał go zmierzyć od końca do końca, potrzebowałby na to około godziny. Był również szeroki i pojemny. Podobny do ptaka pozbawionego skrzydeł, skrzył się srebrzyście w słońcu, jak odlany z czystego kruszcu. Nie miał kół, jak inne pojazdy, całym kadłubem mocno przywarł do ziemi.

Poinformowano również Asura, że w nowym gwiazdolicie wprowadzono wiele udoskonaleń. Poprzedni, którym leciał Asur, startował z przeraźliwym świstem, pośród płomieni ognia i topił ziemię wokół miejsca startu w promieniu dziesięciu kilometrów, zamieniając ją w potoki rozżarzonej do białości lawy, nad którą unosiły się gęste kłęby pary. Na polu wokół gwiazdolotu stało wiele pojazdów — samoloty, samochody, mniejsze, większe — pośród których przewijały się odprowadzające tłumy, lecz Asur, stojący na platformie windy, tkwiącej u samego luku gwiazdolotu, myślami był już daleko od zgromadzonych w dole tysięcy Miończyków, żegnających ziemskiego obywatela, wracającego do swej ojczyzny. Odpowiadał im również smutnym machaniem ręki — żał było mu bowiem opuszczać nowych przyjaciół i gościnną planetę, na której życie było tak interesujące i szczęśliwe.

Wprowadzono go do kabiny, którą stanowiła szeroka i długa sala. Miończykom wcale nie wydawała się ona za duża. Ledwie mogli się w niej zmieścić. Rozległ się przytłumiony świst, gwiazdolit drgnął i oderwał się od ziemi. Oddalał się od planety niemal pionowo w górę, początkowo dosyć wolno, potem nabierając szybkości, ale każdorazowa zmiana prędkości następowała niemal niedostrzegalnie. Asurowi zdawało się, że wciąż jeszcze tkwią nieruchomo pośrodku rozległej równiny. Dopiero spoglądając przez luk gwiazdolotu zauważył szybko malejące zabudowania w dole. Ludzi już wcale nie było widać, miasto też po chwili stało się tylko małym punkcikiem, a wokół zaczęła rozciągać się coraz bardziej bezkresna przestrzeń. Dziwne, ale nie odczuwał ani skutków przyciągania ziemskiego, ani stanu nieważkości.

Gwiazdolit stanowił jakby niewielkie miasteczko, w którym praca i życie toczyły się na pozór tak samo jak w każdym podobnym miasteczku na planecie. A jednak monotennie upływające dni, tygodnie i miesiące działały przygnębiająco. Miończycy czuwali na zmianę. Sen ich trwał nieprzerwanie całymi miesiącami, bez najkrótszej chwili przebudzenia. Połknawszy kilka tabletek jakiegoś lekarstwa, wchodzili do zaciemnionej sypialni z zainstalowanymi w niej projektorami, emitującymi niewidzialne promienie, układali się do snu i zasypiali. A ponieważ procesy życiowe, zachodzące w ich ciałach, niemal ustawały, nie odczuwali ani głodu, ani pragnienia. Spał również i Asur. Gdy budzono go, zdawało mu się, że sen jego trwał zaledwie kilka godzin. Wstawał z lekkim zawrotem głowy, odczuwając także chłód i pewne wyczerpanie organizmu — lecz stan ten trwał kilka minut — dopóki nie wprowadzono go do sąsiedniej sali. Tam znów inne tajemnicze promienie przywracały mu siły, a w kilka godzin później, po przełknięciu syntetycznych pokarmów i płynów zawartych w tubkach, znów czuł się rześki, wypoczęty.

Ale ta niekończąca, zdawało się, podróż, nużyła coraz bardziej. Szybciej zaczęły płynąć Asurowi dni dopiero wtedy, gdy wyprosił u Taomeja pozwolenie na podjęcie określonej, odpowiedzialnej pracy na statku. Taomej przystając na jego prośbę, mianował go pomocnikiem Zejba — pierwszego pilota. Całymi dniami i tygodniami Asur nie odstępował Zejba, tkwiąc niemal bez ruchu za jego fotelem w kabine dowodzenia, studiując szczegóły budowy i urządzenia potężnej maszyny latającej, śledząc pilnie każdy ruch pilota.

A za iluminatorami była wciąż martwa czerń nocy. Poruszali się w kosmicznym mroku. Gwiazdy wydawały się oddalone o wielkie przestrzenie i wyglądały jak rozsypane na ciemnym tle nieba drobniutkie połyskliwe kamyczki czy ziarenka piasku, a białe, żółte, niebieskie, czerwone gwiazdki Mlecznej Drogi przypominały zamarzły, skrzący potok drogocen-

nich kamieni.

Pewnego dnia astronom Elij wskazał na niebie nieco jaśniejszą gwiazdkę, objaśniając, że to Słońce. Asur długo nie mógł zasnąć. Podszedł więc do iluminatora i utkwiał wzrok w świetlistym krążku, powiększającym się tak straszliwie powoli. Trzeba było kilkudniowych obserwacji, by to w ogóle zauważyć. Lecz wiedział, że zbliżają się coraz bardziej do macierzystego układu słonecznego, a to było najważniejsze... Oto Słońce zaczyna już świecić jaśniejszym blaskiem, choć wciąż jeszcze jest niewiele większe od talerza. Zejbo wyciągnął rękę w stronę dźwigni, by zmniejszyć szybkość gwiazdolotu.

— Za kilka dni znajdziemy się w strefie układu słonecznego.

Asur poczuł się tak, jakby nagle stanął na grzbiecie wzgórza, z którego widać rodzinny szałas. Odtąd cierpliwie wystawał przed iluminatorem, czasem tylko rzucając okiem na ekran, po którym przelatywały migotliwe linie rejestrujące wszystko, co działo się w przestrzeni wokół gwiazdolotu w promieniu milionów kilometrów. Wtem na ekranie pojawił się niewielki punkcik. Punkcik rósł w oczach i stawał się podobny do ziemskiej pchły.

— Zejbo! — krzyknął Asur. — Asteroid!

— Poczekajmy, niech się zamelduje! — zażartował Miończyk.

Żadne niebezpieczeństwo nie zagrażało gwiazdolotowi. Silny, magnetyczny system obronny odpychał od statku każde ciało stałe, nie dopuszczając, by zetknęło się z jego powierzchnią. Ale ponieważ ten asteroid wydawał się Asurowi o wiele większy od tych, jakie spotykali do tej pory na swej drodze, nacisnął guzik obok ekranu, na którym natychmiast zarysował się wyraziście podłużny kształt, lecący w kierunku drugiego małego, okrągłego ciała.

— Księżyc — orzekł Zejbo. — To w jego kierunku leci ten dziwny asteroid. Nie, to nie asteroid, to chyba jakieś sztuczne ciało, podobne do naszych statków kosmicznych.

Podobne statki znajdowały się w muzeach Miończyków i wycieczki uczniów często przychodziły je tam oglądać.

Zejbo przywołał Taomeja i Elija. Postanowili zidentyfikować tajemniczy obiekt. Gwiazdolot jeszcze bardziej zmniejszył swą prędkość. Potem wypuścił mały statek, który i tak był przynajmniej dwa razy większy i potężniejszy niż ten, który leciał przed nimi. Pomocniczy statek Miończyków miał kształt jajka, poruszał się jednak z mniejszą szybkością, niż macierzysty gwiazdolot, lecz znów o wiele szybciej niż ten, za którym ruszył w pościg. Zatoczył szeroki łuk i znalazł się tuż za nierozpoznanym obiektem. Dogoniwszy go, wśliznął się pod niego, wypuścił dwie elastyczne macki, pochwycił w nie zdobycz, jak w długie, silne ramiona i wrócił z nią do gwiazdolotu...

Tym statkiem lecieli ludzie z Ziemi. Tak bardzo byli podobni do niego, a mimo to wydawali mu się bardzo obcy, kiedy oddawał im pokłony na przywitanie, a oni milczeli nie rozumiawszy go. Asur był rozgoryczony. I chociaż wiedział, że już jutro porozumie się z nimi przy pomocy maszyny-tłumacza i że za kilka dni każdy Miończyk, a także Asur opanuje dobrze język Ziemi, wcale nie czuł się tym pocieszony. Było coś w tych ludziach, co nie budziło w nim zaufania. Tylko jedna kobieta wydawała mu się istotą szczerą, dobrą i życzliwą, mówiły mu o tym jej oczy, patrzące nań z dobrotliwym zaciekawieniem i przyjaźnią.

Doszedł w końcu do wniosku, że kobieta była najprzyjemniejszą niespodzianką, którą krył w sobie ziemski statek kosmiczny.

Mion i Ziemia

— Istotnie, to wcale nie gwiazdolit. Znajdujemy się na tajemniczej planecie, łatwo się o tym przekonać! — mówił Wega, gdy po śniadaniu Taomej poprowadził Ziemiaków piaszczystą dróżką.

Po obu jej stronach kwitły kwiaty. Czyżby to były róże? Nie, to chyba orchidee rozchyłały swe wspaniałe kielichy? A może lotos? Białe, niebieskie, czerwone, żółte, jaskrawe kwiaty o popielatozielonych liściach i łodygach, tysiące kwiatów, rozsiewających wokół ciężką, upajającą woń. Wyrastały ze złocistoszarej gleby i gdyby nie oryginalność ich kształtów, mogłyby z powodzeniem uchodzić za kwiaty ziemskie. Tak samo drzewa — o gładkiej, cienkiej korze — białawe, szare, żółte, brązowe o rozłożystych koronach, gęsto obsypanych drobnymi, podługnymi listkami. Pośród bujnego listowia — owoce. Żółte i czerwone. Podobne do gruszek, ale większe i bardziej zaokrąglone — jak szkliste retorty, inne zaś wyglądały jak ziemskie jabłka czy brzoskwinie; były też owoce podobne do pomarańczy i śliwek, winogrona na przykład miały owoce wielkości brzoskwin. W koronach drzew świergotały ptaki nie większe od ziemskich, ale o niesłychanie pstrym upierzeniu i o wiele bardziej rozwrzeszczane, a tak oswojone z widokiem ludzi, że wcale nie podrywały się do lotu, gdy któryś z Miończyków usiłował je pogłaskać.

Wysoko w górze jaśniało niebo. Błękitnoszare, poznaczone drobnymi obłoczkami, wolno zmieniającymi swe kształty. Powietrze było może nieco chłodne, za to bardzo czyste i Ziemiaków oddychali nim z wielką łatwością, a nawet przyjemnością.

— Oczywiście! — odezwał się znów Wega. — Roślinność, zwierzęta, naturalne niebo. To bez wątplenia planeta. Lecz która? Gdzie możemy się znajdować?

Taomej uśmiechnął się wyrozumiale. Trochę dziwnie wyglądał ten uśmiechnięty, silny olbrzym, dobrotliwy i ufny jak dziecko.

— My nazywamy ją „Zwiastunem” — wyjaśnił. — Teraz, spacerujemy po jednym z jej parków. Niebo jest sztuczne. Rośliny i zwierzęta przewieziono z Miona. Nasi konstruktorzy zbudowali gwiazdolit, który daje nam złudzenie, że żyjemy w normalnym, małym miasteczku z kilkoma ulicami, zabudowaniami, zielenią, słońcem, gwiazdami, drzewami, ptakami... Tak, to wspaniała iluzja! A może życzy sobie, aby za chwilę spadł deszcz?

I skierował trzymane w ręku ostrze w stronę wielkiego kręgu, umocowanego na szczycie wysokiego, metalowego prętu i nim upłynęła minuta, obłoki raptownie zaczęły się skupiać w jednym miejscu sztucznego nieba, a w liściach zaszeleścił drobny deszcz.

— Cudowne! — wykrzykiwała Ania. — Lecz dosyć już, proszę wstrzymać tę ulewę, bo przemokniemy do nitki.

Taomej wstrzymał deszcz. Znów ukazało się słońce, i choć było niewielkie, świeciło i grzało jak prawdziwe. Wilgoć szybko parowała, powietrze pachniało ozonem.

— A może chcecie przeżyć burzę — z prawdziwymi błyskawicami i piorunami? — podstępnie zaproponował Taomej.

Już szykował się do zademonstrowania kolejnego urządzenia, ale wszyscy zgodnie zaoponowali, twierdząc, że wolą pospacerować po rozległym parku, w którym nie było nawet widać końca alejki, a także chcieliby poznać w ogóle cały gwiazdolit.

Skrubin dostrzegł w pewnym momencie u wylotu alei obok tryskającej wysoko fontanny żółtą piłkę, nakrapianą w brązowe plamy. Inżynier schylił się po nią, ale odskoczył przestraszony, gdyż piłka nagle pękła, z otworu zaś wychylił się jakiś okrągły łeb i po chwili dziwny stwór wraz z osłoną skoczył do basenu.

— To kaj-kaj — wyjaśnił Taomej. — Sypia w muszli, ale jest raczej zwierzęciem wodnym, choć potrafi także latać, co prawda bardzo niezdarnie. Nieszkodliwe zwierzątko.

— Przepraszam — odezwał się Wega. — Cały czas wydaje mi się, że tkwimy nieruchomo w miejscu. Czyżby „Zwiastun” nie obracał się wokół swej osi?

— Nie — odpowiedział Taomej.

— W takim razie powinniśmy mieć tu do czynienia ze zjawiskiem nieważkości, a my poruszamy się przecież zupełnie normalnie.

— „Zwiastun” jest najdoskonalszym pojazdem kosmicznym, z wszystkich budowanych przez nas do tej pory — objaśniał cierpliwie Taomej. — Wewnątrz wyłożony jest specjalnym tworzywem, posiadającym własności przyciągania każdego ciała, podobnie jak magnes, choć jest to coś bardzo różnego od magnesu ziemskiego. Każdy przedmiot, każde stworzenie podlega więc jego przyciąganiu. Co prawda przyciąganie to jest nieco słabsze niż na naszej planecie, lecz zdaje się, jest identyczne z przyciąganiem ziemskim. Dlatego nie odczuwacie jego specyfiki. Szczegóły wyjaśnię wam później. Lecimy przecież na Ziemię między innymi po to, by podzielić się z mieszkańcami wszystkimi naszymi zdobyczami i odkryciami.

Ziemianie cały czas zachowywali się jak turyści, którzy przebyli długą podróż, by podziwiać nieznanne osobliwości. Dla Miończyków nie było rzeczy niemożliwych. Goście z „Kosmosu”, nie chcąc wydawać się śmieszni, nie wykrzykiwali już głośno z zachwytu nad każdą nową prezentowaną im rewelacją. Obserwowali wszystko w powściągliwym, uprzejmym milczeniu. Przemierzyli już cały park, minęli jakąś bramę (która otwierała się sama, gdy zbliżyli się do niej na odległość mniej więcej dwu metrów) i znów ruszyli niekończącymi się korytarzami, przypominającymi ulice. Niekiedy korytarze przechodziły w wielkie, przestronne, pełne światła sale lub place. W niektórych salach stały ustawione rzędem wzdłuż ścian i zdające się drzemać dziwne maszyny i aparaty, gotowe każdej chwili, gdy tylko padnie rozkaz Miończyków, wznowić swą pracę. Wstąpili też do wielkiej hali maszyn, właściwie podobnej do kabiny ziemskiego rakiotoplanu, pełnej urządzeń sterowniczych i kontrolnych, ale tu zajmowały one przestrzeń co najmniej dziesięciokrotnie większą. Rzuciło się w oczy, że budowniczości „Zwiastuna” nie musieli liczyć się z przestrzenią. „Zwiastun” podzielony był na niezliczoną ilość pokoi — pomieszczeń z aparaturą i przyrządami, na sypialnie, jadalnie, korytarze, a także pokoje — baseny. W specjalnych szklarniach wysiewano nasiona wszelkich potrzebnych im jarzyn i zbóż, które błyskawicznie kiełkowały i dojrzewały, gotowe do zbioru. Magazyny i składy gwiazdolotu zapełniały więc sterty żywności i trunków, a oprócz tego specjalne urządzenia bez przerwy wytwarzały niektóre produkty z minerałów, wody, światła i energii cieplnej.

Ziemianie byli serdecznie podejmowanymi gośćmi załogi gwiazdolotu, która powitała ich zgromadzona w jednej z sal, wzdłuż ścian której stały wygodne, ogromne tapczany o wiśniowych obiciach. Nad nimi ciągnęły się dookoła pełne książek półki. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, w wielkich wazonach tkwiły kwiaty. Można pomyśleć, że weszło się do wielkiej oranżerii. Załoga „Zwiastuna” liczyła siedem osób — siedmiu doskonale zbudowanych, silnych olbrzymów, niemal jednakowego wzrostu, ubranych w trykoty. Wydawali się małomówni. Od czasu do czasu spoglądali po sobie i wtedy ich twarze, a zwłaszcza oczy, zmieniały swój wyraz i łatwo było nawet Ziemianinowi odgadnąć ich aktualny nastrój, uczucia i myśli. Porozumiewali się zatem drogą telepatyczną, przy pomocy bioprądów. Ale zdarzało się też, że któryś z Miończyków odpowiedział głośno na pytanie postawione przez drugiego nie słowami lecz w myśli.

Ziemianie usiłowali dopatrzeć się u Miończyków jakichś indywidualnych cech, różniących ich między sobą, gdyż na pierwszy rzut oka wydawali się identyczni, zarówno z wyglądu, jak i ze sposobu bycia. Ani udało się najszybciej odróżnić jednego z nich — Elija — młodego astronoma i meteorologa, którego twarz wydawała jej się trochę inna, nieco dziecinna, okrągła, poza tym nie schodził z niej ani na chwilę uśmiech. Zapytała Taomeja, czy i inni Miończycy nie zechcą nauczyć się któregoś z ziemskich języków, np. rosyjskiego, aby wszyscy mogli porozumieć się z Ziemianami. Elij jest przecież jej kolegą i bardzo chciałaby

dowiedzieć się czegoś więcej o sukcesach miońskiej astronomii. Więc Taomej zwrócił się do Elija, który, jak to było w jego zwyczaju, najpierw roześmiał się serdecznie, a potem zmieszany spojrzął na Anię. Spojrzenie to było pełne wymowy — szczere, uważne i rozumiejące. Ania zdrząła, domyśliła się bowiem, że te pomarańczowe oczy czytają w jej myślach — i świadomość tego ucieszyła ją i zarazem spłoszyła. Elij wyraźnie odpowiadał na jej propozycję: „Tak!”

Po chwili zdołała rozpoznać również drugiego Miończyka — lekarza Mejzo — niższy o parę centymetrów od towarzyszy i drobniejszy od nich — stał zamyślony na uboczu. Ania czuła do niego wielką wdzięczność za to, że tak cudownie wyleczył Brauna. Pozostali jednak byli podobni do siebie jak krople wody. Znajdował się między nimi Zejbo — inżynier i pierwszy pilot gwiazdolotu (Ania nigdy nie widziała uśmiechu na jego twarzy). Lejmeja przedstawiono jako pomocnika Zejba i zarazem radionawigatora. Nie spuszczał wzroku z Ani. Spojrzenie to mówiło, że był raczej zdumiony jej widokiem niż oczarowany, ale odnosiło się wrażenie, że chętnie spełniłby natychmiast każde jej pragnienie, choć stał nieco w tyle i milczał. Tojzi był geologiem ekspedycji, a Laoj — matematykiem i fizykiem. Unikała spojrzenia jego pomarańczowych oczu, które zdawało się nie tylko ją przeszywać na wylot, ale przenikać nawet ściany gwiazdolotu, by ginąć gdzieś w bezkresie. Widać było, że Laoj jest nieobecny duchem w sali, nieświadom tego, co dzieje się wokół niego, żyjąc w swoim świecie przerażająco trudnych formuł matematycznych.

Na Ziemianach wywarła wielkie wrażenie informacja, iż każdy z członków załogi jest specjalistą w kilku dziedzinach wiedzy.

— Wasi uczeni kończą zatem po kilka fakultetów — zauważył Skribin.

Taomej nie bardzo rozumiał, co powiedział Skribin, lecz wyjaśnił, że większość Miończyków, przede wszystkim uczonych, jest wszechstronnie wykształcona, co jest oczywiście niezbędne, by wykonywać zawód z pogranicza różnych dziedzin wiedzy. Są nawet tacy, którzy zgłębili wszystkie gałęzie nauki. Również członkowie załogi gwiazdolotu opanowali po kilka specjalności zawodowych. Każdy z powodzeniem mógł zastąpić drugiego na jego stanowisku pracy — na przykład każdy był lekarzem, astronomem, geologiem, fizykiem, radionawigatorem, inżynierem-kosmonautą, technikiem...

Zawarwszy bliższą znajomość Miończycy i Ziemianie znów wyszli na spacer. Brodzili boso po dnie płytkiego potoku, który wąziutkimi kanalikami rozlewał się po polach, dostarczając roślinom wilgoci. Woda była chłodna i kryształowo czysta, jak w każdym podobnym ziemskim, górskim strumieniu.

Wszystkich ogarnął beztronski, radosny nastrój. Robson biegł z przodu i co chwila przypadał do trawy, tarzając się w niej jak swawolne dziecko, to znów wodą ze strumienia opryskiwał swych przyjaciół, którzy z wesołym śmiechem odskakiwali do tyłu.

— Warunki niczym na naszej Ziemi! Patrzcie! — wykrzykiwał co chwila. — Podejrzewam, że i na Mionie zaaklimatyzowalibyśmy się bez trudu.

— Niewątpliwie, zresztą spójrzcie na Asura — powiedział Taomej. — Te same warunki — identyczna roślinność i fauna jak na Ziemi, to samo życie. Już dawno to sprawdziliśmy. Ziemia w ogóle jest nam raczej dobrze znana.

Opowiedział o dziełach, poświęconych życiu, atmosferze i geologii Ziemi, które napisali miońscy uczeni. Taomej również napisał na ten temat dwa opasłe tomy. Niemal identyczne warunki życia, panujące na oba planetach, tłumaczyły się prawidłowościami budowy wszechświata i zbieżnościami cech, jakie stwarzało sąsiedztwo planety z najbliższą gwiazdą. Miończyk wolno wypowiadał słowa, niekiedy zatrzymując się wpół zdania, gdy nagle zabrakło mu jakiegoś dokładnego określenia.

— Tak — podjął Taomej. — Uwieczniliśmy wiele faktów z życia waszej planety, dysponujemy nawet filmem o waszej Ziemi.

— Filmem? — zapytała zdumiona Ania.

Taomej wyjaśnił, że film ów został nakręcony przez pierwszą ekspedycję Miończyków, która odwiedziła Ziemię przed 5000 lat. Posiadają również inne filmy, ale te zostały na Mio-
nie.

— Czy mielibyście ochotę wziąć udział w projekcji filmu o Ziemi?

— Oczywiście, z największą przyjemnością! — zawołali wszyscy zgodnym chórem.

— A więc proszę za mną — powiedział Miończyk, prowadząc ich do jednej z niezliczonych sal, które przed chwilą zwiedzali.

Sala, jak wszystkie inne sale w gwiazdociele, była bardzo przestronna. Utonęli w miękkich, ogromnych fotelach, których dziesięć ustawionych lekkim półkolem stało pośrodku sali i czekali niecierpliwie na początek seansu. Podczas gdy wymieniali swoje pełne wątpliwości uwagi o możliwości ukazania na ekranie scen sprzed pięciu tysięcy lat, ściany sali zaczęły stawać się coraz bardziej niewyraźne, wreszcie znikły zupełnie, jakby roztopione przez silny blask, który nagle zalał salę. Wokół nich roztaczała się żółta pustynia. Wyglądała tak plastycznie i prawdziwie, że po plecach Ziemian przebiegł lekki dreszcz. W oddali płynęła leniwie rzeka, ku której opadały z obu stron zieleniejące łąny.

— Przypomina Nil — odezwała się Ania.

To właśnie Nil rozlewał się przed oczami Ziemian. Jego fale zbliżały się coraz szybciej, brzegi również zarysowywały się coraz dokładniej. Ania odruchowo wcisnęła się w głąb fotela, bo wydawało jej się, że za chwilę brudnożółta woda porwie ją z sobą. Na brzegu pokazali się ludzie. Smagli, półnaczy — jedynie wzdłuż bioder opasani wąskimi przepaskami, wszyscy mieli spaloną słońcem skórę. Jedni brodzili po kostki w mule, podnosili wysoko nad głowę trzymane w ręku motyki i po chwili opuszczali w dół, zanurzając je w lepkiem szlamie. Drudzy, zgięci w pół, w pełnym oczekiwania geście zamarli na stopniach wykutych w stromym brzegu. Znajdujący się na samym dole ciemnoskóry człowiek to przysiadł na piętach, to prostował się — nieprzerwanie, z regularnością wahadła. Przy pomocy jakiegoś podobnego do wiadra naczynia czerpał z rzeki wodę i podawał stojącemu wyżej towarzyszowi, który z kolei podawał je następnemu. Człowiek stojący na samym szczycie tej żywej drabiny wylewał wodę do szerokiego koryta, którym biegła ona na pola, porośnię bujną roślinnością. W innym miejscu wznosiły się nad rzeką wielkie, drewniane ramiona, zakończone kołyszącymi się wiadrami. Smagli mężczyźni opuszczali je nad powierzchnię wody, zanurzali i z wysiłkiem wyciągali już pełne. Odepchnięte w górę ramię tej prymitywnej studni, windowało wiadro w górę i przelewało wodę w płytkie kanaliki.

— Tatusiu, to przecież egipcycy niewolnicy! — zawołała Ania.

— Tak — szepnął jej w odpowiedzi Skribin. — To doprawdy zdumiewające!

Ziemianie śledzili bacznie wszystko, co działo się na ekranie, nie mogąc wyjść ze zdumienia nad plastycznością obrazu, dającego złudzenie, że znajdują się pośrodku rozgrywających się wydarzeń. Obrazy następowały szybko jeden po drugim. Oto naprzeciw kroczy dziwna procesja. Kilka dziesiątek tysięcy półnacych ciemnoskórych niewolników wlecze się w dół stromej drogi, dźwigając na swych barkach kosze, jakieś pudła, liny i długie drażgi. Nagle tłum, przypominający wielkie mrowisko, zafalował, rozprysnął się na wszystkie strony i znikł pomiędzy wznoszącymi się na polach wysokimi, drewnianymi rusztowaniami.

Dopiero po chwili Ziemianie uzmysłowili sobie cel tej pozornie bezsensownej krzątania niezliczonej rzeszy ludzkiej — w jednym miejscu ustawieni w długim szeregu niewolnicy ciągną z widocznym wysiłkiem linę, na której końcu przyczepiono jakiś ogromny ciężar. Krok w krok postępują obok nich jacyś inni ludzie, których ciała nie rażą takim wychudzeniem, jak tamtych przy linie, i co chwila smagają trzymanymi w ręku batami i kopiami plecy niewolników. Napięta lina wlecze za sobą ogromny kamienny blok, który ślizga się po grubych kłocach. Kilku niewolników szybko podnosi belki, po których przejechał już skalny blok i kładzie je dalej na drodze przed gładko ciosanym, czworokątnym kamieniem. Wyczerpani, półnaczy niewolnicy wspinają się jeszcze potem na wysoki nasyp, okalający ogromną,

zbudowaną z kamieni piramidę ze świątym wierzchołkiem.

— Tak pracowali niegdyś ludzie na waszej Ziemi — powiedział Taomej i w głosie jego zabrzmiało szczere współczucie i ból. Nachylając się w kierunku Skribina, zapytał po chwili:

— Czy wciąż jeszcze tak ciężko tam pracujecie?

— Och, nie! — oburzył się Skribin. — Skądże! To zamierzchła przeszłość.

Nastąpiła kolejna zmiana obrazu. Pustynię przebiega stado spłoszonych zwierząt. Jeźdźcy na wielbłądach gnają je przed sobą, bezlitośnie okładają zwierzęta batami, by zmusić je do szybszego biegu... W górze rozpościera się błękitne niebo. Na prawo, u podnóża gór, zarysowują się mury miast. Trzej pasterze, odziani w skóry, klęcząc dotykają czołami wyschniętej trawy, to znów wznoszą wzrok ku niebu i wyciągają przed siebie błagalnym gestem ręce... Ich wzrok wyraża zarówno przestach, jak i nadzieję, prośbę i szacunek...

— To zdjęcie wykonali nasi kosmonauci po wylądowaniu na Ziemi, podczas pierwszego spotkania z jej mieszkańcami — objaśniał Taomej. — Pasterze byli przekonani, że widzą przed sobą bogów, którzy zstąpili na Ziemię. Byli to tak ciemni, naiwni ludzie, że wszystko, czego nie byli w stanie sobie wytłumaczyć, przypisywali siłom nadprzyrodzonym. Przy tym żyli w tak straszliwej biedzie... Silniejsi i bogatsi rządzili biednymi, których uczynili swymi niewolnikami. Mieszkańcy Ziemi w tej epoce odznaczyli się niezbyt pozytywnymi cechami: byli okrutni, mściwi, zakłamanymi, nieuczciwi, obłudni... Nieszczęśnicy, bezbronni wobec kaprysów natury i okrucieństwa swych władców. Mionczycy pomogli wtedy nawet pewnemu podbitemu narodowi uwolnić się spod jarzma okrutnego satrapy.

— Jak zwał się ów satrapa? — zapytał Skribin.

— Nie wiem, nazywali go faraonem.

— To interesujące — przetrwały bowiem legendy na ten temat. Czy zdarzenie to miało miejsce w Egipcie?

— Możliwe. Działo się to nad tą wielką rzeką, którą przed chwilą oglądaliście, w bardzo urodzajnej krainie. Cała ta ciekawa historia opisana jest zresztą szczegółowo w dzienniku podróży naszych pierwszych kosmonautów. Jeśli zechcecie, będziecie mogli zapoznać się z nim — jest to dosyć interesująca lektura.

— Och, będziemy bardzo wdzięczni za pokazanie nam tego dziennika! — zawołała Ania.

Ale uwagę jej znów przykuł film.

Młody, półnagi chłopiec biegł przez pustynię.

Był tak blisko, że Ani wydawało się, iż dopiero w tej chwili wbiegł do sali, w której odbywała się projekcja filmu. Oddychał z trudem, rozwierał szeroko usta i krzyczał wyraźnie czymś przerażony. Twarz jego wyrażała śmiertelne znużenie i błaganie o ratunek. Za nim, wskoczywszy na wielbłądy, pędzili trzej mężczyźni.

— Ależ to Asur! — wykrzyknęła zdumiona Ania.

Nieszczęsny chłopiec czynił rozpaczliwe wysiłki, by zbiec swoim prześladowcom. Na próżno. Biegł już ostatkiem sił, zataczając się i padając co chwila w piasek.

Wtedy na niebie ukazał się nieduży, podobny do rakiety samolot. Leciał prosto ku prześladowcom Asura. I nagle wielbłądy ugięły kolana, przypadły do ziemi i zaryły łby w piasek. Trzej jeźdźcy, wyrzuceni z siodła, plasnęli bezgłośnie o ziemię. Z samolotu wyskoczył człowiek z dziwnym aparatem na plecach i opuścił się w dół. Gdy znalazł się przy Asurze, objął go w pól i poniósł z sobą do statku...

Rozległ się ryk silników i obłoki dymu przesłoniły pustynię i niebo. Zgasło słońce, znikła Ziemia... Wokół było tylko morze ognia i dymu. Nastąpił oślepiający błysk, w którym zdawało się, roztopi się sala, a potem był już tylko mrok i cisza...

Rozległ się cichy, jakby z bardzo daleka dochodzący głos Taomeja.

— To ostatnie zdjęcie Ziemi. Zrobione w momencie startu gwiazdolotu w kierunku naszej planety...

— Wszystko to było tak dawno — podjął Skribin. — W tamtych, odległych czasach, o których nasza ziemską nauka wie tak mało. I to jedynie dzięki żmudnym badaniom archeologicznym i skąpom zapiskom w kamieniu, często niestety w formie trudnych do rozszyfrowania hieroglifów.

Skribin urwał. Wyciągnął rękę w kierunku ogromnej jak dzban szklanicy i powoli sączył ciemny, gorący napój, przypominający w smaku kawę, choć był od niej o wiele smaczniejszy. Siedzieli w piątkę w jego pokoju: Skribin, Ania, Wega, Taomej i Asur. Największe podniecenie malowało się na twarzy Asura, jeszcze brzmiały mu w uszach słowa mechanicznego tłumacza. Skribin opowiadał o wielkim wzruszeniu czterech miliardów ludzi, gdy gwiazdolit Miończyków wylądował na Ziemi. Historia ziemską będzie mogła zweryfikować swe hipotezy, opierając się na relacji naocznego świadka tak zamierzchłych wydarzeń.

— Przepraszam — przerwał milczenie Taomej. — Wciąż intryguje mnie wasza Ziemia. Z tego, co przed chwilą usłyszałem, wynika, że będziemy musieli skorygować i uzupełnić swą wiedzę o życiu na niej, bądź co bądź, od czasu ostatniej ekspedycji minęło kilka tysięcy lat.

— O, tak! — odparł z ożywieniem w głosie Skribin. — W żadnym wypadku nie można postawić znaku równości między tamtą odległą epoką a naszą współczesnością. Niewątpliwie wy, Miończycy, wyprzedziliście Ziemiaków w każdej dziedzinie, drogi Taomeju, lecz pozwolę sobie zauważyć, że nauka ziemską może poszczycić się również niebagatelnymi osiągnięciami. Zwłaszcza w ostatnich pięćdziesięciu latach zaszły u nas tak wielkie przeobrażenia, że ziemscy uczeni lada dzień zbudują raketę fotonową, a wtedy rozpoczniemy loty w kierunku nowych planet, spoza naszego układu słonecznego. Niewątpliwie odwiedzimy wówczas również i wasz Mion.

Wszyscy roześmiali się. Najgłośniej śmiał się Taomej, gdyż słowa te sprawiły mu szczególną przyjemność.

— Proszę jeszcze coś opowiedzieć. Chciałbym wiedzieć wszystko — prosił Asur.

Słuchał opowieści o Ziemi z takim zainteresowaniem, jakby cała planeta była jego ojczystym szalasem, który opuścił tak dawno. Tęsknił za nią. Chciał, aby wszyscy Miończycy dowiedzieli się o wielkich zmianach, jakie zaszły na niej. Jakże prymitywne i ubogie było tam kiedyś życie. A teraz Ziemiacy latali w powietrzu jak Miończycy. Posiadłszy głęboką wiedzę, byli w stanie czynić jak i oni cuda — pamiętał, w jakie oszołomienie wprowadził go po przyjeździe na planetę Mion widok wspaniałych wynalazków.

Słuchał pilnie tego, co mówił Skribin, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Na Ziemi znano już maszyny, które rozwiązywały najtrudniejsze zadania matematyczne. Mózg cybernetyczny, zastępujący człowieka przy najbardziej skomplikowanych procesach produkcyjnych, potrafił jednocześnie „rozstrzygać” najtrudniejsze problemy teoretyczne, a nawet odpowiadać na pytania. Rozbicie atomu stało się nowym źródłem dobrobytu dla ludzkości, która zastosowała go nie dla wytwarzania środków zagłady, ale dla dobra człowieka.

Ziemiacy poznali dokładnie dwie najbliższe mu planety — Marsa i Wenus, nie mówiąc o Księżycu, na którym już dość dawno zdążył się nawet osiedlić, a obecnie przygotowuje się do lotu na inne, bardziej odległe planety.

Księżyc właśnie spełnia podczas lotów kosmicznych rolę bazy, zaopatruje statki we wszelkie niezbędne surowce. Dlatego na Księżycu buduje się wciąż nowe fabryki. Skribin opowiedział również o sztucznych planetach — satelitach Ziemi, które po wystrzeleniu w kosmos zaludniane są przybyszami z Ziemi. Razem z ludźmi pojawiają się na nich zwierzęta i roślinność.

Oczywiście, planety te są na razie niewielkie, rozmiarami dorównują zaledwie gwiazdolitowi, na którym obecnie się znajdują, ale tak błyskawiczny rozwój nauki i techniki, jaki obserwuje się na Ziemi w ostatnich latach, każe wierzyć, że już niedługo Ziemia będzie miała

nawet swoje sztuczne słońce, które będzie dostawcą energii cieplnej i świetlnej dla najodleglejszych nawet rejonów, zarówno okolic ziemskiego bieguna północnego, jak i południowego.

— My już potrafimy budować sztuczne słońca — wtrącił Taomej.

— W jaki sposób? — zapytał Skribin.

— Zasada jest na pozór prosta, ale w realizacji stwarza duże trudności. W każdym razie we wszystkim staramy się naśladować naturę.

— O, tak. Natura posiada fantazję, jakiej nie jesteśmy w stanie uzmysłowić sobie, a co dopiero naśladować.

— Niewątpliwie — zgodził się Taomej. — Każda materia stanowiła niegdyś ciało lotne. Dziś również spotykamy tę formę materii — choćby cały wszechświat. Wielkie skupiska gazów, w których zachodzą ciągłe, burzliwe procesy, to przecież gwiazdy. Naszym uczonym udało się zbudować dwa małe sztuczne słońca...

— Otrzymaliście drogą laboratoryjną stałą plazmę? — wykrzyknął zdumiony Skribin.

Rozpoczęła się gwałtowna wymiana zdań, gęsto przeplatana naukowymi terminami. Dyskutanci uściślali pojęcia w języku rosyjskim i miońskim, w końcu doszli do zgodnego wniosku, że plazma w całym wszechświecie odznacza się tym samym składem i własnościami, jest to po prostu jonizujący gaz, nasycony elektrycznością, w którym nagle pękają elektronowe powłoki i tworzą się nowe jądra z inną liczbą elektronów i protonów, a plazma przechodzi w inny stan. Podczas tego zjawiska zachodzą potężne, burzliwe procesy, połączone z wydzielaniem ogromnej ilości energii, m. in. ciepła i światła. Po upływie miliardów lat gwiazda zaczyna stygnąć, zmienia swą barwę i siłę promieniowania i w końcu przechodzi ze stanu gazowego w stan ciekły, a następnie stały. Każda materia była niegdyś plazmą i prawdopodobnie przy zmianie warunków znów przekształci się w plazmę.

— Niewątpliwie — zgodził się Wega, słuchający dotąd z wielkim zainteresowaniem wywodu Taomeja. — Gdy naszym uczonym uda się przekształcić materię w plazmę, będziemy dysponowali straszliwą siłą. Bomby atomowe i wodorowe będą niczym w porównaniu z tym nowym źródłem energii.

— Ale po co wam taka broń — zapytał nic nie rozumiejąc Taomej. — Niekontrolowana plazma bardzo łatwo może stać się środkiem masowej zagłady.

— Powinno się zawsze dysponować siłą większą niż ta, którą posiadają wrogowie — powiedział Wega. — Chyba przekonaliście się o tym również na Mionie?

Taomej z niedowierzaniem spoglądał na Węgę. Tak niepozorny wydawał mu się ten mieszkaniec Ziemi, a przepełniało go tyle nienawiści i zawziętości bez skrupułów.

— My nie mamy wrogów — odparł chłodno.

— Co takiego? Tak dobrze układają się stosunki z innymi państwami?

— U nas nie ma państw. Cała planeta jest jednym, wielkim państwem.

— A poszczególne warstwy społeczeństwa wewnątrz państwa? Konflikty, które rozstrzygnąć można jedynie przy użyciu siły?

Skribin słuchał tego wszystkiego z niepokojem acz cierpliwie. Lecz teraz już Wega wyraźnie przeciągnął strunę. Ziemianie, w jego relacji, ukazali się Miończykom jako godne pożałowania istoty — wrogowie życia. Skribin cierpko wtrącił.

— Zmieńmy temat rozmowy...

— Dlaczego? — oburzył się Wega. — To przecież takie interesujące. Może nasz przyjaciel Taomej opowie nam jeszcze o stosunkach społecznych w swoim państwie?

— Z największą przyjemnością — odparł Miończyk. — To, o czym mówiliście, miało miejsce na Mionie w zamierzchłej przeszłości. Było to krótko po tym, jak Miończycy rozbili atom i dokonali pierwszych odkryć o straszliwej sile, drzemiącej w plazmie. Wtedy dokonał się wielki przełom w dziedzinie stosunków społecznych i socjalnych. Ludzie jednomyślnie uświadomili sobie, że nowo odkryta siła może przynieść im albo zagładę, albo zapewnić nie-

przeciętny dobrobyt i szczęście w parze z nową etyką. Zrodził się nowy ruch, który w krótkim czasie objął całą planetę — ruch ten połączył ludzi wszystkich stanów, wszystkich warstw społeczeństwa. Ludzie w trosce o swe bezpieczeństwo zrozumieli, że czas znieść różnice i konflikty, czas wypowiedzieć wojnę kłamstwu i niezgodzie, stworzyć nowe społeczeństwo, oparte nie na klasach i kontrastach społecznych. Miończycy nie chcieli już dłużej żyć na wulkanie, który każdej chwili mógł eksplodować i spowodować totalną katastrofę. I stał się cud. Bez uciekania się do wojny, zniszczeń, śmierci. Teraz na naszej planecie kwitnie szczęście i bogactwo. Każdy posiada to, czego potrzebuje. Zapewniła nam to coraz doskonalsza technika i mechanizacja, która umożliwiła nieograniczoną wprost produkcję wszelkich dóbr. Jeżeli bywają jakieś nie zaspokojone pragnienia, są to pragnienia tych, którzy nie pracują.

— Aa... więc istnieją bezrobotni? Ci zapewne głodują? — zauważył sarkastycznie Wega.

— Nie zrozumieliśmy się. Nie ma u nas bezrobocia. Pracują dla nas maszyny i automaty i nikt nie głoduje. Nie ma biednych ani bogatych. Każdy Miończyk otrzymuje wszystko, czego potrzebuje. Praca człowieka polega jedynie na kontrolowaniu uniwersalnych wytwórni. Ale oczywiście, nie jesteśmy w stanie zapewnić pracy wszystkim. Zaszczyt ten przypada najzdolniejszym, wybitnym uczonym, wyłonionym drogą konkursu. Reszta Miończyków jest wolna. Zajmuje się zresztą na ogół sztuką, gdyż praca w fabryce i na poligonach jest, jak już wspominałem, najwyższym zaszczytem, najbardziej cenionym wyróżnieniem.

Ale Wega widać nie podzielał poglądów Taomeja, gdyż co chwila wzruszał powątpiewająco ramionami. Nie rozumiał, iż może być dla kogoś szczęściem sama możliwość pracy. Sam nie bardzo lubił pracować, najchętniej spychał pracę na barki innych.

Ania starała się wyjaśnić zachowanie Wegi, mówiąc:

— Na jego półkuli istnieje ustrój kapitalistyczny, faworyzujący tych, którzy sami nie lubią pracować, lecz chętnie korzystają z dóbr wyprodukowanych przez innych.

— Przecież to przestępstwo — oburzył się Taomej.

— Przestępstwo, oczywiście — potwierdził Skribin. — W naszym Związku Socjalistycznych Republik dawno już to zrozumieliśmy. Nie wiem, czy wiecie, że u nas panuje niemal identyczny ustrój, jak na waszym Mionie?

— Doprawdy? To wspaniale! — pochwalił Taomej.

— Z całą pewnością nie mamy jeszcze takich osiągnięć jak wy, lecz wciąż udoskonalamy swój ustrój. A jest to ustrój komunistyczny. Ten pan — tu wskazał głową Węgę — reprezentuje państwo kapitalistyczne. Tam robotników opłaca się zgodnie z interesami garstki zamożnych.

— Hm, coś podobnego istniało niegdyś i na Mionie. Ale skąd biorą na to środki?

— Od robotników.

— Jak to?

— Robotnicy produkują, lecz wszystko stanowi własność właścicieli przedsiębiorstw.

— Ależ — wykrzyknął Taomej — to zwykła kradzież! To oznacza bardzo niski jeszcze stopień rozwoju stosunków społecznych. Szkoda...

Rozmowa stawała się dla Wegi coraz bardziej nieprzyjemna.

— Wszystko to w rzeczywistości nie wygląda tak skandalicznie — odezwał się nieśmiało.

— Tak pan sądzi? Są to sprawy jeszcze bardziej ponure, niż można sobie wyobrazić — oburzyła się Ania. — Zresztą przyjaciel Taomej odwiedzi Ziemię i przekona się na własne oczy, wtedy porozmawiamy.

Wega nachmurzył się. Znów odezwały się w nim tłumione obawy i niepokój. Miończycy mieli zamiar wylądować na Ziemi. Razem z nimi wylądują Skribin i Ania. Nie! Do tego nie można dopuścić. Przecież mieli lecieć na Księżyc. I polecą tam z nim za wszelką cenę. Licho nadało tych przeklętych Miończyków! — myślał Wega. — Porwali „Kosmos”, a teraz

chęcią się, że na ich planecie nie ma gwałtu, nie ma obłudy.

— Zgoda — podjął, zwracając się do Taomeja. — My, Ziemianie, jesteśmy niewątpliwie żałośnie niedoskonalni, u was wszystko jest piękne i szlachetne, ale jedno nie daje mi spokoju...

— Co takiego? — zapytał Taomej.

— Dlaczego nadużywacie swej siły? Dlaczego na przykład narzucacie nam swą wolę?

Taomej zmieszał się jak dziecko. W jego oczach malował się przestach.

— Co chce pan przez to powiedzieć? — zapytał niepewnie.

— Uprawdzaście nasz „Kosmos”!

— Ach, oczywiście. Rozumiem wasze oburzenie — powiedział z wyraźną skruchą w głosie Taomej. — Ale postarajcie się nas zrozumieć. Po raz pierwszy spotkaliśmy latające maszyny, zbudowane przez inne istoty rozumne. To było dla nas wielkim zaskoczeniem. To nas bardzo podekscytowało. Próbowaliśmy nawiązać z wami kontakt drogą radiową. Lecz nie odzywaliście się. Przypuszczaliśmy, że zamieszkujecie Ziemię, a przecież do niej właśnie lecieliśmy. To była wielka szansa i przyjemność móc gościć was. To oczywiście wcale nie usprawiedliwia naszego postępu. Postąpiliśmy nieuczciwie i możecie złożyć odpowiedni protest w naszej Wielkiej Radzie.

— Gdzie ona urzęduje? — zapytał Wega.

— Na Mionie.

Wega uśmiechnął się pobłaźliwie.

— To zbyt daleko, mój drogi...

Ogarniało go coraz większe zmęczenie i senność. Poza tym nieustannie gnębiła go myśl, że Skribin i Ania zechcą powrócić na Ziemię razem z Miończykami. A wtedy cały świat oburzy się na Wega, na Starego i pozostałych towarzyszy. Co robić? Sytuacja wydawała się beznadziejna. Z całą pewnością Skribinowi i Ani uda się odlecieć „Zwiastunem”. Miończycy przecież gotowi byli im pomóc. Wega za wszelką cenę musi zrobić coś, by przesiedlić się na „Kosmos”. Musi działać szybko, nim Miończycy wznowią lot na Ziemię. Trzeba to niezwłocznie obmyśleć, przedyskutować z towarzyszami. Czas nagli. Za godzinę może być już za późno.

Wstał i powiedział:

— Dokucza mi ból głowy, pójdę odpocząć.

Gdy Wega wyszedł, zapanowało kłopotliwe milczenie. Jego słowa wisiły jeszcze w powietrzu i oddziaływały przygnębiająco. Taomej wydawał się najbardziej zasmucony. Na twarzy odbijało się wewnętrzne wzburzenie i niepokój. Asur opuściwszy głowę, przypatrywał się czubkom swoich czarnych butów, uszytych chyba z jednego kawałka miękkiej materii, bo nigdzie nie było widać szwu. Ania spoglądała na ojca w oczekiwaniu, że przerwie wreszcie tę ciszę. Należało przecież zdemaskować Wega. Lecz Skribin uważał za niewskazane wyjawić prawdę. Wstydził się przyznać, że podróżowali razem z Anią „Kosmosem” jako więźniowie. Nie, to bezcelowe mówić o tym teraz. Wróć na Ziemię i wtedy Wega zostanie zdemaskowany.

Ale nic nie przeszkadzało przecież, by Skribin powiadomił o swym losie przyjaciół na Ziemi. Wyobrażał sobie, jak bardzo się ucieszą, gdy dowiedzą się, że jest zdrow i cały. Niewątpliwie powinien był to uczynić już wcześniej.

— Drogi Taomeju!

Miończyk odwrócił głowę.

— Słucham?

— Pomóżcie nam nawiązać kontakt z Ziemią.

— Proszę bardzo! Co prawda, próbowaliśmy już połączyć się z waszą planetą, ale bezskutecznie. Ziemianie nie rozumieją naszych sygnałów. Chodźcie!

Weszli do kabiny dowodzenia. Lejmej — inżynier nawigator, uprzejmie podał im

niewielkie, połyskujące pudełko, wykonane z czarnego drewna, podobnego do hebanu. Na powierzchni pudełka widniały tarcze, strzałki, jakieś cyfry. Pudełko było nie większe niż mydelniczka.

— Co to takiego? — zdziwiła się Ania.

— Nadajnik — odparł Taomej.

— Co takiego? To pudełko? — wykrzyknął zdumiony Skribin, oglądając miniaturowy aparat, który wydawał się być wcale nie skomplikowanej konstrukcji.

Taomej uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Dziwią was jego wymiary?

— Oczywiście. Najdoskonalsze nasze nadajniki budujemy z zastosowaniem monokryształów, w których rolę lamp radiowych pełnią obce im atomy. Rozmiary ich są również niewielkie, lecz wasze aparaty wydają mi się o wiele prostsze w konstrukcji.

— Niewątpliwie — zgodził się Taomej. — W istocie niewielkie pudełko, a pozwala nawiązać łączność z bardzo odległymi planetami. Czy sygnały waszych nadajników mogłyby być odebrane na przykład na Mionie?

— Wątpliwe. Odległość między Ziemią a Mionem jest zawrotna.

— A my nawiązujemy przy pomocy tego nadajnika łączność z każdą gwiazdą w całej naszej galaktyce.

Ania dotknęła niepozornego z wyglądu aparaciku i zapytała:

— Przy pomocy tego pudełeczka?

— Tak. Ale wasza planeta, choć jest oddalona od nas zaledwie o kilka miliardów kilometrów, nie odpowiada na nasze sygnały. Może wam uda się porozumieć z którąś z ziemskich stacji.

Ania i Skribin nie od razu jednak skorzystali z tej możliwości, gdyż nie wiedzieli, jak obsługuje się ten prosty na pozór nadajnik, niczym nie przypominający nadajników, jakie spotyka się na Ziemi,

— To wcale nie trudne — przyszedł im z pomocą Taomej.

Nacisnął jakiś guziczek. Wieczko odskoczyło. W pudełku leżał krążek z jakiegoś przezroczystego tworzywa, nie większy od przeciętnej monety.

— Nic nie rozumiem — powiedziała Ania.

— Ach tak, oczywiście — roześmiał się Taomej. — Posługujecie się jeszcze aparaturą starszego typu. My również używaliśmy niegdyś bardziej skomplikowanych nadajników i odbiorników. To urządzenie pracuje na zupełnie innej zasadzie.

Niewielki krążek tworzyły drobniutkie kryształki kwarcu, ułożone w ten sposób, że ich elektrony łączyły się, tworząc — w połączeniu z kilkoma regulatorami — potężną radiostację, zdolną do przekazywania i odbierania sygnałów nawet z najdalszych gwiazd.

Lejmej objaśnił zasady posługiwania się nadajnikiem, zaś Ania z ojcem usiłowała wyregulować aparat na częstotliwość ziemskich fal. Na próżno. Eter milczał.

— Dziwne — powiedział Skribin. — Ach, gdybym miał nasz ziemski nadajnik.

— Zapewne macie swoje nadajniki na „Kosmosie” — zauważył Taomej.

— Oczywiście, zapomniałem o tym — odpowiedział szybko Skribin. — Ale, zdaje się, że jest uszkodzony... Tak przypuszczam, bo straciliśmy łączność z Ziemią...

Nie wiedział, że radioaparatura „Kosmosu” została zniszczona na skutek bójki z Braunem, który próbował przekazać na Ziemię informacje o losie Skribina. Wstydził się przy tym przyznać, że są więźniami. Chcąc wyratować ojca z niezręcznej sytuacji, Ania zawołała:

— A mimo to spróbujmy jeszcze raz. A pan, przyjacielu Taomeju, obiecywał nam udostępnienie dziennika waszych pierwszych kosmonautów. Może i teraz moglibyśmy go obejrzeć? Bardzo prosimy...

— Proszę bardzo. Wprawdzie dokument jest napisany bardzo sucho i zawiera jedynie opis samych faktów, lecz mimo to powinien was zainteresować.

I poprowadził oboje w kierunku biblioteki.

Dziennik pierwszych odkrywców Ziemi

— Oto ów interesujący dokument — powiedział Taomej, wydobywając z lśniącej, jasnoblękitnej szafy ogromną księgę oprawną w ciężkie, brązowe okładki.

Ania i Skribin zagłębili się w wygodnych fotelach i zaczęli wertować stronice opasłego tomu. Taomej stojący za ich fotelami wydawał się teraz potężnym olbrzymem.

Książka przypominała pieczołowicie przechowywane w ziemskich bibliotekach rzadkie okazy bibliograficzne, choć ta była na pewno największa z istniejących na całym świecie książek; miała format ogromnej gazety. Była również odpowiednio ciężka i Ania musiała położyć ją sobie na kolanach. Stronice wydawały przy odwracaniu ciche, metaliczny szelest. Karty książki były gładkie, cienkie jak papierosowa bibułka, ale nie przezroczyste, idealnie białe i pokryte wyraźnymi czarnymi znakami. Widać było, że nie sposób zagiąć lub naderwać ich rogi. Taomej zwrócił uwagę, że książki te są niezniszczalne, drukuje się je bowiem na specjalnym papierze, otrzymywanym z jakiegoś metalu.

— Czy będzie pan tak uprzejmy i przeczyta nam i przetłumaczy jakiś fragment — zapytała Ania.

— O, to zbyteczne.

Taomej wziął książkę, podszedł z nią do jakiegoś urządzenia, może była to nawet znana im już maszyna-tłumacz, uniósł jej wieko i wsunął w otwór książkę.

— Ten aparat czyta i tłumaczy lepiej niż ja — oznajmił Miończyk. — Słuchajcie.

Maszyna najpierw cicho zaterkotała, a po chwili z okrągłego, pokrytego metaliczną siatką otworu, doleciał przyjemny głos, mówiący w języku rosyjskim.

Rok drugi

Dzień pierwszy

Już drugi rok w mroku. W absolutnej ciszy i pustce. Lecimy w bezkresnej przestrzeni, pozbawionej życia, światła, a nawet uroków zwykłego nieba. Żaden dźwięk nie maści ciszy. Wydaje się, że wszystko nagle znikło, jest tylko raketoplan, a poza nim czai się śmierć. I do tego te przekłete ciemności! A pośród wiecznego mroku my — niczym ślepcy, skazani na wieczną tułaczkę! Jakże to przygnębia.

Nasz fotonowy gwiazdolot „Spokojny Wszechświat” pędzi z szybkością dwustu do czterystu tysięcy kilometrów na sekundę, lecz wcale tego nie odczuwamy. Zresztą jest to nam nawet obojętne — cóż z tego, że pojazd znieruchomieje w przestrzeni, skoro i tak nie wydestaniemy się z kręgu wiecznej nocy. Ale przyrządy dokładnie pokazują nam każdy odcinek przebytej drogi w kierunku Zejry.

Jakże monotonnie wlecz się czas.

Wciąż trzeba ściśle przestrzegać harmonogramu dnia: najpierw obsługa przyrządów, potem sen, po przebudzeniu posiłek, potem znów wypoczynek, lektura, spacer po niewielkim parku, pływanie i inne zajęcia rozrywkowe. Ale my najbardziej lubimy seanse filmowe.

Filmy przenoszą nas znowu na Mion, na nasz słoneczny Mion, pokryty górami i dolinami, polami, rzekami. Mion, ojczysta planeta, na której wieją wiatry, a nawet padają deszcze, ale też kwitną kwiaty, a każdy szum i dźwięk wydaje się najcudowniejszą muzyką...

Wszystko to porusza nas do głębi!

Połowa załogi już od kilku miesięcy śpi nieprzerwanym snem. Nasi lekarze — Aj i Lii prowadzą stałą obserwację pogrążonych we śnie członków załogi.

Dzień osiemnasty

Nasz lot do gwiazdy, którą nazwaliśmy Piękna, trwa. Od kilku dni widzimy ją coraz wyraźniej. Z Miona mogliśmy obserwować jej planety jedynie przez najsilniejsze teleskopy. Teraz widzimy je gołym okiem. Nasze urządzenia i przyrządy pozwalają na dokładne określenie ich ruchu. Planety różnią się między sobą wielkością, a także ich odległość od Pięknej jest różna. Zejra daje życie siedmiu wielkim planetom, a Piękna krąży we Wszechświecie w otoczeniu świty, składającej się z dziewięciu wystygłych ciał niebieskich. Wczoraj odkryliśmy cztery z nich. Dziś zauważyliśmy trzy dalsze. Kto pierwszy z nas odkryje następne? Rozmawiamy tylko o tym. Nikt nie odstępował od iluminatora. Nie odrywamy wzroku od rozciągającej się za nim bezkresnej przestrzeni.

Nasze lunety przybliżają wszystkie ciała na wyciągnięcie ręki. Napawamy oczy niezwykłymi widokami. Wokół największej planety krąży dwanaście satelitów. Może wylądujemy na niej?

Astronomowie, biolodzy i fizycy rozpatrują już tę możliwość.

Dzień dziewiętnasty

Ale szczęściarz z tego Elera! Eler to astronom — najmłodszy członek naszej załogi. Gołym okiem udało mu się odkryć dwie pozostałe planety.

Ha, cóż! Ci astronomowie mają ogromne doświadczenie i dobrze wiedzą, gdzie szukać ciał niebieskich.

Dzień dwudziesty

Stwierdzono: na planecie, którą otacza dwanaście satelitów, nie ma warunków do życia. Przyrządy wykazały, że panuje na niej wprost niewiarygodnie niska temperatura. Jej powierzchnię pokrywa skorupa lodowa. Przeprowadziliśmy też wstępne badania, a zwłaszcza pomiary temperatury na pozostałych planetach. Teraz wiemy już ponad wszelką wątpliwość, że nie ma na nich warunków, które sprzyjałyby wegetacji roślin i istnieniu gatunków zwierząt zbliżonych do miońskich — mam oczywiście na myśli pięć planet najbardziej oddalonych od Pięknej. Są to planety martwe, pokryte wiecznym lodem, o słabym naświetleniu. Na szóstej planecie być może zrodziło się życie, ponieważ warunki panujące na niej nie są tak surowe, jak na poprzednich, a poza tym otacza ją atmosfera, co prawda bardzo rozrzedzona. Nie, również wykluczone, by zamieszkiwały ją istoty rozumne. Zaś najbliższa Pięknej planeta, zwrócona jest do niej tylko jedną stroną, która, oczywiście, silnie się nagrzewa. Druga zaś jej strona pogrążona jest w wiecznym mroku i chłodzie. Następna z kolei planeta jest także planetą gorącą, ponieważ na skutek swych bardzo wolnych obrotów dokoła Pięknej, pobiera od niej znacznie więcej ciepła i światła. Otacza ją gęsty pierścień pary wodnej i innych gazów, co również wyklucza istnienie na niej wyższych form życia.

Intryguje nas trzecia planeta. Wszyscy jesteśmy bardzo podekscytowani. Tkwimy bez przerwy nad przyrządami pomiarowymi, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej o tej świetlistej, seledynowej planecie. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że istnieje na niej życie, i to życie w dość zróżnicowanej formie, na wysokim stopniu rozwoju. Czyżby była to planeta — siostra Miona? Warunki panujące na niej są uderzająco podobne do tych, które panują na naszej planecie, mimo że Mion jest mniejszy od planety widniejącej pod nami. Milej jest przekonany, że zamieszkują ją istoty rozumne. Zresztą już wszyscy uczeni na gwiazdolicie podzielają jego zdanie.

Tego poranka udało nam się odkryć wyjątkowo piękny jej księżyc. Ukazał nam się na naszych ekranach w całej okazałości.

— Zapewne podczas nocy służy rozumnym istotom jako latarnia — powiedział Milej.
— Te szczęśliwe, rozumne istoty, nie muszą tak jak my budować sztucznych, świecących satelitów.

— Tak, to brzmi całkiem przekonująco.

Dzień dwudziesty drugi

Planeta świeci coraz jaśniej. Wszyscy podziwiamy ją w zachwycie. Aparaty wykazują obecność wystarczającej ilości tlenu. Postanowiliśmy wylądować najpierw na tej planecie. Milej nadał radiogram do Wielkiej Rady na Mionie, w którym informuje ją o naszej decyzji.

Dzień dwudziesty trzeci

Przemknęliśmy obok Pięknej, która teraz stała się najjaśniejszym ciałem niebieskim na całym nieboskłonie. Stąd, z odległości dwustu milionów kilometrów, pulsuje silnym błękitno-zielonym blaskiem; pozostałe gwiazdy wydają się przy niej niepozorne i świecą nikłym, małym światłem. Z trudem rozpoznaliśmy Zejrę, drobinę, ziarenko zgubione pośród miliona innych gwiazd.

Często napotykał się na swej drodze asteroidy. Potężnym snopem promieni z kwarcowych generatorów, przebijającym przestrzeń wokół „Spokojnego Wszechświata” w promieniu setek kilometrów, odsuwaliśmy je z naszej drogi. Nie groziło nam rozbitcie się o największy nawet asteroid.

Od kilku tygodni gwiazdolat regularnie i stopniowo zmniejsza swą szybkość.

Dzień dwudziesty czwarty

Minęliśmy czwartą z kolei planetę w układzie Pięknej. Przesłoniła na jakiś czas znaczną część nieba, świecąc rubinowym blaskiem. Przez chwilę zawahaliśmy się, czy nie wylądować na niej, gdyż wabiła nas jej uroda i przypuszczenie, że istnieje tam życie. Ale Milej zdecydował, że najbardziej interesująca będzie dla nas planeta trzecia. Stosunkowo wolno, z przeciętną szybkością około dziesięciu kilometrów na sekundę, skierowaliśmy „Spokojny Wszechświat” w jej kierunku. Po upływie godziny zbliżyliśmy się do niej na odległość kilkuset tysięcy kilometrów. Okrążyliśmy ją kilka razy, a przyrządy nasze rejestrowały po raz któryś z rzędu wszystko, co wzbudzało nasze zainteresowanie.

Na planecie odkryliśmy w wielkich ilościach: wodę; minerały, podobne do tych, które występują na Mionie; atmosferę, w skład której wchodzi azot, węgiel, tlen, wodór i jeszcze jakieś, występujące w nieznacznym ilościach, gazy.

Planetę pokrywają wielkie obszary roślinne.

Jesteśmy pewni, że po wylądowaniu pocujemy się tam jak u siebie, mimo iż bieguny jej pokrywa lód i panuje niewątpliwie dosyć niska temperatura. Natomiast wzdłuż równika dla odmiany klimat wydaje się być bardzo gorący. Jedyne tereny między równikiem a biegunami oferują dogodne warunki życia.

Milej zaproponował, by w pierw wylądować gdzieś w pobliżu równika, pośród niezamieszkałych okolic, najlepiej gór, by nie przestraszyć mieszkańców planety. Zwłaszcza podczas lądowania, gdy nasze potężne silniki spalają wszystko wokół miejsca lądowania i zatrują powietrze śmiertelnościami promieniami. A przecież nie mamy zamiaru nie tylko nie wyrządzać jakiegokolwiek krzywdy istotom rozumnym, zamieszkującym tę planetę, ale także nie chcielibyśmy niszczyć ich roślinności. Poza tym musimy pomyśleć również o zabezpieczeniu miejsca startu. Niezamieszkała okolica gwarantuje nam ułatwiony, bezpieczny start, bez obawy przed spustoszeniem ludzkich osiedli czy zniszczeniem zasiewów.

Dzień dwudziesty piąty

Jak niezwykle jest to wszystko! Planetę istotnie zamieszkują istoty rozumne. Przez nasze teleskopy zdołaliśmy rozpoznać kilka miast. Po morzach pływają statki, a po kontynentach poruszają się żywe istoty. Dostrzegliśmy także wysokie budowle, wzniesione ich rękami.

A jednak jakoś niezręcznie nam wylądować pośród nich tak zniechęca.

Milej twierdzi, że byłoby lepiej zatrzymać się na jakiś czas w powietrzu, nad planetą, może obok jej pięknego satelity, który jest martwym, skalistym ciałem, poprzecinanym rozległymi równinami oraz łańcuchami niewysokich gór. Nasze aparaty badają dokładnie atmosferę i wkrótce dowiemy się szczegółów o zwierzętach, roślinach, zjawiskach atmosferycznych, jak również o wielu innych osobliwościach tej planety.

Dzień dwudziesty szósty

O świcie gwiazdolot wylądował na planecie. Opadł łagodnie, wśród dymu i ognia, pośrodku nagich, zakończonych ostrymi szczytami gór, na dnie rozległej, piaszczystej doliny. Gdy stopił się mrok, ukazało się cudownie błękitne niebo, na którym oślepiającym blaskiem świeci Piękna. Choć dosyć łatwo oddycha się tutejszym powietrzem, najlepiej czujemy się w skafandrach, które umożliwiają nam oddychanie powietrzem Miona i gwarantują takie ciśnienie, do jakiego przywykliśmy u siebie.

Poculiśmy się tak, jakby nagle znikło towarzyszące nam stale podczas lotu poczucie samotności. Powiał łagodny wietrzyk. W górze nad naszymi głowami rozświergotały się ptaki. Jakże piękna i jasna jest ta planeta...

Milej i Mej zdjęli skafandry, przypięli do ramion latające aparaty, przypominające nieco ptasie skrzydła i unieśli się w górę, by rozglądnać się po okolicy. Wrócili dosyć późno, gdy Piękna chowała się już za horyzont. Opowiedzieli, że dwie godziny lotu stąd znajdują się osady ludzkie, składające się z nędznych, wpół zawałonych chat, ale nieco dalej znajdują się również dwa wielkie, ruchliwe miasta, w których domy zbudowane są z kamienia. Mieszkańcy zarówno osad, jak i miast, odznaczają się o wiele węższą budową niż Miończycy. Odziewają się albo w pełne przepychu szaty, albo też chodzą niemal zupełnie nędzy. Milej i Mej nie dostrzegli, by ich pojawienie się wprawiło ludzi w popłoch. Widocznie nie zauważyli jeszcze gwiazdolotu. To nawet lepiej, bo wcale nie mamy zamiaru trwożyć biednych ludzi.

Dzień dwudziesty ósmy

Już od dwu dni zwiedzamy pustynię. Nie napotkaliśmy dotąd ani jednej istoty rozumnej — okolice są dzikie, niezamieszkałe. Za to dużo tu interesujących zwierząt i ptaków, prawie nie różniących się od miońskich. A wysoko w górach, nad dwoma spienionymi strumieniami, dostrzegliśmy bujnie krzewiącą się roślinność — trawy, kwiaty i drzewa. Zerwaliśmy kilka żółtych, dojrzałych owoców. Są drobne, lecz bardzo soczyste, a w ich miększu znajdują się białe ziarenka. Spróbowaliśmy ich smaku — są kwaśne, ale bardzo smaczne. Na innym drzewie rosły owoce nieco większe, podłużne, o skórce lekko zaróżowionej. Te okazały się jeszcze bardziej soczyste i o wiele smaczniejsze. Pyszne owoce! Przypuszczamy, że spotkamy tu jeszcze inne gatunki.

Geolodzy od razu rozeszli się wśród skał ze swymi kilofami, by pobrać próbki minerałów i rud. W laboratorium na gwiazdolocie zbadają ich skład. Niesamowite! Okazało się, że są to te same minerały i metale, które występują na Mionie!

Dzień trzydziesty

Dziś znowu, z samego rana, Milej i Mej polecili w kierunku ludzkich siedzib, by spróbować nawiązać kontakt z tubylcami. Gdy zbliżał się wieczór, a nasi towarzysze nie wracali, nagle usłyszeliśmy przez radio ich głosy. Prosimi, abyśmy się nie niepokoiili ich przedłużającą się nieobecnością. Dzień na planecie jest krótki, a oni chcieliby wydrzeć jej jak najwięcej tajemnic.

I znów wschodzi Piękna. Podziwiamy ją w milczeniu; jej blask powoli rozprasza ciemności, a niebo zmienia swój kolor z czerwonego na jaskrawopomarańczowy, a potem żółty, który przechodzi następnie w pastelową szaroniebieską barwę.

Dziś dopiero wrócili Milej i Mej.

Oto ich interesująca relacja:

Lecieliśmy wysoko ponad szczytami gór. Wokół nic, żadnego życia, tylko głusza i pustka. W dole tylko wielkie głazy, porośłe u podnóża zieloną trawą, taką samą, jaka rośnie na naszej planecie. Czasem oko nasze odkrywa jakiś kwiat — ale kwiaty tutejsze są drobniejsze i nie mają tak jaskrawych barw. Pustynia ciągnie się aż po horyzont. Ale na piaskach kwitnie życie — pełzają tu jakieś dziwne, podłużne stwory, biegają też czworonożne zwierzęta z gęstymi na łbach grzywami, inne znów dziwnie łagodne, odznaczają się bardzo długimi kończynami. Upał niesamowity. Piękna dosłownie rozpaliała piaski swym żarem. Roślinność, jak już mówiliśmy, skąpa. Tylko tu i ówdzie wyższe kępy drzew i krzewów. Niektóre z drzew wyróżniają się strzelistą budową, a ich pnie zakończone są u góry pióropuszem długich liści, tworzących jak gdyby parasol. Lecieliśmy w kierunku miast. Stopniowo pustynia zaczęła ustępować coraz bujniejszej roślinności. A oto i miasto — duże, zabudowane wysokimi, kamiennymi budowlami, otoczone dziwnymi, długimi ścianami, u góry co parę metrów zakończonymi wysokimi wieżami, w których czuwają wojownicy prymitywnie uzbrojeni. Wszystko to obserwowaliśmy ze znacznej odległości, ukryci za wzgórzem, z obawy by ludność, ujrawszy nas z aparatami latającymi na plecach, nie okrzyknęła nas czarnoksiężnikami. Ale mieliśmy wielką ochotę przyjrzeć się z bliska życiu miast. Dlatego poleciliśmy w stronę najbliższego zagajnika, w którym ukryliśmy nasze skrzydła, i chociaż byliśmy w srebrzystych kostiumach, jakich nie noszą tubylcy, a także mimo obawy, że będziemy wyróżniać się między nimi wzrostem, ruszyliśmy ku bramom miasta. Zapadał zmierzch, zbliżała się noc. Celowo wybraliśmy tę porę, aby przemknąć się niepostrzeżenie. Z daleka ujrzelśmy, że bramy są zamknięte, a przed nimi stoją strażnicy. Może należało zostawić przy sobie aparaty latające i

teraz przelecieć ponad murami? Ale lot nieznanymi istot mógł ich przerazić i wtedy przywitiliby nas strzałami. I co teraz robić?

Na zewnątrz murów mieszkali również ludzie — rozłożyło się tu chyba z tysiąc chat, skleconych z mułu i słomy. Widać, ich mieszkańcom nie pozwolono żyć w obrębie murów miasta, do którego zdążaliśmy. Ludzie spieszyli do swych domostw. Więc i my ruszyliśmy ku najbliższemu. Była to chata wyróżniająca się wśród innych — zbudowana z kamienia, o wiele okazalsza. Na nasze powitanie wyszedł brodaty mężczyzna, ubrany w obszerną, białą szatę. Najpierw skłonił się nisko, a potem padając na kolana, czołem dotykał naszych stóp i wznosił w górę swe ręce — mówiąc coś przy tym dziwnym, uroczystym tonem. Staliśmy w miejscu, zdezorientowani. Wtedy człowiek wałnął się pięścią w pierś i zawołał:

— Lot! Lot!

Nie przestawał ukazywać przy tym nieba i zagajnika, w którym ukryliśmy skrzydła. Gestami dawał nam wyraźnie do zrozumienia, że widział nasze przybycie. Z całą pewnością uznał nas za wysłanników niebios.

Schyliwszy się, weszliśmy do jego chaty. Tu powitała nas żona Lota — drobna, raczej brzydka kobieta z włosami w wielkim nieładzie, ale tuż za nią postępowały dwie śliczne dziewczyny — córki Lota. Obmyły nasze stopy, a potem podały na stół bochen chleba z pszenicznej mąki i górę pieczonego mięsa, przypominającego w smaku miońską pieczeń z jagnięcia. Milej założył sobie na głowę aparat pamięci. Wskazywaliśmy palcem otaczające nas sprzęty, a Lot wymieniał ich nazwy. Wykonywaliśmy również rozmaite gesty, a Lot wypowiadał słowa, oznaczające nazwy poszczególnych czynności. Po chwili Milej porozumiewał się z Lotem już w jego języku. Potrafił nawet mówić całymi zdaniami. Z rozmowy z Lotem dowiedzieliśmy się, że te niepozorne i nader gościnne istoty, były bardzo zaskoczone naszym pojawieniem się. Podczas rozmowy z Lotem żona i jego córki stały pokornie w pobliżu, każdej chwili gotowe nam usłużyć. Lot był przekonany, że jesteśmy posłańcami Boga, który żyje w niebie. Wyprowadziliśmy go z błędu i zapewniliśmy, że w niebie nie ma żadnych bogów.

— W takim razie skąd przybywacie? — zdziwił się Lot.

— Z pewnej dalekiej krainy.

Lot wskazał palcem niebo i powiedział.

— Stamtąd?

— Tak.

— Byłem tego pewien — powiedział. — Witajcie, aniołowie!

Było to ogromnie śmieszne. Lecz nie zdołaliśmy przekonać Lota, że się myli. Dyskutowaliśmy z nim gorąco, ale jego wiara opierała się wszelkim naszym argumentom. Przed chatą zebrały się w tym czasie tłumy, zachowujące się coraz głośniejsze. Lot wyszedł przed dom. Krzyki rozlegały się coraz donośniejsze, coraz bardziej niecierpliwe. Zauważyliśmy, że żona Lota jest jakby czymś przerażona. Zapytaliśmy, co się dzieje przed chatą.

— Przyszli tu z waszego powodu — odrzekła.

Wtedy Milej stanął pod drzwiami i zaczął nasłuchiwać.

— Gdzie są ci ludzie, którzy przybyli do ciebie? — pytały gniewne głosy. — Wyprowadź ich do nas!

— Nie! — odparł Lot. — Nie mogę.

— Każ im opuścić swój dom, to złe duchy! — domagali się inni.

— Widziało ich kilku pasterzy, jak lecieli niczym ptaki. To czarnoksiężnicy! Wyprowadź ich tu! Trzeba ich zabić!

Silny, nieco gardłowy głos Lota, słychać było nawet w chacie.

— Nie! To moi mili goście. Nie mogę ich wydać w wasze ręce — wołał. — To posłańcy! Odejdźcie w pokoju, bo rozgniewacie naszego boga. Tych dwu obcych przybyszów nie uczyniło wam przecież nic złego.

Tłum wył przeraźliwie.

— Wydaj ich! Przyrowadź tutaj!

— Mam dwie córki — odparł Lot — wyprowadzę je i uczynicie z nimi, co zechcecie. Nie pozwolę jednak, by spadł włos z głowy tych dwu mężów, co są pod moim dachem — są moimi gośćmi...

Jakiś piskliwy głos zawołał:

— Zejdź nam z drogi, bo zabijemy i ciebie! Odejdź!

Milej pchnął drzwi, ujął Lota w pól i wciągnął do izby, a sam wyniosły, milczący, stanął w progu.

Tłum — młodzi i starzy, uzbrojeni w kopie, noże i miecze — przycichł. Lecz trwało to tylko sekundę i po chwili parł do przodu, wrzeszcząc:

— Śmierć! Śmierć!

Wtedy Milej wydobyl z kieszeni maleńki aparacik, wysyłający oślepiające promienie i skierował go w stronę wzburzonych Ziemi. Wszyscy, jak jeden mąż, zaczęli nagle podnosić ręce do twarzy, pocierając i usiłując otworzyć szerzej oczy. Wołali:

— Oślepił nas! Zaczarował nas ten czarnoksiężnik!

Krzyczeli i płakali, bo istotnie, na przeciąg jednego dnia mieli niczego nie ujrzeć. Nieoczekiwane kalectwo tak ich przeraziło, że w popłochu rozbiegli się do swoich domów. Milej wrócił do chaty Lota. Był przygnębiony.

Lot odezwał się po chwili milczenia:

— Żli są nasi ludzie. Żyją w ciągłym grzechu i rozpuszcie, nie chcą znać prawdziwego boga. Dla bogatych pracują niewolnicy — a jeśli któryś się zbuntuje, zabija go pan tak niefrasobliwie, jakby zarzynał wołu.

Zapytaliśmy:

— Czy bogacze bardzo gnębią biednych niewolników?

— Bardzo. A zgromadzili w miastach niezmierne bogactwa tylko dzięki ich pracy. Was również chcieli zabić, a przecież jesteście dobrymi aniołami, posłańcami naszego boga.

— Chwileczkę — powiedzieliśmy.

Wzięliśmy nadajnik radiowy, który nosiliśmy przy sobie i połączyliśmy się z towarzyszami na gwiazdolicie. Milej doszedł do wniosku, że tacy okrutni i niesprawiedliwi ludzie nie zasługują na to, by żyć na tak pięknej planecie, której obcy powinien być występpek, zbrodnia i przesładowanie bliźnich.

Decyzja zapadła natychmiast.

Powiedzieliśmy Lotowi, aby wezwał wszystkich bliskich, wziął cały swój dobytek — bydło, sprzęty, żywność — słowem, wszystko co jest mu niezbędne do życia i by opuścił to miasto występku i zła, bo być może, nie pozostanie po nim śladu.

— Dlaczego? — zapytał Lot.

— Ponieważ przybyliśmy tutaj wielkim, latającym rydwanem, który wzbijając się w niebo, spala wszystko wokół, zabijając także żywe istoty. Żli i niesprawiedliwi niech zginą. Ty ocalejesz, bo jesteś dobry i gościnny. Chcemy cię uratować.

Lot pobiegł po tych, którzy mieli niedługo zostać jego zięciami. Wrócił po chwili, mówiąc, że nie uwierzyli jego słowom, biorąc je za żart.

Rano wstaliśmy o świcie. Lot, jego żona i dwie córki jeszcze spali. Obudziliśmy ich:

— Wstawajcie i śpieszcie się! Już czas.

Ale Lot nie chciał opuścić miasta. On również, jak jego przyszli zięciowie, nie wierzył w naszą moc. Tłumaczyliśmy cierpliwie, ale odwracał głowę. Wtedy przynieśliśmy nasze aparaty latające, założyliśmy je i objąwszy w pól Lota, jego żonę i córki, unieśliśmy ich z sobą, oddalając się od miasta.

Po wylądowaniu, powiedzieliśmy im:

— Teraz ratujcie się. Nie oglądajcie się za siebie, w stronę miasta, abyście nie zginęli. Nie zatrzymujcie się nigdzie w tej okolicy, gdyż jest ona naznaczona śmiercią. Szukajcie

ratunku w górach.

— Góry są daleko — odezwał się Lot. — Nim dojdziemy do nich, zginiemy. Lepiej byłoby schronić się w tym małym miasteczku, które bieleje u podnóża gór.

— Dobrze — zgodziliśmy się. — Idźcie tam! Tego miasta nie zniszczymy. Idźcie szybko, abyście zdążyli przedtem, nim zrównamy z ziemią tamte dwa miasta, w których panuje bezprawie, krzywda i zbrodnia...

O świcie wrócili Mej i Milej rozgoryczeni i wzburzeni złym przyjęciem przez mieszkańców miast, grożących im śmiercią.

— Niech silnik pracuje pełną mocą — powiedział Milej. — Niech na zawsze zginą te siedliska zakłamania i przestępstwa... Chcieli nas zabić — więc odpowiemy im tym samym.

Gwiazdolot ze straszliwym rykiem oderwał się od ziemi, otoczony gęstymi kłębam dymu i płomieni. Przyrządy wskazywały, że ziemia popękała na znacznej przestrzeni. Na ekranach naszych odbiorników widzieliśmy gęste tumany dymu, popiołu i ognia. Waliły się domy, płonąc jak pochodnie. Ich mieszkańcy ginęli w ruinach, albo płonęli żywcem, napromieniowani kosmicznymi promieniami...

Wszystko to jest bardzo przygnębiające. Ale ci źli ludzie, niestety, zasłużyli na swój los.

Rok trzeci

Dzień sto trzydziesty drugi

Trzy planety, które później odwiedziliśmy, niczym nie przypominały Ziemi. Jedna miała klimat zbyt chłodny, nawet dla nas, a poza tym powietrze jej było bardzo rozrzedzone, ale na jej powierzchni odkryliśmy ślady jakiegoś dawnego, bogatego i kwitnącego życia. Teraz straszyla pustką, ponad którą wiały nieustanne wichry, wznosząc w górę obłoki suchego, czerwonego pyłu. Nasi archeolodzy, biolodzy, chemicy i geolodzy przy pomocy swych aparatów stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że zanik życia na planecie jest skutkiem eksplozji atomowej.

Udaliśmy się również na największą z planet, krążących wokół Pięknej. Towarzyszy jej dwanaście księżyców — na dwu z nich wylądowaliśmy. One również pokryte były lodowcami, jak i planeta. Nic, tylko lód — wieczny lód i przeraźliwe zimno. Piękna wydaje się stąd cudowną gwiazdą, ale nie jest w stanie ogrzać tej planety i rozproszyć jej wiecznych mroków. Panuje tu zawsze półmrok, ale najsmutniejsze są noce — całkowicie czarne, nie rozświetlone najmniejszym choćby światełkiem.

Wzdłuż równika trzeciej planety, którą odwiedziliśmy, ciągnął się w sferze jej przyciągania pierścień grubych i drobniejszych złomów skalnych — przeważnie minerałów i rud — szczątków zdruzgotanej planety. Nasz gwiazdolot, dzięki wyposażeniu w magnetyczne urządzenie obronne skierowane przeciw wszelkim ciałom stałym, automatycznie odsuwał je ze swej drogi. I tu nie zastaliśmy niczego prócz lodu i przejmującego zimna.

Nów w drodze. Lecimy już kilka miesięcy, wypatrując w kosmosie nowych planet. Na próżno. Gwiazdy są tak odległe, że trzeba by długich lat, by wylądować na najbliższej planecie krążącej w orbicie innego gwiazdowego systemu. Jakże samotni czujemy się w tej podróży! A Ziemia, jak Lot nazwał swą ojczystą planetę, nie przestawała nas przyciągać. Często wyświetlamy filmy, nakręcone podczas pobytu na niej. Pragnienie powrotu na Ziemię odzywało się w nas z coraz większą siłą. Mimo rozgoryczenia z powodu złego przyjęcia, zgotowanego nam na niej, i lęku przed okrucieństwem Ziemian, zdecydowaliśmy się powrócić, by doprowadzić do końca swe badania. W końcu, żyją na niej również i dobre istoty, jak choćby Lot.

Skierowaliśmy nasz gwiazdolot w kierunku Ziemi.

I oto ona. Zalśniła pod nami swymi morzami, górami, śnieżnymi biegunami, rzekami, pustyniami i zielonymi równinami. Otaczała ją zielononiebieska aureola. Była to jej atmosfera.

Silniki pracowały na zwolnionych obrotach, lecz z wystarczającą mocą, by zatrzymać gwiazdolot. Spadaliśmy lekko w dół, na migotliwą powierzchnię planety. Wybraliśmy już dogodnie miejsce lądowania — pośród dzikich, nie zamieszkałych gór. Od wschodu z oślepiającym blaskiem wyłaniała się Piękna. Z jej powierzchni coraz wypęły w górę ogniste języki, by znów po chwili opaść. A daleko, na zachodzie, Ziemia pogrążona była jeszcze w mroku. Lecz oto pierzcha już ciemność przed promieniami Pięknej, najpierw igrającymi na wierzchołkach gór, potem sięgającymi coraz dalej na zachód i wydobywającymi z mroku zarysy nowych gór, równin, morza...

Wybraliśmy moment, gdy Piękna ukryta jest jeszcze daleko na wschodzie, a jej promienie prześwietlają jedynie atmosferę pulsującą niebieskozielonym światłem, poprzez którą nieśmiało i niewyraźnie rysują się kontury Ziemi. Lądujemy łagodnie pośród nieznanymi gór, porośniętych lasami i trawą. W partiach szczytowych góry te sterczą groźnie ostrymi skałami, albo zwisają groźnymi urwiskami. A w dole połyskują srebrzyście nitki potoków. Daleko na północy lśni morze. Od południa i zachodu rozciąga się również morze, ale różni się od tamtego — mieni się czerwonym blaskiem, a poza tym ma kształt wąski i wydłużony. Na lewo, za wydmami, pośrodku żyznej zielonej niziny, toczy wolno swe wody szeroka rzeka. Po obu jej brzegach wznoszą się kamienne mury miast lub na przemian rozciągają się uprawne pola, wśród których od czasu do czasu zabieleje skromne domostwo tego, kto uprawia te niwy.

Dzień sto trzydziesty trzeci

Milej włożył już srebrzysty trykot, na wierzch wciągnął przezroczysty skafander, a do ramion przymocował latający aparat. Postanowił odbyć małą wycieczkę w najbliższą okolicę.

Wrócił po upływie godziny, ale nie sam. Na plecach dźwigał jakiegoś brodatego mieszkańca Ziemi — który z bliska okazał się młodym mężczyzną. Był to pierwszy Ziemianin, jakiego ujrzał Milej. Stał obok jakiegoś krzewu, i był to, jak dowiedział się później, pasterz pasący w pobliżu swe trzody. Ujrawszy Mileja, człowiek padł mu do stóp, bez przerwy oddając pełne czci pokłony. Milej, znający język Ziemian, zapytał go, czy zechciałby udać się z nim. Czarnobrody przystał na to z wielką ochotą.

Wypytywaliśmy Czarnobrodego, jacy ludzie zamieszkują te okolice — dobrzy, czy źli i jak żyją. Ale nie umiał nam nic bliższego o nich opowiedzieć, bo, jak rzekł, był cudzoziemcem. Przybył tu z dalekiej krainy, która leży nad wielką rzeką, pośrodku żyznej doliny, bowiem naród jego został podbity przez jakiegoś okrutnego i potężnego faraona, który nazywał siebie Synem Słońca — tak Czarnobrody nazwał Piękna.

Dzień sto trzydziesty dziewiąty

Długa i wzruszająca była opowieść Czarnobrodego o cierpieniach jego nieszczęsnego narodu. Milej zwołał wtedy całą załogę gwiazdolotu i postanowiliśmy przyjść z pomocą nieszczęśliwemu ziomkowi Czarnobrodego, wyzwalając ich spod władzy okrutnego faraona, bo nie możemy obojętnie patrzeć na tak jawną niesprawiedliwość...

Dzień sto czterdziesty

W piątkę, na czele z Milejem i Czarnobrodym, wyruszyliśmy niewielkim samolotem ku ziemi wszechwładnego faraona. Lecieliśmy niezbyt wysoko. Przez nasze teleskopy obserwowaliśmy wszystko, co działo się pod nami. W dole rozciągały się wielkie, żółte płaszczyzny, pofalowane wydmami, pośrodku których czasem tylko wznosiły się jakieś skaliste wzgórza czy pojedynczy krzew. Czyżby cała planeta była tak uboga, pozbawiona wody i życia?

Lecz oto w oddali pojawia się jakaś zielona smuga. Coraz szybciej zbliża się ku nam i przesłania niemal cały horyzont. Dzięki naszym dokładnym aparatom ujrzeliśmy wreszcie całą rozległą dolinę, z płynącą pośrodku wielką rzeką. Dolinę porastają lasy, krzyżujące się tu i ówdzie z pasami żyznych pól, na których krzewi się bujnie roślinność. Miejscami całe ogromne połacie zalewa woda, w której brodzą półnaczy ludzie.

Czarnobrody poinformował nas, że prawie wszyscy to niewolnicy, od rana do późnego wieczora pracujący dla faraona, kapłanów i ich dworu. Niewolnicy okopują konopie i bawełnę, przędą i tkają sukna, wyrabiają gliniane naczynia, kują w złocie ozdoby dla panów, budują wspaniałe pałace dla faraonów, a także świątynie.

Nagle spostrzeżliśmy, że ludzie na widok naszego nadlatującego samolotu pierzchają na wszystkie strony, jedni przypadając do ziemi, inni zaś wyciągając błagalnie ręce w naszą stronę. Widać, nasza maszyna wprawiła ich w niesamowite przerażenie. Zapewne i oni wzięli nas za jakichś bogów.

Pośród pustyni dostrzeżliśmy ogromne budowle, zakończone ostrym wierzchołkiem oraz gigantyczne, w kamieniu rzeźbione głowy ludzkie. Poza tym wznosiły się tu także inne budowle, wsparte na grubych kolumnach — budzące podziw swą wspaniałą architekturą. Wszystko to tworzyło rażący kontrast w zestawieniu z nędzą mieszkańców tej ziemi. Czarnobrody wyjaśnił nam, że te budowle to grobowce wszechmocnych panów, a pałace są albo siedzibą dworu faraona, albo też wzniesione ku czci ich bogów.

Poleciliśmy dalej. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się chaty, sklecone z wikliny i mułu. Między nimi biegały po piasku nagie dzieci. Gdzieniegdzie pasły się stada owiec, to znów cieleta oraz krowy.

— W tych nędznych, smrodliwych lepiankach mieszka mój naród, a stada są własnością panów — odezwał się Czarnobrody.

Skręciliśmy na południe w stronę ogromnego miasta, którego budowle lśniły w słońcu. Ono także zostało wzniesione rękami niewolników.

Dziwni ludzie.

Jedni pracują w pocie czoła, a drudzy odbierają im to wszystko, co wyprodukowali, by żyć w przepychu i bogactwie. Nam, Miończykom, wszystko to wydaje się niezrozumiałe.

O zmierzchu wylądowaliśmy na pustyni, pośród nagich, ostrych skał. Panowała niczym nie zakłócona cisza. Tylko jakieś zwierzę o puszystej grzywie, i z długim ogonem zakończonym śmieszna kulka wyskoczyło na wprost samolotu zza skał z przejmującym rykiem.

Dzień sto czterdziesty pierwszy

Milej poradził Czarnobrodemu, by udał się do faraona i poprosił go, by zezwolił niewolnikom opuścić ten kraj i osiedlić się w innej ziemi.

— Opowiedz mu, że taka jest wola sprawiedliwych zesłańców nieba, którzy nie mogą patrzeć obojętnie na dziejącą się tu niesprawiedliwość.

Czarnobrody zwlekał z odejściem, widać nie wierzył, by faraon zechciał go wysłuchać, ale w końcu ruszył w drogę.

Dzień sto czterdziesty siódmy

Czarnobrody wrócił o zmierzchu, zmęczony, pokryty pyłem, spragniony i opowiedział o swej wizycie w pałacu faraona. Pałac był ogromny, niebywale wysoki, cały zbudowany z kamienia. Mieściły się w nim przestronne sale i komnaty, bogato zdobione wewnątrz złotem, srebrem, kutą miedzią. Ściany pokrywały malowidła i aksamitne kobierce. W komnatach pyszniły się trony, a także inne sprzęty, wykonane z najbardziej drogocennych gatunków drewna. Ale faraon nie wysłuchał prośby Czarnobrodego, lecz kazał sługom swym przepędzić go z pałacu.

Dzień sto czterdziesty ósmy

Nocą „Spokojny Wszechświat” opadł na żyzną ziemię. Powietrze drżało, z pojazdu wystrzeliwały strumienie ognia i dym. W dole, pod gwiazdolotem, tworzyły się trąby powietrzne, wznoszące w górę ogromne, czarne tumany piasku, z zajadłą wściekłością zmiatające wszystko na swej drodze...

O świcie Milej rzekł do Czarnobrodego:

— Pójdź znów do faraona i opowiedz mu, co zrobili posłańcy niebiescy. Zażądaj ponownie wypuszczenia niewolników, a jeśli odmówi, ostrzeż go, że spotkają go nowe, jeszcze straszliwsze nieszczęścia.

Dzień sto pięćdziesiąty drugi

Czarnobrody wrócił wielce utrudzony i przestraszony. Przyniósł wiadomość, że na ludzi i dobytek padł mór. Ciała w oka mgnieniu pokrywały się ranami, których nie leczyły żadne zioła i maści. Oczy ludzi i zwierząt zaczerwieniały się i puchły, a twarze ludzkie zniekształcały wrzody. Wielu chorych szybko umierało. Nazajutrz nad polami zawisły nieruchomo ciemne obłoki, a gromy i błyskawice bez przerwy rozdzierały niebo. Grad wielkości kurzych jaj nie szczędził ludzi ani dobytku, drzew ni zasiewów. Przestraszony faraon obiecywał wypuścić niewolników, jeśli ustaną burze i grad, a choroby przestaną trapić ludzi.

Uruchomiliśmy specjalne urządzenie, które szybko przepędziło chmury. Wkrótce znów wyjrzało słońce, powietrze zaś zostało oczyszczone z zarazy.

Dzień sto sześćdziesiąty siódmy

Milej polecił swemu pomocnikowi — Mejowi, by lecąc przed pochodem niewolników, wskazywał im drogę. „Spokojny Wszechświat” wzbiał się wysoko w niebo, ale jak przekazywał nam Mej, był widoczny z Ziemi, podobny do srebrzystego obłoku nieruchomo zawieszono na wschodzie, a nocą przypominającego gigantyczną gwiazdę, świecąca blaskiem słońca.

Mej przekazywał nam przez radio zabawne informacje. Niewolnicy nie wątpili ani przez chwilę, że został zesłany przez jakiegoś boga, by wskazywać im drogę. Cóż za naiwne istoty!

Dzień sto siedemdziesiąty pierwszy

Przy pomocy lunet obserwujemy niezwykły pochód. Niekończące się szeregi ludzi — pieszych, bądź na osłach i wielbłądach, z dobytkiem zwalonym na dwukołowe wozy, albo po prostu tylko z zarzuconym na plecy węzełkiem — wloką się wolno, noga za nogą. Z tyłu ciągną tysięczne stada owiec, kóz, wołów, krów i cieląt. Brodacz kroczy na samym przedzie pochodu. Meja wyposażył go w kieszonkowy nadajnik radiowy, pozwalający mu utrzymywać z nim stały kontakt.

Ale na gwiazdolocie roboty nie brakuje. Kontynuujemy badania atmosfery ziemskiej, wysyłając jednocześnie we wszystkich kierunkach liczne ekspedycje, by przeprowadziły dokładne badania skorupy ziemskiej i wszystkich bogactw, jakie kryje w sobie, wszelkich rud i minerałów, jak również roślinności i zwierząt znajdujących się na powierzchni tej interesującej, życzliwie potraktowanej przez naturę planety. Wilej i Ukieł polecili niewielkim samolotem odrzutowym na północ. Chętnie polecilibyśmy i gwiazdolotem trochę dalej, ale musimy przecież pomóc niewolnikom i wskazać im drogę ku nowemu, wolnemu życiu, jak im obiecywaliśmy. Na pewno niejedną raz zaistnieje potrzeba dopomożenia im w tym trudnym marszu przez pustynię.

Dzień sto siedemdziesiąty trzeci

Lud rozbił obozowisko nad brzegiem jakiegoś morza.

Nazajutrz dostrzegliśmy przez lunety, że poprzez pustynię pełnie jakiś ogromny, połyskliwy wąż. Włączyliśmy aparaty dalekiego widzenia. Na ekranie zafalowało nieprzebrane mrowie ludzkich głów.

Rozróżnialiśmy poszczególnych jeźdźców na koniach i uzbrojonych wojowników na rydwanach.

— Czyżby oznaczało to pogoń? — zafrasował się Milej.

Postanowił natychmiast to sprawdzić. Wrócił o zmierzchu, przynosząc niepokojącą wiadomość, iż zaraz po wyjściu niewolników z miasta faraon i jego kapłani wielce wzburzeni poczęli biadać:

— Kto teraz będzie pracował dla nas? Kto zbuduje pałace i uprawi nasze pola? Kto wypasać będzie nasze trzody i usługiwać nam? Kto będzie tkał i szył nasze suknie?

I faraon rozkazał swym wojownikom, by dogonili niewolników i zawrócili ich siłą z drogi.

Wieczorem rozległ się z naszego odbiornika wylękniony głos Meja. Nasz towarzysz donosił nam, że niewolnicy ogarnięci paniką lamentują, przeklinając swych bogów. Dostrzegli bowiem nadciągające wojska i domyślili się, iż to pościg za nimi z rozkazu faraona. Otoczywszy kołem Czarnobrodego, zaczęli mu złorzeczyć, wołając:

— Co uczyniłeś z nami? Dlaczego uprowadziłeś nas w pustynię, wydając na pastwę włóczy faraonowych żołnierzy?

Milej poradził Mejowi, jak uspokoić niewolników. Najlepiej będzie, jeśli poprowadzi ich wprost na morze.

Nadeszła noc. Wojska faraona ułożyły się na spoczynek. Gwiazdolot opuścił się nisko, tuż nad głowami idących w pochodzie mężczyzn, kobiet i dzieci. Jego reflektory oświetlały im drogę. Uruchomiliśmy urządzenia zamrażające. Na znacznym obszarze, w promieniu kilku kilometrów, powietrze gwałtownie się ochłodziło. Przemieszczały się zimne i ciepłe masy powietrza, stopniowo przenikając się nawzajem. Zerwał się huraganowy wichur. Wiał w kierunku morza (w tym miejscu było ono najwęższe) i po godzinie powierzchnia wody pokryła

się lodową skorupą grubości 30 — 40 metrów.

Mej powiedział Czarnobrodemu, by śmiało poprowadził swój naród po lodzie.

Niewolnicy stąpali przez zamrożone morze suchą nogą, jak po lądzie. Szli już całą noc. O świcie doszły na brzeg morza wojska faraona. W zdumieniu spoglądali wojownicy na niewolników, idących morzem, choć nie po wodzie, a po stwardniałym, lśniącem trakcie, łączącym oba brzegi. Nie namyślając się ani chwili, szeregi żołnierzy ruszyły w pogoń za uciekinierami. Gdy znaleźli się na samym środku morza, niewolnicy schodzili już na drugi brzeg. Wtedy rozpoczęły swą pracę agregaty ogrzewcze. Nad morze nadpływało gorące powietrze i zerwał się ciepły wiatr. Łód trzeszczał, łamiąc się i topniejąc w mgnieniu oka. Koła wozów poczynaly zanurzać się coraz głębiej w wodzie, spłoszone konie rzucały się na boki, uciekając przed wodą coraz szybciej pokrywającą lodową taflę. Pod ciężarem wozów i ludzi łód kruszył się z trzaskiem i pojedyncze lodowe kawały ginęły w otchłani fal razem z wozami i ludźmi. Podniósł się głosny rwetes, lamenty, wołania o pomoc.

Po chwili wszystko ucichło; jak dawniej goniły się fale po powierzchni morza, czasem tylko tu i ówdzie wypływały zwłoki jakiegoś żołnierza czy konia, wskazując miejsce straszliwej katastrofy. Mej doniósł nam, iż wśród niewolników zapanowała wielka radość z powodu tak cudownego ocalenia.

Dzień sto siedemdziesiąty siódmy

Już od trzech dni wędrują niewolnicy przez pustynię, wciąż kierując się na południe. Jak poinformował nas Mej, zaczyna się szerzyć wśród nich niezadowolenie, głównie dlatego, że nie napotykają w swej wędrówce śladu najmniejszego choćby źródła. Na trzeci dzień Mej postanowił pomóc niewolnikom i ruszył na zbadanie okolicy. Udało mu się odkryć źródło. Gdy wrócił z tą wieścią do zrozpaczonych niewolników, ci poderwali się do dalszego marszu, jakby wstąpiły w nich nowe siły. Lecz pierwsi mężczyźni, którzy nachylili się nad źródłem, pragnąc zaspokoić swoje pragnienie, odskoczyli z obrzydzeniem. Woda wydawała smrodliwą woń. I w całym obozie znów zaczęło się szerzyć niezadowolenie, przybierające często formę wrogich wystąpień przeciwko Czarnobrodemu. Milej wysłał więc na pomoc Mejowi chemika Lemiego, uzbrojonego w kilka butelek ze specjalnymi preparatami odkażającymi. Lemi wylał ich zawartość do źródła. Oczywiście, specyfiki natychmiast pozbawiły wodę smrodliwego aromatu. Radość niewolników była bezgraniczna.

Dzień sto osiemdziesiąty

Nowa niepokojąca wieść: niewolnicy znów podnoszą bunt, ponieważ skończył się zapas chleba, a mięsa pozostało już niewiele. „Dzieci popłakują, kobiety przeklinają Czarnobrodego za to, że wyprowadził ich z ich domów i skazał na śmierć głodową w pustyni. Mężczyźni szemrzą... — powiedział Mej. — Co mam robić?”

Niewdzięczne istoty! Kazaliśmy Mejowi zapowiedzieć niewolnikom, że dziś jeszcze będą mieli mięso, a jutro otrzymają także chleb.

Odlecieliśmy gwiazdolotem w kierunku najbliższego łańcucha gór i tam przy pomocy wiatru i specjalnych, silnych zapachów zwabiliśmy do siebie wszystkie przepiórki i wszelkie inne ptaki i popędziliśmy je w kierunku pustyni. Wielkimi stadami leciały ku obozowi niewolników i padały zmordowane na piasku u ich stóp. Ludzie łapali je, piekli nad ogniskiem i spożywali. Powiedzieliśmy Mejowi, że nocą spuścimy z gwiazdolotu kilka skrzyń z mionką skondensowaną żywnością. Odtąd każdego dnia ludzie będą otrzymywali potrzebną porcję żywności.

Dzień sto osiemdziesiąty drugi

Wszystko w porządku. O świcie ujrzeni niewolnicy pokrywającą pustynię gęstą warstwę drobniotkich, otoczonych łupinką ziarenek. Zaczęli mleć je na żarnach, a potem wrzucali mączkę z nich do kotłów i gotowali smaczne potrawy. Mej przekazał nam, że ludziom bardzo smakuje to pożywienie, które spadło im z nieba.

Dzień dwieście piąty

Można całymi dniami wędrować przez pustynię i nie napotkać najmniejszego źródła, nie mówiąc o rzece czy studni. Wciąż tylko piaski, kamienie i czasem gdzieś tam chierlawka roślinność. A z góry słońce leje niemiłosierny skwar. Niewolnikom znów dokucza brak wody, ich skórzane bukłaki pokazują już dno.

Zdecydowaliśmy się zatem zdobyć wodę z powietrza. Za kilka godzin wszystko było gotowe. Nasi technicy zmontowali odpowiednią instalację i małym samolotem przewieźli ją na pustynię. Tu, na stoku nagiej skały, zainstalowali swoje urządzenie. Woda płynąca bystrym potokiem między kamieniami wprawiła ludzi w zachwyt. Zadowolenie jest ogromne.

Lud rozbił obozowisko u podnóża tej czarodziejskiej góry. A wokół rozciąga się bezkresna pustynia. Mężczyźni rozpalili ogniska, kobiety, uradowane bliskim sąsiedztwem wody i kilku palm, zabrały się do prania.

Powiedzieliśmy Czarnobrodemu, iż mamy zamiar wylądować na tej górze, dlatego nikt nie może oddalać się poza obręb obozu. Niech ani człowiek, ani zwierzę nie wałęsa się po pustyni, bo może paść ofiarą śmiertelnych promieniowania, towarzyszącego lądowaniu naszego statku. Milej rozkazał, by lud Czarnobrodego kamieniami wytyczył granice, poza które, dla własnego bezpieczeństwa, nie wolno mu się oddalać.

Dzień dwieście szósty

O świcie gwiazdolot wolno skierował się ku górą. Powietrze drżało, gromy wstrząsały szczytami, skałami i dolinami, towarzyszyły nam błyskawice, syczały ogniste płomienie, a gęste obłoki dymu spowijały szczelnie całą górę. Gwiazdolot ryczał, jęczał, grzmiał — niczym gigantyczna trąba. Wreszcie jego ogromne stalowe podpory dotknęły skały i dopiero wtedy znieruchomiał. Jeszcze długi czas przesłaniał go gęsty dym, bo nie było tego dnia wiatru, który mógłby go rozpędzić.

Nałożyliśmy skafandry. Całkowicie zabezpieczeni przed śmiertelnymi promieniami, wzbiliśmy się w powietrze. Ominęliśmy obóz niewolników, gdyż nie chcieliśmy ich przestraszać. Już z wysoka dostrzegliśmy dwa znieruchomiałe ciała, leżące u podnóża góry — ich skóra była zwęglona, głowy pozbawione owłosienia, a poszarpane mięśnie po prostu odstawały od kości. Widać ciekawość przewyciężyła strach i w tajemnicy kazała wymknąć się tym dwóm mężczyznom poza ogrodzenie, by na własne oczy ujrzeć nasze zstępowanie na ziemię. Opłacili to śmiercią na skutek podmuchu przy starcie i atomowego napromieniowania.

Dzień dwieście ósmy

Mej znów opowiadał nam dziś kilka ciekawych historii, ilustrujących naiwność Zie-

mian. Widząc pojawienie się pośród dymu i płomieni naszego ognistego pojazdu, niewolnicy zamarli w przerażeniu. Ale trwało to niedługo, bo po chwili wszystko ucichło, tylko z wierzchołka góry unosił się pióropusz dymu.

Dzień dwieście siedemnasty

Mej ujął mikrofon. Jego głos, wzmocniony stukrotnie przez głośniki, ze straszną siłą rozległ się nad górami. Lud stał nieporuszony w miejscu obwarowanym kamieniami i słuchał.

Najpierw Milej ponowił ostrzeżenie, by nikt — ni człowiek ni zwierzę — nie próbował zbliżyć się do góry, bo zginie. Zdażył już poznać zwyczaje Ziemian, którzy są niestety ograniczeni, mściwi, wiecznie niezadowoleni i źli — przypomina im więc o ich powinnościach — radzi żyć tak, jak żyją w swej ziemi Miończycy i przestać oddawać cześć niezliczonym bogom na niebie i Ziemi, bogom będącym jedynie tworem ludzkiej wyobraźni, tak jak dziełem rąk ludzkich są ich wizerunki i posągi. Czcic należy zaś przede wszystkim własnych rodziców, a braterską miłością darzyć każdego bliźniego. Niegodne człowieka jest zabijać drugiego człowieka, okradać go, okłamywać, a zwłaszcza pozbawiać wolności osobistej — niewolnictwo bowiem jest rzeczą haniebną i nieludzką, gdyż nikt nie powinien żyć kosztem wysiłku drugiego człowieka. Zawsze powinni być w swych osądach sprawiedliwi, wystrzegając się złej woli, nieuczciwości i kłamstwa, a ludziom starym okazywać należy im szacunek. Jeszcze długo mówił o tym, jakim powinien być człowiek, a jego głos odbijał się echem od wyniosłych skał...

Ziemian poraziła siła jego głosu — nie wątpimy ani przez chwilę, że rad naszych nigdy nie zapomną, a stosując je w swym życiu, staną się o wiele doskonalszymi istotami.

Taomej przekreślił gałkę i aparat umilkł.

Zapadło milczenie. Skribin i Ania siedzieli nieporuszeni, wciąż jeszcze nie mogąc odebrać wzroku od ciemnej tarczy, pokrytej delikatną, srebrzystą siateczką, z której przed chwilą wydobywał się głos. Głos, który był tak niezwykły, a tak prosto i obrazowo zrelacjonował wydarzenia, które rozegrały się na Ziemi przed tysiącami lat. Poniekąd były to fakty im znane. Lecz skąd czerpali wiedzę o tych zamierzonych wydarzeniach? Zadawali sobie w tej chwili to samo pytanie: czy doprawdy wszystko stało się właśnie tak, jak przed chwilą słyszeli?

— Na tym kończą się zapiski w pokładowym dzienniku gwiazdolotu — przerwał milczenie Taomej. — W ostatniej chwili, tuż przed odlotem na planetę Mion, nasi dziadowie poznali Asura. I to już wszystko.

— Hm... — powiedziała Ania. — Ziemianie bez wątplenia uznali w Miończykach swych bogów... Ale... ale... czy ten dziennik nie przypomina ci, tatusiu, niektórych przypowieści biblijnych?

Skribin uśmiechnął się w odpowiedzi... Istotnie... Niewykluczone, iż przypowieści biblijne są w rzeczywistości przetworzonymi wspomnieniami o kosmonautach, którzy odwiedzili niegdyś Ziemię...

— Jeszcze tak niedawno, plemiona zamieszkujące afrykański busz również czcili białych, jako swych bogów — powiedział po chwili Skribin. — Od niepamiętnych czasów ludzkość tłumaczyła sobie wszelkie zjawiska, których przyczyn nie rozumiała, ingerencją sił nadprzyrodzonych.

— Czy wolno nam będzie po powrocie na Ziemię opublikować treść tego dziennika? — spytała Ania.

Taomej odpowiedział bez wahania:

— Oczywiście.

Spispek

Gdy Wega opuszczał salę, dokuczał mu istotnie silny ból głowy. Był on wywołany niewątpliwie stanem ciągłego lęku i zdenerwowania, w jakim żył ostatnio. Diabli nadali tych przeklętych Miończyków z ich filmem i tym dziennikiem, z którego treścią tak bardzo chciała się zapoznać Ania! Taomej i Miończycy byli zupełnie beztroscy; nic nie przeszkadzało im oddawać się przyjemnej zabawie, jaką było dla nich prezentowanie coraz to nowych miońskich dziwów. A „Kosmos” wciąż tkwił uwięziony w ich przeklętym gwiazdlocie. Ze swą bezużyteczną aparaturą wydawał się martwym cielskim bezbronno olbrzyma, powalonego straszliwą siłą ciosu innego rozwścieczonego potwora. Stary musi się dowiedzieć, co ich spotkało. Musi określić ich położenie i zrobić wszystko co możliwe, aby im pomóc. Ale jak miała wyglądać ta pomoc, Wega nie wiedział. Sztab współpracowników Starego z całą pewnością znajdzie jakieś wyjście z tej sytuacji...

Postanowił podzielić się swoimi obawami z resztą załogi „Kosmosu”, którą po dłuższym poszukiwaniu znalazł oddającą się z całym zapamiętaniem grze w karty. Wega przysiadł obok i dopiero po chwili odezwał się zatroskanym tonem, w którym wyraźnie pobrzmiwał wyrzut:

— Zabawiacie się tak beztrosko, jakbyście nie wiedzieli, że Miończycy lada dzień wylądują na Ziemi.

— A niech sobie lądują! — odparł Robson. — Boże, cóż to będzie za sensacja dla całego świata!

— Sensacja, niewątpliwie! — ironicznie zauważył Wega. — I to nie byle jaka. Zwłaszcza jak wyląduje razem z nimi Skribin i to jego dziewczątko.

Robson nachmurzył się.

— Hm, rzeczywiście. Nie pomyślałem o tym — wściekłym ruchem wziął ze stolika jedną z kart. — Zatem?

— Wtedy dopiero zagramy sobie w karty — odpowiedział tym samym tonem Wega. — Jerry!

Radiotelegrafista zerwał się i stanął wyprężony na baczność.

— Tak jest, mister.

— W jakim stanie jest radiostacja?

— Sam pan wie — odmawia roboty.

— Spróbujcie ją uruchomić.

— Teraz?

— Tak jest. Musimy za wszelką cenę przekazać na Ziemię raport o naszej sytuacji, dopiero wtedy otrzymamy następne instrukcje. No, już, zabierajcie się zaraz do roboty!

Ostro zakończony czubek ich rakietoplanu wskazywał sam środek sufitu. Potężna maszyna latająca milczała, uwięziona pośród półkolistych ścian, ograniczających jej swobodę ruchów. Ział ciemnym otworem nie domknięty luk.

— Niedołęgi! — złościł się Wega. — Nawet luku nie zamknęli. Nie jestem zupełnie pewien, czy ci Miończycy nie szwendali się już po „Kosmosie”.

Jerry uśmiechnął się i powiedział z całym przekonaniem:

— Nie, mister. To wykluczone. Miończycy wydają się być absolutnie uczciwymi istotami, powiedziałbym, iż są w tej swojej uczciwości często wręcz naiwni.

Wega rozglądał się wokół za jakąś drabiną. Bez drabiny nie sposób było dostać się na pokład raketoplanu. Ale nie zauważył nigdzie podobnego sprzętu.

— Do diabła! — zaklął. — I jak teraz dostaniemy się do raketoplanu?

— Ten Miończyk, jakże mu tam... Taomej, zdaje się? On ma jakiś dziwny pręcik, diabeł wie, co to takiego i na jakiej zasadzie działa, ale przecież wtedy, przy pomocy właśnie tego przedmiotu ściągnął nas na dół. Nie pamięta pan, mister?

— Pamiętam, a jakże, niech go czort porwie, ale zależy mi na tym, aby Taomej nie odgadł naszych zamiarów.

— Zatem?

— Zatem, zatem. Zawołam po prostu innego Miończyka. Być może i pozostali mają podobne aparaciki. No, skoczcie tam któryś do nich! — rzucił Wega.

Radiotelegrafista wyszedł i po chwili wrócił w towarzystwie dobrodusznego Elija, astronoma. Jerry śmiesznie wymachiwał rękami, starając się usilnie wytłumaczyć coś Miończykowi. Ale on wytrzeszczał tylko nań swe okrągłe oczy, mrugając nimi wyraźnie zakłopotany. Widać było, że nic nie rozumie z objaśnień Ziemanina. Wega odsunął telegrafistę na bok i sam, starając się nadać swej twarzy jak najbardziej uprzejmy wyraz, wskazał luk, po czym uderzył się w piersi, gestem tym dając do zrozumienia, iż chciałby dostać się do wnętrza raketoplanu.

— Ajja, ajja — odparł w odpowiedzi na to wyraźnie uradowany swą domyślnością Miończyk.

Podszedł do ściany i otworzył w niej niewielkie drzwi, których do tej pory nie zauważył ani Wega, ani Jerry. Błysnął rząd przycisków. Elij nacisnął jeden z nich. U ich stóp zasyczało coś jak skradająca się żmija i nagle od podłogi gwiazdolotu oderwała się mała platforma i wolno poczęła wznosić się do góry. Znieruchomiała na wysokości około dwudziestu centymetrów od ziemi. Miończyk wskazywał ją Ziemanom zapraszającym gestem. Gdy stanęli na niej, uniosła się płynnie w górę i zatrzymała się dopiero obok luku „Kosmosu”. Jerry wychylił się nieco, usiłując sprawdzić, co kryje się pod platformą, ale nie dostrzegł pod nią żadnego oparcia.

— Diabelskie sztuczki! — mruknął do siebie.

— No, wyłaźże, nie gadaj tyle! — poganiał go Wega.

We dwójkę spuścili się do wnętrza „Kosmosu”.

Wszystko było na swoim miejscu. Urządzenia w kabinie pilotów również były nietknięte. Wszędzie porządek i ład, tak jak było tu przedtem, nim opuścili raketoplan. Jerry naciągnął na uszy słuchawki, przekładał jakieś wtyczki, pokręcił kluczem, a potem nacisnął kolejno kilka guzików.

Skala rozbłysła zielonkawym światłem, drgnęły strzałki.

— No i jak? — zapytał Wega, nachylając się, by coś usłyszeć. — Ziemia odzywa się?

— Niestety, mister, żadnych sygnałów.

— Klęska!

— Ale szumów też nie słyhać. Przedtem słyhać było przecież piekielne wycie, trzaski i szumy. A to dowodziłoby, że nadajnik i odbiornik są w najlepszym porządku, a jednak nie działają.

— Spróbuj jeszcze raz, mój drogi.

Ale słuchawki milczały jak zakłute. Jerry sprawdził aparat, a potem jeszcze raz próbował wyłowić w nim choćby jeden dźwięk. Gdy jego wysiłki nie dały żadnego rezultatu, opadł na fotel i bezradnie rozłożył ręce.

— Absolutna cisza, mister — rzekł przygnębiony.

— A tak między nami, Gordon, co to wszystko może oznaczać?

Jerry nie spieszył z odpowiedzią. Zresztą, co miał powiedzieć, skoro sam nic z tego nie rozumiał? Mimo to jeszcze raz siadł przy radiostacji, odchyłał jakieś lampki, dłużył w nich

cierpliwie, sprawdzał wszystkie kable, w końcu rzekł:

— Zaczynam coś podejrzewać...

— No, niechże pan mówi, na Boga!

— Cały szkopał w tych falach radiowych.

— Nic nie rozumiem...

— Po prostu nie są w stanie przeniknąć przez osłonę gwiazdolotu.

— Dalej nic nie rozumiem.

— Ściany chronią przed przedostaniem się ich na zewnątrz. Dopiero wtedy, gdyby udało się nam otworzyć luk tego hangaru...

— Tu jest pies pogrzebany. Po prostu luk hangaru... Ale z otwarciem luku wyleci stąd powietrze, jeśli, oczywiście, nieprawidłowo posłużymy się wszystkimi tymi urządzeniami. A jak nimi się posługiwać, niestety, nie wiemy. Otwiera się jednak przed nami wspaniała szansa — gdyby udało nam się otworzyć luk, moglibyśmy po prostu spróbować stąd uciec... jeśli tylko mamy wystarczającą ilość paliwa. Tak, to jest myśl. Muszę powiedzieć to zaraz Robsonowi i Jamesowi. Co sądzisz o tym, Jerry? Jak u nas z paliwem?

— Nie jestem zorientowany, mister.

— Zaraz sprawdzimy. A pan niech próbuje jeszcze raz połączyć się z Ziemią.

— To daremne, mister.

— Co za paskudna historia! — skrzywił się Wega. — Ale musimy przecież znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Ach, do diabła!

Wygramolili się z luku i przesiedli na platformę. Elij przycisnął jakiś guzik w ścianie i platforma łagodnie opadła w dół.

Wega wypoczywał wyciągnięty na długim i szerokim łożu. Był sam. Wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Pachniało kwiatem akacji. Jak dobrze byłoby teraz zasnąć, ale sen nie nadchodził i Wega wciąż przewracał się z boku na bok, wzdychał ciężko, nie mogąc odegnąć przykrych myśli. Wszystko skończone! Był bezsilny, daleko od Ziemi, jak wyrzucona z wody meduza, nie czująca już swego ciała i nie mająca sił, by obronić się wyciągniętymi mačkami...

Czyżby Miończycy mieli rzeczywiście zamiar zmusić go do powrotu na Ziemię? Jakim prawem? Kto dał im prawo zawracać go z jego drogi? Z całym spokojem dokonali pirackiego aktu i zdają się w ogóle nie zdawać sobie z tego sprawy. O, nie! Skribin i Ania nie wrócą razem z nimi na Ziemię.

Przekłęci Miończycy!

Był w ich rękach. Co zrobić, by wyrwać się stąd?

Wega znów westchnął. Już od kilku godzin obmyślał plan wydostania się z tej niefortunnej pułapki. W końcu zdrzemnął się. Sen trwał krótko, bo poprzez ściany pokoju zaczął się już sączyć bladawy brzask, niczym zorza na Ziemi, budząca świat do życia. Wega udał się do łazienki, wziął kąpiel, wytarł ciało ręcznikiem i właśnie ubierał się, gdy w okrągłym iluminatorze pojawiło się nagle srebrzyste cielsko rakiety o ostro zakończonym dziobie. Wega przywarł do szyby. Identyczna rakietka przywiozła ich przecież tutaj. Nie zdążył przyjrzeć się jej dokładniej, ponieważ błyskawicznie znikła mu z pola widzenia i przepadła gdzieś w mroku, jak rzucony w bezdeń połyskliwy kamyk.

Co to znaczyło?

Szybko skończył się ubierać, choć była jeszcze wczesna pora i zapewne wszyscy smacznie spali. Dzień następował wolno, stopniowo wyłaniając się z szarości. Wega przemierzał pusty korytarz i zatrzymał się wreszcie przed jednymi z drzwi, naciskając tkwiący w ścianie obok nich przycisk. Rozległ się melodyjny dźwięk, jakby ktoś potracił klawisz pianina. Zza drzwi dał się słyszeć pytający głos Taomeja. Wega odpowiedział:

— To ja, Wega.

Drzwi otwały się same.

Widać było, że Miończyk dopiero co wstał i teraz już zabierał się do lektury jakiegoś tomu leżącego na stole.

— Proszę wybaczyć mi tę ranną wizytę — zaczął Wega. — Widziałem odlatującą waszą raketę. Czy coś się stało?

— Nie ma powodów do jakiegokolwiek niepokoju, przyjacielu. Proszę usiąść! — Taomej podsunął mu fotel i ciągnął dalej: — Wysłaliśmy ją, by okrążyła kilkakrotnie Ziemię.

— W jakim celu?

— Chcemy raz jeszcze sprawdzić dane o atmosferze ziemskiej. Trzeba również sfotografować planetę. Zejbo i Tojzi powinni dokładnie zapoznać się z terenem, na którym mamy wkrótce wylądować.

— A jakie to miejsce, jeśli wolno zapytać?

— Stepy nad Morzem Kaspijskim.

Wega drgnął, przestraszony.

— Dlaczego właśnie tam?

— Zaproponował nam to inżynier Skribin. Czy to niedogodne, pańskim zdaniem, miejsce? Czy ma pan może inne propozycje? — dodał szybko Taomej.

Wega ledwie panował nad sobą.

— Jestem obywatelem Państw Zachodniej Półkuli — odparł — i sprawiłoby nam zaszczyt powitać wasz gwiazdolot na przykład na równinie nad rzeką Missisipi. Lecz ma pan, oczywiście, prawo wyboru. Nie mogę jedynie zrozumieć, dlaczego więzicie nas tutaj z zamiarem odwiezienia nas z powrotem na Ziemię.

Taomej zarumienił się jak mały chłopiec, który nagle zawstydził się swojej psoty. Po raz pierwszy nie patrzył rozmówcy w oczy. Widać było, że czuje się bardzo niezręcznie.

— Nie mamy wcale takiego zamiaru — powiedział.

Wega odetchnął. Sytuacja rozwijała się pomyślnie.

Zapytał:

— To znaczy, że możemy podjąć nasz lot?

— Oczywiście. Kiedy tylko zapragniecie. Sądziłem, że sprawiło wam przyjemność spotkanie z nami, choć trochę może dziwne...

— Ależ tak, oczywiście, to była bardzo przyjemna niespodzianka. Ale, niestety, mamy inną marszrutę.

— Lecicie na Księżyc?

— Właśnie.

— Możecie odlecieć każdej chwili.

— Dziękujemy — powiedział szczerze już zupełnie uspokojony Wega. — Ale wprawdzie musimy koniecznie nawiązać łączność z Ziemią, a nasza radiostacja niestety, jest uszkodzona. Nie możemy więc powiadomić ani Ziemi, ani Księżycy, co się z nami stało. A tam zapewne już niepokoją się naszym milczeniem.

— Ach, zapomniałem was poinformować — odpowiedział na to z ożywieniem Taomej — że wasz „Kosmos” nie ma połączenia z antenami na zewnątrz korpusu gwiazdolotu i dlatego wszelka łączność radiowa jest przerwana. Ale wystarczy tylko wysunąć antenę na zewnątrz hangaru...

— Przez luk?

— Oczywiście.

— I będziemy mogli potem ruszyć w swoją drogę?

— Jeśli takie jest wasze życzenie...

Wega w odpowiedzi uściśnął mocno dłoń Taomeja.

— Czas zatem przygotować się do podróży. Pobiegnę do moich towarzyszy, by przekazać im tę miłą nowinę. Najpierw połączymy się z Ziemią, a potem startujemy.

I Wega biegiem ruszył w stronę kabin swych przyjaciół, zadowolony, że tak łatwo udało mu się przewyciężyć najtrudniejszą przeszkodę. Pozostawało jeszcze jedynie omówić sposób, w jaki zmuszą Skribina i Anię, by polecili z nimi.

W jednej z przestronnych i chłodnych kabin zebrała się w komplecie cała załoga „Kosmosu”. Wega siedział na tak wysokim stołku, że nogi jego zwisały nad podłogę na dwie piędy, a z tyłu, wysoko nad głową sterczało oparcie. Był zamyślony. Znikły gdzieś jego niedawna pewność i pyszałkowatość.

Robson przysiadł na skraju łóżka, nogi opierając na poręczach fotela. W milczeniu oddawał się nieprzerwanemu żuciu gumy. James całą uwagę skupił na nawijaniu i odwijaniu ze swego kciuka jakiegoś błyszczącego łańcuszka, a radiotelegrafista Jerry podparłszy sobie pod głowę ogromną poduszkę, przymknął oczy i oddawał się marzeniom.

— No, kiedy pan wreszcie przemówi, szefie? — ośmielił się odezwać James. — Po co nas tu wezwano?

— Zaraz wam powiem — odparł Wega dziwnie zatroskanym głosem. — Wszystko, ma się rozumieć. Otóż chłopcy, cała historia coraz bardziej zaczyna przypominać obłądny taniec.

Jerry otworzył szerzej oczy, ale ani na jotę nie zmieniając swej wygodnej pozycji.

— Czy coś się stało, mister?

— Jesteśmy o krok od przepaści, panowie!

Szczęki Robsona nagle zastygły w bezruchu. Jego małe, świdrujące oczka kilkakrotnie trwożliwie zamrugały.

— Jaka przepaść? Co się stało?

— Miończycy już niedługo wylądują na Ziemi, może jeszcze dziś, za kilka godzin. I to wylądują w rejonie Morza Kaspijskiego.

I wtedy cała trójka jakby zbudziła się z głębokiego snu. Uleciało gdzieś uczucie przynębnienia, rezygnacji, ani przez chwilę nie opuszczające ich na gwiazdocie. Uświadomili sobie nagle wszystkie konsekwencje tego faktu. Jerry usiadł na łóżku i z goryczą rzekł:

— To sprawka tego Skribina. To on urządza nam takie numery.

Robson wypluł gumę w garść i wściekły wykrzyknął:

— Do diabła! Cały świat dowie się o tym skandaliku z inżynierem, a wtedy jesteśmy zgubieni... spadniemy sami wprost w paszczę wilka. — Nie, panowie — strzelił z palców. — Nie pozostaje nam nic innego jak wiać stąd i to zaraz. Nie ma czasu na namysły.

— Jak sobie wyobrażasz to nagłe zniknięcie? — zapytał ze zjadliwą uprzejmością James.

— Cała nasza nadzieja w „Kosmosie”. Miończycy nie mają prawa zatrzymywać nas. Do czego to w końcu podobne?

Wszyscy podzielali jego oburzenie. Stanowczo zbyt długo dawali się traktować jak więźniowie, trzeba wreszcie coś przedsięwziąć. Tylko Wega był spokojny — jakby ten problem nie był najważniejszy.

— Chwileczkę, panowie, bez paniki — odezwał się. — Rozmawiałem przed chwilą z Taomejem.

— I co?

— Nikt nas nie zatrzymuje.

Robson, Jerry i James odetchnęli.

— Zatem, mister, wszystko w porządku? — powiedział Jerry.

— Niepotrzebnie napędził pan strachu z samego początku. Ale czy powiedział pan temu... Taomejowi, tak zdaje się, nazywa się ten Miończyk, że powinni nam pomóc wyciągnąć „Kosmos” z hangaru, abyśmy mogli uruchomić silniki?

— Wszystko komplikuje nam tylko ten Skribin i jego córka — przerwał mu Wega. — Oni postanowili wrócić na Ziemię razem z Miończykami. Chcą zjawić się na niej nagle żywi i

cali, i rozumie się, zdemaskować szczegóły tej całej historii. A wtedy kłapa, jesteśmy przegrani wszyscy. Rozumiecie mnie, panowie?

Ożywienie całej trójki znów opadło. Zdawali sobie nader dobrze sprawę z powagi sytuacji. Skribin krzyżował ich plany, Skribin mógł ich zdemaskować.

— Niech to diabli! — klął Robson. — A czy Miończycy wiedzą już o roli Skribina w „Kosmosie”?

— Nie. Skribin na razie milczy. To idealista i trochę fantasta; być może nie chce ukazywać w niekorzystnym świetle Ziemi. Ale gdybyśmy spróbowali użyć względem niego i tej dziewczyny przemocy, jestem przekonany, że rozpowiedziałby wszystko, aby uniemożliwić nam odlot. I co wtedy zrobimy? Zastosują wobec nas areszt i pewnego pięknego dnia chwycą za kołnierz i oddadzą w ręce organów bezpieczeństwa w Socjalistycznym Związku. A to już — koniec.

Wega miał rację. Taki los czekałby ich niechybnie, gdyby pozostali na gwiazdlocie, a zwłaszcza jeśli wylądowaliby razem z Miończykami gdzieś w okolicach Morza Kaspijskiego. Co zatem robić? Robson, Jerry i James byli nieprzyjemnie zaskoczeni logiką rozumowania Wega. Trzeba niewątpliwie coś postanowić, ale od czego zacząć? Czy Wega ma już jakiś plan?

Próbowali wyczytać coś z jego twarzy. Ale pozostawała ona nadal nieprzenikniona. Łudzili się nadzieją, że Wega ma już jakiś dobry pomysł, że znalazł wyjście z tej okropnej sytuacji. Czekali cierpliwie. Ale Wega nie spieszył się. Widać było, że myśli o czymś gorączkowo, przymknąwszy oczy. Upłynęło kilka minut. W końcu Jerry nie wytrzymał:

— No, i jak, mister?

Wega uśmiechnął się. Wróciła mu już pewność siebie i zdecydowanie.

— Panowie! — rozpoczął uroczyście. — Trzeba zmusić Skribina i Anię, by polecili z nami.

— W porządku, jesteśmy tego samego zdania, ale jeśli odmówią? Zresztą, to nawet pewne, że odmówią — powiedział James.

— Zmusimy ich do tego, mój drogi. Nie mamy innego wyjścia.

— To znaczy — podjął Robson — jeśli dobrze zrozumiałem, jeszcze raz mamy ich porwać?

— Coś w tym rodzaju.

— Ależ oni rozdmuchają z tego taki skandal, mister...

— Jeśli nie wykażemy należytego sprytu, na pewno do tego dojdzie, a wtedy wszystko przepadło. Tym razem musimy postępować wyjątkowo ostrożnie.

— Czyli ? — wtrącił Jerry.

— Podsunie im obojgu pod nos gaz upajający, mamy go na statku w wystarczającej ilości, zresztą wystarczą dwa, trzy oddechy, by padli jak muchy. Potem niepostrzeżenie przeniesiemy ich na „Kosmos” i... w drogę.

Robson wybuchnął śmiechem.

— Z czego się pan śmieje? — zapytał Wega.

— Sądziłem, że wykaże pan więcej sprytu, mister — zauważył z ironią Robson.

— Co nie podoba się panu w tym projekcie?

— Sądzi pan, że Skribin i jego córka na zawołanie z wielką ochotą wetkną nos w ten wasz gaz upajający? Banialuki! Przecież oni nawet widzieć nie chcą żadnego z nas. Czy nie ma pan jakiejś logiczniejszej koncepcji?

Wega, dotknięty, nie odpowiedział. Ściągnął gniewnie brwi, znów stając się nieprzystępnie milczącym. Zamilkli i pozostali.

— Nie macie nic do powiedzenia? No to teraz ja przedstawię wam swój projekt — przerwał milczenie pełen zadowolenia z siebie głos pilota. — Braun odwali tę robotę.

Wega na dźwięk tego nazwiska aż poczerwieniał z gniewu.

— Ten nędznik? Robson, pan oszalał! Przecież to jeden z nich.

— To tylko ułatwia robotę.

— Brednie. Byłbym niechybnie skuł mu dokumentnie mordę, gdyby nie pojawili się ci Miończycy.

— To niech pan zostawi na później, mister Wega. Na razie Braun jest nam potrzebny, odegramy przed nim rolę naiwniaczków, którzy raczyli mu wszystko wybaczyć. I przestańmy myśleć o tym gazie upajającym, bo nic z tego nie wyjdzie. Potrzebny jest nam inny środek usypiający, w postaci płynu lub proszku...

— Znajdzie się i coś takiego — powiedział Wega.

— Wspaniale. Trzeba będzie to wlać lub wyspać do jedzenia. Braun im to poda, a oni zjedzą. I to wszystko.

Zdaniem Jerry'ego pomysł był genialny. Opinię tę podzielał również James.

— Gdyby ten drań nie okazał się zdrajcą, łatwo udałoby się nam przeprowadzić ten plan — rzekł po chwili Wega. — Lecz wątpię, czy zechce nam teraz pomóc. I co wtedy?

— Proszę pozostawić to mnie, mister — uspokoił go Robson.

— Dobrze, nigdy nie zapomnę ci tej przysługi, drogi Robsonie.

Braun leżał w swej kabinie, jak zwykle samotny, zapomniany i opuszczony przez wszystkich. Cała ta banda przestała zajmować się nim od dnia, gdy tak niefortunnie próbował nawiązać łączność z Ziemią, by przekazać na nią wiadomość o porwaniu Skribina. Tylko raz Wega odezwał się do niego, uprzedzając, by trzymał język za zębami, bo w przeciwnym razie... i wyjął przy tym teatralnym gestem z kieszeni rewolwer, którego lufę przytknął do piersi Brauna.

Braun postanowił milczeć i czekać na dalszy rozwój wypadków. Nie powiedział nawet Skribinowi i Ani, że próbował im pomóc, ponieważ wstydził się, że próba ta tak niefortunnie się dlań skończyła. Wystarczało mu, że mógł ich często odwiedzać, rano, w południe i wieczorem, gdy przynosił im posiłki. Teraz znów spoglądał na zegarek. Za pół godziny zanieś im śniadanie. Znów ujrzy Anię, zamieni z nią kilka słów... Myślenie o tym sprawiło mu wyrażną przyjemność. Braun nie wyglądał już na chorego. Jego cera stała się rumiana, tryskająca zdrowiem, nawet twarz jakby się zaokrągliła. Sam był zdumiony tym swoim cudownym wyleczeniem, które zaczęło się od dnia, gdy Ania zaprowadziła go do Meja, a ten naświetlił go tymi cudotwórczymi promieniami. Braun z każdym dniem czuł, jak wracają mu siły i radość życia. Na własne oczy widział, jak trawiący dotąd jego organizm nowotwór topił się pod działaniem tych promieni jak kostka cukru w szklance herbaty... Jest zdrow! Zupełnie zdrow! Ania uparła się, by go wyleczyć. Najpierw uratowała go Ania, potem Miończyk... Okazywała tyle czułości i troskliwości, gdy leżał w sali szpitalnej. Odwiedziła go potem jeszcze dwa razy... tak po prostu... aby go tylko zobaczyć.

Teraz oddany był jej całym sercem — nie odstępując nigdy ani na krok. Jego przywiązanie czasem na pewno ciążyło dziewczynie, ale Ania nigdy nie miała mu za złe tej narzucającej się grzeczności. Pewnego razu, przełamując skrupowanie i nieśmiałość, powiedział:

— Aniu, wciąż nie daje mi spokoju pewne pytanie.

— Jakie to pytanie, Braun? — zapytała łagodnie Ania.

Opuścił wzrok. Milczał, szukał odpowiednich słów, a potem nagle powiedział po prostu:

— Dlaczego chciała mnie pani wyleczyć?

Odparła całkiem naturalnie:

— Było to moim obowiązkiem wobec drugiego człowieka.

Żadna cieplejsza nutka nie zabrzmiała w jej głosie.

„Obowiązek wobec drugiego człowieka” — powtarzał z goryczą Braun. A on wyobrażał sobie, że i w sercu Ani zrodziło się coś na kształt uczucia. Jej słowa zmroziły go, lecz nie

dał poznać tego po sobie. Być może jego oddanie zrodzi kiedyś i w niej jakiś żywszy, bardziej przychylny oddźwięk... Czekał, lecz moment ten nie nadchodził. Musi okazać jeszcze więcej cierpliwości, więcej przywiązania. Myślał o tym również teraz, leżąc na łóżku.

Wtem usłyszał ciche pukanie do drzwi. Braun usiadł na łóżku i powiedział:

— Proszę wejść.

We framudze drzwi ukazała się rosla, wysportowana sylwetka Robsona. Był dziś wesoły i zdawał się być życzliwie usposobiony do całego świata.

— Nudno, co, przyjacielu? — zawołał poufale. — Gdzie się pan ukrywa? Czy wciąż jeszcze trapi pana tamta historia? Nie trzeba o tym rozmyślać, wszyscy dawno już o tym zapomnieli. Jak się pan czuje?

— Dziękuję, doskonale.

— No, to w porządku — Robson stawał się coraz rozmowniejszy. — Do diabła z tymi wszystkimi lękami. Nerwy, bracie, trzeba trzymać zawsze na wodzy. A szef wtedy po prostu zapomniał o tej zasadzie i wyszedł z siebie. Dlaczego nie zagląda pan do nas?

— Mister Wega nie życzy sobie, abym mu się pokazywał na oczy. Zresztą i ja mam powody, by go unikać.

— Patrzcie go, jaki subtelny. Co było — to było. Najważniejsze w tej chwili, to wykarać się z tej nieszczęsnej pułapki i wrócić na kochaną Ziemię. Nigdy nie była mi tak bliska — rzecz można, ukochana mateczka. Ech, bracie, rozumiem cię doskonale, bo i mnie tu czasem... — i Robson stuknął się w czoło — coś mówi, ale trzeba milczeć, bo w końcu i ja jestem za coś tam odpowiedzialny, tak zresztą, jak i ty, czyż nie mam racji?

Braun nie odpowiadał. Głosem, w którym lekko pobrzmiwał szantaż, pilot ciągnął dalej:

— Pan sam również brał udział w kilku naszych akcjach. Ułatwił nam pan na przykład ostateczne rozprawienie się z tamtym szoferem, pamięta pan? No cóż, pana prawo również nie pogłaszczę, mój chłopcze. A więc i pan, i ja musimy myśleć także o własnej skórze.

— Nie dbam o siebie — odparł oschle Braun.

— A ja myślę wciąż o tym, by wyjść z tego cało. Dlatego nie chciałbym, aby przytrafiło się coś złego Skribinowi i jego córce. Ani jeden włos nie może spaść z ich głowy. I nie spadnie. Wszyscy zresztą dbamy o to. Papieroska?

Robson podsunął mu małe, połyskliwe pudełko z papierosami.

— Nie, dziękuję — odmówił Braun i spojrzął na zegarek. — Niestety, muszę już iść.

— Dokąd?

— Zanieść inżynierowi śniadanie.

— A to wspaniale, bo sam również napiłbym się czegoś słodkiego... ale nie wina.

— Może w takim razie soku owocowego? Ania pija go zawsze o tej porze.

— Ma pan tutaj?

— Nie, ale jest go pod dostatkim w kuchni Miończyków. Przynieść panu?

— Nie, dziękuję, pójdę z panem i tam wypiję. Pozwoli pan?

— Proszę bardzo — odpowiedział Braun.

Weszli w dwójkę do jasnej kuchni. Braun krzątał się po niej, jakby był u siebie w domu. Wyciągnął z szafki kilka butelek, na których widniały pstre nalepki, nalał w ogromne szklance po brzegi bursztynowego płynu, mówiąc, że to dla inżyniera i Ani, a potem nalał Robsonowi i sobie. Stuknęli się szklankami, patrząc sobie w oczy. Robson począł pić wolno małymi łyżkami, wyraźnie delektując się smakiem napoju. Braun zjadł swoje śniadanie, a potem podszedł do drugiej szafy i zabrał się do przygotowywania śniadania dla Skribina i Ani. Odwrócony plecami do Robsona, rozwodził się nad zaletami kuchni miońskiej. Robson sięgnął szybko do kieszeni spodni, wydobyl maleńki pakiecik i równie błyskawicznie wsypał jego zawartość do jednej, potem do drugiej szklanki. Wtem Braun odwrócił się, Robson zdążył opuścić rękę, ale miał w niej jeszcze nerwowo białą bibułkę opakowania. Braun przyjrzał mu

się podejrzliwie, a potem wzrok jego powędrował ku szklankom. Na ich powierzchni białe jeszcze ślady proszku, wolno opadającego na dno. Robson mimo woli zaczerwienił się, ale Braun nic nie mówiąc, postawił szklanki na ozdobnej tacy ze śniadaniem i wyszedł. Robson dręczył się niepewnością: „Zauważył czy nie zauważył?” Zagryzając wargi besztął się w myśli.

— Cóż za fajtłapa ze mnie. Trzeba było to zręczniejsz zrobić.

Spokój Brauna pozwalał mu łudzić się, że jednak wszystko poszło dobrze. Ale nie zawadzi zachować nawet przesadnej ostrożności. Wyszedł z kuchni akurat w momencie, gdy Braun znikł już w drzwiach kabiny Skribina. Korytarz był pusty. Robson pobiegł po puszystym dywanie, zatrzymując się dopiero przed kabiną inżyniera. Przytknął ucho do drzwi. Wyraźnie usłyszał podniesiony głos Brauna:

— Proszę tego nie dotykać, Aniu. Zabraniam pani pić! W żadnym wypadku. Proszę spojrzeć na tę białą plamkę...

— Co to znaczy? — w głosie dziewczyny słychać było niedowierzanie.

Świat zawirował w oczach Robsona, lecz starał się opanować, co przyszło mu dość łatwo, bo jako pilot nieraz bywał w sytuacjach, które wymagały błyskawicznej orientacji i decyzji. Kilka razy zastukał mocno w drzwi, potem uchylając je lekko, zawołał:

— Braun! Jest pan tu? Szybko! Jakiś radiotelegram do pana z Ziemi.

— Jaki radiotelegram? — zapytał podejrzliwie Braun.

— Nie wiem. Niech pan się pośpieszy! Mister Wega wysłał mnie po pana. Czeka u siebie.

I Robson dość bezceremonialnie pociągnął Brauna za sobą. Braun po chwili namysłu doszedł do wniosku, że niezręcznie byłoby się rozprawiać z Robsonem w obecności Ani, więc zdecydował się ruszyć za nim. Ale w korytarzu nagle przystanął i ze złością spytał:

— Czego chcecie ode mnie?

— Szybko, szybko! Czekają na pana — powtarzał Robson. I z całych sił pociągnął Brauna za sobą, potem otworzył jakieś drzwi i wepchnął go do środka. Byli tam już Wega i Jerry, z niecierpliwością oczekujący powrotu Robsona.

— Co się stało? — zawołał Wega, nienawistnym wzrokiem mierząc Brauna.

Robson wskazując palcem Brauna i ledwie hamując wściekłość, wykrztusił:

— Niech on sam wam opowie. Niech opowie, o jakim proszku opowiadał Ani.

— Co? Znów? — wykrzyknął Wega, a zwracając się do pilota wycodził przez zęby: — Robson, jest pan skończonym idiotą. A ty, nędzniku, masz, popamiętasz Węgę, masz!

I wymierzył Braunowi cios w szczękę. Braun stracił równowagę, zachwiał się na nogach, a potem rozłożywszy szeroko ręce, poleciał do tyłu. Uderzył głową o brzeg łóżka i stracił przytomność.

Jerry nachylił się nad nim.

— Trochę krwawi, wygląda na to, że rozwalił mu pan szczękę — powiedział z obrzydzeniem.

— Co za kreatura! — mruczał Wega, wciąż jeszcze roztrzęsiony. — Robson, czy to znaczy, że został pan na swej robocie przyłapany?

— Widocznie, mister! Słyszałem na własne uszy, jak przestrzegał dziewczynę przed pićm soku owocowego.

— Jest pan skończonym osłem, wybaczy pan to porównanie — powiedział Wega. — I co teraz pomyśli sobie o nas Skribin? Jak udało się panu wyciągnąć stamtąd Brauna?

— Powiedziałem mu, że czeka na niego radiotelegram z Ziemi.

— Jeszcze większy idiota z pana niż sądziłem. Po kie licha wymyślił pan ten telegram? Do kogo i od kogo? Kto wie, że Braun jest właśnie tutaj, na gwiazdolicie Miończyków?

— Rzeczywiście, palnąłem głupstwo — przyznał złamany Robson. — Nie przyszło mi nic innego do głowy w pierwszej chwili, a trzeba było przecież natychmiast wyciągnąć tego

gadule od Skribina, aby nie zdążył wypaplać do końca wszystkiego, czego się domyślał.

— Jaki los pokarał mnie takimi współpracownikami! Niczego nie zdiagnozowałam z takimi półgłówkami i tępakami! — pieniał się wściekły Wega. — Inżynier podejrzewa coś?

— Chyba nie, mister.

— No tak, lecz jeśli Braun nie wróci — wtrącił nagle Jerry — to domyśli się wszystkiego i poprosi Miończyków o dokonanie ekspertyzy proszku. I co wtedy zrobimy, mister Wega?

— Musimy zawlec tego typu do „Kosmosu” i natychmiast startować. Za wszelką cenę. James sprawdził już silniki — wszystko w porządku... martwi mnie jedynie mały zapas paliwa, choć przy umiejętnej eksploatacji powinno nam go wystarczyć... Ale przedtem trzeba coś postanowić z tym Skribinem i dziewczyną. Na razie zajmijcie się przetransportowaniem Brauna na „Kosmos”.

Jerry narzucił koc na leżące u jego stóp nieruchome ciało. Wega uchylił drzwi i ostrożnie wyjrzał na korytarz, a Robson przerzucił sobie Brauna przez ramię jak wielki tłumok. Korytarz był pusty.

— Jerry, ruszaj! — rozkazał Wega. — Jeśli spotka pan na drodze jakiegoś Miończyka, poprosi go pan o wodę, ewentualnie wymyśli pan coś innego, co tylko panu przyjdzie do głowy, chodzi tylko o to, by się go natychmiast pozbyć.

— Tak jest, mister...

I pilot posłusznie powlókł swój ciężar do „Kosmosu”.

Stary niepokoi się

— Proszę! — powiedział Stary, unosząc głowę znad gazety. — Niech wejdzie!

Uczynił nieznaczny ruch ręką. Był zmęczony. Zmarszczki zdawały się głębiej niż kiedykolwiek znaczyć suchą, pergaminową skórę jego twarzy, oczy płonęły niezdrowym blaskiem, a blade usta były surowo zaciśnięte. Kamerdyner skłonił się nisko tylekroć wyćwiczonym ruchem.

Po chwili w progu gabinetu stanął radiotelegrafista.

Był to rosły mężczyzna, o nieco pochylonej do przodu sylwetce i rumianych policzkach, poznaczonych gęstą siatką drobniutkich czerwonych żyłek. Zdawał się być wyraźnie speszony tym, iż nie słyszy odgłosów własnych butów, tłumionych przez puszysty dywan. Po raz pierwszy miał stanąć oko w oko przed Starym. Dotychczas ani razu nie miał okazji ujrzeć go choćby z daleka, zresztą nigdy nie marzył o poznaniu go, dopiero dziś, pięć minut temu, gdy podniósł słuchawkę donośnie dzwoniącego telefonu, usłyszał głos sekretarki Starego, która polecała natychmiast zjawić się przed jego obliczem.

Teraz, przystając w pewnej odległości od biurka, przypatrywał się tej niczym nie wyróżniającej się, raczej niepozornej postaci — dysponującej niemal nieograniczoną władzą. W jaki sposób udało mu się wdrapać na sam szczyt kariery potentata gospodarczego i politycznego? Do diabła! Jak śmie zaprzętać sobie głowę właśnie w tym miejscu takimi myślami! Zresztą, to nie jego sprawa! Zmieszał się pod badawczym wzrokiem człowieka, który zdawał się czytać w jego myślach. Stokroć wolałby być teraz w swej kabinie, sam na sam ze swoimi słuchawkami, aparatami, płataniną kabli i łowić w eterze fale, które łączyły go z całym kosmosem.

— Proszę podejść bliżej! — odezwał się bezbarwnym głosem Stary, nie spuszczać zeń wzroku.

Radiotelegrafista, nieco wystraszony, postąpił kilka kroków do przodu.

— Chciałbym usłyszeć bezpośrednio z pańskich ust, jak to wszystko się stało! — zaczął Stary. Ciężkie zasłony na oknach zdawały się pochłaniać jego równy, monotony głos.

W ostatnich dniach co pięć minut komunikowano się z nim telefonicznie z polecenia Starego. W słuchawce odzywały się zdenerwowane głosy sekretarek i dyrektorów. Wszyscy żądali od niego tego samego, aby powtórzył, nie wiadomo po raz który z rzędu, jakie sygnały, słowa i w ogóle dźwięki przekazano po raz ostatni z raketoplanu, którym Wega leciał na Księżyc. A on cierpliwie i uprzejmie powtarzał. Czy „Kosmos” przekazał jakieś inne wiadomości? Nie, żadnych dodatkowych wiadomości nie przekazano. Nieoczekiwanie łączność się przerwała i potem już w słuchawkach zapanowała całkowita cisza!

— Niech pan opowie to jeszcze raz ze wszystkimi szczegółami — poprosił Stary. — Chcę usłyszeć to bezpośrednio od pana!

Radiotelegrafista poczuł się mile połączony tym zainteresowaniem okazanym jego osobie. Do tej pory był tylko niepozornym, anonimowym trybikiem w skomplikowanej maszynie, podporządkowanej Staremu, a teraz poczuł się wreszcie doceniany i zauważony!

Dokładny opis ostatniej rozmowy z raketoplanem zakończył słowami:

— A w ostatnich sekundach usłyszałem nasilające się szumy, i potem jakby łoskot gromów. Po raz pierwszy odbierałem w słuchawkach takie dziwaczne sygnały.

— Proszę przypomnieć sobie dokładnie ostatnie słowa „Kosmosu”!

— O, key, sir! „Prześladuje nas niezidentyfikowany obiekt. Silniki pracują pełną mocą, spróbujemy się wymknąć”. Ja zapytałem wówczas: „Co to za obiekt? Rakiet czy raketoplan?” Wtedy usłyszałem głos Jerry'ego Gordona: „Nie możemy rozpoznać. Być może jest to radzie...” I wtedy połączenie przerwało się.

— A co potem?

— Nastąpił niesamowity trzask, a potem szum połączony z jakimiś łomotami i świstem. Na próżno usiłowałem przekrzyczeć ten piekielny hałas. Po chwili wszystko ucichło. Ale „Kosmos” milczał. Przez dwie doby usiłowałem połączyć się z nim. Niestety, wszystko na próżno, sir...

Stary wstał od biurka. Złym wzrokiem mierzył stojącego przed nim chłopca, jakby to on ponosił za wszystko winę. Z zaciśniętych ust wydobyło się jedynie:

— Znaczy się „radzie...” Hm: Radziecka rakiet, tak? To usłyszał pan na własne uszy?

— Tak, sir!

Stary podszedł do okna, rozsunął zylastą ręką zasłony i utkwiał wzrok w zagląających do okna i lśniących w słońcu swymi lustrzanymi taflami drapaczach chmur. A potem nagle odwrócił się i zapytał.

— Czy coś jeszcze?

— To wszystko, sir!

— Dobrze, może pan odejść!

Chłopiec ruszył do drzwi, nieco zgarbiony, jakby czymś przytłoczony. Stary nacisnął biały guziczek i już otwierał usta, by coś zarządzić, gdy wtem w pokoju rozległ się kobiecy głos:

— Sir, właśnie przed chwilą wylądował raketoplan, wracający z Księżyca. Zgodnie z pańskim życzeniem przywieziono filmowe zdjęcia owego niezidentyfikowanego obiektu latającego.

— Dobrze! — powiedział Stary. — Zwołać natychmiast naradę wszystkich ekspertów! W tej chwili!

Nim zdążył wypalić cygaro, do gabinetu weszło trzech starannie ogolonych mężczyzn. Ubrani byli niezwykle elegancko, w ciemne garnitury i białe koszule. Stary podał im rękę, zamienił kilka zdawkowych uprzejmości, ale jego spojrzenie cały czas niecierpliwie wędrowało ku ścianie, przy której stało biurko. Pojawiły się na niej wreszcie dwa okrągłe otwory, a na

przeciwległej ścianie w tym samym momencie zabielał duży ekran. Czyjś głos oznajmił:

— Gotowe, sir!

— Wspaniale, zaczynajcie! Proszę zająć miejsca, panowie.

Trysnął snop światła. Na ekranie ukazał się lśniący, podłużny obiekt posiadający parę niewielkich skrzydeł przy ogonie.

— Nasz „Kosmos”, sir — objaśniał uprzejmie jeden z mężczyzn.

Rakietoplan poruszał się na tle gwiazd niczym jakaś mechaniczna zabawka. Ogromna seledynowa kula ziemską, spowita w błękitną aureolę, jaśniała na czarnym niebie.

— Hm! „Kosmos” ledwie się wlecze, zupełnie jakby stał w miejscu! — zauważył Stary.

Jeden z trójki ekspertów nachylił się nieco ku Staremu i łagodnie zauważył:

— Proszę nie zapominać, że zdjęcie dokonano z Księżyca. I to przy zastosowaniu specjalnego przyrządu.

Wtem pojawiła się jakaś fosforyzująca kreseczka. Skąd się wzięła? Po prostu wyskoczyła z przestrzeni. Rośnie w oczach i oto już przyobleka się w kształt ogromnej rakiety zakończonej i ostrym jak igła czubkiem, ale pozbawiona zupełnie skrzydeł. Znienacka okrążyła „Kosmos”, a potem leciała kilka sekund równoległe z nim. I wtedy wszyscy wyraźnie zauważyli wysuwające się z wnętrza rakiety cienkie niczym struny macki, które oplotły „Kosmos”. Z zachłannością i sprytem drapieżnika upolowawszy swą ofiarę, jakby był nią słabutki motyl, zagadkowa rakietka znikła w tej samej chwili gdzieś w przestrzeni, pośród gwiazd.

— Niewiarygodne! Hm! Co to wszystko znaczy? — pytał sam siebie Stary.

— Leci w kierunku gwiazdozbioru Syriusza — wyjaśnił jeden z ekspertów.

Stary nie mógł ukryć zdenerwowania. W pokoju nie było zbyt ciemno i ostre rysy jego twarzy zaznaczały się wyraźnie w blasku światła, wachlarzowato lejącego się bez przerwy z okrągłych otworów. Od czasu do czasu po twarzy tej przelatywał jakiś zły, niepokojący cień.

— To rakietka komunistów! — powiedział przez zęby Stary.

— Być może, sir — zgodził się siedzący mężczyzna.

— Z całą pewnością. Ośmielili się porwać nasz rakietoplan! To na pewno oni!

Stary od dłuższego już czasu tam i z powrotem przemierzał gabinet. W końcu zatrzymał się przed najwyższym z mężczyzn i rzucił mu prosto w twarz oskarżenie:

— To pan, mister Finley...!

Wysoki mężczyzna skłonił się, podnosząc się z fotela.

— Pan ponosi odpowiedzialność za tę wpadkę! Dlaczego nie zniszczono rakiety?

— Której rakiety, sir?

— Jak to której? — Stary zachnął się zdumiony, potem lekceważąco machnął ręką i dodał:

— Obojętne której! Jednej z dwóch! Ich lub naszej.

Zapaliło się światło. Mister Finley stał z wzrokiem winowajcy, za nim dwaj jego towarzysze również woleli nie odzywać się ani słowem.

— Nie było rozkazu — powiedział w końcu Finley.

— Trzeba było samemu coś przedsięwziąć. „Kosmos” nie może wpaść w ręce komunistów. I co teraz będzie? Czy pan zdaje sobie sprawę z konsekwencji tego niedopatrzania?

— Nie, sir. Nie byłem szczegółowo poinformowany o tej sprawie.

— Widzę, bo inaczej nie postępowałby pan tak nieudolnie! Rakiety muszą zostać zniszczone!

— A nasi ludzie, sir?

— Wielka rzecz! — lekceważącym ruchem ręki odpędził Stary to zastrzeżenie. — To garstka, warto w końcu poświęcić garstkę ludzi dla uratowania nas wszystkich. W każdym razie na pewno unikniemy jednego niebezpieczeństwa — wywołania skandalu w skali międzynarodowej.

Trzech wysokich, poważnych mężczyzn słuchało słów Starego w zupełnym milczeniu.

Stary nadal przemierzał gabinet, od czasu do czasu podchodził do okna, wyglądał przez nie, a potem znów wracał do swych gości.

— A więc — zaczął po chwili — rozkazałem moim ludziom, którzy wtajemniczeni są w szczegóły sprawy Skribina, aby wszystkiemu zaprzeczali! Z całą pewnością uda im się udowodnić komunistom niesłuszność wszelkich podejrzeń! A zatem — nie mamy nic wspólnego z tym paskudnym porwaniem jakiegoś inżyniera... Rosjanina czy też Bułgara, to zresztą nieistotne — choćby nawet Wega plótł przed komunistami, co mu na myśl przyjdzie! Tak, najlepiej będzie wydać mu opinię niepoczytalnego człowieka, oskarżywszy go o to, że jest ich agentem i że cała ta historia jest sprytnie przygotowaną i obmyślaną prowokacją. Jasne?

— Tak jest, sir — odpowiedziała cała trójka zgodnym chórem.

— Jeśli okaże się to konieczne, opublikujemy oficjalne dementi. Cel jest tak dla nas ważny, że wszystkie środki są dozwolone, nieprawdaż? Wystarczy, jeśli wmówimy całemu światu, że nie mamy nic wspólnego z tą podejrzaną aferą. Czy są jakieś wiadomości?

— Jakie wiadomości, sir?

— Czy komuniści piszą o Skribinie i jego córce?

— Nie, sir!

— Wspaniale! Ale nie zawadzi być w pogotowiu. Jesteście wolni, panowie!

Gdy mężczyźni opuścili gabinet, Stary usiadł za biurkiem i zaczął szybko naciskać rozmaite guziczki na jego blacie. Odezwały się głosy sekretarzy i sekretarek. Czy są jakieś nowe szczegóły, dotyczące zaginięcia „Kosmosu”? Nie, żadnych. Eter wciąż milczał. A komuniści? jak oni komentują tę historię?

Ze zdumieniem przyjął Stary wiadomość, że komuniści wciąż jeszcze piszą o tragicznej śmierci Skribina i jego córki, wyrażając ubolewanie z powodu straty, jaką poniosła nauka. Stary nic z tego nie rozumiał. Pótleżąc w fotelu, z przymkniętymi oczami rozmyślał o tym. Po godzinie znów pytał o wiadomości. Ale dziwne, i tym razem żadnego odzewu w ich prasie... Cóż by to mogło znaczyć? Czyżby komuniści stroili sobie z nich żarty? Dlaczego nie ogłaszają przed całym światem, że Skribin odnalazł się w pewnym raketoplanie, którym został porwany i który miał zawieźć go na Księżyc? A może jeszcze nie zakończyli szczegółowego śledztwa i lada chwila należy spodziewać się ich ostatecznego ciosu?

Ta niepewność najbardziej męczyła Starego. Po raz pierwszy w życiu lękał się najbliższych godzin. Nie mógł przedsięwziąć żadnych specjalnych kroków obronnych, nie był zresztą pewien, czy uda mu się tym razem uniknąć nieprzyjemnego huczku i rozgłosu.

Jeszcze jeden dzień i jedną noc przyszło mu spędzić w tym nerwowym, oczekiwaniu. Po bezsennie spędzonej nocy czuł się już na granicy wytrzymałości nerwowej.

Wczesnym rankiem zdecydował się zadzwonić do Prezydenta. Chciał osobiście poinformować go o wszystkim, a jednocześnie poradzić rządowi Zjednoczonych Państw Zachodniej Półkuli, by nie przyznawał się w żadnym wypadku do winy, gdy Związek Socjalistycznych Republik wyrazi protest przeciwko podobnemu bezprawiu, ponieważ w istocie nie ma winnego w całej tej aferze. W odpowiedzi należy podtrzymywać wersję, iż cała ta historia została wymyślona i wykonana na własną rękę przez nieodpowiedzialne czynniki. Już dzwonił do sekretarki, by zlecić jej połączenie się z Prezydentem, gdy na ekranie jednego z telewideofonów zaczęły mrugać migotliwie błękitne światełka.

Polecił zatem sekretarce, by zadzwoniła za chwilę i włączył aparat. Znikły światełka, a zamiast nich ukazała się na ekranie wystraszona twarz mister Finleya.

— Sir! Rakieta! — wołał z ekranu.

Stary drgnął.

— Czyja rakieta? „Kosmos”? Dzięki Bogu!

— Niestety, sir! Tamta... która uprowadziła naszą, pojawiła się nagle z tego samego kierunku, w którym wtedy zniknęła. Przed dwudziestoma sekundami w odległości pięciu tysięcy mil minęła Księżyc i teraz kieruje się ku Ziemi. Co mamy robić?

— Co... czy ja wiem? — Stary zamyślił się. Może za kilka sekund ta przeklęta rakietka znów gdzieś zniknie, ale jeśli wyląduje na Ziemi? Lecz gdzie? Kto wie, jakie zamiary mają ci tajemniczy kosmonauci?

— Niech pan posłucha, Finley. Po pierwsze, sprawdźcie, kim są ci w rakiecie! Tak, to przede wszystkim! A po drugie, trzymać ją cały czas na celownikach naszych samosterujących raket! Trzeba zmusić ją do wylądowania na naszym terytorium. Słyszycie? Otoczyć gęstą osłoną raketową i mieć w pogotowiu niszczycielskie promienie! Stwórzcie pierścien nie do przebicia! W żaden sposób nie może się wam wymknąć!

— Tak jest, sir! Lecz jeśli nie zechcą się poddać?

Stary nie odpowiedział od razu. Upływały tymczasem cenne, decydujące sekundy. Trzeba natychmiast podjąć decyzję, bo za minutę może być za późno, a ludzie oczekują na wydanie rozkazu...

— Jeśli nie poddadzą się — zniszczyć! — padła w końcu stanowcza decyzja. — Wyłączam się!

I wyłączył aparat.

Znów zagłębił się w fotelu i zaciągnął mocno dymem cygara. Przeklęty czas! Płynie tak wolno! Zawsze tak bywa, gdy człowiek na coś oczekuje... Zdawało mu się, że upłynęła już cała godzina, a w rzeczywistości minęło dopiero pięć — sześć minut. Wtem ponownie odezwał się telewizor. Z ekranu znów patrzył na Starego Finley. Napięcie z jego twarzy wyraźnie zniknęło — znów malował się na niej wyraz lekkiej pogardy a zarazem chłodu i ufności w siebie.

— Rozkaz wykonano, sir! — zameldował krótko.

— Spłonęła?

— Tak jest, sir! Nie chciała się poddać! Mimo naszych sygnałów, którymi całkiem wyraźnie ostrzegaliśmy ją, zgodnie z prawem międzynarodowym! Nawet nie raczyła odpowiedzieć! Taktyka właściwa piratom kosmosu!

— W porządku — odpowiedział Stary, znów opadając na fotel. Dopiero teraz czuł, jak bardzo jest zmęczony.. Rozkazał, by nie ośmielano się niepokoić go żadnymi sprawami... chyba że byłyby jakieś wiadomości, specjalne wiadomości (powtórzył to dwa razy sekretarce) nadawane z radzieckich radiostacji, a komentujące wypadki w kosmosie. Cały niemal zatonął w ogromnym fotelu, przymknął znów oczy i czekał. Do diabła! Dlaczego właściwie oni milczą? Czyżby radiostacje Zjednoczonych Republik Socjalistycznych nie zostały powiadomione o katastrofie w kosmosie? Nie, to niemożliwe! Nie mają zwyczaju milczeć, gdy ktoś ośmieli się ich obrazić. Dlaczego więc dzisiaj...?

Stary przez dłuższą chwilę walczył z ogarniającą go sennością, ale powieki stawały się coraz cięższe i już, już zapadał w drzemkę, gdy zerwał go na nogi przenikliwy, jakby trwożliwy sygnał telewizora. Przetarł oczy, potrząsnął kilkakrotnie głową, a potem nacisnął guziczek, mówiąc:

— Słucham.

Na ekranie znów ukazał się mister Finley.

— Sir! — powiedział. — Komunikat nadany przez radiostacje komunistyczne!

Stary oparł się rękami o biurko, jakby spręzał się do skoku.

— Co mówią?!

— Proszę posłuchać: „Eksplozja w kosmosie. Dziś dokładnie o godzinie siedemnastej minut osiem i trzy sekundy niezidentyfikowana rakietka, z pewnością amerykańskiego pochodzenia, nieoczekiwanie w drodze z Księżycza na Ziemię eksplodowała. Źródła amerykańskie nie podają żadnych informacji na ten temat.”

Mister Finley uniósł głowę znad biuletynu, trzymanego w ręce i zakończył słowami:

— To już wszystko, sir!

— Do diabła! Nic z tego nie rozumiem! — zaklął Stary.

— I ja niczego nie rozumiem — odpowiedział jakby usprawiedliwiając się Finley.

Jeńcy Wegi

— Idę do swego pokoju — oznajmiła Ania. — Muszę uporządkować i zapisać w pamiętniku wszystkie moje dotychczasowe wrażenia i przeżycia.

— Dobrze, moje dziecko. A ja zaczekam jeszcze na Brauna.

— Nie zapomnij zawołać mnie, gdy przyjdzie! I w żadnym wypadku nie pij tego soku!

— Nie obawiaj się, Aniu.

Skribin został sam. Rzucił okiem na zegarek. Tak wolno upływał dziś czas. Wokół panowała niczym nie zmacona, nastrojająca do snu cisza. Braun nie zjawiał się. Skribin uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz. Korytarz był pusty. Nie mógł przestać myśleć o Braunie. Chłopic przyszedł do ich pokoju wyraźnie wzburzony, ostrzegał przed piciem stojącego na tacy soku owocowego, wspominał przy tym o jakimś białym proszku. I potem nagle zjawił się ich pilot i wywołał go z pokoju...

Skribin nerwowym krokiem przemierzał gabinet. Należało zatrzymać Brauna. Trzeba mieć się na baczności przed ludźmi Wegi. Wszystkiego można się po nich spodziewać.

Znów zerknął na zegarek. Zdecydował się czekać jeszcze najwyżej pięć minut, a jeśli Braun nie zjawi się do tego czasu, ruszy na jego poszukiwanie. Wtem nad drzwiami zapłonęło niebieskie światelko.

— Czy to pan, Braun? — zawołał uradowany Skribin. — Proszę wejść!

Ale w drzwiach stanął nie Braun lecz Taomej. Był czymś wyraźnie przygnębiony, a oczy jego były pełne smutku i żalu. Wyglądał tak, jakby przytrafiło mu się większe nieszczęście.

— To sprawka waszych ludzi! — pełnym gniewu głosem przemówił wreszcie. Oddychał przy tym głośno i szybko.

— Czyja? — zapytał Skribin. — Wegi? Co znów wymyślił?

Za późno... Można było wszystkiemu zapobiec, gdyby wysłuchał do końca Brauna... Skribin poczuł, że rodzi się w nim jakieś niejasne przeczucie. Miończyk stał z przymkniętymi oczyma, a jego błoniaste powieki przesłoniły wreszcie źrenice, które przed chwilą zdawały się wdzierać w głąb duszy Skribina.

— Wasi ludzie, ci, którym udało się ujarzmić siły przyrody, jak pan niegdyś powiedział — zniszczyli naszą raketę — powiedział oskarżycielskim tonem Taomej.

— Co takiego? Tę raketę, która wystartowała stąd pół godziny temu?

— Właśnie tę. Zamordowali mego przyjaciela Zejbę i najzdolniejszego geologa Tojziego. Zamordowali. Rozumie pan?

— Lecz kto to zrobił? I dlaczego? — pytał zmieszany Skribin.

— Nie żyją! — westchnął Miończyk. — Nie żyją...

Skribin nie śmiał podnieść wzroku, jakby sam poczuwał się do winy. Czekał, aż przemówi Miończyk, aż wyjaśni rzecz do końca i — cierpiał...

— Proszę pójść ze mną! — powiedział Taomej.

Weszli do jakiejś sali, w której zgromadziła się cała załoga „Zwiastuna”. Czterech Miończyków (Asur poszedł bowiem przed chwilą do Ani) w milczeniu, z wyraźnym wyrzutem w oczach spoglądało na Skribina, jakby i on był jednym z winowajców. Brakowało tylko Zejby i Tojziego. W sali panowała złowrózba, martwa cisza.

Taomej nacisnął guzik małego magnetofonu, stojącego na stoliku i powiedział:

— To dokument zbrodni.

Dał się słyszeć jakiś głos, który okazał się głosem Zejby. Mówił urywanymi zdaniami, a w głosie jego pobrzmiwało wyraźne zaniepokojenie. Maszyna tłumacząca dokonywała błyskawicznego przekładu i wstrząśnięty Skribin słuchał przedśmiertnego dialogu.

— Księżyc mamy z tyłu, za sobą — informował Zejbo. — Pojawiły się jakieś rakiety — takie same jak ta, którą podróżowali Ziemianie. Dwie rakiety... Nie, trzy! Lecą ze znaczną szybkością. Wysyłają jakieś sygnały! Ale nie rozumiemy ich... Zaraz przekażę im, że lecimy na Ziemię w pokojowych zamiarach, jak do przyjaciół!

Przerwa. Przedłużające się niepokojące milczenie. Słysząc tylko jakieś trwożliwe, ciche popiskiwanie. Potem na powrót cisza.

— Nie odpowiadają! — rozległ się znów zatroskany głos Zejby. — Oni chyba nie rozumieją naszych sygnałów... Rakiety są coraz bliżej! Otoczyły nas ze wszystkich stron! Widzę oślepiający blask, jakby miliona błyskawic! Co się dzieje? Straszliwy żar i...

Silny wybuch przerwał dalsze słowa. Nawet powietrze w gwiazdolocie zdawało się drgać od tej straszliwej eksplozji. A potem już tylko cisza... Taomej zakrył dłońmi oczy i wyszeptał:

— Już po wszystkim. Nasza rakietka została doszczętnie zniszczona przez mieszkańców Ziemi... Waszej Ziemi...

Skribin wstrząśnięty do głębi, ośmielił się zaprotestować:

— Nie! Tego nie dokonali nasi ludzie! Twierdzę to z całą pewnością, ale domyślam się, czyja to sprawka!

Miończycy milczeli, z uwagą przysłuchując się słowom Skribina.

— To sprawca tych samych, którzy nas porwali! Tak, do tej pory milczałem, krępowałem się o tym mówić. — Skribin nagle zamilkł, zbladł, widać było, że toczy z sobą walkę, ale po chwili podjął głuchym głosem: — Nie chciałem o tym mówić, bo wstydziłem się przyznać, że rozumne istoty, zamieszkujące Ziemię, są zdolne i do takiej podłości. Ale teraz nie wolno milczeć: razem z córką jesteśmy więźniami!

— Jak to więźniami? Czyimi? — zapytał Taomej.

— Pewnej szajki. Jej szefem jest właśnie Wega. Za niego najbardziej się rumienię!

— Musicie nam wszystko dokładnie opowiedzieć — poprosił Taomej. — Jak mogło się to stać?

— I to już wszystko. — zakończył Skribin swą opowieść o ich porwaniu przez Węgę i jego planach wykorzystania wiedzy Skribina w dziedzinie astronautyki.

Taomej położył swą ogromną dłoń na ramieniu Skribina. Znów był życzliwym i szczerym przyjacielem.

— Dziękuję panu — powiedział. — Trzeba było powiedzieć nam wszystko już wtedy, gdy się poznaliśmy.

— Nie chciałem, byście źle myśleli o Ziemianach.

Taomej rzekł w odpowiedzi:

— Jest pan szlachetnym człowiekiem!

Potem zwrócił się do stojącego obok Miończyka i zamienił z nim kilka słów. Gdy znów odwrócił się do Skribina, powiedział uroczyście:

— Pan i pańska córka jesteście u nas zupełnie bezpieczni. W żadnym wypadku nie dopuścimy, aby ktokolwiek zadał gwałt waszej woli. Mimo krzywdy, jakiej doznaliśmy od Ziemian, wylądujemy na waszej planecie. Zaraz powiadomimy i Węgę o naszej decyzji.

— Dziękuję ci, drogi przyjacielu Taomeju — powiedział wzruszony Skribin.

Elij, któremu zlecono, by powiadomił o wszystkim Węgę, nie zastał go w jego kabinie. I wtedy podejrzenie przerodziło się w pewność — mieszkańcy Ziemi czynią przygotowania do ucieczki. Elij popędził w stronę hangaru. Robson, który przed chwilą właśnie wciągnął Brauna do „Kosmosu”, razem z Węgą opuszczał się platformą w dół, aby rozprawić się z

kolei ze Skribinem i Anią. Elij złapał Wegę za rękę, lecz Wegę odepchnął go brutalnie. W spojrzeniu Elija nie było nienawiści, ani lęku. Niemym gestem wskazywał korytarz.

— Chce, by poszedł pan z nim! — domyślił się Jerry.

Wega, zmieszany, bąknął pod nosem:

— Czego znowu chcą ode mnie?

— To sprawka Brauna! To on nas zdradził!

— Nie, chyba nie zdążył! — odezwał się Robson.

Wega zawahał się na moment, starając się wyczytać coś z twarzy Miończyka, lecz twarz Elija była dobroduszną, wzbudzającą zaufanie.

— Idę z nim, a wy miejcie na wszelki wypadek broń przy sobie! W razie najmniejszego podejrzenia z ich strony... rozumiemy się, co?

— Tak jest, sir!

Elij nie rozumiał nic z tej rozmowy. Niczego nie podejrzewając, towarzyszył Wedze do sali.

Gdy Wegę stanął w drzwiach i ujrzał pocziwe twarze Miończyków, kontrastujące ze wzburzeniem i zdenerwowaniem Skribina, jego pewność siebie nieco osłabła: „Skończone! Zdemaskowali nas” — pomyślał.

Odruchowo sięgnął do kieszeni spodni. Chłodny metal przywrócił mu do pewnego stopnia panowanie nad sobą. Lecz niepokój okazał się nieuzasadniony — zachowanie Skribina wobec niego wcale się nie zmieniło. Ale widać było, że gnębią go jakieś poważniejsze troski. Wega postanowił grać swoją rolę. Tonem niewiniątka zapytał:

— Czy coś się stało?

— Znów napad! I to z tragicznym finałem! — odparł sucho Skribin.

— Jaki napad?

— Mioński statek z dwoma Miończykami na pokładzie został zniszczony przez ziemskie rakiety.

Spojrzenie Skribina zdawało się przeszywać Wegę na wylot.

— Akurat, rakiety... — odburknął swym zwyczajem Wega. — Z całą pewnością ze zbyt wielką prędkością wkroczyli w masy atmosfery. I rakietę musiała spłonąć, to przecież oczywiste.

Ale Taomej gorąco zaprotestował.

— Nie. To wykluczone. Budujemy nasze statki ze stopu, odpornego na każdą temperaturę. Do tego automaty regulują prędkość odpowiednio do gęstości atmosfery. Nie. Zejbo całkiem wyraźnie przecież powiedział nam: „prześladują nas trzy ziemskie rakiety”.

Wega był szczerze zdumiony. Ale bynajmniej nie zasmucała go ta wieść. Przeciwnie — z pewną satysfakcją przyjął do wiadomości, iż nawet Miończycy miewają czasem jakieś kłopoty. Ale nie zdradzając swych uczuć, rzekł z udawanym współczuciem:

— To bardzo smutna wiadomość. A czyje to były rakiety?

— Wasze — pośpieszył z odpowiedzią Skribin.

Twarcę Węgi przez moment jakby przygasła, a oczy rzucały w kierunku Skribina nieprzyjazne błyski.

— Na czym opiera pan tę pewność? A może właśnie były to wasze rakiety?

— Miałem okazję nieraz być świadkiem waszego bezwzględного postępowania, i to wystarczy, by nie mieć wątpliwości, że i ta karygodna zbrodnia jest waszym dziełem.

Ponieważ Taomej przysłuchiwał się wymianie zdań między Skribinem a Węgą bez okazywania jakiegokolwiek zdumienia, Wega wywnioskował, że i on, i pozostali Miończycy wiedzą już o wszystkim. Z całą pewnością Skribin opowiedział im o porwaniu — czego mógł się zresztą po nim spodziewać.

— Wasza zuchwałość nie zna granic — ciągnął Skribin. — Na szczęście niedługo gwiazdolot wylądował na stepach nad Morzem Kaspijskim, a wtedy, gdy będziemy już na naszej

Ziemi, wszystko się wyjaśni.

Wega po raz pierwszy nie wiedział, co odpowiedzieć, w głowie miał całkowitą pustkę.

— Ależ cel naszej podróży jest całkiem inny — zaprotestował nieśmiało, gdy zdążył nieco ochłonąć. — Po co mielibyśmy lądować nad Morzem Kaspijskim?

— A po co ja miałem lecieć na Księżyc, do waszych przyjaciół?

— Nie wiem. Wypełniałem jedynie rozkaz — odpowiedział zmieszany Wega.

Nie miał zamiaru dyskutować na ten temat. W końcu Ziemianie są ponoć istotami niedoskonałymi, słabymi, łatwo poddającymi się swym namiętnościom. To tylko Miończycy pretendują do miana istot doskonałych. I Wega już bardziej ośmielony, zawołał z oburzeniem:

— Taomeju! Wyraził pan niedawno ubolewanie, że pozwoliliście sobie użyć wobec nas siły.

Taomej zmarszczył czoło, lecz nie odzywał się.

— Czyżbyście mieli zamiar jeszcze raz powtórzyć to bezprawie?

Taomej nadal milczał.

— Będziemy wdzięczni — ciągnął Wega głosem, w którym zaczęła pobrzmiwać lekka groźba — gdy raczycie nie wtrącać się do naszych, ziemskich spraw.

Taomej stał bez ruchu, wyniosły jak posąg. Zamiast niego odezwał się Skribin.

— Przypominam panu, że to wy pierwsi użyliście brutalnej przemocy — i odpowiecie za to przed ziemskim prawem. Dlatego właśnie pojedziecie z nami.

— Nie jestem tego pewien... — mówiąc to Wega nieznacznie cofał się do drzwi.

Wtem Taomej wskazał palcem Skribina i rzekł:

— To szlachetny człowiek, a wy odebraliście mu wolność. Teraz jest naszym gościem i spełnimy jego prośbę.

— Ale my mamy inne zamiary. Protestujemy!... — wykrzyknął zdesperowany Wega.

Miończyk zaczynał się wahać. Oto wystawiono na próbę jego umiłowanie prawdy i sprawiedliwości. Wszczął bezgłośnie rozmowę ze swymi towarzyszami. Matematyk Laoj zarumienił się, widać było, że jest wzburzony. Jedyne słowo, jakie wypowiedział, nie mogło oznaczać niczego innego jak dezaprobatę. Lecz Elij, Mejzo i Lejmej niemal jednocześnie nieznacznie kiwnęli głowami. Wega czekał z niepokojem. Rewolwer zdawał się parzyć mu dłoń. Chyba nie będzie potrzeby uciekać się do tego ostatecznego argumentu.

Taomej z uśmiechem tłumaczył coś Laojowi łagodnym głosem, a potem, zwracając się do Skribina, powiedział po rosyjsku:

— Za godzinę startujemy.

Wega stał chwilę bez ruchu, a potem przykładając dłoń do czoła wypadł z sali.

— Jesteśmy uwięzieni! — wykrztusił Wega.

Robson, James i Jerry Gordon z tępą obojętnością spoglądali na szefa. Każdy miał w kieszeni automatyczny rewolwer, a na stole przed nimi leżały cztery długie tuby wypełnione gazem upajającym. Pozostawało jedynie przetransportować do „Kosmosu” Skribina i Anię, a potem otworzyć luk gwiazdolotu i odlecieć. A tu Wega przynosi im wiadomość, że są w niewoli Miończyków.

— Ten przebiegły Skribin — pinił się wprost ze złości Wega — chce nas wpakować prosto w łapy zwierza.

Cała trójka czuła już uścisk tych łap na swojej szyi. Dusili się, brakowało im powietrza. Nie mogli wydobyć głosu.

— To już koniec — jęknął Jerry, zdobywając się wreszcie na jakąś reakcję.

— Dożywocie czy rozstrzelanie? — zapytał James, chociaż wiedział, że i tak pytanie pozostanie bez odpowiedzi.

Robson wypluł gumę, wierzchem dłoni obtarł usta, a potem z całej siły walnąwszy pięściami w stół powiedział tylko:

— Eeeech...

Wega uśmiechnął się kwaśno.

— Spokój, panowie!

Wróciła mu już dawna pewność siebie. Widać było, że nie tylko zdecydował się ratować, lecz że już ma opracowany cały plan działania. Powiedział krótko:

— Znalazłem wyjście z tej sytuacji.

— No? — drgnęli wszyscy trzej.

— Musimy zawładnąć gwiazdolotem.

— Co? My? W czwórkę? — pytał zaskoczony Jerry.

— Tak. Zadziałamy przez zaskoczenie. Dysponujemy wystarczającą ilością broni, sprytu też nam nie brak. Zaskoczmy Miończyków i unieszkodlimy ich. Zresztą to przecież takie łatwowieczne i naiwne stworzenia. Jeśli zajdzie potrzeba — strzelamy. Odbijamy inżyniera i dziewczynę i przenosimy na „Kosmos”. A potem odlot.

— No, a Miończycy?

— Zrobią, co zechcą. Na Ziemi i tak nikt nie uwierzy im, choćby nie wiem jak rozgłaszali, że zostali napadnięci. Brak dowodów... przy tym gwiazdolot jest najpotężniejszym statkiem, jaki kiedykolwiek widziałem.

Robson roześmiał się hałaśliwie.

— A jeśli uwiecznili nasze twarze na filmie?

Wega zmarszczył czoło. Rzeczywiście, o tym nie pomyślał.

— Hm, wątpię, czy o to zadbali. Nie zauważyłem... W końcu to nasza jedyna szansa. Musimy zaryzykować, panowie. A teraz słuchajcie.

W kilku słowach przedstawił im swój plan.

Sprzeciwu nie było, więc Wega rozkazał:

— Skafandry!

Robson i James pobiegli do „Kosmosu”, a Jerry, na polecenie Wegi poszedł zbadać, co robią Miończycy. Wrócił po chwili z wiadomością, iż cała piątka znajduje się w wielkiej sali, pochylona nad rozłożonymi na stole mapami. Jest wśród nich i Skribin. Wywnioskował, że rozmawiają o czekającej ich podróży.

— Czy widział pan również Anię i Asura?

— Nie, mister.

— Nieważne. Z tą dwójką najłatwiej się uporamamy. Ale widzę, że wracają już James i Robson...

Nieśli w rękach cztery skafandry, z których dwa rzucili towarzyszom, potem każdy sięgnął w kierunku stołu po tubę z gazem upajającym. Następnie wyciągnęli z kieszeni pistolety, sprawdzili je i szybko ruszyli po miękkim dywanie, zaścielającym długi korytarz zakończony u góry lekko zaokrąglonym sufitem. Wielka sala — rodzaj ziemskiej świetlicy czy klubu — wypełniona rzędami półek z książkami, znajdowała się w samym końcu korytarza.

Pod drzwiami zatrzymali się niepewnie. Z wnętrza dolatywał gwar rozmowy. Wega podniósł rękę. Upłynęła sekunda, dwie sekundy... szybkim ruchem rozwarł drzwi na oścież, wpadł do sali, a za nim jego załoga. W lewej ręce każdy z nich trzymał małą tubę. Z wentylów tub z sykiem zaczął ulatywać gaz.

Wszystko to stało się w mgnieniu oka. Zaskoczeni Miończycy ze zdumieniem spoglądali na ludzi ubranych w skafandry. Wtem dostrzegli zwrócone w swym kierunku cztery rewolwery. Zupełnie nie rozumieli, co się stało. Pierwszy Skribin doskoczył do napastników, usiłując przeszkodzić im w ich niecznych zamiarach, lecz gaz działał szybko. Oddech inżyniera stawał się coraz głębszy, a on sam w następnej sekundzie już ledwie potrafił utrzymać równowagę... Oszołomiony gazem padł za chwilę na dywan. Wtedy dopiero Miończycy jakby się zbudzili i przyskoczyli do Wegi i jego ludzi.

— Nie zbliżać się! — krzyknął Wega. Głośniki, które miał wmontowane w skafandrze,

wzmacniały jego głos, który zabrzmiał w tym zamkniętym pomieszczeniu z siłą gromu. — Będę strzelał!

Ponieważ nie znali skutków działania dziwnej błyszczącej broni, która była wycelowana w ich piersi, przezornie cofnęli się do tyłu, ale gaz upajający zaczął już swe działanie. Nogi coraz niepewniej utrzymywały ciało, Miończycy zaczęli gwałtownie szukać wokół jakiegoś oparcia, chcieli przysiąść.

Taomej zdążył jeszcze zawołać:

— Co to wszystko znaczy?

Ale odpowiedzi już nie dosłyszał, ponieważ kolana ugięły się pod nim i padł, straciwszy przytomność, obok Skribina. Po chwili już wszyscy Miończycy leżeli na dywanie, z odchyłonymi do tyłu głowami.

— Sznury! — rozkazał Wega.

James i Jerry zręcznie krępowali ręce i nogi więźniów, a Wega nacisnął guziczek wentylatora.

— Teraz możemy już oczyścić powietrze — powiedział. — Miończycy są unieszkodliwieni.

— Tak — przytaknął James. — Dość łatwo poszło.

— A gdzie Asur? — zaniepokoił się Jerry.

— Tak, jeszcze tylko ten nam pozostał. Ale tu chyba obejdzie się bez gazu. On i ta dziewczyna już nam się nie wymkną. A więc pamiętajcie, chłopcy, potrzebny jest nam Asur przytomny!

Asur

Ania domagała się wciąż nowych opowieści o tajemniczej planecie Mion. Zaprosiła Asura do swojej kabiny, by znów wyciągnąć z niego kilka nowych szczegółów o życiu na Mionie. W pokoju panował przyjemny chłodek, a powietrze pachniało trawą i górskimi kwiatami. Asur nacisnął jakiś guziczek. Ściany zaczęły stawać się mlecznomatowe, by po chwili całkiem zniknąć. Na ich miejscu zaczęły rysować się lasy, wyniosłe górskie szczyty, dochodził nawet szum potoków. A tam, gdzie przed chwilą były drzwi, zdumiona Ania ujrzała groźnie sterczące urwiska. Spomiędzy nich spływał burzliwy wodospad, rozpryskując szeroko spienione wody.

— Co się stało? — zapytała wystraszona Ania.

Asur uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Czy Miończycy nie zapoznali was z działaniem tego urządzenia? — zapytał w języku rosyjskim. Dzięki aparaturze pobudzającej ośrodki pamięci w mózgu, nauczył się już całkiem niezłe tego języka.

— Nie. A co to za urządzenie?

— Z całą pewnością zapomnieli was z nim zapoznać. Podejrzewam, że wiele jeszcze rzeczy zadziwi was na gwiazdolicie. Takie urządzenie znajduje się w każdej kabynie. Naciskasz guzik i ściany nagle znikają, zamiast nich zaczynają cię otaczać lasy, góry, morze, rzeki i łąki. Wszystko wedle życzenia. Chce pani znaleźć się w tej chwili na przykład nad brzegiem morza?

— Pan chyba żartuje?

— Nie, skądże! — oburzył się Asur. — No, proszę spojrzeć!

Znów nacisnął jeden z guzików, ustawiając zarazem jakąś strzałkę. I oto zniknęły góry i

las, urwała się pieśń strumyka. Powiało morskim powietrzem, a przed nimi rozpostarła się morska przestrzeń — spokojna, połyskująca w promieniach słońca. U ich stóp białł piasek, popstrzony jak gwiazdkami — połyskliwymi muszelkami. Burzliwe przybrzeżne fale oblewały go, to znów szybko umykały w głąb morza.

I gdyby Ania nie siedziała w tej chwili na krześle przy stole, gdyby pod jej stopami nie czerwieniał się dywan, nikt nie przekonałby jej o tym, że nie stoi w tej chwili nad brzegiem morza, że nie oddycha morskim powietrzem, i że to nie prawdziwe fale pluszczą u jej stóp. Złudzenie było całkowite. Na wszelki wypadek uszczypnęła Asura w rękę, a gdy ten zareagował zdziwionym wzrokiem, dziewczyna powiedziała.

— Przepraszam pana, Asurze. Chciałam się tylko przekonać, czy nie śnię.

— Ja dawniej też podchodziłem do tych wynalazków z wielką nieufnością — powiedział, uśmiechając się na wspomnienie tamtych czasów Asur. — Najpierw byłem przekonany, że już umarłem i że to tylko moja dusza dostała się do raju. A potem znów wciąż pytałem siebie, czy nie śnię...

Ania przymknęła oczy. Chciała jeszcze raz ulec złudzeniu, że stoi nad brzegiem ojczystego morza. Wsłuchiwała się uważnie w przyjemny, melodyjny śpiew fal. Tak samo szumiały fale, na które patrzyła wyciągnięta na plaży Słonecznego Brzegu czy Złotych Piasków. Po chwili odezwała się:

— Asurze, na Ziemi są równie wspaniałe rzeczy. A czy tam, na Mionie, ale proszę mi szczerze odpowiedzieć, był pan zawsze szczęśliwy?

Asur spochmurniał. Jego wydatne usta jakby lekko się skrzywiły, oczy straciły nagle swój blask, zamiast niego pojawił się w nich smutek. Czy był szczęśliwy? Chyba tak, ale tylko wtedy, gdy nie tęsknił za Ziemią... Jeszcze długo prześladowały go wspomnienia młodości, którą spędził jako niewolnik, lecz powoli życie na Mionie i cuda, jakie tam ujrzał, spowodowały, że zatarł się w jego pamięci koszmar tamtych lat. O wszystkim, czego doznał na Ziemi, zaczął po jakimś czasie zapominać, był to już tylko zły sen. Lecz spotkanie z Ziemią — jego braćmi, znów wzmogło tęsknotę za Ziemią. Coraz więcej rozmyślał o niej, śnił po nocach. Majaki senne przenosiły go na powrót w dalekie dzieciństwo. Śnił piaskowe pustynie, wielbłądy o długich szyjach i garbatych grzbietach, na których kiwali się smagli jeźdźcy. Śnił krokodyle i drapieżne lwy. Doganiały go i próbowały szarpać jego wycieńczone ciało...

A on uciekał. W oddali zieleńiała się oaza. Już słyszy szum chłodnej wody źródlanej. Czuje przemożne pragnienie. Gdyby mógł zaczerpnąć choć łyk tej wody. Nie ma niczego lepszego pod słońcem od tej lodowatej wody, która orzeźwia zaschnięte gardło, przywraca siły, daje rozkosz i życie. Byle tylko dotarł do oazy! Rosną tam wyniosłe palmy, złocą się pomarańczowe gaje, zielenią oliwki i ciężkimi gronami zwisają daktyle, a w dole rozpościera się puszysty kobierzec soczystej, gęstej trawy. Lecz co to tak syczy? Asur odwraca się. To wąż od dłuższego już czasu pełźnie jego śladem. Asur zrywa się do jeszcze szybszego biegu. Ale wąż dotyka już jego pięt... O bogowie! Byle tylko dopaść potoku. Rzuci się weń, bo potrafi nurkować jak ryba, a wąż na pewno nie ośmieli się, nie... nie... Asur skacze przez pustynię wielkimi susami, ale wąż za nim wciąż dotrzymuje mu kroku. Asur co chwila pada ze zmęczenia i z przerażeniem spostrzega, że jest to wciąż to samo miejsce. Zdjął go strach. Wąż? Odwraca się. Nie ma żadnego węża. To tylko jakiś wysuszony patyk czerni się na piasku...

Nagle w pokoju rozległy się przyjemne tony muzyki, a wraz z nią uleciało z pamięci Asura wspomnienie tamtego snu.

Dźwięki dobywały się z aparatu, przypominającego ziemski magnetofon. Ania nacisnęła jakiś okrągły przycisk i pokój o przezroczystych ścianach wypełniła melodia harmonizująca z szumem fal, melodia, która zdawała się nieść od brzegów rozwierającego się przed nimi morza, hen ku granatowiejącemu na horyzoncie kontynentowi. Grały jednocześnie instrume-

nty dęte i strunowe, lecz tak subtelnie i melodyjnie, z taką namiętnością i głębią wyrazu, że słuchacz zapominał o całym świecie. Muzyka przenikała do głębi i przenosiła w inne światy, gdzie słowa nie mają już żadnego znaczenia, a jedynie nieuchwytnie tony przemawiają najbardziej wzruszającym językiem.

— Asurze, nie odpowiedziałeś mi, czy jesteś szczęśliwy — przypomniała Ania, nie dostrzegając, że mimowolnie przeszła na „ty”.

Asur podniósł głowę i odpowiedział:

— Jeśli szczęście istnieje, to jest ono na pewno tam, na Mionie. Na Ziemi nie byłem szczęśliwy. Tam zaznałem zbyt wiele cierpienia, ale mimo to tęsknię za nią.

— A może została tam na Ziemi twoja ukochana dziewczyna, Asurze?

Asur zarumienił się po czubki włosów.

— Nie, wtedy byłem przecież niewolnikiem, poza tym byłem bardzo młody.

Ania przypatrywała mu się dyskretnie. I teraz nie wydawał się stary, mimo iż włosy jego przetykała siwizna. Twarz jego wciąż pozostawała młoda. Nawet zmarszczkom, które się na niej już pojawiły, nie udało się odebrać jej świeżego i zdrowego wyglądu. Cała sylwetka Asura tryskała zdrowiem — jego ciało było wysportowane, giętkie i jędrne. Ania doświadczała mieszanych uczuć, uświadomiwszy sobie nagle, że stoi oto twarzą w twarz z zamierzchłą przeszłością, że rozmawia z człowiekiem nieśmiertelnym.

Ktoś zapukał do drzwi. Ania odwróciła głowę i zawołała:

— Wejdz, tatusiu!

Ale nie był to ojciec. W progu stał Wega. Nie miał już na sobie skafandra, w jego ręce nie było też rewolweru, jak przed chwilą. Sprawiał wrażenie życzliwego i serdecznego człowieka, na ustach którego zawsze gości uśmiech.

— Dzień dobry — odezwał się Wega w języku rosyjskim. — Znalazłem pana wreszcie, drogi Asurze. Czy byłby pan tak uprzejmy, by pójść na chwilę ze mną do mojej kabiny?

Ania nachmurzyła się. W jej oczach pojawiły się nieprzyjemne błyski.

— Świętujemy pewną małą uroczystość, po prostu moje urodziny — pośpieszył z wyjaśnieniami Wega. — Za chwilę po panią również przyjdzie ojciec i zaprowadzi do nas — ojca pani już zaprosiłem. No, idziemy, Asurze!

I Wega zdecydowanym gestem pociągnął Asura za sobą. W korytarzu zaś tłumaczył:

— Dzień urodzin mamy zwyczaj obchodzić bardzo uroczyście, pozwalamy sobie w tym dniu również trochę poweselić. Czy na Mionie też świętuje się ten dzień?

— Tak, w takim dniu Miończycy również zbierają się w swoim gronie i weselą się. Solenizant otrzymuje podarunki, a w zamian musi opowiedzieć dokładnie, jak minął mu cały rok — nie zatajając ani swych dobrych uczynków, ani złych.

— To bardzo piękny zwyczaj. Na Ziemi nie bardzo starcza nam czasu na takie szczegółowe wspominki.

Wega roześmiał się cicho mówiąc te słowa i wprowadził Asura do kabiny. W kabinie nie było nikogo prócz Robsona, który siedział przy stole, na którym stały już dwie butelki o pstrych etykietach i kilka kieliszków.

— O! — zawołał Robson na widok Asura i poderwał się z krzesła. — No cóż, golniemy sobie z okazji urodzin mister Wegi. Proszę usiąść tu, Asurze.

Asur nie mógł oderwać wzroku od etykiet butelek, na których pyszniły się soczyste pomarańcze, winogrona, brzoskwinie.

— Tak — odezwał się wreszcie. — Przypominam sobie... Jadłem niegdyś na Ziemi podobne owoce, być może te same. Ale było to tak dawno, że z trudem sobie to przypominam. I na Mionie rosną owoce — piękne, smaczne i soczyste, ale zawsze zdawało mi się, że te ziemskie były smaczniejsze.

Wega roześmiał się dobrodusznie.

— Niestety, bardzo mi przykro, ale nie mam tu tych owoców — powiedział — lecz gdy

będziemy już na Ziemi, zakosztuje pan najrozmaitszych gatunków. Naje się ich pan do syta. A za to teraz mam dla pana coś innego. W tej butelce jest sok właśnie z tych owoców. Wysmienity sok!

Asur wziął do ręki butelkę, w której złościście połyskiwał brązowawy płyn.

— Pamiętam, że i u nas na Ziemi pijało się nektar z winogron — zaczął. — Ale potem ludzie chwiali się na nogach, chociaż byli bardzo weseli. Ale byli i tacy, co potem płakali. Czy to jest również nektar?

— Nektar. Chcesz spróbować?

Asur kiwnął głową.

Wega nalał trochę do kieliszka i podał Asurowi.

— Napij się naszego soku — zachęcał, napełniając brązowawym płynem wysokie kieliszki.

Asur powąchał nieznany mu nektar, zbliżył brzeg kieliszka do ust i upił mały łycalek. Ale zaraz skrzywił się i zakrztusił.

— Pali.

— Niedobry?

— Sam nie wiem... — i Asur cmoknął kilka razy językiem, starając się lepiej odczuć smak trunku, w końcu wzruszył ramionami. — Śmieszne! I przyjemny, i nieprzyjemny, a przecież mam ochotę jeszcze się napić.

— No to pij! — zachęcał Wega. — Jak wypijesz więcej, poznasz, co to znaczy być szczęśliwym.

Ale Asur odstawił kieliszek na stół, oświadczając:

— Szczęśliwym można się czuć tylko wtedy, gdy naprawdę jest się szczęśliwym. Niegdyś Miończykom zdawało się, że są szczęśliwi, gdy wymyślili sobie jakieś elektryczne urządzenia, które zakładali potem na głowę. Ale było to setki, a może i tysiące lat temu, wtedy gdy na ich ziemi nieznana była jeszcze prawda. A teraz są naprawdę szczęśliwi, bo ich całe życie jest szczęśliwe.

— No, jak napijesz się jeszcze choć trochę, przekonasz się, co to znaczy poczuć się absolutnie szczęśliwym — nie dawał za wygraną Wega.

Asur wypił więc do dna, by poddać się tej cudownej przemianie, jaka miała się w nim dokonać. Ale zamiast oczekiwanego szczęścia, pokój nagle zawirował — widział stojących naprzeciw Robsona i Węgę, ale sylwetki ich to chwiały się, to rozmazywały — potem znów dziwnie zmieniały się, mnożyły — było już czterech Robsonów i czterech Węgów.

— Ha, ha — ależ macie sobowtórów. To wasze sobowtóry, nieprawdaż? — nie przestawał pytać Asur, starając się jak najszerzej otwierać oczy.

— Oczywiście — zachichotał Wega, który w istocie pił tego wieczora bardzo niewiele. — Każdy Ziemianin ma swego sobowtóra, a jego sobowtór jest nieśmiertelny.

— Aaa, doprawdy? O tym nie wiedziałem. Jeśli to... Jeśli to prawda, wtedy i moi rodzice... to znaczy ich sobowtóry, może jeszcze żyją?... Żyją jeszcze, jak myślisz?

Żrenice Asura stawały się coraz ciemniejsze. Głowa chwiała się na boki, myśl mąciła tak, że nie mógł skoncentrować uwagi. Lecz mimo to nagle uświadomił sobie prawdę i ochrypłym głosem zawołał:

— Ależ zgłupiałem! Przecież oni zmarli przed tysiącami lat, nieprawdaż?

— Ale może żyją twoi krewni, to znaczy ich potomkowie? Z całą pewnością ich odnajdziemy — przyrzekał solennie Wega.

Asura opanował niepowstrzymany śmiech. Cały trząsł się od tego konwulsyjnego śmiechu, co chwila wzruszał ramionami i znowu śmiał się.

Wega i Robson spojrzeli po sobie.

— Z czego się śmiejesz, Asurze?

— Czy wiesz, Wego, mój drogi przyjacielu... że przypomina mi się coraz więcej rzeczy

z Ziemi... Przedtem nigdy nie przychodziło mi to do głowy... a teraz ciągle coś nowego...

— Co sobie przypomniałeś?

— Przypomnieli mi się kapłani. Oni zawsze twierdzili... och, jacy byli śmieszni. Ha! ha! ha! Twierdzili, wyobraź sobie, że Ziemia jest płaska i pływa po wodzie. Niebo zaś wspiera się na morzu, a dalej jest już koniec świata. Ha! ha! ha! ha!... A woda na czym się wspiera? A co jest za końcem świata?

Wega i Robson (ten drugi rozumiał już trochę po rosyjsku) głośno się roześmiali.

— Czy spytałeś kapłanów, na czym wspiera się woda? — zapytał w końcu Robson, nie przestając się śmiać.

— Nie, bałem się. Pogrzebaliby mnie żywcem. A przecież ja w końcu zobaczyłem Ziemię z gwiazdolotu. Nie wierzyłem własnym oczom. Ziemia stawała się coraz mniejsza, stając się coraz bardziej podobna do żółtozielonej piłki. A wokół niej błękitny blask. Widziałem ją jeszcze mniejszą — jak gwiazdkę. I pomyślałem sobie... „mogę cię teraz zamknąć w dłoni”. I nie tylko ją. I Księżyc by się zmieścił, i inne planety. O tak, po prostu wziąć w garść, postawić sobie na dłoni i jeszcze miejsca starczyłoby dla innych. A my wierzyliśmy, że cały świat kręci się wokół naszej Ziemi. Naiwni byliśmy, prawda?

— To było dawno... No cóż, ale musisz przyznać, że nasza Ziemia jest przepiękna.

— Piękna, oczywiście — zgodził się Asur. — Tym razem obejrzę ją sobie całą. Nawet na północ pojadę, i na południe.

Wega poklepał Asura po ramieniu, pokiwał smutno głową i powiedział:

— Zobaczyłbyś wszystko, i ciebie oglądałyby miliardy ludzi i cieszyły się razem z tobą, sławiąc twoje imię. Lecz, niestety, to nigdy nie nastąpi. Nigdy nie zobaczysz już swej ojczyzny Ziemi.

Asur wytrzeszczył oczy.

— Dlaczego? Przecież lecimy do niej.

— Lecieliśmy, lecz Taomej zmienił swe zamiary.

— To niemożliwe!

— Mówię prawdę, Asurze.

— Kłamiesz, Wego! Miończycy zawsze mówią prawdę, to tylko Ziemianie lubują się w kłamstwie. Przecież powiedzieli, że lecimy tam, gdzie się urodziłem. Oni nie kłamali, to ty kłamiesz!

— Owszem, zgadzam się, przed godziną jeszcze nie kłamali, a teraz kłamią — powiedział Wega, starając się panować nad rosnącą w nim wściekłością.

— Dlaczego?

— Bo to byłoby dla nich niebezpieczne.

Asur wolno podnosił się z krzesła. Ledwo mógł utrzymać się na nogach. Zapytał:

— Twierdzisz to z całą stanowczością? Zapytam o to Taomeja.

— Taomej nie odpowie ci na to pytanie — odparł Wega.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie chciał lecieć do naszej ojczyzny, a my chcemy tam wrócić, musieliśmy więc unieszkodliwić jego i jego przyjaciół, aby nie mogli się ruszać, nie mogli mówić, a nawet myśleć.

Słowa Wegi podziałały na Asura jak zimny prysznic. Chwyciwszy się mocno krawędzi stołu, zapytał głuchym głosem:

— Zamordowaliście ich?

— Nie obawiaj się o nich — uspokoił go Wega. — Nic im nie grozi. Usnęli tylko. Obudzają się za trzy godziny. A do tego czasu my musimy wyruszyć w drogę. Ty, Asurze, musisz pokazać nam, jak otwiera się luk hangaru, w którym zamknięty jest nasz raketoplan. Tylko tej jednej przysługi żądamy od ciebie. Jeśli chcesz, leć z nami, jeśli nie, zostań. My musimy odlecieć.

Asur nie odpowiadał. Starał się skupić całą swą uwagę na sprawie, o jakiej mówił Wega. W końcu zapytał:

— Gdzie są Miończycy? Chciałbym ich zobaczyć.

— Dobrze, lecz musisz otworzyć luk, abyśmy mogli odlecieć.

— Najpierw muszę zobaczyć moich przyjaciół.

— Dobrze, zobaczysz — odpowiedział Wega krzywiąc się, ponieważ zaczynał mieć już dość uporu Asura. — Są żywi i cali; otwórz luk, a zobaczysz ich.

— Nie, najpierw muszę ich zobaczyć.

Wega zmrużył oczy, obrzucił Asura spojrzeniem pełnym pogardy i rzekł:

— Słuchaj no, nie zapominaj, że tu ja rozkazuję. Rób, co mówię, bo w przeciwnym razie...

I wyjął z kieszeni rewolwer.

Asur utkwiał wzrok w dziwnej broni i zapytał:

— Co to takiego?

— Ta rzecz zabija w mgnieniu oka. Kto nie chce słuchać, musi zginąć.

— To żelastwo? No, cóż, może i tak jest naprawdę... Widziałem podobne żelastwa w muzeach na Mionie. W dawnych czasach mieli i Miończycy podobną broń i również posługiwali się nią dla odbierania życia innym ludziom czy zwierzętom. Ale to już zamierzchła historia. Dzisiejsi Miończycy nie wiedzą co to zbrodnia. A ty chcesz, abym umarł na twoje życzenie. Dlaczego? Przecież nie ty dałeś mi to życie?

— Tego już za wiele! — zawołał z oburzeniem Wega i przytykając koniec lufy pistoletu do piersi Asura, ostrzegł go:

— Jeśli w tej chwili nie zrobisz tego, o co cię proszę, zdechniesz jak pies.

Ale groźba ta nie uczyniła na Asurze takiego wrażenia, jakiego spodziewał się Wega. Ku jego zaskoczeniu, Asur skrzyżowawszy ręce na piersiach, zupełnie opanowanym głosem odparł:

— Wolę zginąć.

— Dzikus! — w słowie tym Wega starał się zawrzeć najwyższą pogardę.

Ale Robson nie przestawał dawać mu oczyma znaków, by zgodził się już wreszcie na warunki Asura. Ostatecznie, co na tym traci?

— Dobrze, zobaczysz swych Miończyków. Ale zaraz potem otworzysz luk i umożliwisz nam odlot? — upewniał się Wega.

— Jeśli nie wyrządziliście im krzywdy, pozwolę wam odlecieć — odparł spokojnie Asur.

Zrezygnowany Wega zaprowadził go więc do sali, w której leżeli bez życia pokotem na dywanie Miończycy. Ale z bliska widać było, że oddychają — na twarzach ich gościł spokój — wydawali się spać głębokim snem. Asur przyglądał im się w milczeniu — żadnym niebaczny gestem nie zdradził, jak bardzo wzburzył go ten widok.

— Nic im nie grozi — rzekł uspokajająco Wega. — Przebudzą się, gdy my będziemy już w drodze. I nigdy już się nie zobaczymy. A wam radzę, gdy przylecicie na Ziemię, nie rozpowiadać o tym, co tu zaszło, bo i tak nikt wam nie uwierzy. Pamiętajcie, nigdyśmy się nie spotkali. Proszę to powtórzyć Taomejowi.

Asur postąpił do przodu, potem lekko nachylając się nad leżącymi, wykrzyknął zdumiony.

— O, i Skribin jest między nimi!

— Owszem, Skribin także — przytaknął uśmiechając się złośliwie Wega. W duchu wściekły był na siebie, że nie zdążył na czas przenieść ciała Skribina na „Kosmos”.

— A ja uwierzyłem, że jest z wami.

Wega uczynił gest, jakby opędzał się od uprzykrzonej muchy.

— No, przyjacielu — zaczął. — Przekonałeś się na własne oczy, że Miończycy są cali i

zdrowi. Teraz kolej na ciebie — idź otworzyć luk, abyśmy wreszcie mogli odlecieć. Musimy jeszcze zabrać inżyniera i dziewczynę. No, śpiesz się.

— Co zrobiliście z Anią? — zapytał wystraszony Asur.

— Do diabła, daj spokój z tymi pytaniami. Przygotowuje się do drogi.

Asur podejrzliwie przyglądał się Wedze. Chciałby w tej chwili przeniknąć jego myśli, by dowiedzieć się prawdy. Lecz twarz Wedgi była nieprzenikniona, zła, a jego oczy patrzyły na Asura z nieskrywaną nienawiścią. Asur wiedział już, że pytał na próżno — wszyscy wokół kłamali. Przygnębiony szedł długim korytarzem. Nagle do jego uszu doleciał czyjś krzyk:

— Puśćcie mnie! Tatusiu! Gdzie jesteś? Puśćcie mnie!

Asur zatrzymał się. Pod drzwiami kabiny Ani stał Jerry Gordon. Opierał się o ich framugę i ciężko oddychał. Wtem doskoczył do niego Wedga. Wydawał się bardzo niezadowolony.

— Idioto! Czy nie wiesz, jak zamyka się usta takiej panienczce? Bierze się chusteczkę...

— Broniła się... drapała, nawet mnie ugryzła — skarżył się Jerry. — No, proszę zobaczyć, jeszcze mam ślady...

Ale Wedga nawet nie spojrzał na jego rękę.

— O! — podszedł do nich Asur. — I ją także? Dlaczego?

Nim Wedga zdążył odpowiedzieć, zza drzwi rozległ się uradowany i pełen nadziei głos Ani.

— Asurze, to ty? Zamknęli mnie! Gdzie jest tatuś? Asurze, powiedz o wszystkim Tao-mejowi.

Silny, wymierzony zniecka cios w plecy, omal nie zwałił Asura z nóg. To Wedga brutalnie pchnął go przed siebie, rozkazując:

— Naprzód!

Ale Asur nie ruszył z miejsca. Zaparł się nogami w podłogę, myśląc gorączkowo, jak pomóc Ani, która wciąż wołała o pomoc. Nie wiedział, co jej odpowiedzieć.

— Słyszysz? Mówię do ciebie, Asurze!

W jakim celu ten Wedga nie przestaje prześladować wszystkich na gwiazdolocie, zamiast pilnować swych spraw? Zachowuje się podobnie jak ci, którzy niegdyś nie szczędzili razów jego plecom. To byli źli ludzie... A ci też nie rozstają się z tą upokarzającą bronią. Asur czuł jej chłodny dotyk na swych plecach, lecz nie okazywał żadnego strachu.

Powoli odwrócił się. Nie myślał o sobie. Bo to przecież niemożliwe, by ta zabawka była w stanie pozbawić życia jego — człowieka, który żył wieki — nieśmiertelnego niewolnika, przyjaciela Miończyków. Wedga jest bezsilnym głupcem, który pragnie wszystkich zastraszyć swoim krzykiem.

— Dlaczego zamknęliście Anię? — zapytał spokojnie, a widząc, że Wedga ma ochotę rzucić się na niego i ledwie powstrzymuje się, by tego nie uczynić, dodał: — Puśćcie ją!

— Nudzi mnie twoje gadanie. Idź i otwórz luk!

— Ona nie ma zamiaru lecieć z wami. Puśćcie ją!

Nie podniósł głosu. Jego twarz — lekko poznaczona zmarszczkami, sucha, o żółtobrązowej, pergaminowej cerze, z trochę wysuniętym do przodu podbródkiem i lekko spłaszczonym nosem, była zupełnie spokojna.

— Nie wtrącaj się do nie swoich spraw, lecz idź otworzyć luk! — krzyknął Wedga. Jego cierpliwość już się wyczerpywała, lecz wciąż jeszcze usiłował panować nad sobą. Ale jeszcze chwila, a rozszarpie na strzępy tego upartego, bezczelnego chłopaka.

Asur odwrócił się i ruszył po schodach wiodących do kabiny dowodzenia.

— Dokąd? — zawołał Wedga, szarpiąc go do tyłu. — Hangary mieszczą się przecież gdzie indziej.

Asur spokojnie odpowiedział.

— Luk otwiera się z kabiny nawigacyjnej. Możecie iść ze mną.

Wega i Robson zamienili ukradkowe spojrzenia. To brzmiało dosyć prawdopodobnie. Ostrożnie postępowali za Asurem. Rzeczywiście, znaleźli się w przestronnej kabine, zastawionej aparaturą i urządzeniami sterowniczymi. Asur podszedł do jakiejś niewielkiej szafki i wyjął z niej wypełnioną płynem butelkę.

— On coś knuje — szepnął Wega. — Jeśli nas poczęstuje, odmówimy.

Asur nie patrzył na nich, ale czuł na plecach ich wzrok.

— Chce mi się pić — powiedział.

Napełnił tajemniczym płynem szklanę i wypił duszkiem. Wtedy dopiero poczuł, że znika dziwne otępienie umysłu — mózg znów sprawnie funkcjonował. Ale wraz z świadomością wrócił i gniew. Gniew tak silny, jakiego nie doświadczał od wieków, gniew połączony z uczuciem obrzydzenia i wstydu za Ziemiaków.

Miończycy nie odczuwali potrzeby posiadania broni, która zabija, lecz jeśli to żelazo, które trzymał Wega, znalazłoby się teraz w rękach Asura, bez wahania użyłby go przeciw tym niewdzięcznym istotom z Ziemi, które ośmieliły się obezwałnić jego przyjaciół.

— Słuchaj, Asurze! — Odezwał się Wega, zbliżając się do niego. — Niech ci się nie zdaje, że uda ci się nas oszukać. Nie sądź, że nas przechytrzysz. W tej chwili otwieraj luk!

— Właśnie w tym celu tu przyszedłem — odparł Asur. — Nie mam zamiaru was zatrzymać. Ruszajcie jak najszybciej swoją drogą.

Wyciągnął rękę ku jakiejś dźwigni, obok której płonęła czerwona lampka. Światelko natychmiast zgasło, za to pojawił się obok zielony, świetlny punkcik. Kabina lekko zakołysała się, gdzieś w górze zaszumił wentylator. Nie, to wcale nie wentylator, szum narasta, staje się coraz potężniejszy — wreszcie przeradza się w grzmot. Cały las strzałek i światełek porusza się nagle i migoce na okrągłych i prostokątnych skalach aparatów.

— Robson, co to znaczy? — słysząc cichy, niepewny głos Wegi.

— Została uruchomiona aparatura... choć właściwie... nie jestem pewien... Chyba luk został już otwarty. Czy nie odczułeś lekkiego wstrząsu?

— Hm, ten typ zdaje się wyraźnie wodzić nas za nos.

Rozmawiali szeptem. Asur nie odstępował od aparatury. Uroczysty, poważny, nie odrywał wzroku od skali.

— Asurze, co tak huczy? — zapytał podejrzliwie Wega.

— Luk — odpowiedział niedbale Asur, wreszcie uśmiechając się.

— Robson, trzeba to sprawdzić! — rozkazał Wega.

Pilot szybko opuściłabinę, a Wega z załadowanym pistoletem w dłoni z niepokojem śledził ruchy Asura, kontrolującego działanie aparatury. Czuł się trochę niepewnie, odnosił wrażenie, że gwiazdolot został wprawiony w nich, lecz nie był o tym przekonany, bo wszystko wokół było tak spokojne. Niepokoił go także dziwnie spokojny wyraz twarzy Asura.

— Nie ruszaj się! — krzyknął Wega, widząc, że Asur idzie znów w kierunku szafki.

— Odwaga zaczyna pana opuszczać, jak widzę — zażartował Asur. — Chcę tylko coś wyjąć z tej szafki.

Wyjął z niej rzeczywiście jakiś podłużny przedmiot i pokazując go ze słowami „o, właśnie to”, skierował jego koniec ku Wedze, naciskając jednocześnie jakiś guzik na jego powierzchni. Zaniepokojony Wega chciał podnieść rękę z rewolwerem, lecz niestety, stracił w niej władzę. Po chwili z głuchym łoskotem zwałił się na podłogę, pokrytą twardą wykładziną, ułożoną w kolorowe kwadraty. Asur podniósł go i usadowił w fotelu pilota.

Wtem wpadł zadyszany Robson.

— Mister, ten pies łą! Luk wcale nie jest otwarty. — Ale plecy Wegi ani drgnęły.

Asur obojętnym tonem powiedział:

— Niech pan nie krzyczy, bo i tak pana nie usłyszy.

I skierował ostrze trzymanego w rękach dziwnego przedmiotu w kierunku Robsona.

W mgnieniu oka pilot również padł bez życia na posadzkę.

Gdy Asur zszedł na niższe piętro, zza drzwi kabiny Ani dochodził teraz szloch. Jerry i James stali pod drzwiami z rękami w kieszeniach, od czasu do czasu usiłując przerwać jej płacz słowami pocieszenia.

Widząc Asura, drgnęli. Nie było w pobliżu ich towarzyszy. W pierwszej chwili Jerry pomyślał, że musiało im się przytrafić coś złego, lecz nie zdążył o to nawet zapytać. Gdy Asur wskazał ostrzem w jego kierunku, potężny mężczyzna nagle zakołysał się na nogach, jakby potrząsnęła nim jakaś tajemnicza, gigantyczna siła, a potem jak snop zboża zwałił się niemal równocześnie z Jamesem na podłogę. Asur otworzył drzwi kabiny. Zaraz za nimi natknął się na Anię, zapłakaną, ale z groźnie zaciśniętymi pięściami, którymi o mało co nie poczęstowała Asura.

— Ach, to ty? — zawołała, poznając go. — Co się stało? Dlaczego zostałam uwięziona?

— Dla pani i tak wszystko skończyło się najmniej boleśnie — powiedział Asur.

Ania pobladała.

— Wszyscy inni są nieprzytomni, leżą związani w wielkiej sali. A Wega myślał, że uda mu się razem z jego podejrzany kompanami otworzyć luk i zbiec.

— Ale nie pozwoliłeś im uciec?

— Nie. Musiałem jednak uciec się do użycia przeciwko nim naszej jedynej broni, która potrafi zabić bezboleśnie, ale potrafi też podziałać tylko na mózg i człowiek wówczas traci jedynie na pewien czas przytomność. Właśnie unieszkodliwiłem tę całą bandę przy pomocy tej oto broni i leżą tam teraz nieprzytomni... Nie wiem tylko, gdzie skrył się jeden ze spiskowców...

— Który?

— Ten, którego leczylimy...

— Ach, wiem, myślisz o Braunie. Wiesz, i ja nie widziałam go już od dłuższego czasu. A gdzie jest mój ojciec?

Asur kazał jej postępować za sobą. Weszli do sali, w której leżeli pokotem na podłodze nieprzytomni Miończycy. Asur zaczął rozcinać więzy, którymi byli skrupowani, Ania, przytknąwszy ucho najpierw do piersi ojca, a potem Taomeja, nasłuchiwała, czy obaj jeszcze oddychają. Klęcząc na podłodze Asur dostrzegł porzuconą przy drzwiach dziwną tubę. Ania podniósłszy ją, odczytała z nalepki, że wewnątrz znajduje się gaz upajający, którego działanie trwa od dwu do trzech godzin.

— Ale gdzie zbiegli Wega i jego towarzysze? — zaniepokoiła się Ania.

— Są również nieprzytomni, odzyskają przytomność dopiero wówczas, gdy napromienię ich mózgi wiązką specjalnych promieni. Lecz nie zrobię tego wcześniej nim odzyska przytomność Taomej. Niech on o tym zadecyduje.

Ruszyli we dwójkę na poszukiwanie Brauna. Asur szedł z przodu z bronią w ręce, a Ania postępowała za nim. Najpierw weszli do kabiny, w której leżeli na podłodze bezwładni Wega i Robson, potem przeszukali następne kabiny, ale nigdzie nie było Brauna. Cały gwiazdolit był tak wymarły, że przypominał trumnę, przewożącą nieboszczyków.

— Wiesz co, Aniu? — powiedział nagle Asur. — Zapomnieliśmy o ziemskim rakietoplanie, może tam...

— Rzeczywiście...

W dwu pierwszych kabinach nie było nikogo. Następne drzwi wiodły do jakiegoś magazynu — Asur otworzył je, a ponieważ nie mógł niczego dostrzec w ciemnościach, zawołał:

— Braun!

Odpowiedział mu cichy jęk, a potem coś poruszyło się między wielkimi pakami. Podeszedszy bliżej zauważyli skrupowanego sznurami człowieka. W jego ustach tkwiła jakaś szmata, którą Asur natychmiast wyciągnął.

— Gdzie inżynier i Ania? — zapytał najpierw zaniepokojony Braun. — Uprzedźcie ich, na Boga! Tamci chcą ich otruć.

Asur poklepał go po ramieniu.

— Niech się pan nie niepokoi, przyjacielu! — powiedział życzliwie. — Ania jest tutaj.

Szlachetni Miończycy

— Spójrz no, Aniu, czy nie wydaje ci się, że Taomej przychodzi do siebie? — powiedział Asur, gdy znów wrócili do wielkiej sali. Ciało Taomeja jakby drgnęło. Z jego piersi wydobyło się głębokie westchnienie, a wargi zdawały się poruszać, jakby chciały coś powiedzieć.

— Tak! — zawołała uradowana Ania. — Nareszcie!

Ukłęka obok leżącego Miończyka i szarpnęła go za ramię. Taomej podniósł z wolna swe błoniaste powieki. Jego spojrzenie było niedowierzające, zdawało się o coś pytać.

— Co się stało? Dlaczego leżę tutaj?

Usiłował wstać, lecz był jeszcze zbyt słaby. Asur pochwycił go pod pachy i Taomej wreszcie usiadł, potem zamrugał kilka razy oczyma i dopiero wtedy, gdy spojrzenie jego padło na leżących obok w nienaturalnych pozach towarzyszy, przypomniał sobie, co zaszło tu niedawno. Niespokojnym wzrokiem obrzucił szybko całą salę.

— A gdzie Wega? I jego niesławna kompania?

— Nic nam już z ich strony nie grozi — odpowiedział Asur, wyciągając przed siebie rękę, w której błysnęła miniaturowa broń. — Tylko to nas uratowało!

— Nie żyją! — krzyknął wystraszony Taomej.

— Nie, są jedynie nieprzytomni.

Taomej chciał jeszcze o coś zapytać, lecz leżący najbliżej Miończyk nagle poruszył się. Taomej nachylił się nad nim, kilkakrotnie potarł mu jakby masującym ruchem czoło. Po tym zabiegu Elij szybko zaczął odzyskiwać przytomność, a wkrótce nawet wstał o własnych siłach. On również nie od razu przypomniał sobie, co rozegrało się niedawno w tej sali, a gdy już wróciła mu pamięć, jego wzrok zaczął niespokojnie szukać kogoś. Gdy dostrzegł Anię, podbiegł do niej, ujmując w swą ogromną dłoń jej małą rękę i zawołał z radością:

— Uratowana?

— Och, Eliju, mój przyjacielu! Nic mi się nie stało — zapewniła Ania.

Zaraz potem zbudzili się Mejzo i Lejmej. Ania uśmiechała się do nich przyjaźnie. Ostatni obudził się Laoj — w jego oczach Ania dostrzegła błyski gniewu — rzecz osobliwie rzadka u Miończyka. Ale gniew szybko wygasł, a jego miejsce zajęły teraz smutek i cierpienie. Przygnębiony zaprzeczał ruchem głowy na jakieś pytania Taomeja. Rozmowa musiała być burzliwa, bo Laoj coraz głośniejszym głosem wyrażał swe oburzenie i protest. Taomej zdawał się zgadzać z nim. Tylko Elij starał się przekonać obu o niesłuszności jakiejś decyzji. Podczas dyskusji Miończyków Ania nie spuszczała oczu z ojca, który do tej pory jeszcze się nie przebudził. Stała nad nim, wpatrywała się bacznie w jego twarz, oczekując, kiedy wreszcie otworzy oczy. Skribin jednak leżał jak martwy, a jego policzki ciągle miały niepokojącą bledość.

— Dlaczego ojciec jeszcze nie odzyskał przytomności? — zapytała przestraszona Ania.

Asur starał się ją uspokoić. Po prostu organizm inżyniera jest o wiele słabszy niż Miończyków i działanie gazu jest nieco dłuższe. O, organizm Miończyków bardzo szybko zwalcza truciznę!... Gdy Asur cierpliwie objaśniał różnice między organizmami Ziemi i Miończyków, Taomej nagle wykrzyknął:

— A on co tu robi? — i wymierzył ostrze broni w kierunku Brauna, stojącego cały czas na boku.

— Ach, nie rób tego! — zawołał Asur, chwytając Taomeja za rękę, bo odgadł jego zamiary. — On nie ma z nimi nic wspólnego.

W kilku słowach Asur opisał zachowanie Brauna. Miończycy starali się nie uronić ani słowa z tego, co mówił Asur. Wtem wszyscy jednocześnie poczuli, że statek zdaje się lecieć.

— Co to, lecimy? — zapytał niedowierzająco Taomej.

— Tak — odparł Asur. — Nie miałem innego wyjścia, bo Wega zagroził mi, że mnie zabije, jeśli nie otworzę luku. Ale oszukałem go. Po raz pierwszy od wielu wieków dopuściłem się oszustwa, ale to oni zmusili mnie, bym stosował ich metody. Udałem się do kabiny dowodzenia. Tamci nie odstępowali mnie ani na chwilę. Uruchomiłem automat „Zwiastuna” i gwiazdolit ruszył, no a potem uciekłem się do pomocy tej oto broni.

— W jakim kierunku lecimy?

— Na Miona. Czyżbym źle zrobił?

Twarz matematyka Laoja promieniała zadowoleniem. Tylko Elij przyjął tę wiadomość bez entuzjazmu. Taomej zapytał Asura, czy dziewczyna wie, dokąd lecą.

Nie, nie powiedział jej. A ona sama nie rozumiała ani słowa z rozmowy toczącej się między nimi, ponieważ posługiwali się językiem miońskim.

— Pójdź, Asurze, i wyłącz automat — zarządził Taomej. — Jeszcze możemy zawrócić.

— Lecz przecież tu wcale nie jesteśmy mile widziani — odezwał się niezadowolony z obrotu sprawy Laoj.

— Ale mamy również przyjaciół — oburzył się Elij.

Taomej nie śpieszył z wyjaśnieniem tej decyzji. Dopiero gdy tamci umilkli, odezwał się:

— Tak. Niestety za nieszczęściem... Lecz nie zapominajmy, moi drodzy, że nie mamy prawa zmuszać naszych przyjaciół do odlotu z nami. O, Skribin zdaje się już odzyskiwać przytomność. Razem zastanowimy się, jaką podjąć decyzję.

Przedłużające się milczenie zaczęło już na wszystkich działać przygnębiająco. Zebrali się w wielkiej sali z zamiarem rozstrzygnięcia najistotniejszego w tej chwili problemu, nikt jednak nie zabierał głosu. Wróżyło to niechybnie daleko idące rozbieżności w poglądach, a ponieważ wiedzieli, kto jakie stanowisko zajmie, nikt nie chciał pierwszy wystąpić z własną propozycją, żeby nie sprawić przykrości innemu. Najlepiej będzie przystąpić nieco okrężną drogą do meritum sprawy, więc Taomej zapytał ni to siebie, ni to swych towarzyszy, jak mogło dojść do sytuacji, w której tak łatwo udało się kilku spiskowcom opanować gwiazdolit i unieszkodliwić jego załogę.

Skribin odpowiedział na to:

— To po prostu skutek waszej niesłychanej dobroci i łatwowierności.

Ale Taomej nie rozumiał, co ma na myśli Skribin. Za to, że jesteś dobry i ufasz rozumnym istotom, one miałyby ci odpłacić podłością? Nie, na Mionie nigdy nie zdarzyłaby się podobna historia. Choć trzeba niewątpliwie usprawiedliwić Ziemiaków, powodują nimi jeszcze często te niskie pobudki, które nieobce były i Miończykom w zamierzchłej co prawda przeszłości.

Skribin i Taomej rozmawiali po rosyjsku. Z Miończyków tylko Elij rozumiał, o czym rozmawiali, bo nauczył się tego języka, by móc swobodnie dyskutować z Anią, o gwiazdach, planetach, i galaktykach, o całym wszechświecie, który jawił im się oto tak niewysłowienie piękny, tak nieobjęty i różnorodny w swych formach, choć wiele zjawisk i praw było wspólnych dla różnych układów gwiazdnych.

— Niewątpliwie, niegodziwie postąpili ci przybysze z Ziemi, lecz na pewno nie wszyscy na tej planecie są tacy jak oni. Żyją tam przecież i ludzie usiłujący pracować dla pokoju. Polecimy i przyjrzymy się z bliska ich życiu.

— Twoi przyjaciele są innego zdania, Eliju — odpowiedział mu Taomej, przechodząc na język mioński. Problem był poważny, brzemienny w skutkach. Czy powinni kontynuować swą podróż na Miona, do ojczyzny, czy też powinni zawrócić i wylądować na Ziemi, która przecież była celem ich długiej podróży?

— Nie! — zaprotestował energicznie Laoj. Był konsekwentny w swym postanowieniu. — Za żadną cenę na Ziemię. Wracamy na Miona (nie chciał przyznać otwarcie, że między innymi rosnąca tęsknota za młodą żoną i dzieckiem kazała mu głosować za powrotem na ojczystą planetę).

— Nie, to niesłuszne! — oburzył się Elij. — Jesteśmy tak blisko Ziemi, która jest tak interesującą planetą, i tu nagle — z powrotem. Na Mionie na pewno nas za to nie pochwałą. Przecież czekają tam z wielką niecierpliwością wyników naszej ekspedycji.

Wtedy głos zabrał Mejzo. Oddychał z trudem, krople potu pojawiły mu się na czole. Widać było, że stoczył ciężką walkę z samym sobą.

— Raczej zarzuca nam, że nieostrożnością było ryzykowanie lądowania na planecie, której mieszkańcy próbowali wyrzucić nam poważną krzywdę. Jestem lekarzem, całe życie poświęciłem temu, by dawać ludziom dobro, by chronić i przedłużać ich życie. Moim zdaniem, pozostaje jedynie powrót do domu.

— Mejzo, przyjacielu! — odezwał się z wyrzutem Elij. — Zapomniałeś, że są wśród nas Ziemianie. Czy chcesz, abyśmy wbrew ich woli kazali im lecieć z nami na Miona?

Mejzo przymknął oczy i wyraźnie zakłopotany wybąkał:

— Hm... To rzeczywiście komplikuje sprawę. Ale może oni...

— Nie łudź się, nie zechcą! — przerwał mu Elij. — Jestem pewny, że odmówią.

Lejmej roześmiał się. Zawsze odznaczał się żartobliwym, dobrodusznym usposobieniem.

— Elij nie wyliczył wam wszystkich powodów, dla których chce wracać na Ziemię — powiedział znaczącym tonem. — Ale zdradzę wam tajemnicę; Elij robi to głównie dla tej białej, subtelnej osobki.

Elij zarumienił się po czubki włosów. Nie, wcale nie zamierzał ukrywać i tego powodu, po prostu niezbyt jasno przedstawił swe argumenty, i aby nie było żadnych podobnych nieporozumień, proszę, stanie naprzeciw nich, niech odczytają z jego oczu najskrytsze myśli. A przykładając ręce do serca, dodał:

— Tak, nie ukrywam tego. Chcę znaleźć się na Ziemi przede wszystkim dla niej. W życiu nie widziałem niczego subtelniejszego i bardziej wzruszającego od tej ziemskiej istoty — oświadczył otwarcie zebranym.

— No tak, to tłumaczy twoje uporczywe domaganie się podjęcia lotu na Ziemię — zauważył oschle Laoj.

— Gdyby zechciała polecieć z nami na naszą planetę, byłbym równie szczęśliwy — ciągnął Elij. — Lecz nawet wtedy, wiercie mi, będę głosował za ponownym lotem na Ziemię. Musimy wylądować na tej planecie. Spójrzcie tylko na nią! — Podeszedł do iluminatora i poszukał jej wzrokiem wśród iskrzącego się gwiazdami nieba, a potem dokończył wracając do towarzyszy: — Jesteśmy tak blisko niej, a marzyliśmy przecież, by przyjrzeć się jej z bliska. Czy zapomnieliście już, z jakim zapałem przygotowywaliśmy się do tej dalekiej podróży i jak setki razy szukaliśmy tej planety przez nasze teleskopy w obserwatorium na Mionie? Pomyślcie: inny świat, inne istoty, zupełnie inna kultura niż ta, którą było dane poznać naszym pradziadom! I teraz nagle — z powrotem! Przyznaję, że kieruję się również życzeniem tej czarującej ziemskiej kobiety, ale niezależnie od tego, uważam, że powinniśmy wylądować na Ziemi!

Wtedy głos zabrał Laoj i przypomniał imiona tych, którzy zginęli z winy Ziemian. Zejbo i Tojzi — dwaj wspaniali Miończycy, świetni uczeni, odważni mężczyźni — zamordowani przez Ziemian. Zresztą, czy to tylko jeden przykład złej woli okazywanej im przez mie-

szańców tej planety? A kto obezwładnił załogę „Zwiastuna”? Kto uknuł spisek, aby zawładnąć gwiazdolotem?

— Chciałbyś — dodał po chwili Laoj — byśmy uznali przyjaciół w tych obłudnych i podstępnych Ziemianach? Skąd wiecie, jak zostaniemy przyjęci na Ziemi? Może przytrafi nam się tam coś jeszcze gorszego?

Nikt nie ośmielił się odezwać po tych słowach Laoja, choć większość nie podzielała jego pesymistycznych przekonań — przecież tak szlachetni okazali się Skribin i jego córka — Ania. Ziemię na pewno zamieszkują również miliony istot takich jak oni — co do tego nie było wątpliwości. Ale Ziemianie nie porzucili jeszcze tego hańbiącego, straszego rzemiosła — jakim jest wojna i zawsze będzie istniała obawa, że użyją groźnej broni przeciw Miończykom. Nawet Elij zdawał się wahać teraz — nie mógł zaprzeczyć faktowi, że nie wszyscy Ziemianie mają pokojowe zamiary — nie mógł żądać od swych towarzyszy, by narażali się na tak wielkie ryzyko. Dlatego milczał, zasmucony.

— Nie zapytaliśmy jeszcze, co ma do powiedzenia Asur — odezwał się nagle Taomej.

Asur siedział na uboczu, w tyle za Miończykami. Był przygnębiony. Nienawidził całym sercem tych ludzi z Ziemi, którzy dopuścili się takiej podłości wobec Miończyków, chcąc narzucić im swą wolę. Nienawidził tak mocno, jak niegdyś nienawidził swych panów. Lecz postanowił nie kierować się jedynie tym uczuciem i odparł cichym głosem:

— Cokolwiek zadecydujecie, podporządkuję się!

— Czy chciałbyś, abyśmy wylądowali na Ziemi?

— Chciałbym.

— Rozumiem — westchnął Taomej. — Tam przecież jest twoja ojczyzna, wiem, że tęsknisz za tym, by ją ujrzeć. Razem z Elijem podzielamy twoje zdanie.

— Proszę, nie kierujcie się moim życzeniem — szybko powiedział Asur. — Bardzo was proszę o to!

Nie chciał, by z jego powodu Miończycy narażali się na nowe niebezpieczeństwo. Słodkie wspomnienia odległego dzieciństwa zdążyły na powrót rozpląnąć się w jego pamięci. Teraz znów Ziemia kojarzyła mu się tylko z jej okrutnymi mieszkańcami, widział krew, baty i wilgotne ciemnice, widział udręczonych niewolników — nie, nie ma sensu narażać życia Miończyków po to tylko, by mógł ujrzeć ziemię, na której tyle wycierpiał.

Taomej jeszcze raz zapytał każdego z Miończyków o ostateczną decyzję. Matematyk Laoj, doktor Mejzo i radionawigator Lejmej powiedzieli „Nie!” Cała trójka uważała, że należy „Zwiastunowi” nadać kierunek na Miona, ponieważ lękali się, że w przeciwnym razie mogą już nigdy nie zobaczyć swoich bliskich i swej ojczyzny. Tylko Elij powiedział zdecydowanie „Tak”!, a Asur odmówił opowiedzenia się po którejkolwiek stronie.

— No, a ty, Taomeju? Przecież ty odpowiadasz za cały gwiazdolot, do ciebie należy ostateczna decyzja — powiedział Elij.

— Najpierw należało, zdaje się, porozmawiać z naszymi ziemskimi przyjaciółmi — odpowiedział Taomej uśmiechając się do Skribina i Ani, którzy z wielkim niepokojem śledzili dyskusję Miończyków, nie rozumiejąc z niej ani słowa. Domyślali się tylko, że odbywa się jakaś wymiana poglądów — gdyż Miończycy to sprzeczały się, to przekonywali nawzajem.

Przez moment Taomej zawahał się i wreszcie po chwili odezwał się zakłopotany:

— Po tym, co zdarzyło się na gwiazdolocie, prawie wszyscy moi towarzysze wyrazili chęć powrotu na Miona, rezygnując z lądowania na Ziemi.

— Och! — zawołała przerażona Ania. — To niemożliwe, niemożliwe!

Taomej powtórzył argumenty załogi „Zwiastuna”, a gdy skończył głos zabrał Skribin.

— Chcę zapewnić was, że obawy wasze są próżne! Nawet w kraju, z którego pochodzi Wega i jego szajka, dla milionów ludzi byłoby niezwykłym przeżyciem gościć was u siebie — z całą pewnością zostalibyście powitani jak bracia, z wielkim zainteresowaniem, serdecznością i miłością.

— Może to i prawda, przyjacielu Skribin, ale...

— Proszę śmiało powiedzieć wszystko, Taomeju, słucham...

Ale Taomej nie od razu odpowiedział.

— Dwaj nasi towarzysze zginęli, zamordowani przez ludzi z Ziemi — powiedział po chwili. — I do tego ta podstępna próba zawładnięcia gwiazdolotem. Nie możemy o tym zapomnieć, przyjacielu Skribin. Czy Ziemianie odważą się spojrzeć nam w oczy? Wciąż gnębi nas to wszystko. Czy będziemy mogli być znów weseli i ufać im?

Skribin i Ania w odpowiedzi zaczęli przekonywać Taomeja, że człowiek zamieszkujący Ziemię wcale nie jest taki, jakim można by go sobie wyobrażać, poznawszy Wegę i jego przyjaciół. Miończycy powinni zapomnieć o tym, co ich spotkało ze strony Wegi... Ania na miejscu Taomeja z całą pewnością wybaczyłaby im wszystko... Ale dla Taomeja sprawa nie wyglądała tak prosto jak dla Ani. Zawiedziono ich zaufanie, zerwano nić wzajemnego szacunku, szczerości i uczciwości... Taomej smutno potakiwał głową, a Ania i Skribin wciąż przekonywali go, szukając rozmaitych argumentów, by Miończyk odwołał swą okrutną decyzję. Opowiadali o ludziach, którzy są szlachetni, pracowici, uczciwi. Jeszcze w pomroce dziejów, walcząc z ciemnotą, miliony światłych umysłów oddało swe życie za prawdę i szczęście innych. W płomieniach niezliczonych stosów zginęło wielu nieustraszonych uczonych i nowatorów. A ilu bojowników zawisło na szubienicach! Ilu zginęło rozstrzelanych pod murem! Iluż rewolucjonistów przelało krew w walce przeciwko ciemności, przeciwko wyzyskowi i dumnym władcom! Ludzkość zawsze walczyła o ideały wolności, braterstwa i równości, o szczęście i pokój...

— No, właśnie — poderwał się Taomej, gdy Skribin skończył swą opowieść. — A kto w takim razie prześladował i mordował tych ludzi?

Skribin zmieszał się. Tak, to prawda. To również Ziemianie prawnie sankcjonowali tyranie. A czy są jeszcze tacy ludzie na Ziemi? Tak, wsteczne, „wściekłe siły” wciąż jeszcze uzurpują sobie prawo do rozporządzania losem tych, którzy pracują pomnażając dobra — skromnych, dobrych ludzi. Czy zatem Skribin może gwarantować Miończykom, że zostaną powitani na Ziemi jak przyjaciele?

— Tak — powiedział Taomej. — Rozumiem was, lecz... — wierzył swym gościom, nie miał jednak już zaufania do wszystkich Ziemian, po tym, czego od nich doznali. Zapomnieć... Dobrze, próbuje. Lecz nie był sam. Trójka jego towarzyszy zdecydowanie wypowiedziała się przeciwko lotowi na Ziemię. Trzech przeciw jednemu. Nie, czterech, przecież i Taomej nie miał już większej ochoty na skierowanie gwiazdolotu ku tej planecie, a do tego wysłał już radiogram do Miońskiej Wielkiej Rady, relacjonujący nieszczęśliwe wydarzenia i nie mógł przed otrzymaniem nowych rozporządzeń przedsięwziąć żadnych kroków. Pamiętał, co mówiono mu przed startem: nie narażać życia Miończyków na niebezpieczeństwo. Jeśli zaistnieją nie sprzyjające okoliczności, nie lądować na Ziemi. Tak, przedtem byłby jeszcze...

I dodał:

— Przyjacielu, bardzo mi przykro. Po tym, co się stało, nie możemy lądować na Ziemi. Moi towarzysze nie zgadzają się... z wyjątkiem jednego, astronoma Elija i być może Asura, lecz on nie chce wpływać na naszą decyzję. Już powiadomiłem o wszystkim Wielką Radę. Wracamy na Miona.

Ania z przerażeniem skonstatowała, że Taomej ani słowem nie wspomniał o ich losie.

— A co z nami? — odważyła się w końcu zapytać. — Co stanie się z nami?

— Zaraz przedstawię wam pewną propozycję — uspokoił ją Taomej.

— Jaka propozycję?

— Lećcie z nami na Miona!

— Co takiego? — wykrzyknął Skribin. — Jakże tak od razu...

— Dlaczego by nie? — wtrącił się Braun. — Aniu, proszę sobie wyobrazić — lecimy na tę cudowną planetę, na której będziemy żyli tysiące lat... Wciąż młodzi...

Jego jednego nic nie ciągnęło z powrotem na Ziemię.

Był skrycie zakochany w Ani i oto zjawiała się przed nim szansa odlotu razem z nią na inną planetę i wspólnego długiego życia. Pociągała go poza tym niecodzienna podróż ku obcej, tajemniczej planecie z zupełnie innego układu gwiazdowego — wabiło życie na niej.

— Ależ, co pan mówi, panie Braun! — upomniała go Ania.

Teraz Taomej z kolei zaczął przekonywać wszystkich o urokach swej planety. Powrót na nią byłby najlepszym wyjściem w tej sytuacji. Podróż będzie trwała długie lata świetlne. W międzyczasie według kalendarza ziemskiego upłyną setki lat. A Skribin, Ania i Braun pozostaną wciąż młodzi. Czeka ich jasne, długie życie na Mionie. Później zorganizuje się ponowną ekspedycję na Ziemię i będą mogli wrócić do swej ojczyzny.

— Wtedy na własne oczy ujrzycie przyszłość swej planety, przyszłą cywilizację, która być może osiągnie stopnia rozwoju cywilizacji mionńskiej. A może już na naszej planecie spotkacie gości z Ziemi.

— Och, to byłoby cudowne! — wykrzyknęła Ania porwana obrazami roztaczanymi przez Taomeja. Cóż to za przeżycie — lot na Miona. A do tego — pozostanie wciąż młoda, pełna życia jak Asur... Pewnego dnia powrócą na ojczystą planetę i ujrzą to, co osiągnęły pokolenia, które teraz jeszcze się nie urodziły. Ale w tej samej chwili przypomniała sobie o Wedze i jego kompanach, w zamknięciu oczekujących na wyrok.

— A co stanie się z innymi? — zapytała. — Wega z całą pewnością nie zechce udać się z wami.

— Dla nich mamy inną propozycję — odparł Taomej.

Choć Ania zaczęła już omawiać z Miończykami szczegóły przyszłej podróży, Skribin powiedział zdecydowanym głosem:

— Nie, przyjacielu, nie mogę... Nie mogę porzucić swego dorobku i pracy na Ziemi. Mam zobowiązania względem swego narodu. Żyję, jestem zdrow, silny — nie mogę więc uciekać przed swym obowiązkiem.

Już i tak mocno dokuczała mu beczynność na gwiazdolicie — sensem jego życia była jedynie twórcza praca. Nie mógł żyć bez pracy — zawsze coś obmyślał, coś planował. Nawet kiedy wypoczywał, nie przestawał myśleć nad szczegółami rodzących się pomysłów, bądź też nad ulepszeniem gotowych już projektów. Nie mógł więc porzucić teraz dopiero co rozpoczętych prac nad budową kosmicznego miasta. Przecież w tej samej chwili, być może, leciały wokół Ziemi towarowe rakiety z elementami przyszłego wspaniałego miasta. Inżynierowie i technicy, ubrani w specjalne skafandry, będą je montowali w świetle niezwykle potężnych reflektorów. Miasto w kosmosie rosło tak, jak przewidywał to w swoich planach. Był to twór jego myśli. I teraz miałby opuścić to wszystko i odlecieć tak daleko, skąd być może nigdy już nie będzie mu dane powrócić?

— Nie, moje sumienie nie pozwala mi na to — powtórzył Skribin. Ania nie nalegała już. Nie mogła sprzeciwić się woli swego ojca. Należało uszanować jego życzenie.

Wówczas Taomej znalazł inne wyjście. Oznajmił, że po prostu wysadzi ich na Marsie. Mars był wciąż jeszcze pustą planetą, nikt nie kwapił się do montowania na nim jakichś budowli czy zakładów, które zajmowałyby się eksploatacją jego bogactw. Tylko czasem pojedyncza rakietka odwiedziła go w czysto naukowych celach. Drogą radiową wezwie się jakąś rakieta, która zabierze ich w drogę powrotną do ich ojczyzny...

Skribin przystał na tę propozycję.

Ale poprzysiągł sobie, że przed całym światem rozgłosi, jak przez niegodziwe postępowanie kilku ludzi Miończycy zrezygnowali z lądowania na Ziemi i wrócili na swą daleką planetę. A wtedy cała ludzkość wyrazi swe oburzenie — był o tym przekonany — i być może będzie to już śmiertelny cios, zadany temu światu, który egzystuje na przemocy, kłamstwie, podłości i niesprawiedliwości...

„Zwiastun” zatrzymał się w rejonie planety Neptun, w odległości około 4400 milionów

kilometrów od Słońca. Do Marsa było jeszcze około 4180 milionów kilometrów. Kiedy Ania dowiedziała się o tym, przerażała się. Odległość była zawrotna, lecz Taomej zdawał się nie być tym wcale poruszony. Poinformował wszystkich, że przy szybkości nieco mniejszej niż 10 000 kilometrów na sekundę, za 60 ziemskich godzin powinni się znaleźć na Marsie. Wszystko wskazuje na to, że obie planety znajdują się w niewielkiej odległości od siebie.

— Będziemy mogli obserwować obie planety z naszego obserwatorium — dodał Taomej.

— Wspaniale! — wykrzyknęła uradowana Ania.

Ich spojrzenia nagle złagodniały, a zachowanie przestało się odznaczać pychą i zuchwałością. Najniewinniej i najpoczciwiej wyglądał sam Wega. Siedział w wysokim fotelu z miłą skruszonym winowajcy. Przypominał dziecko, które uświadomiło sobie szkodliwość swego figla...

Miończycy, Skribin, Ania, Asur i Braun siedzieli w drugim końcu sali. Nieobecny był jedynie Lejmej. Na prośbę Skribina podjął się próby zreperowania nadajnika radiowego. Pracował szybko i sprawnie w kabinie wypełnionej najrozmaitszymi automatami.

— Nie zamierzamy was sądzić, gdyż nie mamy do tego prawa — powiedział powściągliwym tonem Taomej. Wega pokornie spuścił oczy. Nikt w tej chwili nie rozpoznałby w nim okrutnego, pozbawionego wszelkich skrupułów człowieka, który bez mrugnięcia okiem posługiwał się bronią.

— Przybywaliśmy na Ziemię jako przyjaciele — ciągnął Taomej. Widać było, że ledwo panuje nad gniewem. Powtórzył: — Jako przyjaciele! A wy odpłaciliście nam podłością.

— Tak, postąpiliśmy podle, ale teraz chętnie zmasalibyśmy swą winę... — odezwał się nieśmiało Jerry.

Wega, Robson i James opuścili nisko głowy. Tym gestem dawali do zrozumienia, że solidaryzują się z wypowiedzią Jerry'ego.

— Wciąż zło, zło... — ciągnął Taomej. — Czyżby czynienie zła było waszą nieodstępną cechą?

Odpowiedziało mu milczenie.

— Rozumne istoty powinny wykorzystać swą wiedzę w tym celu, by drugich uczynić szczęśliwymi, powinny żyć w zgodzie jak bracia, przeobrażać życie, stwarzać dobrobyt i radość dla wszystkich. Dla wszystkich! Każdy powinien mieć prawo do szczęścia. A wy jesteście małostkowi, wręcz żałośni w swej niedoskonałości!

Taomej podniósł głos — przemawiał jak natchniony prorok. W innych okolicznościach Wega przerwałby mu słowami: „Dosyć tego gładzenia! Pilnuj swojej roboty!” Ale teraz zdołał się nawet na to, by powiedzieć:

— Macie rację... Ale miejcie na względzie również to, że wypełnialiśmy rozkaz! A rozkaz był jednoznaczny, kategoriyczny: Polecieć na Księżyc! A wy chcieliście zawrócić nas z naszej drogi, więc musieliśmy uciec się do takiej...

Skribin zacisnął pięści, wybuchnął:

— Co za obłuda! Jesteście całkowicie odpowiedzialni za wasze postęпки! — odwrócił się do Miończyków. — Taomeju, trzeba osądzić ich według praw, które obowiązują na Ziemi!

— A czy wasze prawo jest sprawiedliwe? — odezwał się Elij.

— Oczywiście. Winowajca ponosi taką karę, na jaką zasłużył.

— A skąd wiecie, czy naprawdę zasłużył?

— Mamy spisane prawa, mamy sądy. Jeśli będzie się tolerować występki, społeczeństwo zdemoralizuje się.

— A my na Mionie nie stosujemy żadnych kar — powiedział Elij.

— Nawet wobec przestępcy?

— U nas nie ma przestępców. Nie ma sensu popełnianie przestępstwa, skoro życie jest doskonałe. Ale każdy może popełnić błąd.

Skribin wzruszył ramionami. Nie bardzo mógł sobie wyobrazić podobnie funkcjonujące społeczeństwo.

— Czyżby ten, który pomylił się, popełniał samobójstwo, aby nie stać się ciężarem dla innych?

— Ależ, jak mógł pan coś podobnego pomyśleć? — oburzył się Elij.

Taomej wyjaśnił, że najsurowszym sędzią dla każdego Miończyka jest jego własne sumienie. To bardzo surowy oskarżyciel. Prześladowuje do śmierci. Każdy pragnie być w zgodzie z własnym sumieniem.

Podczas tej wymiany zdań na temat zasad odpowiedzialności człowieka miońskiego i ziemskiego, Elij tłumaczył pozostałym Miończykom, czego dotyczy spór. Laoj orzekł, że najsprawiedliwiej byłoby sądzić Ziemian według ich ziemskich praw, ponieważ stokrotnie na to zasłużyli. Trudno bowiem przypuszczać, by odezwały się ich sumienia. Nie wszyscy też podzielali pogląd Elija, który domagał się, by nie odpowiadać złem na zło, bo i co zyskają dzięki tej zemście? Należy obudzić w nich wyrzuty sumienia i skruchę za dokonane przewinienia, aby uświadomili sobie ogrom zła, jakie wyrządzili... Szlachetność Elija wzruszyła Anię — znów zaczęła gorąco przekonywać ojca:

— Nie bądźmy tacy okrutni jak Wega. Z całą pewnością i on, i jego banda zasługują na śmierć, ale czy mamy prawo pozbawiać ich życia?

— Swoją wspaniałomyślnością możemy jedynie zachęcić ich do nowych występków — powiedział Skribin. — Do was należy decyzja, Taomeju, my podporządkujemy się jej. — I nachmurzony, skrzyżowawszy na piersiach ręce, zastygł w oczekiwaniu na wyrok.

Taomej surowym wzrokiem powiódł po twarzach siedzących przed nim oskarżonych i spokojnym głosem powiedział:

— Nie my, lecz wasze sumienie, jeśli takowe posiadacie, będzie waszym sędzią. Dla Miończyka sumienie jest zawsze najsurowszym oskarżycielem. Dopiero wtedy, gdy sami osądzicie swe postępowanie, wasza zbrodnia ukaże wam się w całej podłości.

— Dobrze — zgodził się Wega. — Postąpiliśmy podle!

Nietrudno było dostrzec, że wyznanie to było podyktowane obłudą. Ale Taomej nie zwracając na to żadnej uwagi podjął tym samym tonem:

— Przybywaliśmy na Ziemię w imię pokoju i współpracy, a powitaliście nas jako wrogowie! Niebezpieczni wrogowie. Widać nie nadszedł jeszcze czas, by ludzkość zjednoczyła się w imię zupełnego szczęścia, dobrobytu i wysokiej moralności. Dobrze, zaczekamy. Zaczekamy, aż na całej Ziemi ludzie wykorzenią swe wady i zaczną żyć we wzajemnym poszanowaniu i braterstwie.

Wega, Robson, Jerry i James spoglądali ukradkiem po sobie. Nie bardzo rozumieli, o czym mówi Miończyk.

— Opuśćcie nas! — zakończył Taomej.

— Jak to? — zapytał Wega.

— Zwyczajnie. Możecie nawet zaraz odlecieć swoim statkiem na Ziemię!

— Wszyscy?

— Tak!

Wega nie musiał się już uciekać do obłudnej gry. Niespodziewanie radosna nowina wróciła mu pewność siebie.

— Panie Skribin — odezwał się niemal czułym głosem. — Obiecuję panu solennie, że gdy wrócimy...

— Nigdzie nie polecimy z wami — przerwała mu Ania.

— Jak to? — wystraszył się Wega. — Wszystko sobie wybaczyliśmy! Jesteście wolni! Odwieziemy was na Księżyc, do waszej bazy...

W tym momencie Wega sam wierzył święcie w to, co mówił. Ale choć przemawiał tak serdecznie, Skribin nie wierzył mu. Machnął ręką, jakby opędzał się od życzliwych słów Wega.

— Jak możecie mi jeszcze coś proponować.

— Proszę mi wybaczyć, ja naprawdę... Słowo honoru!

Wega istotnie mówił prawdę, choć gdzieś w głębi duszy uświadamiał sobie, że to tylko okoliczności zmuszają go, by był szczery. Kiedy Miończycy wreszcie odlecą na tę swoją planetę, oczywiście natychmiast poradzi się Starego.

— Polecicie sami! — oznajmił Taomej.

Wega wzruszył ramionami.

— Skoro nie życzą sobie... A pan, panie Braun, poleci z nami?

Braun drgnął, jakby ukłuty końcem igły.

— Nie, z wami w żadnym wypadku! Lecę na Miona. Na Miona, rozumiecie? Kiedyś może znów wróć na Ziemię. Ale wtedy już was na niej nie będzie! Dawno już będziecie błotem i prochem! Nikt nie będzie nawet pana pamiętał, mister Wega! I pana, mister Robson i pana, mister Gordon! Tak, nikt!

Twarz mu płonęła, oczy błyszczały, a głos brzmiał twardo, gniewnie.

— Na Miona? — wykrzyknął Wega. — Czy i pan, inżynierze Skribin, leci tam? I pańska córka?

— Sami zadecydujemy, co zrobić! — chłodno odparł Skribin.

— Właśnie! — roześmiał się Wega. — Dlaczego by tam nie polecieć? Miną wieki, a wy wróćcie na Ziemię! Zazdroszczę wam, słowo daję!

Ania obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem:

— Ale dlaczego to pana tak interesuje? Skończmy już z tym tematem!

— O, bardzo go interesuje — odezwał się sarkastycznie Skribin.

Wega oddałby teraz wszystko za to, by Skribin i Ania nigdy już nie wrócili na Ziemię, lecz nie mógł odgadnąć zamiarów tej dwójki — ich wypowiedzi brzmiały dwuznacznie i nie wiedział, czy rzeczywiście zdecydowali się polecieć razem z Miończykami, czy też Miończycy odwozą ich na Ziemię.

— Kiedy wyruszyacie? — oschle zapytał Taomej.

— Zaraz! — odparł Wega. — Robson, czy wszystko przygotowane do lotu?

Poprzez ściany szklanej kabiny, w której znajdowali się odprowadzający i która nagle wjechała do sali, połyskiwał „Kosmos”, podobny do ogromnego srebrzystego cygara, wspartego na trzech stalowych nogach. Tam, gdzie cylindryczny korpus zwężał się w zaostroszoną na końcu iglicę, ział czarny otwór luku. Przypominał gigantyczne oko.

Platforma łagodnie oderwała się od posadzki. Wega, Robson, James i Jerry stali na niej z odkrytymi głowami, w rozchełstanych koszulach i wygniecionych spodniach. Ich uśmiechy były niewyraźne i nienaturalne. Machali ku zgromadzonym w szklanej kabinie, ale tylko Ania i Braun odpowiedzieli na ich pożegnalne gesty. Miończycy milczeli.

— Tatusiu, żal mi ich — szepnęła dziewczyna.

— Ech, przestań! — odpowiedział jej również szeptem Skribin.

— Słyszałem, co mówił Robson — ciągnęła Ania wcale tym nie zrażona. — Skarżył się, że mają bardzo mało paliwa. Może nie wystarczy im, by wylądować na Księżycu?

Obawy Robsona były uzasadnione. „Kosmos” zużył wiele cennego paliwa w czasie prób ucieczki przed tajemniczą rakieta. Robson ostrzegał Węgę, że istnieje ryzyko, że mogą nie zdążyć wylądować, ale Wega był niewzruszony w swym postanowieniu. Cóż w końcu może im grozić... A najważniejsze, to przecież odlecieć jak najdalej od tych Miończyków, by nie próbowali czasem zmusić ich do powrotu na Ziemię i oddać w ręce tych, wobec których dopuścili się tyłu przestępstw.

— A czy oni pytali nas, czy chcemy polecieć z nimi? — oschle odpowiedział Skribin. — Nie pytali. Sami skazali się na taki los. A Miończycy nie mogą im pomóc, bo, niestety, nie posiadają ani grama tego paliwa, którym napędzany jest „Kosmos”.

Platforma zatrzymała się obok luku. Cała czwórka wsiadających do raketoplanu jeszcze raz odwróciła się i zamachała przyjaźnie rękoma. Wega, Robson i Jerry zaraz znikli w ciemnym luku, tylko James tkwił jeszcze na zewnątrz, jakby się wahał, czy wejść do środka. Ale po chwili i on, nieco przygarbiony, ze smutnie zwieszonymi ramionami, ruszył w ślad swoich towarzyszy. Powoli zaczął opadać metalowy kołpak, zamykający wejście do raketoplanu, coraz ściślej przylegając do konturów luku.

— Pompy! — rozkazał Taomej.

W szklanej kabinie było mnóstwo rozmaitych drążków i przyrządów. Laoj nacisnął jedną z dźwigni. Raketoplan ani drgnął, ale Taomej wyjaśnił Skribinowi i Ani, że najpierw potężne pompy muszą wyssać całkowicie powietrze znajdujące się w hangarze, potem dopiero otworzy się luk, a „Kosmos” automatycznie zostanie wypchnięty w przestrzeń, lecąc jedynie na najniższych obrotach silnika.

Tym razem Ania i Skribin nie zadawali pytań. Oczy dziewczyny były smutne. Spoglądała na wielki „Kosmos”, przy którym nawet wysocy Miończycy wydawali się niepozorni, nie więksi niż muchy. Tamci wyrządzili wiele zła, to prawda, ale być może nigdy już nie staną na twardej ziemi. Myśl ta nie dawała jej spokoju.

— Widzę, że współczuje im pani? — odezwał się Taomej.

— To przecież ludzie — odparła cicho.

— Jest pani bardzo dobrym człowiekiem, Aniu!

— Dlaczego mielibyśmy im właściwie współczuć? — z nieukrywaną wrogością mówił Skribin. — Ich sytuacja wcale nie jest taka beznadziejna. Zdaje się, że udało im się wreszcie naprawić swój nadajnik i będą mogli wezwać pomocy. Może też jakaś znajdująca się w pobliżu rakiet zaopatrzy ich w paliwo, którego, niestety, my nie mamy.

Nie roztrząsali więcej tego zagadnienia, ponieważ uwagę ich pochłonęło co innego. Kołpak hangaru nagle pękł na dwoje i zarysowała się w niej ciemna, podłużna szczelina. Rosła szybko — stawała się coraz szersza, ukazując coraz więcej żółtych i niebieskich gwiazd.

„Kosmos” drgnął, oderwał się od posadzki i jakby pchnięty od spodu jakąś tajemniczą siłą, podpłynął ku szczelinie. Najpierw wysunęła się na zewnątrz długa iglica, a potem ostrożnie cały korpus przecisnął się przez otwór i zaczął powoli zniknąć na zewnątrz. Luk znów się zamknął. Nad urządzeniami w szklanej kabinie zamigotał ekran. Po chwili zarysował się na nim „Kosmos”. Statek wyrzucał z siebie rzekę płomieni i dymu, potem nagle jakby stracił równowagę — zakołysał się, jakby wahał się, w którym kierunku polecieć i po chwili ostrym zrywem ruszył w górę. Upłynęła sekunda, dwie, trzy... raketoplan stawał się coraz mniejszy, przeistaczał się w maleńki świecący punkcik, który rozpaczliwie lawirował wśród gwiazd, jakby szukał gdzieś schronienia, odpoczynku.

A potem znikł zupełnie...

Elij zaprosił Anię do jakiegoś przestronnego pomieszczenia, usytuowanego w górnej części gwiazdolotu. Sufit był tu na poły rozsunięty, a w szerokiej szczelinie tkwiły lunetami wycelowane w niebo, dwa ogromne teleskopy, umocowane na obrotowych podstawach. Teleskopy można było dowolnie kierować we wszystkich kierunkach za pomocą jakichś kół, przycisków i dźwigni. Oprócz nich mieściło się tu wiele jeszcze innych przyrządów, których przeznaczenia Ania jednak nie знаła. Przez iluminatory zaglądały do wnętrza gwiazdy. Widać je było stąd tak samo jak z Ziemi — tyle że ich blask wydawał się o wiele silniejszy i wisiały zupełnie nieruchomo, jak ogromne monety. Teleskopy przylegały tak ściśle do otworów w suficie, że wykluczało to całkowicie możliwość ulecenia powietrza z sali. Obserwujący mógł rozkoszować się obrazem nieba albo bezpośrednio przez okular, albo też mógł uruchomić

kamerę telewizyjną. Rzucała ona na ekran niezwykle wyraźnie i plastycznie obraz każdego niebieskiego ciała, które znalazło się w zasięgu teleskopu.

W obserwatorium tym Ania i Elij spędzali większą część czasu. Aparatura telewizyjna odkrywała i powiększała niewidzialne gołym okiem wyjątkowo odległe gwiazdy i planety. Na ekranie tego urządzenia Ania często oglądała z Elijem niebieskozieloną tarczę, którą Elij nazywał swą ojczyzną. Był to Mion! Przez ziemskie teleskopy nigdy nie udałoby się go dostrzec. A teraz widzi go, tak wyraźnie, więc serce bije jej radośnie... Elij zaś spogląda zachwycony swymi okrągłymi, pomarańczowymi oczyma na dziewczynę. Raczej skryty z natury, w jej towarzystwie szybko przeobraził się.

Bez końca opowiadał jej o dalekich układach gwiazdnych, o dziwnych niezbadanych planetach, o niebie nad Mionem, które wygląda zupełnie inaczej niż ziemskie, o gwiazdach, które świeciły nad Ziemią, ale nad Mionem układały się w zupełnie inne konstelacje, a ich wielkość była też inna. Opowiedział jej o podróżach „Zwiastuna”, o tym, że w bardzo nieznacznej odległości minął gwiazdę, którą Ania nazywa Proxima Centauri i w pobliżu której znajdują się dwie mniejsze, a trzy tworzą razem potrójną gwiazdę. Zauważyli również kilka planet. Krążyły po nieregularnych i niestałych orbitach, ponieważ oddziałują na nie trzy ośrodki przyciągania. Obserwacje przy pomocy aparatury zamontowanej na „Zwiastunie” pozwoliły stwierdzić, że nie istnieje na nich życie, nie wykluczone są wszakże niższe formy życia biologicznego.

Elij zgromadził niezwykle bogatą wiedzę o gwiazdnym niebie i galaktykach. Zdradził Ani, że Miończycy budują jeszcze potężniejsze gwiazdoloty, będą one poruszały się z szybkością światła, wykorzystując materię i antymaterię. Zużycie na przykład kilku ton antymaterii pozwoli na lot od jednej do drugiej galaktyki. Z kolei Ania opowiedziała mu o osiągnięciach ziemskiej astronomii. Elij słuchał z zainteresowaniem i coraz bardziej żałował, że nie będzie miał możliwości ujrzenia na własne oczy Ziemi.

— Szkoda, że niedługo będziemy musieli się rozstać — z nieukrywanym smutkiem powiedział Elij, patrząc przy tym na Anię tak ciepło, że ta mimo woli spuściła wzrok.

Kiedy nie było z nią Elija, lubiła siadać w fotelu, często w towarzystwie Asura, i patrzeć na ekran telewizyjny. Teleskop rzucał nań obraz planety, która znajdowała się akurat na wprost obiektywu i zdawała się lecieć prosto na nich. Ale było to złudzenie, gdyż w rzeczywistości gwiazdolot jak błyskawica mknął w kierunku środka układu słonecznego. Leciał jakby po czarnej i szerokiej alei wśród ogromnych, świetlistych wysp — planet. Przemknęli obok seledynowego Uranu, poznaczonego ciemnymi pasmami obłoków o różnym składzie. Słońce oblewało go światłem takiego koloru, jakim świeci o zachodzie na Ziemi. Gęsta zatruta atmosfera, w skład której wchodził amoniak i metan, ściśle otaczała planetę. Dzień trwa tam czterdzieści dwa lata i noc — czterdzieści dwa lata. Ania nie zdążyła jeszcze przyrzeć się jej zbyt dobrze, kiedy teleskop znów złowił jakiegoś złocistożółtego olbrzyma, oprawionego w feeryczny pierścień różnokolorowego światła, rzuconego na czarne jak aksamit niebo.

Był to Saturn.

Gwiazdolot miękko zmienił orbitę i skierował się ku planecie.

Olbrzym przesłaniał coraz większą część nieba. Zbliżał się w aureoli wspaniałego pierścienia, w towarzystwie krążących wokół niego satelitów, jednego, dwu, trzech... ośmiu, dziesięciu. Żłocisty dysk znaczyły poprzeczne brązowe i czerwone piętna. Z gwiazdolotu, z odległości setek tysięcy kilometrów planeta wydawała się piękna, majestatyczna. Ale Ania wiedziała, że w jej atmosferze, którą tworzyły półzamarzłe gazy, szaleją wieczne burze i cyklony, a temperatura jej sięga minus 199 stopni. Dziewczyna odnosiła wrażenie, że lada moment rozbiją się o jej powierzchnię, lecz „Zwiastun” przeleciał obok, kierując się w stronę największej planety układu słonecznego — Jupitera. Jego średnica była jedenaście razy większa od średnicy Ziemi. I ta planeta zdawała się nieuchronnie lecieć na gwiazdolot. Na

ciemnym niebie skrzyła się jak rubin, lekko spłaszczona na biegunach. Jej tarcza również była poznaczona ciemniejszymi pasmami — były to postrzępione kłęby obłoków. Ania przyznała się Asurowi, że nigdy nie chciałaby wylądować na tej planecie, bo nie było już z niej powrotu. Jupiter przyciąga ciała z siłą 28-krotnie większą niż Ziemia. Rakieta nigdy nie byłaby w stanie oderwać się od jego powierzchni. Człowiek waży tam dwie tony i zostałby zresztą całkowicie zmiażdżony na skutek takiego przyciągania. Przy tym atmosfera na Jupiterze składała się z amoniaku i metanu. Żadna żywa istota nie mogłaby oddychać takim powietrzem.

Ogromna, spłaszczona na biegunach, zimna i martwa kula płynęła w przestworzach. Ania z wielkim zainteresowaniem przyglądała się tej lodowej planecie, oświetlonej pomarańczowym blaskiem zachodzącego słońca.

— Uwaga, za chwilę ujrzymy asteroid — zapowiedział Elij.

„Zwiastun” zmniejszył swą prędkość. Na ekranie pojawił się cały rój ciał stałych. Oświetlone światłem słonecznym, podobne były ptakom różnej wielkości. Jedne płynęły wolno, drugie szybko, ale wszystkie zdawały się poruszać bez ładu, chaotycznie — aż dziw, że nie wpadały na siebie. Ania czołem przylgnęła do iluminatora, by jak najdokładniej przyjrzeć się temu nowemu zjawisku. Bez przerwy pstrykała aparatem fotograficznym, który otrzymała w prezencie od Taomeja. Ileż tu obiektów i zjawisk ciekawych dla fotografa — astronoma. Wtem asteroidy jakby zmówione, skupiły się wszystkie w jednym miejscu, by po chwili jeszcze szybciej daleko odskoczyć od siebie.

— A to co takiego? Leci prosto na nas! — krzyknęła wystraszona Ania.

— Nic strasznego — odparł spokojnie Elij — po prostu gwiazdolit mija asteroid.

Był to ogromny blok skalny o nieregularnych kształtach i ostrych występach. Wirował ze znaczną szybkością w przestrzeni, to świecąc jaskrawo na ciemnym tle, to znów tonąc w mroku. Ale bywają i asteroidy o średnicy 200, a nawet 800 kilometrów, choć i ten nie należy do najmniejszych. Już mieli go minąć, gdy obraz na ekranie zmienił się. Pojawiły się nowe asteroidy, było ich coraz więcej, jakby gwiazdolit wabił je ku sobie. Ale on zrećnie wymijał je, pozostawiając daleko w tyle, pomалу niknące w mroku.

I oto spośród błędnych asteroidów występujących niezwykle często na drodze między Jupiterem a Marsem, znów wyłania się jakaś ogromna, pomarańczowożółta gwiazda, z białymi czapami na brzegach. To Mars. Planeta świeci oślepiającym blaskiem. Jakże przepiękny jest ten ogromny, czerwony dysk, szybko przybliżający się ku gwiazdolitowi. Otacza go ledwie dostrzegalna mgiełka niebieskopomarańczowego blasku. A za nim znów tylko bezkresne, czarne tło, rozjarzone tu i ówdzie migocącymi gwiazdami. Wymiary Marsa z każdą chwilą rosną w oczach, widać już wyraźnie ogromne, jaśniejsze i ciemniejsze plamy, jedne niebieskozielone, inne czerwone i brązowe, a bieguny wciąż skrzą się olśniewającą bielą. Jakieś grube linie przecinają całą planetę. Z tej odległości nie wyglądają już wcale jak kanały — jak tłumaczą to zjawisko na Ziemi, lecz jak wielkie, ciemne plamy.

Były to po prostu ogromne przepaści, powstałe w wyniku eksplozji atomowej, która całkowicie zmieniła oblicze planety...

Zaczęło dziać się coś dziwnego. Przed chwilą wyraźnie lecieli w górę, ku planecie, a tu planeta nagle ukazuje się w dole, pod „Zwiastunem”. Gwiazdolit leciał teraz dziobem idealnie w dół, lecz już ze znacznie mniejszą szybkością, ale za to o wiele płynniej, łagodniej. Ania doświadczała nieprzyjemnych skutków działania siły przeciążenia, jak podczas gwałtownego hamowania samochodu.

Głosy z kosmosu

Spiridonow zerknął na zegarek. Cudownie! Jeszcze tylko dwie minuty i skończy swój dyżur. Za chwilę przyjdzie tu człowiek, który przejmie po nim służbę. Przez bramę wjechał już elegancki „Moskwicz”. Potem osiem minut drogi do Wiary, a potem będą mogli już razem pojechać w góry. Spędzą dwa rozkoszne dni pośród lasów, na górskim powietrzu — jedynie na noc wracając do luksusowego, słonecznego hotelu. W myślach był już za miastem, gdy wtem w słuchawkach odezwał się cichy, dziwnie piskliwy głosik:

— Halo, Ziemia...! halo Ziemia...! Wzywam radiostację „Kosmograd”. Halo, Ziemia! Słyszycie mnie? Wzywam „Kosmograd”...! Halo, Ziemia!

Nigdy żadna radiostacja nie odzywała się w ten sposób. Spiridonow nie wiedział, co o tym sądzić. Jakiś amator? Niewykluczone. Ponieważ głos uporczywie szukał kontaktu, odezwał się do mikrofonu:

— Słyszę was! Tu „Kosmograd”! Słyszę was! Tu „Kosmograd”!

Głos wyraźnie ucieszył się.

— Naprawdę „Kosmograd”?

— Oczywiście. Może pani przedstawi się wreszcie? — zaproponował Spiridonow. Trochę dziwiło go, że rozmowa tak często urywa się, a pauzy trwają dłuższą chwilę.

— Anna Skribin — przedstawił się głos.

Bojąc się, czy się nie przesłyszał, Spiridonow nachylił się nisko do mikrofonu i prawie krzycząc zapytał:

— Jak to? Nieboszczka?

— Brednie! Jestem żywa. A znajduję się na Marsie. Jest tu i mój ojciec... inżynier Skribin — poprawiła się.

Spiridonow lekceważąco machnął ręką. Znow jakiś żart. Ciekawe, kto postanowił sobie w tak niewybredny sposób żartować z niego. Ci radioamatorzy doprawdy nie mają żadnej innej roboty...

— Hej, żartownisiu, wyłączam się! — zawołał opryskliwie do mikrofonu. — Za dużo sobie już pozwalacie. Nie znacie umiaru w żartach.

Lecz głos, wyraźnie przestraszony, zawołał:

— Ależ doprawdy, jestem Anią Skribin. — Proszę mi uwierzyć... Wcale nie zginęłam, lecimy razem z ojcem pozaziemskim gwiazdolotem. Właśnie przed chwilą wylądowaliśmy na Marsie. Proszę połączyć mnie z naczelnym dyrektorem podziemnych fabryk, Aleksandrem Pawłowiczem. Czy może mnie pan połączyć zaraz?

Krople potu wystąpiły na czole Spiridonowa. To nie wyglądało już na żart. A mimo to było niewiarygodne. Cały świat wiedział przecież, że Skribin i jego córka nie żyją. A tu nagle ten głos...

— To niesamowite — wymamrotał Spiridonow odruchowo do mikrofonu, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy. — Stroić sobie żarty z takich rzeczy. Podejrzewam, że jest pani amatorką, wypróbującą nocą nowy nadajnik.

— Nie, na Boga! Jestem doprawdy Anią Skribin. A mówię z Marsa.

I zaraz potem odezwał się inny, męski głos, który wyraźnie zdenerwowany mówił:

— Aniu, pozwól mnie teraz... wcale mu się nie dziwię, że nie może uwierzyć w to, co słyszy.

Męski głos powiedział:

— Halo, tu inżynier Skribin! Proszę połączyć mnie z Aleksandrem Pawłowiczem, naczelnym dyrektorem naszych fabryk. Potem dowiecie się wszystkiego, ale teraz dawajcie mi szybko połączenie, bardzo proszę.

Spiridonow wyciągnął rękę po słuchawkę telefonu, wykręcił numer i kiedy odezwał się głos telefonistki, szybko rozkazał:

— Błyskawiczna dla radiostacji „Kosmograd”. Łączyć natychmiast z dyrektorem Aleksandrem Pawłowiczem!

Telefonistka łączyła jak mogła najszybciej i na ekraniku wideofonu ukazała się sylwetka rośłego, szpakowatego mężczyzny.

— Towarzyszu Aleksandrze Pawłowiczu — zaczął Spiridonow. — Stało się coś niesamowitego, wręcz niewiarygodnego. Zgłosiła się radiostacja z ...

— Połączyliście mnie? — przerwał mu nagle zniecierpliwiony głos Skribina. — Proszę mnie pozostawić wyjaśnienie wszystkiego.

— Proszę mówić.

Upłynęło kilka sekund i nagle jakiś bardzo oddalony głos powiedział:

— To pan, Aleksandrze Pawłowiczu? Jak się masz, przyjacielu? Zdaję sobie sprawę, że jesteś zaskoczony, to rzeczywiście brzmi fantastycznie, ale to doprawdy ja, Skribin. Jak widzisz, żywy. Ania jest tu ze mną. Cała ta historia to po prostu zwyczajne, świetnie zorganizowane porwanie, sprytnie obmyślony szantaż. Uratowali nas Miończycy. Właśnie przed chwilą ich gwiazdolot wylądował na Marsie. Słyszysz mnie?

Na ekranie dobrze widać szerokie i dobronudne oblicze Aleksandra Pawłowicza. Wygląda tak, jakby stracił mowę. Spiridonow patrząc nań, widział, że raz sięga po ołówek, raz po bibułę, podnosi jakieś przedmioty, to znów odkłada je na bok, porządkuje jakieś kartki i nie może poza nieartykułowanym bełkotem wydobyć z siebie ani słowa.

— Aleksandrze, słyszysz mnie? — powtarza pytanie Skribin.

Wreszcie dyrektor odzyskuje mowę, ale są to słowa, nie pozostające w żadnym z sobą związku:

— No, ale jak to tak? Ty? Skribin? Do diabła! To nie twój duch?

A jednocześnie nie może ukryć podziwu dla Fadiejewa. „Ten Fadiejew to ci dopiero jasnowidz. Przecież to on twierdził, że Skribin został uprowadzony. Jak do tego doszedł?” Fadiejew pełnił funkcję naczelnika wydziału w organach bezpieczeństwa i rzeczywiście dwa razy zachodził do niego, wypytywał o kontakty Skribina, o jego nawyki, nawet o jego charakter. Uczepił się myśli, że ta niejasna historia pachnie zbrodnią.

Głos w słuchawce dochodził jakby z zaświatów:

— Słuchaj, mój drogi. Znasz zapewne wzór stopu „Er”, z którego przeważnie budujemy kosmiczne miasta, prawda?

— Owszem, znam — odpowiedział Aleksander Pawłowicz. — No i co z tego?

— Znają go tylko trzy osoby: ty, ja i ten asystent — inżynier chemik — Nikitin. Słuchaj uważnie:

I Skribin szybko i bezbłędnie wyrecytował wzór. Aleksander Pawłowicz przełknął ślinę i powiedział:

— Skribin, czy to doprawdy ty?

— No, oczywiście, niech cię licha porwie. Zresztą zawołaj jeszcze inżyniera Nikitina. On z całą pewnością rozpozna mój głos, bo ty już go zapomniałeś. I jeszcze jedno, mój drogi. Ja i Ania znajdujemy się teraz na Marsie. Miończycy proponują nam, byśmy polecili z nimi na planetę Mion. Słyszysz mnie? Wiem, że to brzmi zupełnie niewiarygodnie, lecz postaraj się, jeszcze choćby przez chwilę nie zemdleć. Nie mam ochoty zostawiać swojej roboty. Ale Ania waha się. Dziś znowu chciała mnie przekonać. Taomej nalega, ale Ania na szczęście zostawiła mi prawo decyzji. Co mi radzisz?

— Zaczekaj no... Kto to są ci Miończycy? — przerwał mu dyrektor.

— Jak by ci to powiedzieć — zawahał się Skribin. — No, Miończycy, są jak ludzie... niemal jak my, tylko że więksi. A co za kultura, co za technika! Ale o tym później. Słuchaj! No, poradźcie mi! Ja wprawdzie zdecydowałem się odmówić im i nawet już odmówiłem, ale

oni wciąż ponawiają zaproszenie. Tylko Braun od razu zdecydował się polecieć z nimi.

— Kto to znowu ten Braun?

— Potem wszystko ci opowiem. Teraz tylko słuchaj. Z Miończykami nawiązujemy stały kontakt. Oni mają o wiele doskonalsze nadajniki niż my... moc wręcz niepojęta. Obiecywali pozostawić mi jeden, jeśli zdecyduję się nie lecieć z nimi... Przywiozę go na Ziemię; odtąd będziemy mogli utrzymywać z nimi stały kontakt. Słyszysz mnie? Halo! Miończycy zostawiają nam zapasy na jeden miesiąc. Za dwa tygodnie może tu przylecieć rakieta. Wylądowaliśmy w rejonie Wielkiego Kanału. Będę utrzymywał łączność z rakieta. Słyszysz mnie?

Aleksander Pawłowicz nie odpowiedział. Straciwszy przytomność, padł na biurko. W jednej ręce, leżącej bezwładnie na szklanym blacie, ścisnął słuchawkę telefoniczną. Wtedy rozmowę podjął Spiridonow.

— Halo, halo! Słucham pana, panie Skribin. Proszę mówić dalej.

— Dobrze, proszę zanotować! Prosimy, by rakieta wylądowała na Marsie w rejonie Wielkiego Kanału. Zrozumiał pan?

— Zrozumiałem.

— W porządku. Wyłączam się. Dokładnie za piętnaście godzin odezwę się znowu.

Przeczcucia Fadiejewa

Ślad nagle się urywał.

I co teraz?

Fadiejew siedział przy biurku z groźnie ściągniętymi brwiami. Po raz trzeci już czytał szczegółowe sprawozdania ze śledztwa, pieczołowicie ponumerowane i ułożone w zielonej teczce. Ale nie doszukał się w nich niczego szczególnego, niczego, czego mógłby się uczyć... Cóż za beznadziejna sprawa! A mimo to trzeba było przedsięwziąć jakieś kroki. Musi z tej gmatwaniny zdań wyłowić jakiś bardziej interesujący fragment i złapać się tej ostatniej możliwości, która być może popchnie śledztwo we właściwym kierunku.

Lecz od czego zacząć?

Wtem zadzwonił telefon. Fadiejew ujął słuchawkę i rzucił do telefonu szorstkie:

— Fadiejew! Słucham!

— Naczelnik? — pytał czyjś wzburzony głos.

— Tak, co się stało?

— Tu Spiridonow. Radiotelegrafista z radiostacji dalekiej łączności „Kosmograd”. Muszę wam coś zakomunikować. Przed chwilą rozmawiałem z inżynierem Skribinem.

Brwi Fadiejewa uniosły się do góry. Oprócz tego niczym nie zdradził swego zaskoczenia. Całkiem spokojnie odparł:

— Skąd dzwonił?

— Z Marsa.

Nie, to było już niewiarygodne — Fadiejew nie wiedział zupełnie, co o tym sądzić. Ale zmarszczywszy czoło, zapytał krótko:

— Słuchajcie, czy wy na serio jesteście z radiostacji „Kosmograd”?

— Oczywiście. Ale rozumiem pana — wtrącił szybko Spiridonow... — I na mnie spadło to wszystko jak grom z jasnego nieba. Lecz jeśli pan nie wierzy, proszę wyłączyć się, a za chwilę wykręcić numer naszej radiostacji „Kosmograd” i poprosić Spiridonowa. Będę przy telefonie.

Łączność przerwała się. Fadiejew zawahał się przez moment, ale po chwili wykręcił

numer radiostacji. Telefonistka natychmiast połączyła go ze Spiridonowem.

— No, przekonał się pan? — odezwał się. — Podtrzymuję to, co powiedziałem przed chwilą — rozmawiałem ze Skribinem, który znajduje się na Marsie. Okazuje się, że on żyje. Żyje! — powtórzył wyraźnie wzburzony Spiridonow. — Żyje również jego córka. Skribin rozmawiał już także z Aleksandrem Pawłowiczem, naczelnym dyrektorem podziemnych fabryk, sam ich łączyłem... — tu burzliwy potok słów jakby trochę osłabł, głos Spiridonowa trochę przycichł, ale po chwili znów płynął z poprzednią siłą. — Niewątpliwie jestem również bardzo zaskoczony tym wszystkim, towarzyszu Fadiejew, i przyznam się, że sam również podejrzewam trochę, że mamy do czynienia z jakąś mistyfikacją...

— Niewykluczone — odparł Fadiejew. W uszach mu szumiało. Triumfował. Lecz przyzwyczał się nie okazywać tego, co przeżywał, więc obojętnym na pozór głosem mówił spokojnie do słuchawki:

— Dziękuję panu. Będę u was za dziesięć minut i poproszę pana o powtórne zrelacjonowanie mi tej rozmowy.

W samochodzie Fadiejew jeszcze raz odtwarzał sobie w pamięci to wszystko, co zdarzyło się po zniknięciu Skribina i jego córki. Zbrodnia została niewątpliwie obmyślana bardzo dokładnie, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Fadiejew czepiał się różnych poszlak, ale zawsze prowadziły one śledztwo w ślepą uliczkę. No, i wtedy zniechęcił się...

Wszystko zaczęło się od tego dnia, gdy nad brzegiem morza, w którego falach utonął samochód Skribina, zebrali się oficerowie — kryminalodzy i funkcjonariusze z organów bezpieczeństwa. Stalowe ramię pływającego dźwigu właśnie przed chwilą wydobyło szczątki pojazdu. Na przybrzeżnych kamieniach leżały zwłoki Nikołajewa, kierowcy Skribina. Lekarz poddawał je dokładnym oględzinom. Przypatrywał się temu stojący z boku Fadiejew.

— Tak, nie ma wątpliwości, że mamy do czynienia z uduszeniem — orzekł lekarz, oglądający teraz przez lupę ręce szofera.

— Ale te ślady tutaj... hm! — kiwał głową i wciąż nie odrywał wzroku od rąk Nikołajewa. Potem wstał i powiedział: — Wyraźne ślady sznura. Proszę spojrzeć! Skóra na przegubach starta do krwi, są i sińce.

— Ciekawe, w jakich okolicznościach to się stało? — dziwił się lekarz, nie odrywając oczu od podejrzanych blizn. — Czyżby miała tu miejsce bójka? No bo jak inaczej to wytłumaczyć? Może uda nam się rozwiązać tę zagadkę, gdy znajdziemy zwłoki inżyniera i dziewczyny.

Nurkowie uważnie, kamień po kamieniu, przepatrywali dno na wyznaczonym im terenie. Przetrząsnięto nawet większe skupiska wodorostów. Potężne reflektory najdoskonalszego batyskafu penetrowały metr po metrze całą zatokę. Ale zwłok nie znaleziono. Co by to mogło oznaczać? Czyżby zostały zjedzone przez rekiny? Lecz rekinów tu się nie spotykało. A może to wiry wciągnęły ciała pomiędzy skały? Ale i tu niczego nie znaleziono. Może woda zniosła je na pełne morze? No cóż, zaczekają dzień, dwa — morze z całą pewnością wyrzuci je na brzeg.

Upłynęły trzy dni.

Na czwarty dzień z wydziału kryminalnego przekazano Fadiejewowi wiadomość, że w krzakach na odcinku szosy między willą Skribina a miastem znaleziono porzucony motocykl.

— Kiedy został znaleziony? — zapytał Fadiejew.

— Dziś jest piątek... tak... w środę — odpowiedział oficer.

Fadiejew oburzony zwymyślał go.

— I, do diabła, nie raczyliście mnie nawet o tym powiadomić?!

— Uważaliśmy, że ten przypadek interesuje jedynie wydział kryminalistyki. Ale dziś pomyślałem sobie, że ten motocykl może mieć jakiś związek ze sprawą Skribina.

— Spóźniony zapłon, przyjacielu! — Fadiejew nie krył swej drwiny. — No ale cóż, stało się. Trzeba natychmiast wyjaśnić tę sprawę. Zaraz będę u was!

Motocykl został przewieziony na plac przed budynkiem milicji kryminalnej. Była to potężna maszyna, o dosyć oryginalnych kształtach, lśniąca zielono-oliwkowym lakierem. Dostrzegli w niektórych miejscach ślady poważnych zadrapań.

— Numer rejestracyjny bez wątpienia fałszywy? — zapytał Fadiejew.

Młody, trochę zarozumiały oficer, dokonujący lustracji motoru, zarumienił się.

— Nie wiem — przyznał się. — Motocykl stoi już u nas od dłuższego czasu i nie możemy doczekać się, aż zgłosi się jego właściciel. Zresztą mogę zaraz sprawdzić.

— Już dawno powinniście to zrobić! — po raz drugi już dziś Fadiejew nie potrafił ukryć swego zdenerwowania.

Okazało się, że motocykl jest zarejestrowany jako własność automobilklubu. Tam z kolei przypomniano sobie, że istotnie, jakiś człowiek przed paroma dniami wypożyczył go, opłacając z góry należność za cały tydzień. Wypożyczającym okazał się Willi Braun, skrzypek grający w orkiestrze restauracji „Wesołe Bekasy”.

Fadiejew wskoczył do swego samochodu i całym gazem pomknął w kierunku restauracji. Zapiszczały przeraźliwie hamulce i Fadiejew po chwili już siedział w gabinecie kierownika lokalu.

— Chciałbym zobaczyć się koniecznie z jednym z waszych muzyków, z panem Willi Braunem — powiedział Fadiejew.

— Niestety, proszę pana, wziął miesięczny urlop — odpowiedział uprzejmie kierownik.

— A czy może mi pan podać jego prywatny adres?

Z adresem w kieszeni, w towarzystwie swego nieodstępnego asystenta, Kostowa, Fadiejew stanął przed drzwiami, na których widniało nazwisko muzyka. Nacisnął guzik dzwonka, ale z wewnątrz nikt się nie odzywał. Stali cierpliwie pod drzwiami, co chwila naciskając dzwonek, a w końcu zaczęli rozpytywać sąsiadów. Okazało się, że nie widzieli Brauna już od 4—5 dni. Wówczas Fadiejew, wróciwszy do biura, rozkazał, by sprawdzono, czy ten Willi Braun kontaktował się kiedykolwiek ze Skribinem lub jego córką. Niestety, śledztwo znów utknęło na martwym punkcie, gdyż żadnych kontaktów między tymi ludźmi nie stwierdzono. Kim jest w ogóle ten muzyk? To okazało się dosyć łatwe do sprawdzenia, opinia wszystkich była zgodna — był to człowiek skromny, cichy, raczej nietowarzystki, chory, co uczyniło go być może trochę samotnikiem — nie stwierdzono, by przyjaźnił się z kimkolwiek...

Fadiejew zdenerwowany, palił papierosa za papierosem. Poprzez zasłonę zalegającego gęsto w pokoju dymu trudno było dojrzeć cośkolwiek za oknem — ale Fadiejew uporczywie gapił się na błękitniejący w oddali łańcuch górski, jakby tam kryło się rozwiązanie trudnej zagadki.

Wtedy zjawił się rybak.

Przyszedł tego samego popołudnia — ogorzały, zdrowy mężczyzna w szerokim kapeluszu z obwisłym rondem. Nogawki spodni miał wepchnięte do gumowych butów. Skóra twarzy wysuszona, wysmagana wiatrem, a w zębach tkwiła czarna fajka.

Rybak zrelacjonował wydarzenia pewnej bezsennie spędzonej przezeń nocy, kiedy to chory ząb nie pozwalał mu usnąć i zmusił go do szukania ukojenia w chłodzie wiejącym od morza. Było to na kilka dni przed wypadkiem inżyniera i tej dziewczyny.

O katastrofie dowiedział się z gazet. Ich ciał podobno nie odnaleziono i niektóre gazety przebąkiwały, że kto wie, czy nie mamy do czynienia z przestępstwem. I wtedy rybak pomyślał, że być może ma z tym coś wspólnego czarny samochód.

— Jaki samochód? — zapytał wyraźnie zainteresowany Fadiejew.

— Nie wiem... szedłem sobie po piasku brzegiem morza, a gdy zbliżyłem się do swojej barki, niedaleko Samotnej Gejszy dostrzegłem samochód. Nie było go przedtem. Skąd się tu wziął, skoro nie zauważyłem, by mijał mnie jakiś pojazd? Wydawało mi się to dziwne, ale potem przestało mnie to obchodzić. Widać nie zauważyłem go i już. Gdy doszedłem do skały, samochód ruszył w stronę miasta. Ludzi, niestety, nie dojrzałem. To był wielki, czarny wóz,

takich dużych niemal nie spotyka się w naszym mieście...

Fadiejew zarządził, by wszczęto ponowne śledztwo. Sprawdzone setki czarnych samochodów, ale właściciele ich zawsze okazywali się szanowanymi powszechnie obywatelami. Dopiero Kostow zgadał się z jakimś sprzedawcą w sklepie spożywczym, który opowiadał mu, że widział oryginalny czarny samochód — opływowymi kształtami i wydłużoną linią przypominający Łódź. Sprzedawca widział go ze dwa razy — parkował bowiem na ulicy przed sklepem. Okazało się, że przy najbliższej przecznicy mieszka właśnie Braun. Wszystkie ślady zaczęły zatem prowadzić do tego samego miejsca. Fadiejew kazał sporządzić spis turystów mieszkających tego dnia w hotelu. Przyniesiono mu bardzo długą listę. Część z nich przebywała jeszcze w mieście, część wyjechała.

— Dowiedźcie się, kto z nich przyjechał i wyjechał czarnym samochodem — zarządził Fadiejew.

Tylko dwu posiadało czarne auta. Jedno okazało się „Wołgą”, drugie „Wartburgiem”.

— Ślepy zaułek! — wściekał się Fadiejew.

Ale już zaczynała mu świtać możliwość wydostania się z tego zaułka. Zaczął jeszcze raz od mieszkania Brauna. Znów niepokoił sąsiadów, lecz tym razem nie pytał o muzyka. Interesowało go, czy nie widziano Brauna ostatnio w towarzystwie jakiegoś obcego człowieka.

Niestety, nie widziano...

— Ta sprawa wpędzi mnie do grobu — wzdychał Fadiejew na próżno usiłując zasnąć. Pewnego dnia o świcie zadzwonił telefon. Jakiś człowiek, mieszkający naprzeciw Brauna, opowiedział, że gdy wieczorem rozmawiali w domu na temat nagłego zniknięcia muzyka, matka — staruszczyca spędzająca całe dni przy oknie z robótką w ręce oświadczyła, że dwa razy zauważyła Brauna wychodzącego z domu. Towarzyszył mu jakiś nieznajomy, młody i niesłychanie wytworny człowiek. Wsiedli razem do czarnego samochodu i odjechali...

I znowu nic urywała się. Nikt nie umiał już powiedzieć niczego więcej o nieznajomym, który odwiedził Brauna w jego mieszkaniu, w dniu poprzedzającym zniknięcie. Fadiejew ani rusz nie mógł znaleźć następnego ogniwa w tym długim łańcuchu poszlak. Po obiedzie razem z Kostowem wybrali się służbowym samochodem nad morze. Jechali autostradą zatrzymując się przed każdą willą i pytając właścicieli, czy nie widzieli rano, w dniu katastrofy, czarnego samochodu, kierującego się w stronę morza. Jakiś zgarbiony ogrodnik pokiwał w odpowiedzi krótką bródką i odparł, że widział, ale dwa samochody. Jeden koloru szarego, a za nim zaraz pędził wielki czarny samochód. Czy pamięta kiedy to było? Niestety, nie pamięta. Może było to nawet w dniu katastrofy...

— Dziękuję panu — powiedział Fadiejew i wtem przypomniał sobie jeszcze pewien istotny szczegół.

Był zły na siebie, że dopiero teraz o tym pomyślał. Trzeba było to od razu sprawdzić.

— Kostow! — zawołał. — Pamiętasz dobrze ten dzień, kiedy jechaliśmy na miejsce katastrofy?

— Oczywiście, a dlaczego?

— Pamiętasz? Gdy nurkowie dopiero co opuścili się w morze, na szosie zatrzymał się jakiś samochód. Bodajże „Moskwicz”. W środku siedział chłopiec z dziewczyną, przypominasz sobie?

— Pewnie. Pytali, co się stało. Wiśniowa karoseria, pamiętam — odpowiedział bez wahania Kostow. — Zaczęliśmy pogawędkę i z rozmowy wywnioskowałem, że chłopiec pracuje w sąsiednim mieście P. jako inżynier — specjalność melioracja, a ona jest laborantką w naszej podziemnej fabryce. Pamiętam jeszcze, że ona była blondynką — ładna dziewczyna o błękitnych oczach, wciąż spoglądała na zegarek i mówiła, że boi się spóźnić do pracy...

— W porządku, starczy! Muszę ci wyznać, że jestem dziś bardzo z ciebie zadowolony — roześmiał się Fadiejew. — No to jedziemy jeszcze w to jedno miejsce!

Po upływie dwudziestu minut byli już w fabryce. Poprosili kierownika laboratorium,

aby zwołał wszystkich swych pracowników. Jedna po drugiej, do pokoju weszło około dwudziestu dziewcząt. Wszystkie spoglądały ze zdziwieniem i lekkim niepokojem na gości.

— To była taka mała kontrola, panienki — powiedział żartobliwie Fadiejew. — Po prostu musimy odnaleźć z bardzo ważnych powodów pewną młodą osobę, która rano 27 czerwca, to znaczy w dniu, w którym zdarzyła się ta nieszczęsna katastrofa, w której zginął Skribin z córką, jechała w towarzystwie młodego inżyniera z miasta P. autostradą do Kosmogradu. Odnalezienie tej osoby, jak mówiłem, jest bardzo ważne dla ustalenia bliższych szczegółów katastrofy. Dziewczyna wraz ze swym towarzyszem zatrzymali się w rejonie katastrofy i przyglądali się wydobywaniu z morza samochodu Skribina.

W gabinecie zapanowała absolutna cisza. Upływały sekundy, jedna, dwie, trzy... Wreszcie jedna z dziewcząt o dużych niebieskich, teraz wyraźnie przestraszonych oczach, podniosła się z miejsca.

— To byłem ja. Mój narzeczony odwoził mnie samochodem do pracy.

— Dziękuję pani. Wszyscy inni mogą już odejść.

Gdy pozostali sami, Fadiejew poprosił dziewczynę, by usiadła obok niego, a potem wciąż nie przestając się do niej uśmiechać, by pokonać jej onieśmienie i lęk, powiedział:

— Proszę sobie dokładnie przypomnieć, czy przedtem, nim zatrzymaliście się na miejscu wypadku, zwrócił waszą uwagę jakiś wielki, czarny samochód?

Dziewczyna zastanowiła się.

— Nie! — powiedziała w końcu z pełnym przekonaniem.

— Jest pani tego pewna?

— Pamiętam wszystko dokładnie. To był cudowny poranek. Morze było tego dnia zupełnie spokojne, a szosa pusta. Właśnie rozmawialiśmy o tym z Kola. Ja wciąż przynaglałam go do szybszej jazdy, bo bałam się spóźnić do pracy. Ale on się śmiał i mówił, że niepotrzebnie się denerwuję, bo przecież moja zmiana zaczyna pracę dopiero o jedenastej. Tak, pamiętam to dokładnie.

— Hm! — chrząknął Fadiejew. — To ciekawe. Byłbym już zupełnie przekonany, gdyby to wszystko potwierdził jeszcze pani narzeczony. Zaraz poproszę, by zwolniono go dziś z pracy. Czy ma pani ochotę pojechać z nami?

— O, tak!

Po godzinie dojechali do P. Młody inżynier potwierdził w całości zeznania swej narzeczonej — nie, nie widzieli żadnego samochodu.

Fadiejew pożegnał więc młodzieńca, podziękował za zeznania i odwiózł dziewczynę do fabryki. Potem zamknął się w gabinecie, wezwawszy uprzednio do siebie Kostowa i znów wrócił do sprawy Skribina.

— Jestem zupełnie pewien, że katastrofa została sprytnie wyreżyserowana — zaczął. — A Skribin i jego córka zostali w międzyczasie porwani.

— Ale jak im się to udało? — Kostow wciąż jeszcze sceptycznie podchodził do hipotezy swego szefa.

— Po prostu posłużyli się uniwersalnym pojazdem. Musimy zaraz koniecznie ustalić miejsce ich pobytu.

I tu urywały się wszelkie ślady.

Jeszcze dwa razy udawał się Fadiejew samotnie na miejsce katastrofy — całymi godzinami maszerował kamienistym brzegiem, z wzrokiem utkwionym w morze, jakby stamtąd oczekiwał jakiejś pomocy — a może czekał, aż wyłoni się z głębi tajemniczy czarny pojazd? Ale morze odpowiadało jedynie monotonnym szumem fal, rozbijających się o brzeg. W górze pomykały mewy. Fadiejew obserwował je z lekką zazdrością: „Ech, gdyby te ptaki mogły myśleć i mówić. Kto wie, czy któryś z nich nie okazałby się świadkiem wydarzeń, które rozegrały się w tym miejscu”. Ślad wciąż prowadził do Brauna i tego obcego człowieka, który mu towarzyszył. Kim byli naprawdę ci ludzie? To należy ustalić w pierwszym rzędzie. Fadiejew

rozpoczął poszukiwania od restauracji „Wesołe Bekasy”. Jeszcze raz szczegółowo i cierpliwie przesłuchał wszystkich członków orkiestry, kolegów i resztę obsługi. Wypytywał o życie, zwyczaje, kontakty i w ogóle zachowanie się Brauna.

Ale nie znalazł niczego, co mogłoby pchnąć śledztwo na właściwe tory. Sprawa była bardzo zagmatwana, niejasna. Po tygodniu Fadiejew stracił już wszelką nadzieję, choć jeszcze nie mógł całkiem zapomnieć o tej sprawie — często zamyslał się na dłuższą chwilę, a do współpracowników odnosił się opryskliwie lub wręcz niegrzecznie.

I wtedy właśnie zadzwonił Spiridonow... Teraz, gdy jechał do radiostacji, wróciły mu dawna energia i humor. Wcale nie była dlań zaskoczeniem wiadomość, że Skribin i Ania żyją. Ale oto już gmach biur radiostacji. Spiridonow powtórzył mu słowo w słowo swą niedawną rozmowę ze Skribinem i Anią.

— Hm! Dopiero za piętnaście godzin — powtórzył niecierpliwie Fadiejew. — A czy nie moglibyśmy zaraz połączyć się z Marsem?

Spiridonow postanowił spróbować. Długo usiłował złapać tę długość fal, na której odezwała się niedawno planeta, lecz na próżno. Mars nie odpowiadał. Pot zrosił czoło radiotelegrafisty. Czyżby doprawdy był to tylko głupi żart? A on wciągnął w tę sprawę już i innych ludzi...

— Podejrzewam, że był to tylko jakiś głupi żart — powtórzył po raz trzeci Spiridonow.

— Nie wierzę! — odpowiedział mu Fadiejew.

Radiotelegrafista wzruszył ramionami. Skąd ta pewność? A może organa bezpieczeństwa mają już jakieś dodatkowe wiadomości?

— O której, powiedzieliście, ma odezwać się Mars?

Spiridonow odruchowo spojrział na zegarek.

— Jutro około siódmej rano.

— W porządku. Będę jutro punktualnie. A teraz odwiedzę jeszcze Aleksandra Pawłowicza.

Na Marsie

— Czy macie ochotę pospacerować po Marsie? — zapytał Taomej.

Ania sądziła, że ubrani w skafandry zrobią mały spacer po roztaczającej się obok równinie. Lecz Taomej powiedział, że polecą zapasowym raketoplanem. Był to miniaturowy pojazd o wrzecionowatym kształcie i krótkich skrzydłach. Na jego pokładzie mieściło się dziesięciu pasażerów. Taomej zdecydował, że polecą z nim tylko Ania, Skribin, Asur i Braun. Pozostali Miończycy mieli tymczasem zmontować wielki namiot pod szklaną kopułą hermetycznie zamykającą dopływ marsjańskiej atmosfery. W namiocie tym mieli zamieszkać Ania ze Skribinem do czasu przybycia ziemskiej rakiety.

Braun postanowił pomóc Miończykom w budowie. Tak bardzo żył czekającą go podróżą na planetę Mion i tak poważnie wziął się do nauki języka miońskiego, że starał się zawsze przebywać tylko w ich towarzystwie, a oni odplacali mu cierpliwym, pełnym życzliwości prowadzeniem z nim konwersacji.

Otworzyły się jakieś boczne drzwiczki gwiazdolotu i wysunął się z nich raketoplan. Przypominałby zupełnie zwykły ziemski samolot, gdyby nie o wiele krótsze i szersze skrzydła. Ania, Skribin, Taomej i Asur siedzieli w przestronnej kabinie, w której znajdowało się sześć ogromnych wygodnych foteli i trzymali na kolanach swoje skafandry.

Silnik rozpoczął pracę. Raketoplan oderwał się od gwiazdolotu i niemal pionowo po-

mknął w górę. Wszyscy przyłgnęli do małych, okrągłych okienek i z zainteresowaniem zaczęli obserwować marsjański krajobraz. Choć nie było widać wcale chmur, powietrze miało rudoceglasty kolor. W górze rozpościerało się dziwne niebo, ołowianostalowe z nieznacznym odcieniem błękitu. Słońce było trzy razy mniejsze niż na Ziemi i działanie jego promieni było też o wiele słabsze. Ale jak i na Ziemi ich dotyk był najmiłszą pieśczęcią. Nad horyzontem wisiały nieruchomo ceglaspomarańczowe obłoki pustynnego pyłu.

W dole rozciągał się Mars. Ziemia miejscami równa jak stół, ogołocona ze wszystkiego, to znów pofałdowana — poznaczona czarnymi szczelinami przepaści. W oddali widać było nawet niewysokie, zaokrąglone na szczytach pagórki.

— Czyżby Mars pozbawiony był roślinności? — wykrzyknęła zdumiona Ania, spoglądając na wysuszoną, ceglastą glebę, nad którą wisiały jedynie obłoki pyłu. — Co za posepna, brzydka i tak straszliwie popękana pustynia!

Taomej wyjaśnił, że gwiazdolot wylądował w okolicach równika, wzdłuż którego rozciąga się żółtobrunatna pustynia.

Lecieli niezbyt szybko. Szybkościomierz wskazywał przeciętną prędkość około pół miońskiego kilometra na sekundę (mioński kilometr odpowiadał dwu ziemskim kilometrom). Tak nieznaczna prędkość pozwalała dokładnie przyjrzeć się powierzchni planety. Widoczność utrudniały trochę obłoki czerwonego pyłu. Po pewnym czasie pustynia ustąpiła miejsca terenom o niebieskozielonym kolorze. Taomej uruchomił automatyczny dalekowizjer. Na wielkim, metrowym ekranie ukazał się z bliska krajobraz planety. Wśród szarozielonych połaci połyskiwały wielkie, lustrzane tafle.

— Czyżby to była woda? — zdziwiła się Ania.

Tak, były to istotnie płytkie jeziora, występujące często na północy. Ich kontury wyraźnie się zieleńiły. Taomej znów uruchomił jakieś urządzenie. Obraz zaczął szybko się przybliżać.

— Ależ to roślinność. Tatusiu, spójrz! Drzewa i krzaki! Jaka bujna roślinność! — zachwycała się Ania.

Na ekranie zupełnie wyraźnie widać było poszczególne drzewa i krzaki. Zresztą już i bezpośrednio z raketoplanu można było przekonać się, czym były w istocie owe niebieskozielone plamy. Z równej na ogół powierzchni czasem tylko wychylał się kopulasty pagórek, często porośnięty trawą. Ale oto na ekranie pojawiła się północna okolica Marsa — wielkie, zupełnie białe połacie — Anię cieszył ich widok tak samo jak na Ziemi pierwszy śnieg. Rozpoznała, że są to te same białe czapy, które tylekroć obserwowała z Ziemi. Białe czapy śniegu i lodu w okolicach marsjańskich biegunów.

I znów skierowała wizjer w dół. Pośród traw pomykało jakieś zwierzę. Wiedziała, że na Marsie żyją jeszcze jakieś owady, ptaki i ssaki, zdegenerowane, zdziczałe, przypominające trochę ziemskie psy i koty, ale większość przystosowała się już do życia w nowych warunkach, szczelnie opancerzywszy swe ciała albo też kryjąc się pod ziemią niczym krety. Owadów występowało tu też ponoć o wiele mniej gatunków niż na Ziemi. Lecz z raketoplanu trudno było Ani czynić jakieś porównania...

Przyrządy rejestrowały gęstość atmosfery, ciśnienie, stan obecności w powietrzu tlenu, azotu i innych gazów — okazało się, że występują one na Marsie w bardzo nieznacznym ilościach. Ania ze zdumieniem obserwowała, że wszelkie wyliczenia, dokonane przez aparaturę na pokładzie raketoplanu, ściśle odpowiadały wynikom pomiarów dokonanych teoretycznie przed kilku laty na Ziemi.

— Łądujemy! — oznajmił Taomej. — Polecimy teraz bardzo wolno, na wysokości zaledwie stu metrów. Uwaga!

Samolot opadał w dół, stopniowo zmniejszając szybkość. Ale szybkościomierz wciąż jeszcze ukazywał prędkość około 250 miońskich kilometrów na godzinę. Wszystko w szalonym pędzie uciekało do tyłu i Ania zapytała, czy dałoby się zmniejszyć szybkość.

— Ależ możemy w ogóle zatrzymać się — powiedział Taomej.

— To cudownie! Bardzo chciałabym zobaczyć, co tam jest — powiedziała Ania wskazując ręką w dół.

Rakietoplan znieruchomiał na wysokości dziesięciu metrów nad powierzchnią planety. W dole czernił się las. Drzewa rosły w nim gęsto — miały brązowe pnie i błękitne liście. Bezkresne przestrzenie porośnięte lasem — i nic innego poza tym, a mimo to las wydawał się martwy; patrząc nań mrowie przechodziło człowieka.

— Czy nie moglibyśmy tu wylądować? — znów zapytała Ania.

Ale Taomej zwlekał z lądowaniem. Zamierzał najpierw okrążyć całą planetę, obejrzyć ją ze wszystkich stron. Zresztą, w lesie tym nie dostrzegł ani jednej polanki, ani jednej łączki porośniętej kwiatami. Czy na Marsie rosły w ogóle kwiaty? Do tej pory ich nie dostrzegli, lecz chyba były... Rakietoplan znów uniósł się w górę. Ukazały się ponownie białe plamy. Przybliżyły się coraz szybciej, olśniewając migotliwą bielą, ale wnet zaczęły zasnuwać je jakieś fioletowoniebieskie mgiełki, które po chwili wchłonęły je zupełnie i na ich miejscu pozostały tylko wielkie i ciemnofioletowe piętna.

— Co to było? — zapytała Ania.

— Proszę spojrzeć — powiedział Taomej, wskazując Słońce. Chowało się za horyzont na zachodzie, zmieniając swą barwę. Teraz było pomarańczowe, lecz już większe, niemal tak wielkie jak nad Ziemią. A niebo było czerwone jak krew. Dziwny i ponury był to świat.

Postanowili lecieć na wschód, aby towarzyszyć wschodowi Słońca. W gęstym mroku znikły już pola i lasy Marsa. W górze, na czarnym sklepieniu nieba świeciły gwiazdy. Jedna z nich płonęła rubinowym światłem. Przypominała ziemski Księżyc, okrągła jak on; w szybkim locie na zachód sączyła w dół srebrzystą poświatę.

— Ziemia! — zawołał wzruszony Asur.

— Skądże! — poprawiła go Ania. — To przecież Fobos — sztuczny satelita Marsa. — Dawno temu został zbudowany przez Marsjan, aby rozświetlać ich ciemne noce.

Fobos krążył w odległości 9000 kilometrów od planety, jak mała kopulasta wyseпка o średnicy około 16 kilometrów. Pomykał chyżo po czarnym niebie, dokonując jednego okrążenia Marsa w czasie siedmiu godzin i trzydziestu dziewięciu minut. W ciągu doby robił trzy okrążenia, trzy razy wschodząc i zachodząc na marsjańskim niebie. Choć był tu najjaśniejszym świecącym ciałem niebieskim, blask jego słabo rozpraszał mrok.

W górze świeciła jeszcze jedna gwiazdka, o wiele mniejsza od Fobos, ale tak jak i on świecąca jaśniej niż pozostałe, naturalne gwiazdy i planety — Ania objaśniła Asura, że to Dejmos, drugi sztuczny księżyc Marsa. Średnica jego wynosi 8 kilometrów, krąży zaś w odległości 23 500 kilometrów od niego. Ale oto na wschodzie pojawiło się jeszcze inne źródło światła — blask wysyłany przez nie był słabszy od blasku Dejmosa, lecz wystarczająco silny, by zaćmić pozostałe świecące ciała.

— A to co za gwiazda? — spytał Asur.

— To nie gwiazda, to Ziemia! — powiedziała z dumą Ania.

Asur wyteżył wzrok. Wolno wschodziła na marsjańskim nieboskłonie i wydawało się, że to nie rakietoplan, a Ziemia mknie wśród innych, mniej jasných gwiazd. Z jej tarczy wytryskiwały cieniutkie macki podobne do ostrych igiełek — one to głównie emitują blask. Ania wyjaśniła Asurowi, że z Marsa nigdy nie można oglądać Ziemi w pełnej fazie, widać jedynie mniej więcej 3/4 jej tarczy — co znacznie osłabia jej blask. Ale i tak królowała na marsjańskim niebie — piękna i wyniosła, oczywiście, jeśli nie brać pod uwagę świecących tu najbliższych Fobosa i Dejmosa.

Asur nie mógł od niej oderwać wzroku. Z czołem przyklepionym do iluminatora, obserwował ją w skupionym milczeniu. Spojrzenie jego wyrażało bezbrzeżną tęsknotę.

— Asurze, co ci jest? — zaniepokoiła się Ania. Odwrócił głowę. W jego oczach lśniły łzy. Ania podeszła do Asura.

— Smutno ci? — zapytała.

Ale Asur milczał. Patrzył na srebrzystą planetę, którą nazywano Ziemią i połykał łyż. Ania rozumiała jego mękę i pieszczotliwie głaszcząc jego dłoń, powiedziała:

— Asurze, dlaczego nie wracasz razem z nami na Ziemię?

Znów odpowiedziało jej milczenie. Cierpiał. Nigdy jeszcze nie opanowała nim z taką siłą tęsknota za tym, by ujrzeć znów Ziemię. Kiedy Miończycy postanowili wrócić na swoją planetę, nie protestował, lecz poczuł się jak nigdy osamotniony i nieszczęśliwy. Jego ojczyzna Ziemia wabiła go z tak bliskiej odległości, gwiazdolot z największą łatwością mógł dolecieć do niej. Całe lata tęsknił do niej, a tu nagle w jednej chwili wszystko zostało przekreślone...

— Musisz koniecznie polecieć z nami! — powiedziała kategorycznym tonem Ania. — Asurze, bardzo cię proszę! Nie wyobrażasz sobie, jak piękna stała się nasza Ziemia. Przecież to twoja ojczyzna! Pomyśl tylko — zjawisz się na niej po upływie tysięcy lat! Ty, świadek wydarzeń, które rozegrały się w mrokach starożytności. Dla historyków i archeologów będziesz wprost nieocenionym skarbem.

Jej słowa płynęły z samego serca, a głos nabierał coraz cieplejszych tonów. Asur poczuł się w tej chwili bardzo szczęśliwy. Do niedawna jeszcze sądził, że jest zupełnie samotny, a oto Ania zapraszała go, by poleciał z nią i jej ojcem. Właśnie ta dziewczyna, którą obdarzył tak serdecznym przywiązaniem, namawia go do powrotu na planetę, która na marsjańskim niebie wydawała się najpiękniejszą z planet. Lecz on przecież przyzwyczaił się już do życia w swej drugiej ojczyźnie, która, kto wie, może nawet jest mu bliższa — tam przecież żyją tysiące jego przyjaciół, których miłości tylekroć już doświadczył.

— Nie, Aniu, nie mogę... choć bardzo chciałbym zobaczyć Ziemię — odpowiedział wreszcie cichym głosem.

— Musisz polecieć! Tam się przecież urodziłeś, wiem zresztą, że bardzo tęsknisz za swoją ojczyzną. Polecisz z nami, Asurze, prawda?

Przez moment wyobraził sobie, że wraca z Miończykami na ich planetę, a Ani nie ma już wśród nich. Pozostała na Marsie. Odległość między nimi dwójkiem zwiększa się z każdą sekundą — nie, to była wizja zbyt okrutna. Pomyślał z ironią: „Jestem już stary, a myślę i odczuwam jak młody chłopiec. Dziwne...”

Milczeli oboje. On smutny, ona — skulona w fotelu. Upływały długie, męczące minuty. Oto już wschód zarumienił się, oblany pomarańczowym światłem wschodzącego Słońca. Nim Ania pojęła, co się stało, weszła już jego cała pomarańczowo-czerwona tarcza. I znów wyłaniał się z mroku Mars razem ze swymi lasami, jeziorami i niskimi wzgórzami. Znów ujrzeli monotony i przynębiający krajobraz.

— Dzień dobry, zdrzemnęliśmy się trochę, co? — odezwał się przebudzony Skribin. — Za chwilę lądujemy!

Gwiazdolot spoczywał na łysej równinie, tylko gdzieś tam urozmaiconej oazami błękitnej roślinności. Niebo było bezchmurne. O tej ранней godzinie nawet wiatr nie wiał, więc Miończycy mogli pracować spokojnie i szybko. Wszyscy mieli na sobie skafandry ze specjalnej, elastycznej tkaniny.

Wkrótce wyrósł na marsjańskiej ziemi duży, prostokątny namiot o podwójnych ścianach, wpuszczonych dość głęboko w twardą glebę. Z małego, nieruchomego pojazdu sterczał dźwig, który bez przerwy przenosił ponad namiotem elementy przezroczystej, dwa razy większej niż sam namiot, kopulastej pokrywy. Kopuła powinna ściśle otoczyć namiot, by Skribin i Ania mogli poruszać się wewnątrz bez wkładania skafandrów.

Przez dużą przezroczystą osłonę, nakładaną na głowę, a przytwierdzoną przy szyi do skafandra, obserwowała Ania postęp robót montażowych. Już kilka razy udawała się przy pomocy latającej platformy na pokład gwiazdolotu, zabierając stamtąd ogromne paczki z odzieżą i żywnością oraz zapasy wody. Wydawało jej się to bardzo śmieszne, że była w stanie

nosić takie ciężary, których na Ziemi nie potrafiłaby nawet poruszyć, choć wiedziała, że to tylko zasługa odmiennych warunków, panujących na tej planecie.

Skribin i Taomej siedzieli na uboczu, w milczeniu obserwując pracę Miończyków. Mimo iż znajdowali się w okolicach równika, na zewnątrz było dosyć zimno. Ale choć przezroczyste osłony nie przepuszczały promieni słonecznych, nie czuli chłodu, gdyż ich kosmiczne skafandry utrzymywały stale jednakową temperaturę. Na rękach mieli również odpowiednie, elastyczne rękawice. Skribin położył na dłoni kilka czerwonych kamyczków i uważnie im się przypatrywał.

— Ostatnio bywasz coraz częściej zamyślony — przerwał wreszcie milczenie Taomej.

— To chyba dlatego, że czuję się trochę zmęczony... Myślałem o wielu sprawach, ale głównie o czekającej mnie tu niedługo samotności.

— Dlaczego mówisz o samotności? Tych kilka tygodni zleci niepostrzeżenie. Przez ten czas będziesz gromadził próbki rud i minerałów, poznasz florę i faunę Marsa — mówił Taomej. — Istnieją tu przecież niższe formy życia.

— Obecnie! Niegdyś było tu inaczej. Życie na tej planecie uległo zdegenerowaniu z powodu nagłej zmiany warunków klimatycznych — zauważył Skribin. — To bardzo interesujący problem i rzeczywiście chciałbym poświęcić czas tu spędzony na jego dokładne zbadanie.

Skribin westchnął. Mikrofon zainstalowany w jego skafandrze przekazał z największą dokładnością to westchnienie poprzez metaliczny pręt, wystający z przezroczystej osłony.

— Widzę — podjął z troską w głosie Taomej — że jesteś nieco zdenerwowany.

Skribin spoglądał na marsjańskie, oblane pomarańczowym światłem niebo, po którym płynęły czerwone obłoki.

— No cóż, powiem prawdę, trochę się boję — powiedział inżynier.

— Czego?

— Niemal cały miesiąc mamy tu przebywać z Anią. Nie jest to zbyt przyjemne pozostawać tak długo na tej niegościnnej i pospęnej planecie.

— Niewątpliwie! — przyznał Taomej. — Jest jednak wyjście z tej sytuacji. Polećcie z nami!

Skribin smutno pokiwał głową.

— Nie, to niemożliwe, Taomeju. To raczej wy zmieńcie swoją decyzję. Jeszcze dziś wyruszylibyśmy na Ziemię. Powitałyby was na niej tysiące ludzi, którzy z największą chęcią skorzystaliby z waszego zaproszenia. Może nawet i ja poleciałbym wówczas? Jeszcze nie jestem tego pewien, ale być może poproszę o to i ja. Zapomnijcie już o wszystkim i wybaczenie Ziemianom. Jesteśmy jeszcze niedoskonałymi istotami, które nie są w stanie od razu wyzbyć się swych wad.

Taomej w odpowiedzi smutno się uśmiechnął. Milczał chwilę, zdawał się coś rozważać, a potem rzekł:

— Może rzeczywiście powinniśmy puścić w niepamięć to, co się stało. Ale... niech wszystko pozostanie po dawnemu, jeśli wy nie chcecie polecieć z nami.

— Jacy jesteście śmieszni! — roześmiał się Skribin. — Jeden przekonuje drugiego, ale każdy pozostaje przy swoim. Jeszcze niedawno, muszę przyznać, wahałem się. Lot z wami wydawał mi się przeżyciem wyjątkowym, niepowtarzalnym i dla mnie, i dla Ani. Ale niestety nie pozwala mi na to obowiązek wobec narodu, a także jeszcze coś innego...

— Co takiego?

— Dokonano poważnego przestępstwa, które nie może pozostać nieukarane. Wega i jego klika muszą zostać zdemaskowani. A któż inny może tego dokonać? Chyba rozumiecie, że to są ważne przyczyny powrotu na Ziemię?

Taomej nie zdążył odpowiedzieć Skribinowi, bo oto usłyszał drugi głos.

— Taomeju, chciałbym ci coś powiedzieć!

Dwa kroki przed nim stał Asur. Już wtedy, gdy wrócili z pierwszego spaceru po Marsie,

Asur udał się do gwiazdolotu i pod pretekstem bólu głowy zamknął się w swojej kabynie. Ale teraz wcale nie wyglądał na cierpiącego. Ani nawet przygnębionego. Wzrok mu błyszczał, całym sobą zdawał się mówić, iż podjął jakąś ważną decyzję.

— Nie chciałbym ci sprawiać przykrości, Taomeju, ale musiałem tak postąpić. Zdecydowałem się — powiedział Asur jednym tchem — zdecydowałem się polecieć z Ziemią.

Starął się unikać wzroku Miończyka. Mikrofon w skafandrze powtarzał jego szybki, niespokojny oddech. Czekał odpowiedzi, a może i wyroku. Taomej spoglądał nań przez szklaną osłonę i wreszcie powiedział cicho.

— Asurze, posłuchaj, co powiem! Nie mam prawa zatrzymywać cię...

Asur podniósł wzrok. Była w nim radość i wdzięczność. Taomej przemawiał dalej równie łagodnym, ojcowiskim tonem:

— Masz prawo wyboru. Gdybym był na twoim miejscu, kto wie, czy nie postąpiłbym tak samo.

Usłyszawszy to, Asur nagle przykląkł i pokornie opuścił głowę. Wtedy Taomej wyciągnął przed siebie ręce, objął nimi ziemskiego człowieka i podniósł go na nogi. Wszystko to trwało moment, ale bardzo wzruszyło Skribina... Decyzja Asura zmieniała całą sytuację. Był to nie tylko jeszcze jeden towarzysz, ale i przede wszystkim naoczny świadek wydarzeń, które rozegrały się w tak zamierzczłych czasach, a także świadek niedawnego przestępstwa, którego dopuścił się Wega ze swymi kompanami.

— Asurze, jakże się cieszę, przyjacielu — powiedział Skribin. A zwracając się do Taomeja, dodał pocieszającym tonem: — Nie wiadomo, czy za dziesięć, no, może dwadzieścia lat i my nie zbudujemy na ziemi fotonowego gwiazdolotu i czy wówczas nie zechcemy odwiedzić waszej planety, przyjaciele! Jesteśmy już na najlepszej drodze do zrealizowania tego śmiałego projektu.

Wtem Taomej owi przyszła do głowy pewna myśl. Smutek ustępował z jego twarzy, wzrok rozjaśniał się jakimś wewnętrznym blaskiem. Znow był wesoły i serdeczny.

— Asurze! — przemówił. — Przecież ty znasz zasady budowy i działania naszego gwiazdolotu, będziesz więc mógł pomóc ziemskim inżynierom i naukowcom. A panu, przyjacielu Skribin, przekażę wszelkie posiadane przez nas rysunki, plany, książki — wszystkie opracowania z zakresu nauki i techniki, zwłaszcza dotyczące nawigacji kosmicznej. Dowiedziecie się z nich wszystkiego o budowie gwiazdolotu i energii, którą jest napędzany. Wasi uczeni będą mogli skorzystać z naszej wiedzy, odkryć, osiągnąć... Chodź, Asurze! I ty, przyjacielu. Widzę, że będziemy musieli pozostać z wami jeszcze kilka dni... Tyle, by zdążyć wam wszystko przekazać. Pozostawimy wam również niektóre z naszych urządzeń i aparatów. Przede wszystkim naszą radiostację, no i dla Ani aparat, który pozwoli jej być zawsze młodą. Pozostawimy wam również ten pojazd, na pewno przyda wam się jeszcze na Marsie. No, chodźcie do mojej kabiny!

O oznaczonej porze Skribin włączył nadajnik. Po chwili w słuchawkach odezwał się głuchy, daleki głos Spiridonowa z radia „Kosmogrod”. Lecz Spiridonow po chwili się wyłączył, oddając mikrofon Fadiejewowi.

— A, Fadiejew! Dzień dobry! — powiedział Skribin.

Fadiejew zaczął od gratulacji, że udało im się wyjść cało z tej przykłej historii, prosił o przekazanie również najlepszych pozdrowień Ani. Potem zaraz pochwalił się, że odkrył już jednego z głównych organizatorów tego porwania — Willi Brauna, skrzypka w orkiestrze restauracji „Wesołe Bekasy”. Drugi z przestępców to z całą pewnością cudzoziemiec — Fadiejew zapytał, czy Skribin zna jego nazwisko i jakieś bardziej szczegółowe dane.

— To niebezpieczny gangster ze Zjednoczonych Państw Zachodniej Półkuli, nazywa się Wega, ale to oczywiście pseudonim... Jak udało się wam zdemaskować Brauna?

— Porozmawiamy o wszystkim szczegółowo, gdy wylądujecie na Ziemi — odpowie-

dział Fadiejew. — Starajcie się jedynie, by nie ulotniły się wam te ptaszki do czasu przybycia naszej rakiety. Właśnie przed chwilą wystartowała.

Skribin musiał powiedzieć, że Wega i jego towarzysze już niestety wcześniej opuścili gwiazdolit. Ale najważniejsze, że oboje z Anią są wreszcie wolni. Z niecierpliwością oczekują jedynie przylotu rakiety. Do tego momentu będą się starali utrzymywać z Ziemią stały kontakt. Czy na Ziemi dobrze ich słyszać?

— Zupełnie wyraźnie. A jak się w ogóle czujecie? Czy macie wystarczające zapasy żywności? — dopytywał się Fadiejew. — Wytrzymacie tak długo na Marsie?

— Nie ma powodu do obaw. Miończycy pomyśleli o wszystkim.

— Właśnie słyszałem o nich od Spiridonowa. Jacy oni są w rzeczywistości, ci Miończycy?

Skribin roześmiał się i odpowiedział:

— Och, panie Fadiejew, to bardzo długa i wręcz nieprawdopodobna historia. Miończycy to istoty z innej planety. Opowiem wam o wszystkim, gdy spotkamy się na Ziemi. A teraz wyczekujemy tylko przybycia rakiety. Bądźcie przygotowani na zabranie trzech pasażerów, ponieważ polecą z nami na Ziemię również Asur.

— A cóż to znowu za Asur?

— Człowiek, który urodził się na Ziemi przed tysiącami lat.

Skribin nie dosłyszał odpowiedzi Fadiejewa. W słuchawce słyszać było najpierw jedynie dziwne sapanie, jakie wydaje kowalski miech, a potem bardzo cichy szept.

— Halo, halo! Czy pan mnie słyszy, panie Fadiejew? — powtarzał Skribin.

— Tak... Słyszę. Opowiada pan niesamowite historie, inżynierze Skribin. A jak w ogóle dopisuje panu zdrowie?

Skribin znów roześmiał się na cały głos. Domyślał się w tym pytaniu pewnych obaw Fadiejewa.

— Myślicie, że ja... Nie ma powodu do obaw, mój umysł funkcjonuje całkiem prawidłowo. Ale zupełnie rozumiem, że to, co opowiadam, jest dla was zupełnie niepojęte. Trudno pokrótce wszystko wyjaśnić.

— Oczywiście... Odezwiemy się znowu. Bądźcie zdrowi.

I Fadiejew wyłączył się. Skribin ściągnął z uszu słuchawki. Jego spojrzenie było zamysłone, dalekie.

— Aniu, wiesz, oni traktują mnie jak szaleńca! — roześmiał się z całego serca. — Istotnie, to, o czym im mówię, brzmi jak ze świata fantazji, ale chciałbym zobaczyć ich głupie miny, gdy już niedługo przekonają się o całej prawdzie.

Jeszcze jedną dobę spędzili Miończycy na Marsie. Zostawiali Ziemiaków zupełnie zabezpieczonych. W namiocie, rozpiętym pod szklaną kopułą, było dosyć produktów żywnościowych, odzieży i wszelkiej potrzebnej aparatury. Trzy zupełnie zwyczajne łóżka, niczym nie różniące się od tych, w jakich sypiali na Ziemi (Miończycy zręcznie wykonali je według wskazówek Ziemiaków), były zaścielone miękkimi kocami. Ostatniego wieczora zaczął wiać silny wiatr. Podnosił wysoko w górę wielkie tumany czerwonego pyłu, więc wszyscy schronili się do gwiazdolotu. W wielkiej sali, oświetlonej rzęsiściej niż zazwyczaj, panował uroczysty nastrój. Stoły były obficie zastawione najrozmaitszymi potrawami, oprócz tego stały tu patery pełne owoców i baterie butelek wypełnionych wspaniałymi trunkami, ale w sali panowało przygnębiające milczenie. Wszyscy niby się uśmiechali, ale widać było, że kryje się za tym smutek.

— Czy wszystko zostało już omówione? — odezwała się Ania, pragnąc przerwać przedłużające się milczenie.

— Tak — odpowiedział Taomej. — Nasz nadajnik już wam przekazaliśmy, to najważniejsza sprawa, dzięki niemu będziemy mogli odtąd utrzymywać regularną łączność między

Ziemią a Mionem. Od tej pory istoty z dwu różnych planet, z dwu różnych światów, będą mogły zawsze swobodnie się porozumiewać.

— Każdego parzystego dnia będziemy mogli nawiązać łączność radiową — dodał uradowanym głosem Braun i nagle, odwracając się w stronę Miończyków, zapytał: — A czy macie tam, u siebie, skrzypce?

— A co to takiego?

— Drewniany, strunowy instrument muzyczny, który wydaje dźwięk, gdy przeciągnie się po jego strunach smyczkiem... o tak!

I Braun przeciągnął prawą ręką po lewej, naśladowując grę na skrzypcach.

— Posiadamy wiele rozmaitych instrumentów muzycznych — powiedział na to Taomej. — Gdy będzie pan już na Mionie, sam się pan o tym przekonaj.

— Powiedział pan, że będziemy mogli nawiązać łączność radiową każdego parzystego dnia, czy tak, panie Braun? — zapytała zniecierpliwiona Ania.

— Oczywiście.

— A skąd będziecie wiedzieli, kiedy skończył się dzień, a zaczęła się noc? Przecież w kosmosie nie ma dnia ani nocy.

— Wystarczy po prostu spojrzeć na zegarek i...

— A jeśli pański zegarek nie będzie chodził tak samo jak na Ziemi, to co wtedy?

Braun poczuł się zbity z tropu. Rzeczywiście, o tym nie pomyślał. Lejmej, jakby domyślając się, czego dotyczy rozmowa, głośno się roześmiał. Pospieszył z wyjaśnieniem, że aparaty elektronowe na każde żądanie natychmiast bezbłędnie podadzą datę i porę dnia na Ziemi.

— A widzicie? Powinienem być co prawda sam się domyślić — powiedział uradowany Braun. — Zatem każdego parzystego dnia, jak już się umówiliśmy — rano o godzinie dziewiątej. Zgadza się pani, Aniu?

— Oczywiście, panie Braun!

— A ty nic nie powiesz na pożegnanie? — zwrócił się Taomej do Asura.

Asur spoglądał na ścianę, na której wisiał obraz — mioński pejzaż. Na pierwszym planie widać było wspaniałe budowle, niebotyczne, okrągłe, całkowicie przeszklone. Tło tej supernowoczesnej architektury stanowiły wysokie, skaliste góry — porośnięte lasami, przecięte błękitną wstęgą strumienia. Nad wszystkim rozpościerało się niebo tak samo lazurowe jak niebo na Ziemi. I naraz zatęsknił Asur za tym niebem, pod którym przeżył wieki. Zatęsknił również za przyjaciółmi tam poznanymi. Wyciągnął szybko chusteczkę i ukradkiem wytarł kąciki oczu, do których zaczęły napływać łzy. Ania spostrzegła to, nachyliła się nad nim, szepcząc do ucha:

— Nie zapominaj, Asurze, że zawieziemy na Ziemię liczne plany i rysunki. Ani się obejrzyj, jak uczeni nasi zbudują ogromny gwiazdolot! Ani chwili w to nie wątpię! Z całą pewnością będziemy mogli odbywać nim tak samo dalekie podróże, jak „Zwiastunem”.

Skribin zamyślony, nie przestawał poskubywać swej brody. Jego twarz co chwila opromieniał uśmiech, na przemian z głębokim smutkiem. Twarze Miończyków również nie wyrażały radości. Najbardziej przygnębiony wyglądał Elij.

Taomej ziemskim zwyczajem wzniosł w górę kielich napełniony trunkiem i drżącym ze wzruszenia głosem, rzekł:

— Za wasze szczęście, przyjaciele!

— Za waszą szczęśliwą podróż! — dodał Skribin i wychylił do dna swój kielich. Potem podszedł do Taomeja, objął go i serdecznie ucałował... Ania siedząca obok Elija w tym samym momencie również nachyliła się do Miończyka i ustami dotknęła jego policzka. Elij zapłonął się jak róża...

Burza, która całą noc szalała nad Marsem, wznosząc w górę całe obłoki piasku i pyłu, ucichła o świcie. Lecz tumany pyłu długo jeszcze wisiały zawieszony w powietrzu, nadając

niebu pomarańczową barwę, dopóki nie zaczęło przecierać się przez nie blade Słońce. Wokół panowała cisza. Skribin, Ania i Asur stojąc w progu szklanej kopuły, machali rękami w kierunku gwiazdolotu. Jego luki były już zatrzęsnięte, ale wszyscy Miończycy tkwili przy iluminatorach. Machali przyjaźnie rękoma i uśmiechali się, lecz uśmiechy te były pełne smutku. Oczy Ani przesłoniły łzy...

Nagle „Zwiastun” drgnął. Mały obłoczek dymu zakwitł u ogona statku. Ale startowi jego nie towarzyszyły ani płomień ognia, ani ryk silników. Jakby jakieś niewidzialne, potężne ramię uniosło nagle w górę lekko niczym piórko tę ogromną, dwukilometrowej długości wrzecionowatą wysepkę. Statek oddalał się, jakby przyciągany niezwykle silnym magnesem. Wtem w gwiazdolocie otworzył się jakiś mały, boczny luk. Pokazało się kilka głów w szklanych osłonach i kilka par rąk zamachało jednocześnie białymi chustkami. „Zwiastun” unosił się coraz wyżej, coraz mniejsza wydawała się z jego pokładu trójka Ziemiaków, stojących u wejścia bielejącego pod przezroczystą kopułą namiotu.

Ania skierowała ku górze obiektyw swej kamery. Gwiazdolot wzniósł się już na znaczną wysokość; oglądany z powierzchni Marsa wyglądał jak mały, biały obłoczek. Nagle załśnił na marsjańskim niebie jak srebrzysty, porzucony przez dzieci latawiec — gdy oświetlą go promienie Słońca.

Powolne wznoszenie się w górę trwało około trzydziestu minut. Potem „Zwiastun” stał się podobny do najzwyklejszego samolotu, pozbawionego jedynie skrzydeł i o bardziej wydłużonym kadłubie, który niemal nieruchomo zawisł w przestrzeni. I dopiero potem buchnęły zeń nagle płomień ognia, przez cały czas spowijające szczelnie jego korpus. Wreszcie gwiazdolot wzbiał się pionowo w górę, jak ptak upojony zawrotną wysokością, teraz błyskawicznie stając się coraz mniejszy, aż w końcu stał się już tylko niepozornym punkcikiem na niebie, a potem roztopił się zupełnie w przestrzeni.

Asur wbiegł do szklanej kopuły, naciągnął na uszy słuchawki nadajnika.

— Halo, „Zwiastun”! Halo, „Zwiastun”! Tu Mars! — wywoływał radiostację gwiazdolotu.

Czyjś wzruszony głos odezwał się w słuchawkach.

— Tu Lejmej, ze „Zwiastuna”! Asurze, to ty?

— Tak, to ja! Moi drodzy przyjaciele, moi dobroczyńcy, życzę wam wszystkiego najlepszego! Do widzenia, przyjaciele...

Wzruszenie odbierało mu głos, urwał, poczuł, że kilka łez spływa mu po policzkach, pozostawiając na nich wilgotne ślady... Ania i Skribin wciąż jeszcze byli wpatrzni w niebo. Ale nie było na nim już niczego prócz pomarańczowego blasku i małej tarczy zimnego Słońca.

Marsjański pomnik

— Asurze, jakże się cieszę, że zostałeś z nami! — powiedziała Ania.

Asur uśmiechnął się w odpowiedzi, nie odrywając jednak ani na chwilę ręki od połykliwego, cienkiego uchwytu dźwigni. Jego prawa stopa lekko naciskała okrągły pedał. Pojazd posłusznie wypełniał każde narzucone mu przez Asura zadanie. Ania z wnętrza oszklonej kabiny obserwowała pokrytą złotymi piaskami powierzchnię Marsa. Po chwili równina przeszła w silnie pofałdowany teren i żółta pustynia zaczęła z wolna przybierać odcień brązowy, a w końcu stała się niemal czarna.

Gąsienice pojazdu przypominającego czołg, a raczej zwykły ogromny traktor, uwięzio-

ny w aerodynamicznym, metalicznym pancerzu, z łatwością forsowały piaszczysty grunt. Ania i Asur wybrali się nim na małą wycieczkę po najbliższej okolicy.

— Nie jestem pewna, czy bez twojej pomocy udałoby się nam z tatusiem uruchomić i prowadzić ten pojazd! A w twoich rękach jest to taka łagodna i posłuszna maszyna! — odezwała się Ania.

Nagle przecięła im drogę szeroka może na sto metrów rozpadlina, która zdawała się nie mieć ani początku ani końca. Ich pojazd kierował się wprost ku przepaści i Ania, przestraszona, szarpnęła za ramię Asura. Lecz on łagodnie oderwał jej rękę i niemal jednocześnie przestawił dźwignię. Maszyna drgnęła, zachybotła się i lekko uniosła w górę.

— Porusza się również w powietrzu? — wykrzyknęła zaskoczona Ania.

— Oczywiście, wszystkie środki komunikacji, jakimi posługują się Miończycy, posiadają i tę właściwość. Ta maszyna leci co prawda bardzo wolno — największa jej szybkość wynosi sto kilometrów na godzinę. Leci przy tym również i dość nisko. Nie potrafi jednak wznieść się powyżej stu metrów.

Pojazd przeleciał nad rozpadliną. Wystawały z niej tu i ówdzie wielkie odłamy skalne — jedne ostre jak iglice, inne — wielkie, płaskie bloki. Ściany wąwozu czerniły się przy tym otworami mnóstwa rozmaitej wielkości pieczar. Opadali na przeciwległy brzeg. Gąsienice znów zazgrzytały na piasku. Dojechali już do intrygujących ich niskich wzgórz, które okazały się również spiętrzonymi zwałami skał, pomiędzy którymi prześwitywały szersze i węższe przesmyki lub też ciemniały głębokie, wydające się nie posiadać dna kamienne studnie. Panował w nich gęsty półmrok.

— Asurze, zatrzymaj się!

— Dobrze. Już staję.

— Wiesz co, Asurze? Spróbujmy zejść do tamtej przepaści. Zdaje się wcale nie mieć tak stromego zejścia jak inne — zaproponowała Ania.

Zeskoczyli razem z pojazdu. Mimo iż skafandry utrudniały im trochę swobodne poruszanie się, równoważyło tę niedogodność przyciąganie trzy razy mniejsze niż na Ziemi. To znacznie ułatwiało im ruchy. Asur rozwinął linę, przywiązał jeden z jej końców do ostrej iglicy wystającej z dachu pojazdu i mocno ściskając ją obiema dłońmi począł powoli spuszczać się w dół. Na szczęście skały były twarde i nie kruszyły się pod stopami, w powietrze wzbijał się jedynie za każdym ich dotknięciem tuman czerwonego pyłu. Pył co prawda zupełnie nie przeszkadzał w oddychaniu, ale pogarszał i tak już słabą na Marsie widoczność. Asur wyjął więc latarkę elektryczną i skierował snop światła w dół. U jego stóp wyłoniło się z mroku niemal idealnie równe dno. Tylko tu i ówdzie walały się drobne kawałki skał, na grubej warstwie żwiru. Nie dostrzegł tu śladu wilgoci, jak również najdrobniejszego choćby mchu czy innego porostu.

— Aniu! Gdzie jesteś? — zawołał w górę Asur, wciąż nie wypuszczając z rąk liny i czubkami butów wspierając się na czymś w rodzaju stopnia, utworzonego z nadkruszenia w tym miejscu skały.

Ania ostrożnie nachylając się nad przepaścią odkrzyknęła:

— Tutaj! Czy znalazłeś coś ciekawego, Asurze?

— Nic szczególnego! Nie ma niczego prócz kamieni... Aha, leży tu również jakiś wielki, płaski blok skalny. Ależ, Aniu, zaczekaj chwilkę, to przecież regularna, prostokątna płyta o jednakowo ostrych krawędziach... — Asur skierował na nią strumień światła i ciągnął dalej: — Ta płyta zaczyna mnie intrygować, Aniu! Zdaje się, że są na niej jakieś znaki. Zejdę całkiem na dno i sprawdzę dokładnie.

Zręcznie odepchnął się od skały i wciąż uwieszony liny, opuścił się nieco w dół, znów oparł stopy w jakimś zagłębieniu i po chwili kontynuował swą podróż. W końcu kilkakrotnie jeszcze odpychając się od skały, stanął na dnie, obok płyty. Płyta miała około czterech metrów długości i półtora metra szerokości. Jej dolne dwa rogi były nadłupane, a całą powierz-

chnię pokrywała gruba warstwa pyłu. Asur ręką odzianą w gumową rękawicę zgarnął go w jednym miejscu płyty i wtedy oczom jego ukazał się wyryty na niej dziwny rysunek, którego znaczenia ani rusz nie mógł odgadnąć: jakieś promieniste koła, półkoliste linie, kreseczki, punkty...

— Aniu! — krzyknął ze wszystkich sił, choć wcale nie musiał podnosić głosu, bo przecież porozumiewali się za pomocą fal radiowych. — Rysunki!

— Jakie rysunki?

— Musisz sama zobaczyć!

— Nie umiem zejść...

Asur spróbował podważyć i podnieść płytę obiema rękami. Ale była zbyt ciężka i Asurowi udało się zaledwie nieco ją przesunąć.

— Spróbuję obwiązać płytę liną, a wtedy łatwo uda nam się wyciągnąć ją na powierzchnię. Już wracam do ciebie.

Przewiązał kamienny blok na krzyż, potem sam uczepił się liny i lekko wspiął się po niej na powierzchnię. Ania wyciągnęła do niego ręce, pomagając mu wydostać się z przepaści.

— Asurze, czy jesteś pewny? Naprawdę widziałeś rysunki wyraźnie na własne oczy?

— Oczywiście, Aniu — odparł Asur, siadając na skraju przepaści. — Nie ma żadnej wątpliwości, że znaki te wyryła ludzka ręka.

— Naprawdę?

— Przekonasz się sama. A teraz odsuń się nieco, bo będę wyciągał płytę!

Podbiegł do ciągnika i uruchomił silnik. Pojazd szarpnął do przodu, jakby na skutek nieoczekiwanego poślizgnięcia się. Lina naprężyła się. Po chwili w szczelinie przepaści ukazał się fragment płyty. Gdy już cała była na powierzchni, Asur odszedł od ciągnika i zbliżył się do Ani, która nachylona przypatrywała się z wielkim zainteresowaniem dziwnym znakom, wyrzezanym w błękitno-sinawym marmurze. Ryt był tak wyraźny, jakby dopiero przed godziną wykonała go w tym oszlifowanym kamieniu dłoń jakiegoś mistrza. U samego dołu wyryte było koło o średnicy około dziewięciu centymetrów, okolone trójkątnymi listkami — podobne trochę do tarczy słonecznika. Nad kołem biegła ku górze linia prosta. Tuż obok niej strzałka. Jeden z rysunków zakończony ostrym i ku górze zwróconym wierzchołkiem przypominał zwyczajny ziemski pocisk. Dalej znów kółeczko, a nad nim jakiś napis, złożony z dziwnych znaków. Linia biegnąca głęboko rowkiem ku górze kończyła się obok podobnej słonecznikowej tarczy, ale o średnicy nieco większej. Między nią a kółeczkiem znów znajdował się znak o kształcie ziemskiego pocisku. Obydwa rysunki leżały na tej samej podłużnej i wygiętej linii. Wyżej, na lewo i na prawo, widać było inne, mniejsze słonecznikowe tarcze, a w górnej części płyty widniał wielki okrąg, z którego biegły promieniście strzałki. Tu również był jakiś objaśniający rysunek napis, ale złożony ze znacznie większych znaków, ponad pięciocentymetrowej wysokości.

— Asurze, cóż to wszystko może znaczyć? — odezwała się wreszcie Ania.

— Nie wiem. Podejrzewam, że to marsjański pomnik. Ale ku czyjej czci?

— Czy nie moglibyśmy tej płyty przewieźć do namiotu?

— O, to bardzo proste!

Posługując się dźwigiem, Asur umieścił płytę w pojeździe i wkrótce znalazła się ona pod szklaną kopułą. Skribin przerwał swój wypoczynek i razem z Anią i Asurem zaczął studiować dziwne figury i znaki.

— Tatusiu, zdaje się, że odgadłam, co ma przedstawiać ten rysunek — odezwała się po chwili Ania i w jej oczach zamigotały jakieś żywe ogniki.

— No, co takiego, Aniu?

— Ta okrągła figura — wyobraża po prostu Słońce... — odpowiedziała z pełnym przekonaniem Ania.

— Hm — mruknął w odpowiedzi Skribin. — Niewykluczone...

— A to są gwiazdy... lub też planety — dodała Ania.

Jeszcze raz pochyliła się nad rysunkiem i po chwili uradowanym głosem zawołała:

— Już wiem! Tatusiu, spójrz! Ten słonecznik u dołu płyty to przecież Mars!

— Dlaczego miałby to być Mars? — zdziwił się Asur.

— Poczekaj, zaraz ci wyjaśnię! — Ania była wyraźnie podniecona, jej oddech stał się szybszy, niespokojny. — Tu leci jakaś rakietka... no spójrzcie na ten pocisk! Oznaczać może tylko raketę, jestem tego całkiem pewna! To rakietka.

— No, całkiem możliwe — zgodził się Asur, podczas gdy Skribin wciąż jeszcze przyglądał się rysunkowi.

— Na pewno rakietka! — powtórzyła z naciskiem Ania. — A leci w kierunku...

— Dejmosa! — dokończył Skribin. — Dokładnie w tym kierunku! Brawo, Aniu! Rakietka leci w kierunku tego małego kóleczka — to właśnie ten drugi obok Fobosa sztuczny satelita, który oglądaliśmy poprzedniego wieczora. Fobos został zbudowany w tym celu, by rozświetlał Marsjanom ciemne noce, a Dejmos jest po prostu sztuczną, międzyplanetarną stacją. To z niej startowali Marsjanie na Ziemię.

Nie ulegało wątpliwości, że na płycie został uwieczniony moment owego lotu. Oto z powierzchni Dejmosa leci druga rakietka prosto ku większej planecie... którą jest oczywiście Ziemia. Pomnik został wzniesiony gdzieś na powierzchni Marsa, może w którymś z miast, które całkowicie zniknęły. Jedynie napisy mogą rzucić więcej światła na to wydarzenie, które zostało utrwalone na płycie...

Ale dla Asura wiele rzeczy było niejasnych. Wskazał na płycie mniejsze „słoneczniki”, jak nazwali te kóleczka Ania i Skribin, i zapytał, co one mogłyby oznaczać.

— Doprawdy, nie domyślasz się? Ta większa tarcza to przecież Wenus, a to Merkury, planeta położona blisko Słońca. Przedstawiono tu po prostu cztery najbliższe w układzie słonecznym planety! No, zobacz, przecież to oczywiste!

Pomnik świadczył, że Marsjanie odbyli lot na Ziemię. Lecz kiedy miało to miejsce? Wszystko wskazuje na to, że stało się to przed dziesiątkami tysięcy lat, jeszcze przed pierwszą wizytą Miończyków na Ziemi, być może w okresie lodowcowym. A może jeszcze wcześniej, gdy po powierzchni Ziemi przechadzały się niezdarne ichtiozaury, mastodonty, paleozaury i tym podobne ogromne stwory, a w zagęszczonej atmosferze fruwały gigantyczne ptaszyska o błoniastych skrzydłach. Mars był planetą starszą od Ziemi, zastygła o wiele wcześniej niż ona. I zapewne na Marsie wcześniej pojawiły się rozumne istoty, osiągając niezwykle wysoki stopień cywilizacji.

Skribin wytarł ręce chusteczką do nosa i spojrzął w niebo. Na zachodzie ukazał się Fobos i począł szybko przesuwac się nad ich głowami.

— Ten pomnik ma wartość unikalną — odezwał się wreszcie Skribin. — Zapewne zdoła nam wiele opowiedzieć o Marsjanach. Zawieziemy płytę na Ziemię, a tam nasi uczeni z całą pewnością rozszyfrują jej tajemnice!

— O, jestem tego pewna! — przytaknęła Ania.

Następnego dnia znów rozszalała się burza.

Słońce, do tej pory świecące wysoko na czystym, bezchmurnym niebie, zakryła czerwona oponcza i pustynię oblewało jedynie ciemnobrazowe światło. Ale w namiocie, pod szklaną kopułą, było ciepło i przytulnie, choć przyrządy wskazywały bardzo niską temperaturę na zewnątrz. Cała trójka przysiadła wokół zagadkowego pomnika, rozmawiając o tych odległych czasach, gdy Mars zamieszkiwały istoty rozumne. Kiedy było to dokładnie? Przed tysiącami czy milionami lat? Oto zagadka. Lecz człowiek niewątpliwie ją rozwiąże.

Noc zstępowała szybko. W namiocie jarzyło się przyjemne, elektryczne światło. Asur skończył przed chwilą rozmowę ze „Zwiastunem”, z którego przesyłano najserdeczniejsze

pozdrowienia. Na gwiazdolocie wszystko w porządku. Statek nabierał prędkości, lecąc wciąż prosto ku gwiazdom.

Jakże bliskie zdawały się te głosy! Oto oddalony od nich o setki milionów kilometrów gwiazdolat jak błyskawica pokonuje ogromne przestrzenie zimnej i milczącej ciemności, a oni — trójka Ziemiaków, zagubiona na tej przeklętej, wymarłej planecie, rozmawia tak zwyczajnie z istotami znajdującymi się na jego pokładzie. Odległość wcale nie zdawała się ich rozdzielać — czuli się sobie nawzajem bliscy i potrzebni...

Od momentu urwania się połączenia Asur pozostawał milczący.

— Martwisz się o nich? — zagadnęła go Ania...

— Nie, gwiazdolat jest całkiem bezpiecznym statkiem. Nie mogę tylko zapomnieć tych ludzi z Ziemi — odrzekł.

Gdyby nie ten podstępny człowiek — Wega, spacerowaliby teraz wszyscy po lazururowej i ciepłej, słonecznej Ziemi, wciągaliby w płuca górskie powietrze, słuchali szumu potoków, spoglądali w błękitne niebo, cieszyli się widokiem kwiatów i ptaków...

A tu co — pustka, chłód i bezkresne piaski. Gdyby choć gwiazdolat wysadził ich u podnóża niewysokich, niebieskoturkusowych gór, mogliby napawać wzrok przynajmniej ich roślinnością i widokiem drobnych zwierzątek, które płochliwie przemykały pośród krzewów i traw...

— Chcesz posłuchać trochę ziemskiej muzyki? Postaram się coś złapać — zaproponowała Ania.

— Z przyjemnością...

Nad ranem burza ucichła. Do południa niebo zupełnie się przejaśniło, a pyłne obłoki gdzieś znikły. Znow wzeszło Słońce i cała trójka postanowiła udać się do wąwozu, w którym znaleźli cenną płytę.

Ale gdy pojazd zatrzymał się w znanym miejscu, Skribin zaproponował, by znaleźć inne zejście, dogodniejsze, bardziej bezpieczne. Ruszyli więc skrajem przepaści — skalistym, miejscami przechodzącym w niewysokie pagórki. Wokół roztaczał się dziki i odpychający krajobraz. Rozumne istoty od wielu wieków nie przemierzały tych miejsc, nie odciskały śladów swych stóp na żółtym piasku. Bezruch... Cisza i spokój.

— A to co takiego? — zawołała Ania, wskazując czerniejącą na dwadzieścia metrów przed nimi otwór.

Asur pobiegł w stronę sterczących skał, znalazł coś na kształt ścieżki zakosami schodzącej w dół, i po chwili znikł im zupełnie z oczu.

Upłynęło kilka sekund, nim znow dostrzegli jego sylwetkę — machał ku nim zapraszająco ręką:

— Szybko! Chodźcie tu. Szybko! — wołał.

Skribin i Ania ostrożnie weszli między skalne złomiska. Asur wyciągnął ku dziewczynie rękę i poprowadził za sobą.

— To prawdziwy tunel. Zbudowany ludzką ręką.

— Nic już nie jest w stanie mnie zdziwić — odrzekł na to Skribin.

Światło elektrycznej lampy wydobyło z mroku kamienny strop. Człowiek mógł poruszać się w tym tunelu zupełnie swobodnie, bez schylania głowy. Asur szedł przodem, oświetlając im drogę.

— Uwaga, schody! — zawołał nagle.

W dole panował mrok.

Dziwne podziemie.

Skruszone bloki skalne odsłaniały zbudowany z białego kamienia tunel. Asur kierował światło latarki na przemian to w prawo, to w lewo, to w dół. Korytarz schodził coraz niżej. W pewnym miejscu rozszerzał się, tworząc niewielki, okrągły plac. Kilka kamiennych ław bez

oparcia, ustawionych wokół niego, zachęcało do odpoczynku. W ścianach widniało troje drzwi, usytuowanych od siebie w odległości co kilka metrów i zręcznie ukrytych w murze. Jedne z nich były uchylone.

— Boję się... — szepnęła Ania.

Skribin ruszył ramionami.

— Czego, Aniu? Od dawna nikt nie zamieszkuje tej planety. No, chodź!

Pociągnął córkę za rękę. Asur idący przed nimi, podszedł do drzwi, pchnął je mocno, ale nawet nie drgnęły. Były to masywne, kute w metalu drzwi, miejscami przeżarte zielono-brązową rdzą i pokryte grubą warstwą kurzu. Asur spróbował więc przecisnąć się przez wąską szczelinę i po chwili był już w znajdującej się za nimi, ogromnej sali¹. Wokół długich kamiennych stołów ujrzał oparte o nie i zgięte w pół żółtobiałe ludzkie szkielety. Asur cofnął się odruchowo do tyłu i zawołał z całych sił:

— Panie inżynierze, proszę tu przyjść!

Skribin był dość okazałej tuszy, ale w końcu udało mu się przecisnąć przez drzwi. Ania weszła za nimi. Widok szeregu szkieletów tak ją przeraził, że krzyknęła z przestraszenia i począła tulić się do ojca.

Po chwili dostrzegli, że w sali znajdują się nie tylko szkielety ludzkie. Na kamiennych stołach stały najrozmaitsze, metalowe przyrządy — czarne, brązowe i seledynowe. W ich wyciągniętych ramionach tkwiły próbówki, retorty, kolby, to znów butelki — jedne pękate, inne o wydłużonej linii — zupełnie jak ziemskie, metalowe puszkę, cylindry, wiadra... Wszystko jakby naraz zastygło w bezruchu.

— To jakies podziemne laboratorium — powiedział Skribin. — Dzięki temu, że zbudowano je dość głęboko pod twardymi skałami, zachowało się nienaruszone.

Podszedł do stołu i dotknął szkieletu, twarzą zwróconego ku stołom, a w ręce trzymającego podłużny metalowy przedmiot, jeszcze nie tknięty rdzą. Jego palce zaciśnięte były mocno wokół tego przedmiotu, było to chyba coś na kształt pióra. Śmierć zaskoczyła tego człowieka zapewne w momencie, gdy coś pisał. Pod dotknięciem Skribina z kości utworzyła się kupka pyłu. Skribin zawołał:

— Nie dotykajcie niczego!

Ponure podziemie przypominało grobowiec, przez tysiąclecia nie odwiedzany przez żadną żyjącą istotę. Czas wyrzył na wszystkim swoją pieczęć — przedmioty przeżerała rdza, a szkielety rozpadały się za najlżejszym dotknięciem... Jakie tajemnice kryło to podziemie? Skribin wyrażał przypuszczenie, że katastrofalny wybuch, który miał miejsce na Marsie, zaskoczył tych ludzi przy pracy. Powierzchnia planety popękała, tunel został przerwany siłą ogromnego nacisku i śmiertcionośne promienie gamma wraz ze skażonym powietrzem przedostały się do podziemia. Zgromadzeni w nim ludzie ginęli niemal w mgnieniu oka.

— A co kryje się za tymi drzwiami? — wskazała Ania pozostałe drzwi.

I jedne, i drugie były zamknięte. A może to tylko rdza spaczyła je i otworzą się pod silniejszym naporem. Asur obszedł salę w poszukiwaniu jakiegoś drugiego wejścia i dopiero za niewielką, metalową szafką, pokrytą warstwą sproszkowanej rdzy i kurzu, dostrzegł jakiś otwór. Okazało się, że były to również drzwi, jeszcze większe i szersze niż tamte, ale całkiem zawałone wysokim stosem skalnego rumowiska. Cała trójka ruszyła w ich kierunku. Uszli niewielki kawałek i nagle Ania wykrzyknęła:

— Co tam świeci?

U samego niemal końca korytarza istotnie coś bieląo. Wyglądało jak maleńka moneta. Domyślili się, że nie może to być nic innego, jak tylko wyjście i raźniej ruszyli w jego kierunku. Plama świetlna stawała się coraz większa i wkrótce okazała się rzeczywiście okrągłym otworem, przez który prześwitywało blade, marsjańskie niebo. Zauważyli jednak, że nie sposób wydostać się tędy, bo zaraz za otworem rozwierało się znów przepastne urwisko.

— I znów przepaść. I tu również tunel uległ zawaleniu — powiedział zmartwiony Asur.

— Poczekaście tu chwilę, zobaczę, czy nie uda nam się jakoś stąd wydostać!

Wyczołgał się na zewnątrz i szybko znikł im z oczu. Ale po chwili ujrzeni, że wsuwa się z powrotem w wąski otwór tunelu, plecami przyciskając się mocno do muru.

Usłyszeli jego szept:

— Nie, to niemożliwe! Nie!

Ania podbiegła do niego.

— Asurze, co się stało?

Wskazał ręką na wschód.

— Tam, tam...

Asur przymknął oczy, ale po chwili znów je otworzył:

— Nic... — odpowiedział. — Z całą pewnością zdawało mi się.

Ania postąpiła kilka kroków do przodu, wysunęła ostrożnie głowę przez otwór i nagle z piskiem odskoczyła:

— Marsjanie!

Nogi ugięły się pod nią. Z wolna osuwała się na kamienną posadzkę.

Asur podtrzymał ją i rzucił do Skribina:

— Szybko z powrotem! Idą tu jacyś ludzie!

— Jacy ludzie?

— Nie wiem. Ale są również w skafandrach.

I pociągnął za sobą dziewczynę. Skribin niepomiernie zdziwiony tą nowiną i niczego nie rozumiejąc, odruchowo ruszył za nimi.

Asur wciągnął Anię do pierwszej napotkanej niszy i wszyscy skryli się w panującym w niej mroku. Dopiero tutaj Asur ściągnął z głowy Ani przezroczystą osłonę, podsunął dziewczynie pod nos jakąś buteleczkę i znowu nasunął osłonę na jej głowę. Ania odetchnęła głęboko. Gdy otworzyła oczy, przerażona otaczającą ją ciemnością, zawołała:

— Tatusiu! Asurze! Gdzie jesteście?

— Cicho, Aniu, tutaj!

— A gdzie podziali się Marsjanie? Przecież widziałam ich... zupełnie podobni do nas.

— Cicho, Aniu, najpierw przekonamy się, jakie mają zamiary. A oto i oni!

Sylwetka jednego z nich przesłoniła wejście. Zaraz za nim pojawił się i następny. Obydwaj mieli na sobie skafandry. Wzrostu byli tego samego, co Ziemianie. Ich twarze, zwróconych w kierunku tunelu, nie można było dostrzec. Trwało to tylko sekundę i po chwili snop światła wytrysnął przed nimi, ale tym samym oni stali się niemal niewidoczni. Światło migotało, ale było coraz bliżej ich kryjówek.

Skribin w zdenerwowaniu nie mógł natrafić na guzik nadajnika, znajdujący się w skafandrze na wysokości piersi. Ale światło prześlizgując się po niszy nie zatrzymując się dłużej znikło w korytarzu, którym ich trójka szła niedawno. Teraz dość wyraźnie zarysowały się dwa cienie znikające w jego głębi. Nagle Skribin chwycił Asura za rękę i szepnął:

— Słyszę ich głosy! O!

Umilkł. Mały głośniczek zainstalowany w skafandrze złowił kilka słów. Śmieszne. Te słowa były im znajome, wyraźnie zrozumieli język angielski.

Anglicy? A może Amerykanie?

Jeden głos mówił:

— Przecież to przejście musiały zbudować istoty rozumne, niech to diabli! Bill, ależ to wręcz niewiarygodne!

— Sprawdźmy, co jest tam dalej — proponował drugi głos.

Skribin znów przestawił swój aparat na fale, na których porozumiewał się z Anią i Asurem i szepnął do nich, ogarnięty nagle przeraźliwym podejrzeniem:

— Mówią po angielsku...

— Czy to aby nie ludzie Wegi? — przerwała mu Ania — Asurze!

— Jestem tutaj, Aniu!
— Czy masz swoją broń?
— Co za pech! — odpowiedział Asur. — Miończycy nie domyślili się, żeby zostawić mi choćby jedną śmiertcionośną pałeczkę, a ja sam też zapomniałem ich o to poprosić!
— I co teraz? Tatusiu, uciekajmy natychmiast! Tatusiu, to ludzie Wegi! Dowiedzieli się, że jesteśmy tutaj i ruszyli naszym śladem!
— Ależ, Aniu, przecież jeden z nich ma na imię Bill! To chyba nie oni! Dokąd pędzisz, Aniu?
Ania biegła do wyjścia. Asur pobiegł za nią. Skribin dogonił ich dopiero na ścieżce, która zakolami wznosiła się na powierzchnię. Pojazd stał ukryty za skałami, w odległości stu metrów.
Cała trójka pędem ruszyła w jego kierunku.

Przyjaciele

Przez dwa dni nie opuszczali namiotu. Czekali. Zawsze jedno z ich trójki czuwało kiedy reszta spała. Przez szklaną kopułę widać było dokładnie całą okolicę. Ale nikt ich nie niepokoił... Kiedyś przecież zjawią się. Na pewno są już na ich tropie i lada moment będą tutaj...

— To wszystko z mojej winy! — wyrzucał sobie Asur. — Jak mogłem zapomnieć, by poprosić Miończyków o pozostawienie nam broni.

Ania czuła się niezbyt dobrze — była osłabiona, blada, uśmiech coraz rzadziej pojawiał się na jej ustach. Przestała ją nawet interesować sama planeta. Czas spędzała zazwyczaj przy radioodbiorniku. Dwa razy już rozmawiała z samym Fadiejewem, który poradził jej, aby znaleźli sobie jakąś bezpieczną kryjówkę do momentu przylotu rakiety. No, dobrze, ale gdzie tu znaleźć taką kryjówkę. A poza tym nie mogli przecież na dłuższy czas opuszczać szklanej kopuły — zginęliby prędko bez jedzenia, wody, a przede wszystkim bez większego zapasu tlenu. Gdzie tu w ogóle szukać kryjówki na tej niemal nagiej planecie?

Pozostawało jedynie prosić o pomoc Miończyków. Ale Skribin zdecydowanie sprzeciwił się temu projektowi. Wstydził się jeszcze raz narażać Miończyków na zmianę ich marszruty. Asur podzielał jego zdanie, tylko Ania wciąż domagała się, by poinformowali o wszystkim Taomeja. Z całą pewnością Taomej znajdzie jakiś sposób, by im pomóc...

— Nie, to wykluczone, Aniu! Zresztą, wcale nie wiemy, czy to rzeczywiście Wega i jego ludzie — zaproponował Skribin.

— No więc kto w takim razie?

— Być może kosmonauci, jak i my.

— A jeśli Wega poleciał na księżyc i stamtąd ruszył naszym śladem, ale już ze znacznie liczniejszą załogą?

— To niemożliwe, Aniu! Po prostu nie zdążyliby tego zrobić!

— A jednak, tatusiu...

Na trzeci dzień Asur orzekł, że życie w ustawicznym lęku i niepewności jest na dłuższą metę nie do wytrzymania. Kiedy zaczął zapadać mrok, Asur przyczepił do ramion aparat latający, a do kieszeni elastycznych spodni wepchnął jakiś niewielki przyrząd owinięty cieniućkami kabełkami. Były to okulary umożliwiające widzenie w ciemnościach. Odleciał odprawiany tysiącem rad Skribina i Ani, by uważał na siebie, bo przecież są to ludzie bardzo niebezpieczni i źli...

Asur leciał bez świateł, z wzrokiem utkwionym w ziemię, na którą Fobos rzucał teraz

bladawą, widmową poświatę. Ale nie dostrzegł żadnego śladu ludzkiej obecności, nie widać było także połyskliwego cielska rakiety. Oglądany przez okulary pejzaż, rozścielający się u jego stóp, wydawał się szarawy, jak na białoczarным filmie. Asur już od dwu godzin pentrował pustynię, ale bez rezultatu. Postanowił więc polecieć na północ. Starał się lecieć jak najniżej nad ziemią. Pustynia powoli zaczęła przechodzić w równinę, porośniętą tu i ówdzie trawą i krzewami. Potem zaczęły się już nawet ukazywać lasy. A wśród nich od czasu do czasu błysnęło jezioro, w którego lustrze odbijało się marsjańskie niebo wraz ze swymi sztucznymi satelitami i gwiazdami — jak ogromne, płonące rubiny.

Ale to, co błysnęło teraz pod nim, to chyba nie jezioro? Nie, to szczyt jakiejś wieży. Asur zmniejszył prędkość. Zamigotał jakiś płomyk. Ależ to wcale nie ogień, to przecież okno. Obok wysokiej budowli ciemniał barak czy też namiot. Gdy Asur zbliżył się bardziej, okazało się, że migocąca wieża jest po prostu rakieta, taką samą, jaką podróżował Wega i jego kompani. Rakieta wspierała się na trzech rozkraczonych szeroko stalowych nogach. Jej czubek skierowany był prosto w niebo. Do rakiety przylegało rusztowanie windy. W oknach baraku Asur dostrzegł ciemne, poruszające się ludzkie sylwetki. „Ania miała rację” — pomyślał Asur, z nagłym przyplływem bezmiernie tkliwego uczucia dla tej dziewczyny. Wega rzeczywiście jest tutaj, na Marsie. Ma broń i bardzo łatwo mógłby sterroryzować całą trójkę. A jeśli to nie Wega? Skribin przypuszcza przecież, że mogą to być jacyś kosmonauci, którzy wylądowali na Marsie. Asur postanowił to sprawdzić.

— Słyszycie? — wykrzyknął Bill. W ustach miał duży kęs odgryzionego przed chwilą jabłka. Dopiero co wrócił, nie zdążył nawet ściągnąć skafandra. Zdjął jedynie przezroczystą osłonę z głowy.

Doktor Evans podniósł wzrok znad gazety. Harry i Bronson pochłonięci byli grą w karty i nic nie było w stanie odwrócić ich uwagi.

— Coś huczy — powiedział doktor. — Jakby jakaś maszyna.

— Tak, rzeczywiście. Wyjdę i sprawdzę.

Bill szybko przykręcił osłonę do skafandra, wepchnął do kieszeni rewolwer, leżący dotąd pod poduszką, i wybiegł na dwór. Lecz tu niczego nie usłyszał. Przeszkadzał mu w tym skafander. Zdecydował się więc odsunąć sprzed twarzy półkolistą osłonę. Sprawdził kiedyś, że jest w stanie oddychać marsjańskim powietrzem minutę, najwyżej dwie... Uderzył mu w twarz strumień chłodu — zimno było dokuczliwe, lecz znosił to cierpliwie. I wtedy znów usłyszał warkot silników. Gdzie? Całkiem blisko... Zaraz za barakiem. Bill krzyknął w stronę drzwi:

— Szybko, chłopcy! Leci jakaś rakieta.

Jeden za drugim wysypali się wszyscy przed próg baraku. Ale wtedy warkot zamarł.

— Miewa pan halucynacje, mister Bill — zauważył radiotelegrafista Harry. — Proszę mi wybaczyć, ale nie jestem w stanie wytrzymać już ani chwili dłużej na tym rozrzedzonym powietrzu.

I wrócił do baraku, wzniesionego z mas plastycznych. Bronson poszedł jego śladem, i obaj znów zaczęli grać w karty. Na zewnątrz zaś istotnie coraz trudniej było oddychać. Dokucztał przy tym przeraźliwy chłód. Doktor Evans poszedł po swój skafander. Bill rozglądał się po niebie; dopiero po chwili dostrzegł na nim czerniejący, przesuwany się z dość znaczną prędkością, cień.

— Ale ptaszysko! Cóż to za gigantyczny ptak? Sam diabeł chyba — mruknął do siebie Bill, nasuwając na twarz szklaną osłonę, bo poczuł nagle dotkliwy ból uszu, do tego rozrzedzone powietrze o mało nie zadusiło go. I wtedy strzelił: raz i jeszcze raz.

W progu ukazał się Evans, dźwigający ogromny reflektor, którego światło zdawało się wręcz rozgarniać mrok. I on zauważył na niebie dziwny stwór, nie posiadający skrzydeł, a lecący pionowo do powierzchni planety — raz spadający w dół, to znów po chwili szybko

wzbijający się w górę. Światło reflektora nie zdołało jednak przebić mroku na tak znacznej już wysokości. Po chwili latający stwór całkowicie znikł z ich pola widzenia. Bill zawołał:

— Reflektory, szybko!

Evans podbiegł do białej tablicy, na której widniał rząd elektrycznych kontaktów i przekręcił jeden z nich. Błękitnawe światło długą, kilkumetrową strugą przecięło nagle mrok. Bill stanął za reflektorem i począł kierować go we wszystkie strony. Ale powierzchnia planety była pusta i martwa jak zawsze, czasem tylko tu i ówdzie porośnięta pojedynczymi drzewami czy krzewami. Z jednej strony czerniał gęsty bór — nigdzie jednak ani śladu dziwnego ptaka.

— Zwiął! — wściekał się Bill.

Evans wyraził przypuszczenie, że być może dziwny stwór zginął od ich kul!

— Ale nie widzę niczego również na ziemi, choć może... — i Bill nagle ruszył przed siebie, w kierunku, w którym znikła zjawą. Snop błękitnego światła z reflektora torował mu drogę. Szedł z wzrokiem utkwionym pod nogi, co chwila jednak odwracając się za siebie. A może był to człowiek? Leczą skąd by się tu wziął? I dlaczego uciekałby przed nimi? Nie, to niemożliwe, wiedzieliby chyba coś o tym, gdyby jeszcze jakaś druga ekspedycja przebywała na Marsie.

— Musi to być, ani chybi, nikt inny, tylko Marsjanin. A niech to diabli, zaczynam już majaczyć! — roześmiał się na cały głos Bill.

Postanowił pójść jeszcze kawałek i zawrócić, gdy wtem na piasku dostrzegł jakiś ślad. Nachylił się. Krew... Bill dotknął plamy i podniósł rękawicę przed przezroczystą osłonę. Istotnie krew. Nachylił się jeszcze raz i powtórnie dotknął owego śladu. I tym razem na rękawicy pozostała pąsowa plamka. Gdy przykląkł, zauważył więcej takich wilgotnych śladów na piasku. Jeszcze nie zakrzepłe, czerwone jak rubin krople krwi prowadziły dalej w mrok.

— Hej, chłopcy! — zawołał do swego mikrofonu. — Znalazłem ślady krwi.

— Przekonujący dowód, że nie był to duch — odpowiedział głos Evansa.

Bill wrócił do baraku i pokazał wszystkim zakrwawioną rękawicę. Długo w noc gawędzili czterej kosmonauci o dziwnym, fruującym stworze. Cóż to mogło być takiego? Nieznany marsjański ptak czy człowiek? Zżymali się, że zapadła już noc, bo mieli ochotę natychmiast ruszyć krwawym śladem. Wszyscy spali niespokojnie tej nocy i kiedy marsjański świt zajrzał do okien, Bill i doktor Evans już nakładali swoje skafandry i uruchamiali gaśnicowy pojazd. Początkowo jechali dość szybko, bo drogę wskazywał im krwawy ślad, ale nagle ślad się urywał, a wokół nie było widać żadnego ciała. A zatem?

— Wszystko zdaje się wskazywać na to, że oprócz nas żyje tu jeszcze jakaś istota ludzka — odezwał się doktor Evans. — Nie uspokoję się, dopóki jej nie odnajdę. Jedziemy?

Pojazd ruszył na przełaj przez wydmy. Czasem skręcał w lewo, czasem w prawo, to znów zataczał ogromny łuk, wspinał się na niewysokie wzgórza. Ale wciąż nie napotykali niczego interesującego. Wokół rozciągała się nieogarniona pustynia. Minęło już południe, a nie wzięli ze sobą żadnych zapasów pożywienia — ich siły podtrzymywała więc jedynie woda w nylonowej butelce.

Na wschodzie wyrosło nagle jakieś wyższe wzgórze. Postanowili zbadać jeszcze jego okolice. Pojazd lekko kołysząc się, pełznął po piasku. Po chwili znaleźli się pośrodku rozległego płaskowyżu. Wyciągnęli szybko swoje specjalne okulary i nałożyli na oczy.

— Spójrz w tamtym kierunku. Tam coś połyskuje! — wykrzyknął nagle Evans.

Rzeczywiście, daleko, pośrodku pustyni, wznosiła się jakaś lśniąca w promieniach marsjańskiego słońca budowla w kształcie ogromnej kopuły.

— A co, czy nadal twierdzisz, że uległem halucynacji? — zawołał z satysfakcją w głosie Bill. — To oczywiście rakieta!

Ale nie była to wcale rakieta, lecz ogromny szklany dzwon, pod którego kloszem jaśniał niewielki namiot. Przekonali się o tym, gdy podjechali bliżej owej przezroczystej kopuły.

— Bill! Jesteś ostatni osioł, a może nawet jeszcze coś głupszego! I co będzie, jeśli oka-

że się, że zabiłeś człowieka? — powiedział nagle przerażony Evans.

— Doprawdy, co za historia! Może rzeczywiście jakiś kosmonauta leciał owym małym helikopterem? Ale skąd miałem o tym wiedzieć? Przecież nie przedstawił mi się.

Mimo iż sam tak przekonująco się usprawiedliwiał, z niepokojem myślał o chwili, gdy staną naprzeciw mieszkańców szklanej kopuły.

Skribin, Ania i Asur wyszedłszy na próg namiotu zastygli w oczekiwaniu. Nikt się nie odzywał. W milczeniu obserwowali uważnie gąsienicowy pojazd, najwyraźniej kierujący się w ich stronę. Całą noc dokuczał Asurowi ból w ręce, lecz teraz, gdy ujrzał obcy pojazd, zapomniał zupełnie o ranie. Z całą pewnością to Wega strzelał do niego, bo któż by inny?

— Co stanie się z nami? — wyszeptała wreszcie Ania.

Skribin nie odpowiedział. Pojazd był jeszcze dość daleko. Upłynie trochę czasu, nim jego pasażerowie znajdą się tutaj. Wrócił do namiotu i włączył radiostację. Kiedy w słuchawce rozległ się głos Spiridonowa, Skribin zaczął szybko nadawać:

— Halo, Spiridonow! Tu Mars! Mówi Skribin! Słuchajcie, zbliżają się w naszym kierunku jacyś ludzie w pojeździe. Wczoraj jeden z nich zranił Asura w rękę. Rana co prawda nie jest groźna, ale zawsze... Niewykluczone, że to właśnie Wega. Jeśli stanie się coś z nami, wiedzcie, że to jego sprawka. Rakieta Wegi nazywa się „Kosmos”. Spróbuję jeszcze nawiązać łączność z rakieta, która leci po nas. Postarajcie się i wy połączyć z nią natychmiast...

— Tatusiu! — doleciał go od drzwi głos Ani. — Oni są już tutaj.

Lecz Skribin nawet nie odwracał się od mikrofonu, nie przestając krzyżeć coraz głośniej:

— Halo! Spiridonow! Oni są już całkiem blisko, nie zdążę już połączyć się z załogą naszej rakiety. Zróbcie to wy! Jeśli nic nam się nie stanie, odezwę się znowu...

I Skribin wyłączył aparat. W tym samym momencie do pokoju wszedł Asur. Z jego twarzy jak gdyby znikło poprzednie napięcie.

— Panie Skribin! Opuścili już pojazd! Udało mi się obejrzeć ich twarze przez skafandry. Na pewno nie ma wśród nich Wegi. Nie ma też ani jednego z jego przyjaciół. To inni ludzie.

W tej samej chwili Ania naciskała już niewielki przycisk na wewnętrznej ścianie kopuły. Bill i doktor Ewans weszli do niewielkiego przedsionka. Jego drzwiczki zatrzęsły się od razu. Po krótkiej chwili Ania otwarła drugie drzwi. Goście ściągając z głowy osłony, przestąpili próg szklanej kopuły. Gdy stanęła przed nimi Ania, uśmiech na ich twarzach ustąpił miejsca najwyższemu zdumieniu.

— Kosmonautka? — zapytał Bill po angielsku. — Bardzo mi przyjemnie, miss.

— Tak — odpowiedziała Ania. — A panowie?

— Także kosmonauci, archeolodzy. Przylecieliśmy tu przed czterema dniami. Doktor Evans! — przedstawił swego towarzysza, który odpowiedział na to lekkim skinieniem głowy. Bill z wielką powagą i namaszczeniem przedstawił się również:

— Jestem Bill Allan z Waszyngtonu. Specjalność: archeologia kosmiczna.

— A ja jestem Ania, moja specjalność: kosmonautyka i astronomia — powiedziała z kolei Ania.

— To wspaniale. Ale proszę nam zdradzić, jak tu się dostaliście? Nie widzę nigdzie żadnej rakiety — zainteresował się Bill obrzucając jednocześnie ciekawym wzrokiem przezroczyście ściany.

Ania zmieszana się. W tej samej chwili podszedł Skribin i powiedział że ich rakieta po prostu odleciała z powrotem... A teraz czekają na drugą, która ma zabrać ich na Ziemię. A panowie kim są?

Przedstawili się więc i jemu. Gdy wymieniali wszyscy przyjazny uścisk dłoni, Bill nagle zauważył obandażowaną rękę Asura.

— Tysiącrotnie przepraszam, moi drodzy! — powtarzał gorąco Amerykanin, patrząc to na Asura, to na Anię i Skribina. — Czy pan był tym tajemniczym gościem, który złożył nam wizytę wczorajszego wieczoru?

I Bill jeszcze raz serdecznie przeprosił Asura. Zaszła fatalna pomyłka. Na szczęście Asur żyje i nie jest, zdaje się, zbyt mocno ranny, jak zauważył...

Ania wyzbyła się już całkowicie swych podejrzeń. Nie było przecież z nimi Wegi. A ci młodzi Amerykanie sprawiali całkiem sympatyczne wrażenie. Bill był blondynem o szarych, jakby wiecznie uśmiechniętych oczach. Znamionowała go szczerłość i niezwykła żywotność. Widać było, że jest to człowiek, którego cieszy wszystko. Doktor Evans, niższy od niego, trochę zamyślony i raczej mało mówny, w sposobie bycia miał również coś przyciągającego i budzącego zaufanie.

Bill wdał się w rozmowę z Anią. Wciąż wracał do incydentu z ostatniej nocy i prosił, by Asur o tym zapomniał. A jeśli trzeba, to on chętnie podskoczy do rakiety, która stoi w odległości zaledwie stu kilometrów stąd i przywiezie lekarstwa. Mają świetnie zaopatrzoną apteczkę na swej rakiecie. A może potrzebują jeszcze czegoś?

Asur nie rozumiał ani słowa z tego, co mówił Bill, stał więc w milczeniu naprzeciwko niego. Ani jeden mięsień nie drgnął pod jego napiętą, śniadą skórą twarzy. Pełne wargi były mocno zaciśnięte.

Początkowo Amerykanin nie zwracał na to żadnej uwagi, lecz gdy wreszcie zauważył przedłużające się milczenie Asura, rzucił pytające spojrzenie w kierunku Ani.

— On po prostu nie zna angielskiego — roześmiała się Ania. — Lecz zna za to dobrze rosyjski.

— O, jesteście Rosjanami?

— Niezupełnie...

— Nie dosłyszałem pańskiego nazwiska — zwrócił się Bill do Skribina. — Kosmonauta? Jaka specjalność?

Skribin postanowił nie podawać swego prawdziwego nazwiska. Powiedział więc, że nazywa się Timofiejew — w rzeczywistości było to jego drugie imię, po ojcu — a ta młoda dama to jego córka. On sam jest z zawodu inżynierem. Trzeci członek załogi — Asur, jest specjalistą od zadań specjalnych... Skribin nie określił bliżej, na czym polegają te zadania. Lecz wyjaśnienia te obu Amerykanom wydawały się zupełnie zadowolające. Cieszyli się bardzo, że spotkali ludzi z ojczystej planety. A do tego była jeszcze wśród nich ta urocza dziewczyna. To ci dopiero niespodzianka! Nawet doktor Evans był dziś weselszy i rozmowniejszy niż zazwyczaj.

Ania poprosiła gości, by usiedli. Szybko przyrządziła smakowity, słodkawo-gorzki napój, podczas gdy Bill opowiadał o celach ich ekspedycji. Lot był dość monotony, mimo że mieli bogatą bibliotekę, słuchali radia i oglądali filmy.

— Wzięliśmy z sobą setkę filmów fabularnych, a mimo to musieliśmy wyświetlać je po dwa, a nawet trzy razy, bo tak długo trwał lot — opowiadał Bill, nie przestając się uśmiechać, choć to, co opowiadał, wcale przecież nie było takie śmieszne. — Gdy zaczynamy tęsknić za Ziemią, oglądamy sobie znajome widoki; góry, morza, rzeki, jeziora, a nawet zwykłe, miejskie ulice... I wydaje ci się, że znów jesteś na Ziemi, że spacerujesz sobie nad Missisipi, albo nad brzegiem jeziora Michigan. Potem gimnastyka. Poza tym, oczywiście, specjalne pożywienie, zresztą sami przecież wiecie. Nie było to zbyt atrakcyjne, ale wreszcie skończyło się i jesteśmy już na miejscu...

Dodał, że przylecieli tu, by zbadać, czy nie znajdą na powierzchni planety jakichś śladów kultury jej dawnych mieszkańców. I niech sobie wyobrażą, przyjechali tu bez specjalnych nadziei, na zlecenie pewnego sławnego instytutu i już pierwszego dnia wpadli na bardzo interesujący trop. Jakieś podziemne wejście — to jest „podmarsjańskie” wejście — poprawił się ze śmiechem Bill — wskazało im drogę do starożytnego podziemia. A tam odkryli

szkielety i...

— Bill, może naszych gospodarzy nie interesują archeologiczne przygody — przerwał mu doktor Evans. Nie chciał, zdaje się, by jego przyjaciel zdradzał, jakiego cennego dokonali odkrycia. Lecz Ania nie domyśliła się tego i dodała:

— I my odkryliśmy podobne podziemie ze szkieletami i zardzewiałym wyposażeniem. Wszystko wskazuje na to, że było to niegdyś laboratorium.

— A czy znajduje się ono w odległości około pół godziny drogi stąd samolotem? — dopytywał się Bill, zaskoczony dziwnym podobieństwem obu archeologicznych odkryć.

— Ależ właśnie tam przecież już spotkaliśmy się wszyscy — wyjaśniła, wybuchając śmiechem, dziewczyna.

Niepokój zupełnie ją opuścił. Śmiała się teraz beztrąsko, niezmiernie szczęśliwa. Ci dwaj Amerykanie są przecież tak serdecznymi i sympatycznymi ludźmi.

Popijali mionńską kawę. Goście pochwalili jej smak, dodając, że to na pewno jakiś specjał rosyjski. O, Rosjanie są mistrzami w tej dziedzinie. Mają ponoć wyborną kuchnię, prawda? Bill wyraził żal, że do tej pory jeszcze nie odwiedził Rosji ani żadnego innego słowiańskiego kraju. Czytał wprawdzie wiele o socjalistycznych państwach, oglądał filmy z Bułgarii, które ukazywały Słoneczny Brzeg, góry Riła, Rodopy...

— A może teraz chcielibyście coś zobaczyć? — zapytała Ania. — Chodźcie.

Bill i Evans wstali i poszli za nią. Ania wyprowadziła ich przed namiot, na rodzaj podwórza i rzuciła białe płótno, zakrywające marsjański pomnik.

— My nie jesteśmy wprawdzie archeologami, ale poznaliśmy się na tym — powiedziała z odcieniem dumy w głosie.

Bill i Evans zaniemówili. Byli wstrząśnięci tym, co ujrzeli. W milczeniu spoglądali na płytę, wreszcie Bill wyciągnął rękę i zaczął dotykać poszczególnych, wrytych na niej znaków. Po dłuższej chwili zwrócił się do Evansa:

— Doktorze, co ci to przypomina?

— Nasz układ słoneczny — odparł niemal natychmiast Evans.

— Bezcenne znalezisko. Gdzie znaleźliście tę płytę?

— W jednej z przepaści.

— Trzeba ją jeszcze raz zbadać.

I obydwaj, przyklękawszy obok płyty, zaczęli rozmawiać z wielkim ożywieniem o poszczególnych napisach i figurach. Wszystko każe przypuszczać, że Marsjanie odwiedzili niegdyś Ziemię. Fantastyczne! Ale dla Ani wcale nie brzmiała ta nowina fantastycznie.

— Tak sądzicie? — powiedziała. — Może nie tylko Marsjanie gościli na Ziemi, ale i przybysze z innych, nieznanym nam planet?

— Tak, istnieją takie hipotezy, ale przekonujących dowodów wciąż brak... — odparł Evans.

— Nie ma dowodów? — wykrzyknęła oburzona Ania. — Coś podobnego, a ja wiem, że...

— Co pani wie, miss? — nie bez ironii zapytał doktor.

— Na razie nic jeszcze nie mogę powiedzieć.

— Jakieś epokowe odkrycie w dziedzinie astronomii?

— Może spotkamy się po powrocie na Ziemię, a wtedy wszystko wam powiem!

Obaj skłonili się, ucieszeni, że Ania wyraźnie proponuje im spotkanie na Ziemi. A po chwili znów zaczęli rozmawiać o zagadkowych napisach. O, gdyby udało się je odczytać! Ale teraz, na miejscu, na pewno tego nie dokonają. Potrzeba długotrwałych badań, by odgadnąć znaczenie poszczególnych znaków pisma Marsjan. Już niedługo dokonają tego urządzenia cybernetyczne...

Ania potakiwała ich słowom, uśmiechając się. Jak zdołają rozszyfrować te zagadkowe słowa? To chyba niemożliwe. Bill zaprotestował gorąco. A czyż nie rozszyfrowano zagadko-

wych napisów Majów i Etrusków? Czy drodzy przyjaciele Rosjanie, czy też Bułgarzy — Amerykanie wciąż nie mogli tego zapamiętać — pozwolą, by dokonali kilku zdjęć tej płyty?

Ania zgodziła się. Asur przyniósł niewielki reflektor i Bill kilka razy pstryknął aparatem fotograficznym. Potem Ania zaproponowała małą przekąskę. Jedzenie i napoje zdumiały Amerykanów. Mięso miało niezwykły smak, owoce były ogromne, soczyste, zupełnie im nieznane, a w kieliszkach musował napój podobny do szampana, jednak wcale nie upijający...

— Po raz pierwszy jem podobne delicje — zachwycił się Bill. — Która republika socjalistyczna dostarcza wam tej żywności, miss?

Skribin uprzedził ją i odpowiedział:

— Kosmos!

Ania promieniała. Była w tej chwili niezwykle ładna i powabna...

Radiotelegrafista Harry siedział przed nadajnikiem i ziewał. Nudził się setnie... Plastikowy barak był dlań prawdziwym więzieniem. Nie wytkniesz ani nosa na zewnątrz bez skafandra, a w ogóle, gdzie tu się rozerwać? To nie nowojorskie ulice z kafejkami, barami, dancingami, pełnymi pięknych dziewcząt. Nie tu szukać takich rozrywek. Nie tylko nie ma kina, ale choćbyś nie wiem jak schodził tę wymarłą planetę, nie spotkasz na niej drugiego człowieka. Tylko pustka i głucha cisza. Można zwariować!

Harry przerzucił kilka kartek kieszonkowego ilustrowanego kalendarzyka, leżącego na półce z przyrządami. Ile to jeszcze dni muszą tu tkwić? Właśnie, nie wiadomo dokładnie. Na Ziemi powiedzieli im przecież: „Dwa tygodnie albo dwa miesiące”. Odpowiednie dyspozycje miały im być przekazane po dokonaniu wstępnych badań.

Nuda!

Nawet gra w karty już ich nie pociąga. Zbrzydła w końcu ta rozrywka i jemu Harry'emu, i pilotowi Bronsonowi. Co prawda, brydż to całkiem ciekawa gra, ale ich koledzy archeolodzy nie zdradzali jakoś zainteresowania kartami. Choćby i teraz... Bill, wyciągnięty w miękkim fotelu, przysuniętym do okrągłego okienka, był całkowicie pochłonięty lekturą. Evans zaś po prostu leżał na kanapie w kącie z zamkniętymi oczyma. Spał? A może rozmyślał o czymś? Może tęsknił za kimś bardzo miłym na Ziemi? Bronson, nachylony nad stołem, dłubał zawzięcie, zdaje się, że naprawiał jakąś zepsutą część silnika.

Cała czwórka zdążyła już wszystko opowiedzieć o sobie nawzajem przez tych osiem dni przebywania na Marsie i teraz wszyscy milczeli. Jedynym ciekawszym wydarzeniem, które ożywiło ich na pewien czas, było spotkanie z inną ekspedycją, składającą się z dwu mężczyzn i młodej dziewczyny. Ale i tak jedynie Bill i doktor Evans potrafili się z nimi dogadać.

Tak, znów taka sama nuda...

— Mister Bill! — przeciął nagle ciszę zdumiony głos Harry'ego.

Bill odłożył książkę na kolana i spojrzał pytającym wzrokiem na kolegę.

— Słucham, Harry?

— Mister Bill, jak idą roboty?

— Dobrze, Harry...

— Ech, co tu w ogóle dobrego? — skrzywił się na to radiotelegrafista. — Nuda, ot co!

— Dlaczego? Evans i ja spędzamy czas na bardzo interesujących zajęciach, Harry. Jak chcesz, weźmiemy cię jutro z sobą do podziemia.

— E, dziękuję, byłem już tam! — ziewnął Harry, zasłoniwszy sobie usta dłonią.

— Jak sobie życzysz...

— A nie ciągnie was już na Ziemię? — odezwał się znów po chwili Harry.

Bill roześmiał się głośno i odpowiedział.

— Współczuję ci, Harry, ty doprawdy się nudzisz.

— Jeśli mam być szczery, mister Bill... — nie dokończył zdania, bo wtem ostry, alarmowy sygnał zmusił go do skoncentrowania całej uwagi na radiostacji. Na tablicy roz-

dzielczej pulsowały kolejno różne światełka, a potem doleciał jakiś daleki głos.

— „Mars” osiem. „Mars” osiem. Tu „Niagara” — przechodzimy na odbiór. Hallo „Mars” osiem. Tu „Niagara”!

Harry spojrział na zegarek, jednocześnie naciągając na uszy słuchawki. Gdy zobaczył, która godzina, zaklął:

— Niech ich diabli porwą. Łączą się o pół godziny za wcześnie.

Evans uniósł się na łokciach i powiedział:

— A może coś się stało? Może mają nam do przekazania jakąś specjalną wiadomość?

— Zdaje się... poczekajcie chwilę — zamruczał Harry.

Cała trójka zwartym kołem otoczyła radiotelegrafistę, którego ręce bezustannie błądziły od tarcz do przełączników, to znów do dźwigni. Drgały strzałki, zapalały się czerwone i zielone lampki, dał się słyszeć przeraźliwy pisk, potem nagle nastąpiła cisza, a po chwili w słuchawkach Harry'ego znów rozległy się jakieś trzaski.

— Musiało stać się coś poważnego, jak sądzisz, Bill? — odezwał się znów Evans.

Nim Bill zdążył odpowiedzieć, łączność nawiązano i oto Harry odebrał dziwny, zaszyfrowany telegram. Zaczął go czytać pod nosem:

— Coś podobnego! Przecież to nie ma żadnego sensu!

— Jakieś nowe dyspozycje? — zapytał zniecierpliwiony Bill.

— Zaraz, chwileczkę, spróbuję jeszcze raz odszyfrować tekst.

I Harry napisawszy na kartce kilkanaście wyrazów, podał ją Billowi, który czytał na głos:

— „Zaginał raketoplan „Kosmos”. Przerwać wszelkie roboty. Przeszukać dokładnie wszystkie rejony Marsa, być może „Kosmos” był zmuszony na nim wylądować. Meldować niezwłocznie o najmniejszym znalezionym śladzie. Stop”.

Cała czwórka w milczeniu spoglądała po sobie.

— Też wymyślili! — mruzczał naburmuszony Evans. — Rzucić wszystko i szukać zaginionej rakiety. Też coś!

— Evans, jak możesz tak mówić! Przecież zaginęli nasi ludzie — zwrócił mu uwagę Bill. — Może rzeczywiście wylądowali na Marsie gdzieś niedaleko nas i na próżno wzywają pomocy...

— Dlaczego zaraz miałoby im się przytrafić coś złego?

— I takie rzeczy się zdarzają — odparł mu wyraźnie poruszony treścią telegramu Bill. — Harry!

— Słucham, mister Bill!

— Co ci wiadomo o „Kosmosie”?

— Nie mam zielonego pojęcia, mister...

Pozostali również o niczym nie wiedzieli.

Evans stał z miną poważną, z rękami wepchniętymi w kieszenie spodni. Nie miał najmniejszej ochoty włóczyć się po Marsie właśnie teraz, gdy poznali tę uroczą dziewczynę, ale cóż, obowiązek przede wszystkim... Ruszą więc na poszukiwanie załogi „Kosmosu” — ale, niestety, nie będą mogli posłużyć się rakieta, gdyż unosiła się ona na zbyt znaczną wysokość, z której trudno byłoby im dostrzec nie tylko jakiegokolwiek ślady pobytu ludzi, ale nawet samą rakieta. Poza tym muszą oszczędnie obchodzić się z paliwem, by wystarczyło im go na drogę powrotną na Ziemię. A trudno przecież pieszo przemierzać planetę, nie mieli, niestety, niewielkiego samolotu czy helikoptera — najwygodniejszych środków lokomocji do podobnych celów. Pozostaje jedynie pojazd gąsienicowy.

— Bronson, maszyna w porządku? — zapytał Bill.

— W porządku, mister, ale nie wiem, doprawdy, jak spisie się w takim terenie, przy tych niezliczonych, głębokich przepaściach.

— Zobaczymy... jakoś to będzie.

Podróż zapowiadała się więc długa i męcząca, lecz rozkaz pozostawał rozkazem. Ale gdyby nawet im tego nie rozkazano, coś innego, silniejszego kazałoby im i tak podjąć ten trud — poczucie ludzkiej solidarności i podstawowego obowiązku wobec bliźniego. Zdecydowano, że o świecie Bill i Bronson ruszą w drogę. Zaś Evans i Harry mieli pozostać w obozie.

Noc zstąpiła niepostrzeżenie. Kosmonauci byli przygnębieni, prawie wcale nie odzywali się do siebie. Bill i Evans leżeli na łózkach i przy świetle nocnych lampek czytali pogodne książki, by szybciej mijał im czas. Harry i Bronson zaś znów wrócili do kart, ale dziś również gra im nie szła...

— Evans! — odezwał się po chwili Bill, odkładając książkę na nocny stolik. Książka opisywała przygody dzielnej kowbojki, jak mężczyzna ujeżdżającej mustangi i rzucającej lassem. Przez kilkanaście stron ciągnął się opis krwawej bójki na noże i pistolety o względy pięknej dziewczyny. Dziś treść tej książki wydała się Billowi wyjątkowo nudna i głupia.

— Evans! — powtórzył Bill. — Wiesz, o czym myślę?

— No, słucham, Bill?

— Myślę o naszych przyjaciółach. Rosjanach...

— O dziewczynie! — sprostował Evans.

— Nie żartuj. Kto wie, czy oni nie wiedzą czegoś o „Kosmosie”. Mogli przecież widzieć raketoplan, gdy mijał Marsa, albo w ogóle...

— Wątpię! Powiedzieliby nam o tym od razu.

— Rzeczywiście! — zgodził się Bill. — Zgadzam się z tobą. W każdym razie nie zaszkodzi jeszcze raz zapytać ich o to, gdy jutro przyjdą do nas z wizytą.

I obaj znów wrócili do lektury. Ale wkrótce i to zajęcie zarzucili. Zdrzemnęli się trochę, gdy wtem radiostacja zaczęła odbierać sygnały, którym nieustannie towarzyszył przeciągły, ostry świst.

Harry rzucił karty i naciągnął słuchawki. Wkrótce już łączył się z Ziemią. Sen od razu uleciał z powiek Billa i Evansa. Z wyrazem zainteresowania obserwowali zmieniający się co chwila wyraz twarzy Harry'ego. To malowało się na niej zdziwienie, to znów niepokój, a czasami nawet i zadowolenie.

— Harry, czego znowu chcą? — dopytywał się niecierpliwie Bill.

— Zaczekajcie... tak... Tak! Patrzcie ich...

— Naprawdę?... O, współczuję! — rzucał Harry do mikrofonu pojedyncze słowa. — Wszyscy?... Patrzcie, co za nieszczęście! Szkoda!

A potem powiedział „wyłączam się” i odłożył słuchawki. Odwróciwszy się do kolegów, zdobył się tylko na dwa słowa:

— Niech to...

— No, co się stało? — zapytał Bronson.

— Z podróży nici!

— Jak to? Przedłużają nam pobyt na Marsie?

— Nie. Nie musimy już szukać „Kosmosu”. Znalaziono go.

— A! — wyrwało się niemal jednocześnie ze wszystkich piersi.

— Właśnie znalaziono szczątki tego, co niegdyś było „Kosmosem” — informował Harry. — Raketoplan rozbił się przy próbie lądowania na Księżycu.

— A kosmonauci?

— Zginęli... czyli po prostu spłonęli; niestety! Szkoda tych cudzoziemców!

To było coś nowego. Evans zapytał:

— Jakich cudzoziemców?

Harry, powołując się na relację radiotelegrafisty, z którym przed chwilą rozmawiał i który nie miał nigdy przed nim żadnych tajemnic, opowiedział historię „Kosmosu”. Na pokładzie rakiety znajdował się jakiś sławny uczyony rosyjski, jego nazwisko brzmiało Skribin, czy też jakoś podobnie. Towarzyszyła mu kobieta, prawdopodobnie osobista sekretarka. Leciał na

Księżyc w celu zawarcia umowy o wymianie doświadczeń w dziedzinie budowy sztucznych planet. Po jakimś czasie „Kosmos” przestał odpowiadać na sygnały — to milczenie trwało około tygodnia. Wszyscy na Ziemi byli tym bardzo przerażeni. I oto nieoczekiwanie dostrzeżono go w pobliżu Księżyca. Przy próbie lądowania rozbił się, niestety, o skały i spłonął... Wszystko to przyjaciel opowiadał mu, oczywiście, w największym zaufaniu. Nie wiadomo, czy jest to dokładna wiadomość, ponieważ wydano zakaz komentowania tego wydarzenia w prasie, cała historia jest w ogóle ściśle tajna.

— Tak więc, pamiętajcie — dodał Harry — nic nie wiem i o niczym wam nie mówiłem. Rozumiemy się, co?

Odpowiedziało mu milczenie. Humory wszystkich były zwarzone. Długo w noc nie mogli zasnąć, rozmyślając nad tragicznym losem kolegów kosmonautów...

Na drugi dzień pojazd ze Skribinem, Anią i Asurem zatrzymał się u stóp połyskliwej, srebrzystej rakiety Amerykanów.

Zaproszono ich do plastikowego baraku. Oprócz posłań znajdowały się w jego wnętrzu duże stoły, krzesła, rozmaite akcesoria kuchenne, etażerki z książkami, a w jednym z kątów stały oparte o ścianę jakieś łomy, łopatkę, haki — nieodzowne narzędzia pracy każdego archeologa.

— Bardzo przyjemnie sobie mieszkanie — wyrażała uznanie Ania, zaglądając w każdy kąt tego przytulnego domu.

— Nie macie nam czego zazdrościć. U was z kolei wszystko jest niezwykle oryginalne — zauważył doktor Evans.

Ania roześmiała się.

— Staramy się nadać za kosmiczną modą! — zażartowała.

Amerykanie niezupełnie rozumieli, co tak rozśmieszyło Anię, ale również uśmiechali się uprzejmie.

— O, macie nawet prasę? — zdziwił się Skribin, zauważając kilka gazet leżących na stole. — Nie uwierzycie, jak dawno temu ostatni raz miałem w ręku gazetę. — Zdarzyło się coś ciekawego na Ziemi?

— Proszę, przejrzycie! — zaproponował Bill.

Skribin wziął jedną z gazet.

Bill zaglądając mu przez ramię, znaczącym głosem dodał, że owszem, zdarzają się ciekawe rzeczy, lecz nie zawsze podaje się je do publicznej wiadomości.

— To dziwne — odezwała się Ania. — Przecież twierdzi się powszechnie, że w Państwach Zachodniej Półkuli panuje całkowita wolność słowa.

— Akurat!... — mruknął z sarkazmem Bill. — Często wygodniej jest milczeć.

— Ale z jakich powodów? — dopytywała się Ania.

— Z różnych...

— Z całą pewnością dotyczy to tajemnic o charakterze państwowym.

Billowi zdawało się, że Ania powiedziała to dziwnym tonem, towarzyszył temu również lekki uśmieszek. Poczul się jak przyłapany na gorącym uczynku, więc nieco rozdrażniony, odezwał się do swego towarzysza:

— Evans, może ty wytłumaczysz mi, dlaczego pominięto milczeniem na przykład taką sprawę, jak ta katastrofa, która przydarzyła się ostatnio pewnej rakiecie?

— Masz na myśli „Kosmos”? — zapytał Evans.

— Oczywiście...

Ania i Skribin drgnęli. Gazeta bezwiednie wypadła inżynierowi z rąk. Schylił się, by ją podnieść. Stanowczo za długo trwał moment jej podnoszenia, ale Skribin za wszelką cenę chciał ukryć niepokój, który malował się na jego twarzy. W skroniach silniej niż zwykle pulsowała krew. Ania starała się podchwycić spojrzenie ojca. Na próżno. Tylko Asur nie rozu-

miał ani słowa z tej wymiany zdań, więc nie zwracał w ogóle uwagi na swych przyjaciół, a z zainteresowaniem zaczął oglądać talię kart, należąca do Harry'ego i Bronsona. Ale dwaj pozostali Amerykanie przysłuchiwali się uważnie rozmowie i w pewnym momencie Harry zakaszał ostrzegawczo. Bill jednak nie zwrócił na to najmniejszej uwagi i ciągnął dalej:

— Mister Timofiejew, katastrofa ta miała miejsce na Księżycu. Może słyszeliście o tym?

— Pierwszy raz słyszę — odpowiedział Skribin po zbyt długiej może chwili wahania.

— Kosmonauci nie powinni mieć przed sobą tajemnic — mówił Bill. — Wszystko nas łączy! — spojrział w tym momencie wymownie na Anię. — Otóż rakiemie nie udało się, niestety, wylądować na Księżycu. Przy próbie lądowania rozbiła się doszczętnie i spłonęła. Wszyscy zginęli!

Anię wiele wysiłku kosztowało, by zapytać:

— A kim byli ci w rakiecie?

— Załoga i dwójka pasażerów-cudzoziemców. Jakiś wybitny uczony, Rosjanin... zdaje się, że nazywał się Skribin, czy też coś podobnego... Harry! — zwrócił się nagle do kolegi.

Harry odwrócił w jego kierunku nadaśaną twarz.

— Jak nazywał się tamten uczony rosyjski? — zapytał Bill, nie zwracając żadnej uwagi na zły humor towarzysza.

— Nie wiem — odpowiedział obrażonym tonem Harry i ze złością rzucił kartę na stół. Miał wielką ochotę zwymyślać tego archeologa za jego zbyt gadulstwo...

— Evans, może ty pamiętasz?

Ale Evans także był zdania, że ich kolega nie powinien był opowiadać Rosjanom o tej katastrofie. Choć usprawiedliwiał go częściowo, że tu, na Marsie, oddalonym miliony kilometrów od Ziemi, odczuwali potrzebę dzielenia się wszystkim z drugim człowiekiem.

— Chyba Skribin — powiedział. — W jednej z gazet wydrukowali nawet artykuł o nim i o jego...

— Sztucznej planecie Perłowa Gwiazda — dokończył Bill. — Pamiętam doskonale. Zdaje się, że rzeczywiście nazywał się Skribin, prawda, Evans?

— Chyba tak.

— Tak, to z całą pewnością ten sam Skribin. Wybierał się do naszych uczonych w odwiedziny razem z żoną, czy też z osobistą sekretarką — przypomniał sobie Bill. — Szkoda ich. Ale i nasi nie przypuszczali, że tak tragicznie skończy się dla nich ten lot. Szkoda!

Skribinowi udało się wreszcie podnieść z podłogi gazetę. Ręce mu drżały. Wlepił wzrok w jakieś zdjęcie publikowane na pierwszej stronie, ale prawdę powiedziawszy, nie widział ani zdjęcia, ani podpisu pod nim.

Skribin z Asurem i Anią umówili się, że nie będą przyznawać się przed Amerykanami, kim są. Ania była nawet trochę naburmuszona z tego powodu. Tacy mili i serdeczni byli przecież ci dwaj archeolodzy i ich towarzysze, a ona ma ich oszukiwać! W końcu Skribinowi udało się przekonać ją, że tak będzie najlepiej.

Jeszcze za wcześnie, by zdemaskować całą prawdę o brudnej misji „Kosmosu”.

Kontakt między członkami obu ekspedycji zacieśniał się i wkrótce przerodził się w serdeczną przyjaźń. Bardzo bliskimi sobie czuło się tych siedmioro ludzi, których los zetknął aż na dalekim Marsie. Wieczorami, przed udaniem się na spoczynek, Ania ze szczegółami powtarzała Asurowi treść swych rozmów z cudzoziemcami. Stopniowo nieufność Asura wobec Amerykanów znikła zupełnie i on sam w końcu poczuł sympatię do tych zawsze uśmiechniętych, szczerych ludzi.

— Aniu, chciałbym nauczyć się ich języka — przyznał się pewnego dnia.

— Przecież to takie proste dla ciebie. Miończycy zostawili ci przecież aparat pamięci, prawda?

— Tak, ale potrzebuję nauczyciela.

— Głuptasie! Czy zapomniałeś o mnie?

Odtąd Asur zaczął pilnie uczyć się języka angielskiego i po dwóch dniach wprawił w całkowite osłupienie Billa i Evansa, odzywając się do nich w ich ojczystym języku. Początkowo obaj słuchali z niedowierzaniem, a potem, grożąc mu palcem, powiedzieli z pretensją w głosie:

— A... chytrusie! Znasz angielski, ale nie chciałeś się do tego przyznać...!

Ania i Asur śmiali się do łez, ale swej tajemnicy nie zdradzili.

Uczeni najwięcej czasu spędzali w podziemiu. Amerykanie, wziawszy z sobą aparaty tlenowe, postanowili otworzyć trzecie żelazne drzwi. Gdy ustąpiły wreszcie pod ich naporem, znaleźli się nagle w sypialni ciasno zastawionej żelaznymi łózkami i zbutwiałymi meblami, rozpadającymi się w proch za najlżejszym dotknięciem, a głównie od nagłego uderzenia silnego strumienia marsjańskiego powietrza. Kilka pokoi zapełniały stopy przegniłej, często sproszkowanej już żywności, a na podłogach leżały niewielkie pomarańczowe piłeczki, prawdopodobnie marsjańskie owoce. Znaleźli i pudełko z zepsutym tłuszczem, brązowego koloru i wydającym smrodliwą woń, jakieś zardzewiałe puszkę, w których zapewne niegdyś zakonserwowano żywność. Pod ścianą jednego z obszerniejszych pomieszczeń stało żelazne rusztowanie. Gdy i tu dotarł strumień powietrza, wzbił się z rusztowania gęsty pył. W tym samym pokoju znaleźli też cieniutką, trochę naddartą kartkę. Obok leżały resztki skóry, z całą pewnością fragment oprawy jakiejś książki. Wszystko wskazywało na to, że mieściła się tu niegdyś biblioteka.

W sąsiednim pokoju znaleźli ślady ogniska, jeszcze z kupką popiołu pośrodku. Naczynia, których dotykali, również przemieniały się w proch. Lecz najwspanialszy skarb odkryli dopiero w jednej z szaf. Były to czyste, białe talerze, każdy z wyrytym na dnie rysunkiem. Rysunki ukazywały ludzi, zwierzęta, rośliny. Na wszystkich rysunkach ludzie mieli lekko spłaszczone nosy, a ubrani byli w długie bluzy, jakby kaftany, i kapelusze przypominające kołpaki. Przedstawione zwierzęta podobne były do koni. A ptaki! Czyżby to orły?

— Wszystko zapisane jest na tych naczyniach! Wszystko! — cieszył się Bill. — Te rysunki dopiero powiedzą nam, jak wyglądali naprawdę Marsjanie, jakie hodowali zwierzęta i rośliny. Prawda, Evans?

Zaczęli się niebawem sprzeczać o cel, w jakim Marsjanie zbudowali to laboratorium w skałach. Ku zdumieniu wszystkich, największe ożywienie w tej dyskusji przejawiał właśnie doktor Evans.

— Posłuchajcie, moi drodzy, posłuchajcie mojej hipotezy — starał się przekonać nie tylko swego przyjaciela. — Wybuchła wojna. W laboratorium znaleźli schronienie wybrani Marsjanie. Mają wystarczającą ilość zapasów, mają biblioteki, kuchnie, biura, sypialnie... słowem wszystko, czego trzeba, by mogli żyć odizolowani od zewnętrznego świata i poświęcić się nauce. Kataklyzm zastał ich podczas pracy. Następuje straszliwy wybuch i w ciągu kilku minut całkowicie zanika życie na planecie, a sama planeta pęka, tworzą się głębokie przepaści, mało brakowało, by cały Mars rozpadł się na drobne części. Tunel łączący schrony z powierzchnią, zostaje zawałony. Powietrze skażone radioaktywnym promieniowaniem. Cała planeta płonie, wstrząsana wybuchami, płonie nawet powietrze. Mija pięć, dziesięć sekund i koniec... Martwa planeta! Tak, martwa! A jej śmierć spowodowały chciwość, nienawiść, zło, niedoskonały ustrój społeczny i egoizm rozumnych przeciw istot...

Evans dopiero co wrócił z zawałonego, marsjańskiego schronu i wypoczywał wyciągnięty na swym wygodnym łóżku, gdy wtem ktoś szarpnął go za ramię i czyjś zaniepokojony głos krzyknął mu do ucha:

— Mister Evans! Mister! Proszę się obudzić!

Evans odwrócił się na drugi bok i sennym głosem zamruczał:

— Dajcie mi spokój... jestem potwornie znużony... — i machnął ręką, jakby odganiał od siebie uprzykrzoną muchę. Oczy miał wciąż zamknięte.

— Mister, to ja... Harry! — radiotelegrafista śmielej pozwolił sobie szarpnąć Evansa za rękę. — Mister, podsłuchałem ciekawą rozmowę w eterze. Założę się, że jednym z nich był Skribin.

— Idź do diabła! Przecież mówię ci, że jestem zmęczony! — już naprawdę zły krzyknął Evans, lecz nagle coś jakby zaświtało mu w głowie. Otworzył oczy, zapytał: — Co za Skribin znowu?

— No ten... który zginął... w tej katastrofie!

— Harry! Ty zwariowałeś!

— Nie, doprawdy! Łączył się z Kosmogradem.

Evans, już zupełnie rozbudzony, siadł na łóżku i spojrzał na radiotelegrafistę.

— Ale przecież „Kosmos” rozbił się na Księżycu, prawda? A razem z nim i Skribin!

— Czort wie, jak tam było! Słyszałem wszystko na własne uszy. Zupełnie przypadkowo podsłuchałem tę rozmowę. Jednym z nich był Skribin, a rozmawiali o „Kosmosie”. Z Ziemi gratulowano mu, że wyszedł ze wszystkiego szczęśliwie.

Evans aż podskoczył na łóżku.

— Harry, ty naprawdę straciłeś zmysły! A może to był sen?

— Nie, mister! Z Kosmogradu powiedziano, pamiętam dokładnie każde słowo: „Dowiedzieliśmy się, że „Kosmos” rozbił się o powierzchnię Księżyca. Gratulujemy wam, towarzyszu Skribin, że wy i wasza córka wyszliście z tego cało. A jak się czuje człowiek z Mioma?”

— Harry, zdaje się, że Mars nie wpływa najlepiej na twoją głowę!

— Nie ma powodów do obaw, mister. Wszystko u mnie w najlepszym porządku. Po prostu Skribin żyje i znajduje się tutaj!

— Co?!

Evans zerwał się na równe nogi. Kołdra zsunęła się na podłogę. Sen uleciał zupełnie... Evans spojrzał na radiostację, potem na Harry'ego, który stał wciąż jeszcze ze słuchawkami na uszach. Z końców słuchawek zwisały jeszcze cieniutkie zmiłki-kabelki.

— Jakże mógł stąd odzywać się Skribin? Z Marsa?

— Tak, mister. Dlatego też pozwoliłem sobie obudzić pana. Wygląda na to, że Skribin to nikt inny, tylko ten nasz przyjaciel... Rosjanin!

— Ha! To ci dopiero!

— A ta dziewczyna, to po prostu jego córka.

— Znowu ponosi cię fantazja, Harry!

— Wciąż pan nie rozumie, mister? Proszę posłuchać.

I Harry raz jeszcze opowiedział, jak przypadkowo podsłuchał rozmowę, prowadzoną w języku rosyjskim. Nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie usłyszał tych dwu słów: „Skribin” i „Kosmos”. Rozmawiali też o jakimś człowieku z innej planety, o jakimś mionie, czy jakoś tam. Czekają na rakiety, która lada moment powinna wylądować na Marsie. Skribin opowiedział im też o tym, że poznali kilku Amerykanów, dobrych i życzliwych ludzi. Początkowo przypuszczał, że to ludzie jakiegoś Węgi, lecz widać, jego obawy były niesłuszne. Co prawda, Amerykanie byli zdziwieni, że nie ma nigdzie rakiety, którą Skribin i reszta przyleciała na Marsa, ale nie wypytywali o to...

— Właśnie, a gdzie jest ta rakietka? — dodał po chwili zamyślony Harry. — Nigdzie jej nie widziałem. To ci dopiero zagadka! I jeszcze coś, czy nie zwróciło to pańskiej uwagi, mister Evans, że ci ludzie właściwie nie zajmują się żadną pracą naukową?

— Istotnie...

— A widzi pan? Więc czego tu szukają?

— Skąd więc się tu wzięli? Ich rakietka odleciała i zostawiła ich samych? Brednie!

— Harry, zdaje się, że słusznie rozumujesz!

Nie pozostało już ani śladu zmęczenia na twarzy Evansa. Zerknął w stronę pustych łóżek towarzyszy i zapytał:

— Gdzie są Bill i Bronson?

— W garażu, mister. Sprawdzają silniki.

— Zawołaj ich zaraz, Harry!

Ania i Asur siedzieli na turkusowej trawie, bujnie rosnącej pod szklaną kopułą i beztrąsko gawędzili. Był to bardzo miły zakątek — ciepły i zaciszny. Choć Słońce wydawało się stąd małe — pieściło ich ciepłymi promieniami nawet przez szkło kopuły. Ania z Asurem oddawali się zabawnej grze, którą sami sobie wymyślili. To Ania, to znów Asur starali się barwnie opisać wszystkie osiągnięcia rozumnych istot na swych planetach w dziedzinie nauki czy techniki. Dziś Ania starała się oszołomić Asura doskonałością i zmechanizowaniem ziemskiej kuchni. Wystarczy włożyć mięso razem z jarzynami do garnka i nim upłynie minuta, potrawa jest już gotowa i można ją podawać na stół. A wszystko dzięki zastosowaniu ultradźwięków.

— O! — powiedział z uznaniem Asur. — Nieźle!

Lecz Miończycy radzą sobie inaczej. Mają wspaniałe urządzenie, podobne do lejkowato rozszerzającej się rury. Naciskasz guziczek i... raz, dwa, trzy, cztery, pięć! — potrawa gotowa! Obchodzą się bez piecyka, elektryczności i ultradźwięków.

— Więc jak...? — zdumiała się szczerze Ania.

— Wszystko przy pomocy promieni! W pięć sekund przyrządzony obiad. Czy pamiętasz, Aniu, jakimi wspaniałymi potrawami raczyli nas Miończycy na gwiazdolicie? Wszystko to było ugotowane czy też upieczone właśnie dzięki zastosowaniu tych promieni.

— Hm! — chrząknęła trochę nadąsana Ania. — Wciąż jeden zero dla ciebie, Asurze!

Asur rozbawiony ujął jej rękę, lecz od razu ją puścił. Przez szkło kopuły dostrzegł bowiem pojazd Amerykanów przecinający równinę prosto w ich kierunku — raz wspinał się na niewysokie wzgórza czy też usypiska kamieni, to znów ginał w przepaściach.

— O, będziemy mieli gości! — ucieszył się Asur i ruszył do drzwi.

Bill i Evans, ściągając skafandry, jakoś dziwnie nie spuszczały dziś ani przez chwilę wzroku z Asura. Byli też niezwykle milczący i poważni, jakby rozważali jakiś bardzo poważny problem. Ale tylko Asur zwrócił uwagę na zmianę w ich zachowaniu. Ania niczego nie dostrzegła. Nagle Evans zniemacka zapytał:

— Asurze, czy pan jest Arabem?

Asur, wystraszony, nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi — odpowiedział po chwili.

Evans i Bill wymienili znaczące spojrzenia.

— Cere ma pan śniadą jak Arabowie. Ma pan również kędzierzawe włosy. Śniade są również pańskie ręce! Proszę podać mi rękę! — i Bill dość bezceremonialnie chwycił rękę Asura i oglądał ją z obydwu stron. Była to niewątpliwie ręka mieszkańca Ziemi — szczupła wysmukła dłoń o długich, zakończonych paznokciami palcach. Uwydatniały się na niej lekko obrzmiałe stawy.

— Dziwne! — mruknął zaskoczony Bill.

Początkowo bawiło to Asura, lecz potem coś go zaniepokoiło w tym nagłym zainteresowaniu Amerykanów jego osobą. Do tej pory nie zwracali przecież nigdy na niego większej uwagi.

— Jakiej Pan jest narodowości? — zapytał znów Evans.

Asur rzucił błagalne spojrzenie na Anię. Kąciki jej ust lekko drgnęły.

— Asur jest obywatelem Związku Socjalistycznych Republik — powiedziała dobitnie Ania.

Evans uśmiechnął się w odpowiedzi. Teraz znów wydawał się tak samo, jak zwykle, miły, dobroduszny i serdeczny, lecz Ania poczuła, że zaczyna go nienawidzić. Skąd wzięło się nagle to uczucie, nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Teraz z kolei Bill wtrącił się do rozmowy.

— Wybaczy pani, miss Skribin — powiedział, ze szczególnym naciskiem wymawiając jej nazwisko — lecz całkiem do twarzy pani z...

Nie zdążył dokończyć, bo Ania podniósłszy rękę do czoła, nagle zachwiała się na nogach.

— I na co zdała się ta konspiracja, panno Skribin — zakończył za Billa Evans. — Nie wyobraża sobie pani, jak bardzo ucieszyliśmy się wiadomością, że inżynier Skribin i pani żyjecie. Ale jak udało wam się uratować? I kim jest ten wasz towarzysz? Dlaczego ukrywacie się?

Ania i Asur byli tak wstrząśnięci tym, co słyszeli, że nie umieli wykrztusić z siebie ani słowa odpowiedzi. Bill, przyjąwszy pozę obrażonego przyjaciela, zwrócił się do Asura:

— Może zdradziłby nam pan, kim pan jest i skąd się pan tu wziął?

Ania w tej samej chwili mocnym szarpnięciem wyrwała się z rąk Asura i wpadając do namiotu zawołała:

— Tatusiu, oni wiedzą o wszystkim. I co teraz z nami będzie, tatusiu!

Skribin zapytał o coś, Ania odpowiedziała roztrzęsionym głosem. Po chwili w drzwiach namiotu stanął inżynier. Pytającym wzrokiem obrzucił obu Amerykanów.

— A więc jesteście ludźmi Wegi? — powiedział zrezygnowanym głosem. — Wspaniale udało się wam zagrać swoją rolę!

Bill i Evans spojrzeli po sobie, nic nie rozumiejąc. W ich twarzach trudno byłoby się dopatrzeć wojowniczego usposobienia i wrogości. Zdumieli się szczerze.

— Jakiego Wegi, mister Skribin? — zapytał Bill.

— Tego, który porwał nas na „Kosmos”.

— Porwał? — powtórzył Evans.

— Tak. Sądziłem, że wiecie o wszystkim.

— Nie mieliśmy o tym najmniejszego pojęcia. Czy nie lecieliście na Księżyc jako goście naszych uczonych?

— Niestety, panowie! Wasi uczeni nawet nie przypuszczają, w jakich okolicznościach znaleźliśmy się na pokładzie „Kosmosu”. Nie mieliśmy na ten temat nic do powiedzenia. Po prostu porwano nas.

— A ten człowiek co tu robi? — Bill wskazał na Asura. — Przypadkowo dowiedzieliśmy się, że przybył z innej planety. A może przestyszeliśmy się?

Skribin uśmiechnął się wyrozumiale. Rozwiały się resztki jego podejrzeń w stosunku do Amerykanów.

— Nie przestyszeliście się — odpowiedział.

— Ależ on przecież niczym nie różni się od mieszkańców Ziemi.

Zabawni byli ci Amerykanie w swym niedowierzaniu. Ale teraz było oczywiste, że są to ludzie uczciwi, nie mający nic wspólnego z Wegą.

— Proszę, wejdźcie do środka — zapraszał Skribin. — Zaraz dowiecie się wszystkiego...

Bill i Evans słuchali opowieści inżyniera, nie przerywając mu ani słowem. Ku swemu zaskoczeniu nie doszukali się w jego słowach gniewu czy też złorzeczeń pod adresem sprawców porwania. Relacja Skribina była beznamietna, a mimo to wywarła wielkie wrażenie na obydwu gościach. Byli oburzeni. Co za podłość! Ale oto Skribin zaczyna opowiadać o Asurze. Młodzi uczeni zapomnieli już o Wedze, całą uwagę skupili na niezwyklej historii, która brzmiała tak niewiarygodnie, że co chwila przyłapywali się na tym, iż nie wierzą w jej prawdziwość. Ania podchwyciła ich niedowierzające spojrzenia, podeszła więc do niewysokiego

stolika i wyjęła zeń małe pudełeczko. W pudełeczku leżały zdjęcia. Ania podała je Amerykanom.

— Oto Miończycy — wskazywała palcem — a ta trójka, z boku, to my... nie podejrzewacie nas chyba o przebiegły fotomontaż...? Zdjęcia zostały zrobione podczas spaceru w parku na gwiazdolicie. Ale to nie jedyne dowody, którymi dysponujemy. Zaraz wyświetlimy wam pewien mioński film. Asurze, proszę, przygotuj aparaturę projekcyjną!

Na białym ekranie ukazały się potężnie zbudowane istoty o pomarańczowoczerwonych, okrągłych oczach. Ich ciała ciasno opinały trykoty. Spod malutkich czapeczek na czubkach głowy wymykały się króciutkie kosmyki włosów. Za nimi widniały zabudowania jakiegoś miasta — pośród bujnej roślinności sterczały wysoko w niebo walcowate, kopulaste i prostopadłościennne budowle.

Wszystko od biedy mogłoby przypominać normalny, ziemski widoczek, gdyby nie te dziwne istoty na pierwszym planie. Latające aparaty, Miończycy, którzy wzbijają się przy ich pomocy w górę...

Projekcja skończyła się.

— A teraz pokażę wam film, który sama nakręciłam swoim aparatem — powiedziała Ania, pokazując Amerykanom kamerę, na pozór niczym nie różniącą się od ziemskiej, choć znacznie od niej mniejszą, która łatwo dawała się schować nawet do kieszeni. Połyskiwała metalowymi wykończeniami i niebieskoszarą emalią oprawy.

Na ekranie ukazał się ogromny obiekt latający. Przesuwał się w przestrzeni niczym gigantyczna srebrna ryba. Ryba przesłoniła wkrótce cały horyzont, rosnąc coraz szybciej na pomarańczowym, marsjańskim niebie.

— To właśnie ich gwiazdolit — „Zwiastun” — wyjaśniła Ania.

„Zwiastun” wznosił się coraz wyżej, stając się coraz mniejszy, a kiedy stał się już nie większy od ptaka, nagle zasłoniły go płomienie i wkrótce płonący punkcik przepadł gdzieś w bezkresie.

Ania odezwała się.

— Dziś znów jest dzień, w którym najłatwiej nawiązać łączność ze „Zwiastunem”. Czy chcecie, bym przeprowadziła teraz tę rozmowę?

Pociągnęła obu do stojącego na uboczu stolika, na którym stała niewielka skrzyneczka, będąca najsilniejszym nadajnikiem, jaki kiedykolwiek w życiu oglądali. Nigdzie nie było widać słuchawek. Ania nacisnęła niebieski guziczek, potem drugi i przemówiła w języku angielskim, by mogli zrozumieć ją goście.

— Tu Mars! Wzywam „Zwiastun”! Słyszycie mnie?

Upływające sekundy, a może minuty, zdawały się godzinami.

I oto rozbrzmiał w namiocie dziwny, trochę niesamowity a jednak serdeczny głos. Głos odpowiadał również w języku angielskim.

— Tu „Zwiastun”! Czy to Ania?

— Taomeju! Przyjacielu!

Kilka sekund ciszy i po chwili znów daleki głos:

— Właśnie zamierzaliśmy z Braunem spróbować nawiązać z wami kontakt. Wszystko w porządku?

— Tak, Taomeju!

Taomej przeszedł nagle na język rosyjski:

— Pozdrawiamy was wszystkich od nas wszystkich! Zrobiliśmy już kawał drogi, a wydaje nam się, że stoimy w miejscu. Tylko nasze aparaty wskazują, że lecimy z zamierzoną prędkością.

— Taomeju, gdzie znajdujecie się w tej chwili?

— Jeszcze wciąż blisko układu słonecznego. Nie odlecieliśmy nawet stu miliardów kilometrów. Słońce wydaje się stąd niewielką gwiazdką. Ziemi i Marsa już zupełnie nie wi-

dzimy gołym okiem.

— Jak czuje się Elij? — zapytała Ania.

— Tęskni za wami... — odpowiedział Taomej. — Może rzeczywiście powinniśmy byli mimo wszystko polecieć na Ziemię!

— Z całą pewnością, Taomeju!

Rozmowa była prowadzona tak naturalnym tonem i dotyczyła tak zwyczajnych spraw, jakby rozmówcy znajdowali się od siebie w odległości zaledwie kilku kilometrów. Potem połączenie nagle przerwało się. Bill i Evans siedzieli nieruchomo na krzesłach, jak zahipnotyzowani.

— I co, jeszcze nie wierzycie? — uśmiechnęła się do nich Ania. — Asurze, przynieś tu aparat pamięci!

Ania wspólnie z Asurem uruchomiła aparat absolutnej pamięci.

— Przeczytam wam fragment tekstu z mojego pamiętnika — powiedziała Ania. — A za chwilę wy, panowie, powtórzycie to samo słowo w słowo.

— O, miss! Wątpię, czy moja pamięć pozwoli mi powtórzyć wszystko dokładnie!

— Nikt z nas nie jest w stanie powtórzyć tego po jednorazowym usłyszeniu, lecz ten oto aparat podziela na pewne ośrodki w waszym mózgu i zapamiętacie wszystko... zresztą zaraz o tym się przekonacie.

Ania włączyła aparat i zaczęła czytać fragment swych wspomnień, opisujący przeżycia w podziemiach na Marsie, w tym dniu, kiedy po raz pierwszy spotkali tam Amerykanów. Czytała około czterech minut, po czym wyłączyła aparat i powiedziała:

— A teraz, powtórzmy wszystko słowo w słowo! Doktorze Evans! Oto tekst — proszę śledzić, czy mister Bill nie zrobił jakiegoś błędu!

Ale Bill bezbłędnie powtórzył tekst, nie opuszczając ani słowa.

— Ależ to wprost niewiarygodne! — mamrotał Evans.

— Zwyczajny mioński aparat pamięci — powiedział skromnie Asur. — Dziwiliście się kiedyś, jak mogłem tak łatwo nauczyć się angielskiego. To zasługa właśnie tego urządzenia.

Potem Ania pokazała gościom aparat do odmładzania. Wspaniały wynalazek! Cudowny... Ania cała rozpromieniała się, gdy opisywała jego zalety. A pojazd, którego używali do przejażdżek po Marsie, także podarowali im Miończycy. Czy nie zwrócili uwagi na jego oryginalne kształty, doskonałą pracę silnika, mimo iż nie wymaga żadnego paliwa? Silnik jest po prostu poruszany elektrycznością, którą sam bez przerwy wytwarza. Nikt jeszcze na Ziemi nie skonstruował takiego silnika. Wszystko, co widzą w tym skromnym domku, pochodzi z Miona. Nawet mydło, ręczniki, pasta do zębów... A oto miońskie książki — ich kartki są wykonane z niezwykle cienko walcowanej stali...

Wszystko to brzmiało jak najbardziej fantastyczna baśń, ale nic już nie potrafiło zdumieć Evansa i Billa. Poruszyło ich dopiero to, co usłyszeli o próbach Wegi i jego towarzyszy, zawładnięcia gwiazdolotem oraz o brutalnym obezwładnieniu Miończyków.

— Miończycy są bezwzględnie najszlachetniejszymi istotami, jakie kiedykolwiek udało nam się spotkać — dodała na zakończenie Ania. — Wyobraźcie sobie, że pozwolili Wedze odlecieć jego „Kosmosem”. A „Zwiastun” wylądował na Marsie, wysadzając nas na jego powierzchni, abyśmy tu mogli poczekać na swoją raketę.

— Kiedy to miało miejsce? — zapytał Evans.

Gdy policzyli dni spędzone na Marsie, doszli do wniosku, że gwiazdolot Miończyków odleciał z Marsa w tym samym dniu, gdy wylądowała na nim rakietka amerykańska.

— Szkoda, że mineliśmy się — uśmiechnął się smutno Bill. — Straciliśmy taką okazję! Pomyśleć, wystarczyło tylko o kilka godzin wcześniej wylądować na Marsie, a ujrzelibyśmy na własne oczy Miończyków i ich gwiazdolot!

Ania zwierzyła im się potem, że gdy pierwszy raz ujrzała Billa i Evansa, przypuszczała, że są to agenci Wegi...

Evans, trochę dotknięty takim posądzeniem, przerwał jej:

— Przepraszam, dlaczego tak pomyśleliście?

— Proszę nam wybaczyć — wtrącił się do rozmowy Skribin. — Ale skąd mogliśmy wiedzieć, kim jesteście? Na szczęście okazało się, że jesteście zupełnie innymi ludźmi. Uwazamy was za swych prawdziwych przyjaciół.

— Dziękujemy — w odpowiedzi Bill skłonił się szarmancko.

— Ale gdyby nawet i tu znaleźli się ludzie Wegi — powiedziała z lekką przechwałką w głosie Ania — to teraz już nie byłoby to takie groźne. Nasi na Ziemi są stale informowani o wszystkim i w kierunku Marsa leci już po nas rakieta. Jestem pewna, że nasi ludzie tak jak przetrzasnęli Ziemię, przeszukaliby i planety systemu słonecznego i w końcu znaleźliby nas.

Ostatnie zdanie wypowiedziane było z wielką dumą i przekonaniem. Obaj Amerykanie byli trochę speszeni, ponieważ wciąż pamiętali brak zaufania ze strony Skribina i jego córki, okazywany im w początkach ich znajomości. Choć przecież tłumaczyło tę nieufność wiele podłości, jakich zaznali Skribin i Ania od Wegi. Bill nagle wstał i powiedział uroczyście.

— Przyjaciele! — widać było, że jest wzruszony, ale głos brzmiał mocno i zdecydowanie. — Przyjaciele! Przysięgamy wam solennie, że razem z obecnym tu doktorem Evansem uczynimy wszystko, co w naszej mocy, bez oglądania się na ewentualne skutki tej decyzji, by doprowadzić do publicznego potępienia zarówno Wegi, jego kolegów, jak i tych, którzy zza kulis kierowali całą tą machinacją.

— Dziękujemy — odpowiedział powściągliwym ukłonem Skribin.

— Mogę was zapewnić — zabrał z kolei głos doktor Evans — że nasz naród, który jest narodem ludzi uczciwych, miłujących pracę i wolność, zgodnie potępi ten hańbiący postęp.

— Nie wątpię w to, przyjaciele!

— Wiercie nam, że nasi uczeni, nasi intelektualiści, nie mają nic wspólnego z tym, czego dokonali ci ludzie, pozostający na usługach podejrzanych mecenasów — Evans starał się rozwiązać jakiegokolwiek wątpliwości swych przyjaciół co do szlachetności narodu, zamieszkującego zachodnią półkulę.

— Jestem o tym przekonany, doktorze Evans, naprawdę... — I Skribin uściśnął dłoń doktora, a potem Billa. — Wierzę wam całkowicie, moi drodzy! — Skribin starał się jak mógł przekonać obu Amerykanów.

— Jestem bardzo szczęśliwy, że was poznałem — odezwał się Bill. — Jesteście wspaniałymi ludźmi! Dziękujemy wam!

I jeszcze raz uściśnął ręce całej trójce. Widać było, że jest zmieszany i nie wie co mówić, co robić.

— Asurze! — zwrócił się Evans do śniadego mieszkańca namiotu.

— Proszę...

— A może teraz pan opowie nam coś o sobie! Trochę więcej szczegółów! Bardzo prosimy! Proszę nam powiedzieć, czy i na innych planetach żyją istoty niczym nie różniące się od Ziemiaków? Przecież pan nie różni się niczym od mieszkańca naszej planety — wcale nie jest pan podobny do Miończyków! Z jakiej planety pan przyleciał?

Asur pokazał w uśmiechu swe olśniewająco białe zęby.

— Jestem po prostu Ziemiakiem — tak jak i wy. Jeśli was to interesuje, opowiem wam swoją historię...

— Jutro ląduje na Marsie nasza rakieta — zakomunikował wszystkim Skribin.

— Już jutro? — zdumiał się Bill. — Szkoda, że my musimy zostać tu jeszcze z dziesięć dni, chcemy bowiem spenetrować jeszcze północ i południe. Przyjemnie byłoby razem lecieć na Ziemię!

Skribin poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

— Bill, jest pan wspaniałym chłopcem. Nigdy pana nie zapomnę!

Całe przedpołudnie Skribin, Ania i Asur siedząc przed namiotem, przez szklany dach kopuły obserwowali niebo, na zmianę dyżurując przy radiostacji. Rakieta co chwilę podawała swój kurs. Około południa przybyli Bill i doktor Evans. Chociaż żartowali nieustannie, widać było, że są smutni. Bill stojący obok Ani, opowiadał jej o wykopaliskach w Ameryce z okresu kultury Majów i Inków. Przypuszczał on, że Majowie byli potomkami Marsjan. Po prostu Marsjanie przed tysiącami lat wylądowali na terenach Ameryki i nie wrócili już z powrotem na swoją planetę, lecz na Ziemi stworzyli potężne państwo o wysokiej kulturze.

Nie zdążył przedstawić do końca swej hipotezy, bo nagle Asur krzyknął na cały głos:

— Patrzcie, tam!

I wskazał na pomarańczowe niebo, na którym na wschodzie rozbłysła nagle gwiazda, szybko zbliżająca się ku nim. Świeciła coraz jaśniej, potem jak błyskawica przemknęła ponad ich głowami i zniknęła na zachodzie. Po upływie pół godziny znów ukazała się od wschodu — tym razem wydawała się większa — dorównywała wielkością Fobosowi. I tym razem przemknęła nad nimi i znikła. Za trzecim razem wyglądała już jak ogromny, srebrzysty ptak. Im bardziej się zbliżała, tym bardziej rosły jej rozmiary. Teraz wyraźnie kierowała się ku powierzchni Marsa. Nagle wykwitł nad nią jakiś biały obłok.

— To jej spadochron! — powiedział Bill. — Piękna rakieta!

Rakieta zatoczyła wielki łuk nad pustynią. Jej szybkość wyraźnie malała. Spadochron jaśniał na tle nieba śnieżną bielą. Nagle z ogona rakiety wystrzelił pióropusz ognia i dymu.

— Aniu — rzekł stojący obok dziewczyny Evans. — Mam do pani pewną prośbę.

— Słucham, doktorze...

Ale Evans patrzył na czubki swych butów, miał kołnierz koszuli i milczał.

— No, śmielej! — zachęcała życzliwie Ania. — Na pewno chce mi pan coś powiedzieć?

— Tak, Aniu. Prosiłbym bardzo, aby zechciała pani zostawić mi swój adres. Chciałbym do pani napisać. Czy mogą liczyć na odpowiedź?

— Ach, z największą przyjemnością!

I pobiegła do namiotu. Po chwili wyszła z białą kartką w ręce. Podając ją Evansowi powiedziała:

— Oto mój adres. Przrzekam uroczyście, że otrzyma pan szybką odpowiedź.

W tym momencie podszedł do nich Bill.

— A cóż to za spiszek? — zażartował. — O, jakiś bilecik!

— Ania napisała mi na nim swój adres — wyjaśnił Evans.

— A gdzie adres dla mnie? I ja chciałbym przecież z panią korespondować! — powiedział Bill z lekkim wyrzutem w głosie.

— Bardzo się cieszę. Adres odpisze pan sobie od Evansa. Prawda, doktorze?

Skribin wyciągnął ręce do dwu młodych Amerykanów. Inżynier wydawał się w tej chwili młodszy o wiele lat. Stał wyprostowany, uśmiechnięty, w końcu przemówił.

— Drodzy przyjaciele! Chciałbym wyrazić wam swoją wdzięczność. Opuszczamy Marsa, za chwilę będzie tu już nasza rakieta. Ale wierzcie mi, nigdy nie zapomnimy dni spędzonych razem z wami na tej planecie. Jeszcze raz gorąco wam dziękujemy!

I mocno uścisnął ręce obu młodych ludzi.

A daleko na horyzoncie opadała na piasek pustyni, spowita kłębam płomieni i dymu, srebrzysta rakieta.

Mars wyglądał dziś niezwykle gościnnie i powabnie w świetlistym, przedwieczornym zmierzchu. W oczach Ani zakręciły się łzy, ale uśmiechnęła się ujrzawszy, jak ich rakieta łagodnie i pewnie dotyka swymi trzema ogromnymi stalowymi nogami jego powierzchni.

SPIS TREŚCI

Nocne spotkanie	002
Porwanie	016
Dwubój	025
Lecimy na Księżyc!	037
Rakieta bez znaków	043
Istoty z innego świata	048
Dziwne spotkanie	055
Zagadki wyjaśniają się	060
Niewiarygodna historia Asura	065
Mion i Ziemia	076
Dziennik pierwszych odkrywców Ziemi	086
Rok drugi	086
Rok trzeci	093
Spisek	101
Stary niepokoi się	110
Jeńcy Węgi	115
Asur	120
Szlachetni Miończycy	128
Głosy z kosmosu	141
Przecucia Fadiejewa	143
Na Marsie	148
Marsjański pomnik	156
Przyjaciele	163